TWÓRCZOŚĆ

U.I.C.C.
NOV 30 1978
LIBRARY

2

LUTY

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 2

WARSZAWA LUTY 1952

Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 27 z dn. 4.1.52 r. Nakł. 6671. Druk ukończono 31.I.1951 r. 3-B-11544

SCENA Z OŁTARZA WITA STWOSZA

Apostołowie chmurni, dostojni, brodaci
Czy to nie rajcy miejscy, śmierć opłakujący
Mieszczan, pod Tęczyńskiego wieżą z bólu drżący,
Gdy tamtych (lud pamięta) prowadzili kaci.

Lang, Leymither, i Szarlej, i rotmistrz Mikołaj,
Malarz Wojciech, i Szarlang (Sześciu ściętych mieczem
Za jednego magnata!). Ty głosem człowieczym
Z rąk załamanych, z oczu — stara zbrodnio wołaj!

Patrz! Tam siepacze z toporami, tam choroby
Ciała i duszy w twarzach. Każda jak z dramatu.
Strażnicy w złotych hełmach zasnęli u grobu.

W Jakuba opiekuńcze upadłszy ramiona
Maria w żalu za synem umęczonym kona.
A jej ręce podobne do ściętego kwiatu.

NAUKA

I

Syn nasz jeszcze tak niedawno uczył się chodzić,
A już biega, już wymyka się nam chyłkiem, ciszkiem,
Tak zajęty, jakby zbierał całą lata słodycz,
Jakby wilgi gwizd przywłaszczał, świr szczygłów, jaskółek,
Jakby łapał za trzęsący się ogonek pliszkę
W rączki chwytliwe i czułe.

II

Pierwsze jego gaworzenie, szczebiot niezdarny —
To przedszkole ptasie, w którym bierze lekcje od echa
Jasnowłosy mały Ariel, duszek figlarny. —
Jakby nieba pół uchylał, tak się uśmiecha.

III

Jemu kwiaty się zwierzają, gadają konie
W sadzie, gdzie uszami strzygą grusze, jabłonie,
Gdzie kukułka co dzień świtu o pogodę pyta,
Gdzie kogutów straż wystawia ptasia rzeczpospolita.

IV

Jak on dźwięki twoje z głębi, od źródła pożycza,
Mowo polska, matko szorstka, muzo tajemnicza!
Jak się szpaków i szelestu lip na pamięć uczy,
I otwiera każdy z zamków własnym kluczem.
Czasem zamek się zacina, słychać zgrzyt i warkot,
A to warczy pośród topól na szosie auto
Drdr... on przedłuża brzmienie i gardło nim płucze.

OKWIAT JABŁONI

Okwiat z jabłoni spada...
Przez chwilę
Myślałem, że się zatrzyma
Na powietrzu...
A może się mylę?
To płatek śniegu spadł.
To zima.
Nie odchodź
mijające piękno,
Miej czas mój późny w opiece!
I nagle
jakby serce mi pękło
Rozwarł się z hukiem lód na rzece.

NARODZINY

Pamiętasz jeszcze wśród wrześniowych drzew
Klinikę białą? Jak odkwitnął rok!
Jakby zrobiono mi, zmieniając krew,
Transfuzję wiosny, w tęczy miałem wzrok.

Mieszkałem wtedy wśród ruin, gdzie dom
Dwuletni w górę, w dół schodami biegł —
Gdy brałem z półki w twardej skórze tom
I otwierałem, z kart się sypał śnieg...

Lecz nie nadeszła zima, ptasi puch
I mchy do innych odkładając lat.
W ogrodzie jaki szelest, jaki ruch!
To właśnie deszcz na krzak czeremchy spadł.

I dziwił się błyskami okien dom
Jemu, co tutaj nie pytając wszedł
I żył za wszystkich i rwał się ku dniom
I był jak gwiazda i płakał jak flet.

Mieczysław Jast

PRZODOWNICA ANNA

Tlały barwy na wschodzie, podnosił się szum poranny.
Słoneczny promień jak kotek podbiegł do twarzy Anny
i pieszczotą ożywiał jej oczy. Wstała więc nagle
i szła do studni. Już ostrzono kosy na kowadle
i krowy zniżając łby kroczyły wolno do wody.
Świat odsłaniał się w śpiewie ptaków, w powiewie urody...
Ludzie brali grabie, widły i płachty na ramiona.
Śladami stóp srebrzyła się za wsią łąka zielona.
I Anna już ubrała się, szła na pola spółdzielni.
Mijały ją kobiety, mijali starcy kościelni.
Niejeden odwrócił się, skrzywił i przeżegnał skrycie,
widząc w ruchach, w głosie Anny radujące się życie,
ale ona na te spojrzenia wrogie nie zważała,
bo żyła wschodzącym dniem, pogodą lata cała.
I tylko, tylko na skraju drogi przez jedno mgnienie,
gdy ujrzała w polu swój cień śpieszący z innym cieniem,
drgnęła i potknęła się o kamień, bo jej się zdało,
że mąż idzie za nią i pragnie ogarnąć jej ciało.
Westchnęła wtedy i stała wśród ciszy pochylona
i drżały jej jakby w płaczu jeszcze młode ramiona.
— Jeśliby Jan żył — myślała — szliby razem do pracy.
Nie doczekał... Bała się, że ją wspomnienie osaczy,
więc biegła na przełaj łąką do pszenicznej niwy.
I po jej przejściu płynął jak strumień w trawie ślad siwy.

*

Pierwsze godziny lekko przy pracy jak koła biegły,
ale późniejsze? Żar lał się jak z wypalonej cegły.
Na stercie, która rosła, nie słychać było rozmowy —
i nikt nie podrywał w śmiechu swawolnym w niebo głowy.
Sunęły ciągle z wideł na widły pszeniczne snopy.
Konie zawracały z wozami i szły w dawne tropy.

Anna uczuła, że kurz ją jak powrozem opasał
i chyliła się z trudem. Niżej stali nadzy do pasa
mężczyźni i o żart, o słowo jakby ją prosili,
ale jej od wielkiego zmęczenia nie stało siły...
Jednakże, gdy jaskółka spadła na snop i też ziała,
wzruszyła się, otarła pot i w głos się zaśmiała.
— Południe! — wołali wszyscy. — Południe, słyszysz, Anno,
a jej się zdało nagle, że jest jeszcze młodą panną,
skoczyła i jak ptak leciała wesoła na ziemię.
Wąsami pszenic złociło się długo jej odzienie.

*

Nie poszła do domu. Nic jej tam przecież nie czekało.
Upadła pod wierzbą, do ziemi przytuliła ciało.

Dyszała uwieszona u skrzydeł owadów cisza.
Widać było wieś przy wzgórzu jak nad rzeką zwisa.
Brzózki, gęsi i dzieci w chłodnej wodzie się kąpały.
Chwiał się również nad strugą jak balonik obłok biały.
Anna westchnęła tkliwie i przywarła już do trawy.
Zdarzenia przepływały w jej oczach jak wieczór mgławy.
Myślała długo, długo, że w spółdzielni jest szczęśliwa.
Nie musi oto lecieć co siły w piersi od żniwa.
Kobiety krowę jej wydoją, wygonią na pole,
ona tymczasem zrzuci zmęczenie, które wciąż kole...
Przyciskając się do ziemi, łowiła sen, gdy oto
przypomniała się jej córeczka z tak nagłą tęsknotą,
że uniosła ręce i niemal krzyknęła boleśnie.
„No, tak, tamte, co wyjechały z Zosią równocześnie,
już pisały, a ona milczy, każe co noc czekać."
Nie dopowiedziała i snem już opadła powieka...

*

Spała chwilę bezpamiętnie, a gdy otwarła oczy,
to pojęła, że chłopcy pędzą obok co koń skoczy.
W słonecznej przejrzystej mgle kłębiły się gniade konie.
Siedzieli na ich grzbietach mali chłopcy bijąc w dłonie.
Anna czując jeszcze sen w sobie, słysząc mowę Zosi,
widziała, jak fala i konie i chłopców w dół znosi.
Było jej gorąco i tęsknie zarazem, już wstała,
i nie wiedząc, czy ma iść do rzeki, jak krzak się chwiała.
— Dalej! Dalej! Na co czekasz? — mówiła i już oto
biegła przez rowy, przez ciepłe piaski, przez ściernisk złoto.
Wreszcie za kępką brzóz, gdzie woda drgała jak sieć srebrna
wstrzymała się i chwilę oglądała się niepewna.
Wieś drzemała przy wzgórzu w ciszy, chłopcy się kąpali.
Schodząc jak sarna trwożnie już ciało podała fali
i w lęku, szczęściu stała teraz długo i bez drgnienia.
Ale gdy spostrzegła, że nic jej ciała nie ocienia,
ocknęła się, wzniosła ręce i w rzekę dała nurka.
Goniła ją, goniła piszcząc młodziutka jaskółka...

*

Wracali, potem i kłującą śniecią opasani.
Słońce już gasło na nizinie, szeptało z wierzbami.
Wieś w czystym powietrzu wydawała się mniejsza. Dymy
szły w niebo z chat, cienie leżały w polu jak olbrzymy.
I chłód, chłód już ciągnął, tłukły się drabiniaste wozy.
Psy żałośnie podrywały się w sadach na obroży.

Anna razem z ludźmi śpieszyła po łące do domu.
Spokój, westchnienie wiatru spływało z nieba ogromu.
Była już przed wioską, kiedy nagle ktoś wybiegł ku niej
i zielonym listem wiał jak nadzieją w słońca łunie.
Zrozumiała, że przyszło pismo od Zosi i zbladła.
Cienie i przeczucia otoczyły ją jak widziadła.

Rychło jednak niepokój zniknął, rumieńce wróciły
na twarz. Wyprostowana szła znów pełna młodej siły...
Zosia donosiła, że jest zdrowa — i do Warszawy
na wycieczkę jedzie — i że tak cieszą ją te sprawy...

— Od Zosi! — wołała Anna i dłoń wznosiła z listem.
Wieczór i ciszę chłonęły w szczęściu jej oczy czyste.

*

Noc była, gdy Anna wracała z codziennej narady.
Uciszyły się już w mgle niebieskiej schylone sady.
Tylko przy bramkach krzak dygotał od nagłego śmiechu —
i słychać było, jak ziemia wzbiera w spokojnym oddechu.
Gwiazdy świeciły nad drożyną schodzącą do rzeki.
Pary młodych siedziały tam, patrzyły w kraj daleki.
I naraz ktoś zatęsknił, pieśni powierzył uczucia.
Głos był tak piękny, że Anna drgnęła jak od ukłucia
i stanęła. Dawno, dawno to było — chodziła z Janem,
śmiali się i oni, obrzucali młodziutkim sianem.
Ręka podziemia zniszczyła ich szczęście... Tyle razy
chyliła się nad zdarzeniem, a oto znowu twarzy
nie może podnieść i musi wspominać ów świt czerwcowy
sprzed laty. Trafiony Jan, nie był w stanie dźwignąć głowy,
rękami jednak chwytał się powietrza i ziemi
i przeklinał ciągle wroga słowami gasnącymi.
Tyle od gniewu, co z boleści, naraz zapłakała
i długo bez ruchu pod ciemnym niebem w polu stała.

*

Sen, sen nie spłynął dzisiaj w szepcie ziemi, w świergocie ptaków.
Dom zapełnił się cieńmi stukających w okno krzaków,
a Anna wciąż myślała, rozpamiętywała życie
i męcząc się znów, oddalała od siebie okrycie.

— Byłby mnie pochwalił może — jestem przecież w spółdzielni —
szepnęła naraz — ona mnie i dziecku chleb zapewni...
Ta czuła myśl dopiero ją od bólu uwolniła.
Przymknęła oczy, słabła w niej powoli wspomnień siła.
Zasypiając, zobaczyć zdołała pośród mgieł nocy,
że Zosia przyszła ku niej z książką, całując jej oczy,
szczęśliwa była więc z powrotem, radosna, o świcie
i do gromady biegła, chroniła głośne serca bicie.

*

Ranek był znów błękitny, nad wsią wschodził obłok płowy,
podobny do młodej, w zadumie pochylonej głowy.
Przy stercie stali już spółdzielcy i głośno radzili.
Konie szczypały chwast, korzystając z spokojnej chwili.

Minęły godziny i słońce utknęło na niebie.
Dziś Anna wciąż żyła, cieszyła się w pogodnym śpiewie.

Stanisław Piętak

IGOR NEWERLY

PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

XIII

— To pan nic nie wie? — zdziwiła się Szamotulska. — Wszystkie kuriery o nas pisały, a tych redaktorów to musiałam stąd miotłą...

Szamotulska była nawet trochę urażona, że Szczęsny nic nie wie.

— Niech pan czyta.

Podała mu blaszane pudełko z rosyjskim napisem „Tabak Diubek" i odwróciła się do kotła z bielizną.

Wycinki były mocno wytarte, o egzekucji Komisarza, raz tak, raz wspak — nic pewnego. Jedna gazeta pisała, że „szczękał zębami w obłędnym strachu, z piętnem występku na plugawej twarzy". Druga — że „bezczelności nie zabrakło mu nawet w obliczu śmierci, gdy wykonawca wymiaru Sprawiedliwości powitał koleżeńskim pozdrowieniem: jak się masz, Maciuś!" Pisano wreszcie zgoła inaczej, na smętną nutę: „osławiony Komisarz wstępował obojętnie na stopnie szubienicy, bodaj czy nie z westchnieniem ulgi, jak człowiek ciężką drogą wielce utrudzony".

— Więc go za tego jubilera powiesili?

— Nie tylko... Wydały się potem różne sprawy. Za wszystko Maciejewski na Komisarzu rękę położył. We wszystkim czarnym wyszedł do niego, w cylindrze i rękawiczkach; rękawiczki potem pod nogi mu ciśnął. Elegancko, można powiedzieć, powiesił... Czytaj pan dalej.

Z dalszych wycinków wynikało, że ostatniej nocy Komisarz sporządził testament. Tu wszystko mniej więcej się zgadzało. Porozdawał kumplom pod różnymi przezwiskami pozdrowienia i przestrogi; jakimś braciom Kapiszonom zapisał swe „cygarniczki, bursztynową i srebrną"; jakiejś Szprotce — coś więcej, niby zabezpieczenie: „niech Szprotka dobrze poszuka pod krzyżykiem za długim zianziajem, to będzie miała na dziecko"... I na samym końcu ofiarował „pani Szamotulskiej metr konopnej krawatki ode mnie za sześć lat komornego z tym, że połowę ma dać Szczęsnemu na szczęście".

— Co mu strzeliło do głowy? Dlaczego akurat mnie?

— Nie byłam wieszana — odrzekła Szamotulska zamieszawszy bieliznę drewnianą kopyścią. — Kto tam wie, co się wtedy człowiekowi widzi.

---

*) Patrz Twórczość numer poprzedni.

Wyjęła z komody zawiniątko jak biały warkocz i położyła ostrożnie na stole.

— Co ja z tym miałam! Drzwi się tu nie zamykały za kupcami, za tymi pismakami... — narzekała wydymając wargi Szamotulska, nie byle jaka Szamotulska, ale ta jedna jedyna na Starym Mieście, co ma sznurek po Komisarzu, co to była w gazetach opisana i redaktorów miotłą przepędzała.

— Maciejewski przysłał. Metr jak uciął. Uczciwa miara. Zaraz panu odkroję.

— Po kiego licha! Niech pani to sobie zatrzyma.

— A coś pan! Z wisielcem zaczynać? Żeby mi tu po nocach straszył? Kazał, żebyśmy się podzielili po połowie — masz pan swoją połowę!

Szczęsny przyjął brudną śliską linkę, ten kiepski żart Komisarza na odchodnym: „Szczęsnemu na szczęście!"

Zwinął w kółeczko, przełożył niezdecydowanie z dłoni na dłoń.

— Powiada pani, że byli na to kupcy? Ile na przykład można za to dostać?

— Zależy kiedy, od kogo. Amatorska rzecz. Jeden dawał mi pięćset złotych, żeby tylko dogodzić tej pana... narzeczonej.

— Była tu?!

— Zaraz przybiegła, jak tylko o nas napisano... Między wami wszystko chyba skończone?

— Skończone.

— Tak właśnie pomyślałam, gdy oni tu weszli. Przed świętami to było. Rozcieram sobie rzepkę nad kolanem, bo się uderzyłam przy porządkach w samą rzepkę, rozcieram, a tu szur-szur jedwabiami i wchodzi ona wyfioczona, pachnąca! Z nim naturalnie... Pan go zna?

— Jak wygląda?

— Wysoki, szpakowaty, ale jeszcze niczego sobie, nawet przystojny. No, jakby to panu przetłumaczyć? — hrabia, tylko mnie się widzi, że z Żydów. Elegancki, czarny i we wszystkim czarnym, jak Maciejewski. Samochodem z nią do mnie zajechał.

— Czego tu szukali?

— Z początku niby pana. Nie ma, mówię, jest przecież w wojsku. Wtedy ona się pyta, czy mam ten sznurek. Owszem, mówię, a o co się rozchodzi? — Niech mi pani sprzeda, powiada. — Nie sprzedam, mówię, bo najpierw musimy się podzielić. — To ona prosi, żeby choć kawałeczek, na szczęście. „Nie mogę, paniusiu, bo co po prostym nieboszczyku — to święte, a cóż dopiero po wisielcu". Wtedy ten ode drzwi: „dam pa-

ni sto złotych". A ja mu: „choćby i dwieście, nic z tego". — „Dam trzy-
sta, niech się pani namyśli". I tak podbijał, aż ona go za rękę złapała
„panie mecenasie, przecież to nie brylant, to tylko sznurek!" — „Prze-
praszam — on do niej — przepraszam, pani Zosieńko, skoro takie jes
pani życzenie, to ten sznurek jest dla mnie brylantem". Co za dzikie lu
dzie... Chłopak w wojsku, to im urżnij kawałek, bo mają pieniądze! A ju
ta pańska... — bezwstydna, zupełnie bezwstydna! Nie warta, żeby o nie
tyle mówić.

Tak długo Szamotulska nigdy jeszcze nie mówiła. Zrobiła się widac
rozmowniejsza, sława język jej rozwiązała, a i ta chciwość ludzka ją po-
ruszyła — że chciano go, Szczęsnego, skrzywdzić, gdy był w wojsku.

— Napijesz się pan herbaty?

Potoczyła się pod szafkę z naczyniami, mała, okrągła — kobieta jak
dobry kalafior...

— Nic w domu nie mam na kolację, tylko chleb i smalec i kluski
tym się trzeba najeść.

Przysiadła się do stołu i wziąwszy także kubek herbaty, zapytała
Szczęsnego, co teraz zamierza, gdzie będzie mieszkał.

— Będę szukał pracy. A mieszkać na razie nie mam gdzie.

Szamotulska usta ściągnęła w rurkę dmuchając na gorące. Szczęsny
mieszkał u niej bez mała dwa lata. Był najlepszym sublokatorem, cichy
wypłacalny... Chińczycy wprawdzie także płacili, ale wyjechali do oj
czyzny, a „pekińczycy" rozbiegli się zaraz po aresztowaniu Komisarza
Jak szczury wyczuli nieszczęście. Wszystkie trzy piwnice zajęła biedota
same rodziny, raz płacą, raz nie, ale hałasują za cały dom.

— Pomieszczenia żadnego teraz nie mam. Może Florczak wyprowadz
się, bo zalega piąty już miesiąc... Najwyżej możesz pan spać w sionce
Lepiej w sionce niż na ulicy.

Szczęsny podziękował.

Na stole wciąż leżał obok chleba stryczek po Komisarzu: Szamotulsk
zapomniała swój spadek schować.

— Szkoda, że pani nie sprzedała. Po co mi ten sznurek? Zabobo
jakiś.

— No, niech pan tak nie mówi. Zawsze to od złego uchroni.

— Bujda. Ja się sam uchronię, gdy będzie forsa. Forsy na gwałt po
trzebuję.

— Ii, z tym nie ma kłopotu. Jak pan chce, to kupców znajdziemy. Ni
jednego. Na pięć kawałków można porżnąć i każdy osobno sprzedać.

— Za ile?

— Rzecz na amatora, ceny na nią nie ma. Wtedy była okazja, dobrą cenę dawali, brylantową cenę. Tyle nikt już nie da. Ale po 20 złotych sztuka pójdzie raz dwa... Stówka murowana.

— Niech się pani rozejrzy za kupcami, żeby dla mnie wypadła stówka i dla pani coś za fatygę...

To był cały majątek Szczęsnego. Po latach pracy w Warszawie, po wojsku tyle mu tylko zostało — stryczek po Komisarzu.

Układając się do snu na polowym łóżku w ciemnej sionce Szamotulskiej, widział dalszy swój los, zawisły poniekąd na krótkiej lince, i Zochę, której nie kochając pragnął, do której w tym głodzie i osamotnieniu o mało prosto z dworca nie pobiegł. Dobrze, że się przemógł. Może zastałby u niej w sklepie mecenasa. Szpakowaty hrabia z Żydów mógłby się do niej uśmiechnąć: „przepraszam, pani Zosieńko, jeśli takie pani życzenie, to ja dam parę złotych biedakowi, żeby nas nie nachodził"...

Nie było czym oddychać w tej sionce. Z półek, na których Szamotulska trzymała niewyprzedany towar, parował zgniły odór nadpsutych warzyw. Skraplał się na zimnym tynku murów, na niskim opleśniałym pułapie. Krople spadały na łóżko, na twarz, i myśli były jak krople oślizgłe, zatrute.

Szczęsny wstał z bólem głowy, w której wszystko mętnie kołowało. Przez noc twarz mu się pleśnią pokryła — takie miał wrażenie — i stęchlizną przeszło ubranie. Nawet na ulicy czuł odór spiżarni Szamotulskiej.

Poszedł do składu braci Majewskich. Jak przypuszczał, mieli w kantorku nowego pracownika.

— Bardzo żałujemy — powiedzieli — Na razie nic. Niech pan przyjdzie za miesiąc.

Udał się do biura pośrednictwa pracy.

— Zawód?

Jakiż miał podać zawód? Czeladnikiem stolarskim nie został, choć niewiele brakowało. Na terminatora był już za stary, a na zwykłego robotnika? Nie, miał przecież za sobą pracę w biurze Majewskich, i tyle wydał na naukę.

— Biuralista — podał bezczelnie — Znam się też na telefonach. Mogę być placowym w składzie drzewa.

Urzędnik za okienkiem skrzywił się.

— To są bardzo niewyraźne zawody. Ale zapiszę. Proszę przyjść za tydzień.

Wracając stamtąd spotkał na Dobrej Biernackiego. Porozmawiali. Szczęsny zapytał, czy Biernacki nie miałby dla niego jakiejś pracy.

Dawny korepetytor obrzucił Szczęsnego bystrym spojrzeniem.

— Mortus?

— Mortus — wyznał Szczęsny.

— Owszem, mam, nie wiem tylko, czy pan się podejmie.

— Jaka dniówka?

— U nas nie na dniówki. U nas od główki. Praca społeczna... Niech pan wstąpi do mnie po obiedzie o szóstej, powiedzmy, kwadrans po szóstej. Mieszkam w tym samym pokoju.

Szczęsny zjadł obiad za 80 groszy, przeczytał w dziennikach wszystkie ogłoszenia i wyszedł, wiedząc dokładnie, że ma trzy złote z groszami i słabą nadzieję na rychłą pracę.

O szóstej, gdy przyszedł do Hotelu Słowiańskiego, znalazł tam wielkie zmiany.

Przede wszystkim — szwajcar. Dawniej żadnego szwajcara tam nie było. Teraz na widok Szczęsnego wychylił się z kantorowej wnęki ciemno granatowy tużurek z brązowymi moniakami.

— Pan do kogo?

Nie złożył się w ukłonie, nie wyraził uśmiechem gotowości do usług: „szanowny pan życzy sobie...?" Szczęsny miał twarz zatroskaną, niemodny podniszczony garnitur, buty rozbite, wysłużone — taki gość niczego sobie życzyć nie może. Odźwierny psycholog zapytał szorstko „pan do kogo?", jakby chciał przytrzymać Szczęsnego za łokieć.

— Do pana Biernackiego?

— Siedemnasty, drugie piętro, prawo.

Opadł pod abażur w muszli wnękowej i nakrył się „Expressem".

Dawniej już na schodach zalatywało naftą i smażoną cebulą z pierwszego piętra, gdzie po numerach terkotały prymusy i bieda skwierczała, że strach! Niewymowna, dobrze ułożona, o wysokich aspiracjach. Bieda emigrantów i akademików. Wspomnienia tych, nadzieje tamtych, tak samo słabą dawały okrasę temu, co się kładło na patelnię; lombard tak samo szacował ubrania tych i tamtych, więc na wspólnym korytarzu pogodnie wymijały się różne szlafroki i pyjamy, przepraszając się obuję-życznie za niewłaściwy strój — „och, izwinitie pożałusta!" i „ach, przepraszam najmocniej!" — bo to była mimo wszystko szarmancka bieda.

Teraz nowy chodnik tłumił kroki. Pusty korytarz ział przepisową higieną za trzy siedemdziesiąt na dobę. Ucichły maszynki, wywietrzał zapach potraw, znikły szlafroki byłych gubernatorów i przyszłych woje-

wodów, cały nieład, cała egzotyka tej reduty. Zeuropeizowany Hotel Słowiański stał się mniej słowiańskim, bardziej po prostu hotelem trzeciego rzędu.

Ale pod numerem siedemnastym nic się nie zmieniło. Szczęsny zastał tę samą szafę jak przystanek, dwa łóżka i niemyte okno z brudnym widokiem na sad kapituły czy kanonii — Szczęsny nie pamiętał dokładnie — jakiś duchowny sad... Buraczkowa kanapa i pan Biernacki przy stole — ziemisty, przygarbiony, wklęśnięty w kanapę.

Jak przed laty pan Biernacki pisał za jakiegoś cymbała czy innego momota wypracowanie maturalne, dlaczego u Fredry w „Dożywociu" Łatka w akcie drugim wstrząsa się i spluwa, albo kto za Niemcewicza „srebrne przypiął kolce" i jeździł w karyjolce? Jak dawniej blada herbata stygła przed Biernackim i przy oknie gwizdał na mętny sad i cały świat pan Onufry Nieharaśny.

Kiedyś mieszkał w tym pokoju Biernacki z trzema kolegami. Wszyscy byli z prowincji, razem studiowali prawo i sypiali zgodnie po dwóch w łóżku. Po pogromie studentów i emigrantów pokój zajął Nieharaśny — były sztabs-kapitan armii carskiej, były pułkownik armii Petlury, wreszcie buchalter zakładu ojców Marianów i Hotelu Słowiańskiego — śledziennik, koniarz i mantyka. Miał lat pięćdziesiąt i bimbał na wszystko, co nie było koniem na torze wyścigowym, gdzie grał z ponurą pasją, wygrywał, zgrywał się i znowu grał do utraty świadomości, że życie schodzi tak niechlujnie i bez sensu.

Sublokator jego, magister Biernacki, przeciwnie, był bardzo schludny, systematyczny, czyściutki, z duszą wyprasowaną na sztywno i o dwa numery za małą.

Dusił się pan magister w dużej nędzy, której się wstydził, z dużą wiedzą ciułaną chciwie latami z myślą o matce i czworgu rodzeństwa w Kaliszu, z wiedzą w końcu nierentowną i nikomu niepotrzebną. I tak w Chorej Kasie zamarł referentem młody magister ze starą ciasną duszą, z oczami w słup — bez drogowskazu, którędy dalej, z kim i po co? — zwyczajny sobek zamęczony, zauczony...

— Kasa Chorych wypłaci panu złotówkę za każdą osobę zatrudnioną a do Kasy niezgłoszoną — objaśnił Szczęsnego Biernacki. — Złotówka od główki to nie jest mało przy dużym obrocie. A duży obrót dają tu służące. Tego jest mnóstwo, bo to ze wsi ciągnie do Warszawy jak ćma, samo się, głupie, przed Kasą chowa i jest chowane przez gospodynie. W każdym domu znajdzie pan nieubezpieczone służące i na nich można zarobić, niech mi pan wierzy. Sam w ten sposób dorabiałem, aż do ma-

gisterium. Potem już nie wypadało. Magister, rozumie pan...

— Ale skąd ja wezmę te służące? Nie będę przecież chodził po domach!

— I tu panu pomogę. To się tak robi. Pójdzie pan do komisariatu. Na początek, dajmy na to, do szóstego komisariatu. Tam przy meldunkach siedzi pan Mosakowski. Proszę powołać się na mnie. Bardzo przystępny facet. Jak pan da mu 20 groszy od adresu, to on na poczekaniu sporządzi listę. Autentyk! Świeżutka lista wszystkich nowych pracowniczek domowych z całego komisariatu: imię, nazwisko, adres, skąd przybyły i u kogo zostały zatrudnione. Potem pan sprawdzi w naszej kartotece, które z nich nie zostały ubezpieczone, i już pan ma je w ręku!

Szczęsny przyznał, że w ten sposób rzeczywiście można. Nic mądrego. Biernacki radził — nie zwlekać!

Stanęło na tym, że Biernacki jutro przedstawi Szczęsnego naczelnikowi, Szczęsny otrzyma legitymację i ruszy na łowy. Po pewnym czasie, gdy się na nim poznają, dostanie się do biura...

Dostać się do biura! To byłaby dopiero nagroda za wszystko. Awans nareszcie, szanowany człowiek, pewna posada...

— Będę się starał, panie magistrze, żeby Kasa była ze mnie zadowolona — zapewniał Szczęsny — Nie chce mi się wracać do warsztatu.

Nieharaśny także nie radził. Przestał pogwizdywać skończywszy widocznie szacowanie swych faworytów, odwrócił się od okna i wdał się w rozmowę.

— Tylko do biura, serdeńko, tylko na fotel! — zachęcał Nieharaśny chodząc po pokoju z rękami na szelkach — taka wielka stara foka z fałdą tłuszczu na golonym karku, z głową jak żółtawa tykwa. — Nu popatrz ty, mileńki, na wolne zawody, na tych tam lekarzy, architektów, prawników, pisarzy i tym podobnych samopasów. Taż to hołodrańce! Na stróża nie mają! Portki im świcą od doktoratów i tyle. Za dużo ich. Miejsca sobie znaleźć nie mogą, to i haukać zaczynają, i z czerwoną płachtą chodzą...

— Ależ, panie pułkowniku — zaprotestował magister — nie cała inteligencja jest czerwona.

— Cała! — machnął ręką Nieharaśny. — Tylko jeden doktór ma praktykę i nie chodzi na wiece, a drugi nie ma i chodzi. Jeden inżynier buduje, a drugi, gołysyn, podburza, żeby wszystko zburzyć i na nowo. Każdy inteligent bez posady wybucha na czerwono... A jeśli nie można na wszystkich usadzić na posadach, to jakie stąd wyjście? Takie, serdeńko, wyjście, że trzeba połowę uniwerków zamknąć!

— No jakże tak! A kultura, dobrobyt?

— Ta ty byś, kochasiu, nie bałakał o dobrobycie! Tobie nawet nie zystoi. Marynareńka na tobie wyświechtana, kamaszki stareńkie i liko postne. Ludzie patrzą na ciebie zza okienka i burzą się: Panie Boże, niłuj się nad magistrem! Co za Kasa, co za czasy, żeby rre-ffe-rent tak apuciał! I upadają ludzie na duchu, mój mileńki, już nie wierzą w nakę, w pracę, w urzędy, w to, żeby komuś w Polsce było dobrze — ferentują na twój widok wywrotowym fermentem!

Biernacki aż się na twarzy zmienił, bo to było chamstwo ze strony ieharaśnego wywlekać sprawę intymną, nędzę jego wstydliwą, nooną z obrzydzeniem i po kryjomu.

— A przecież posada w Kasie Chorych to dobra rzecz, dobra rzecz — rugał chytro mudro Nieharaśny. — Można żyć, jeszcze jak żyć! Tylko posady należy odnosić się ciepło: p o s a d k o moja! Do Kasy pododzi się pieszczotliwie: K a s i u...

Klepnął Szczęsnego po ramieniu.

— Ja pana nauczę, panie Szczęsny. Nałap pan im trochę tych kuchak, żeby się poznali i puścili do biura... Będziesz pan byczo wyglądał!

I założywszy na powrót kciuki za szelki, dłońmi na kształt skrzydełek zepocząc, pouczał, jak z rana trzeba numerkami rozparcelować całe tatajstwo, które na prześwietlenie, które do polikliniki, a które po zasik, a tym, co się zbierają na zastrzyki — trzask przed nosem okienkiem wywieszką: „Ustawowy posiłek referenta". Buzie im zamknąć ustaowym słowem i do telefonu w sprawie, dajmy na to, przetargu na pitalne łóżka, który to interes już się przed tym ubiło z dyrektorem, ięc teraz tylko krótka wiadomość dla zaprzyjaźnionej firmy: „Składjcie ofertę na pięćdziesiąt dwa pięćdziesiąt!"

— To jest dopiero urzędowanie! To ja rozumiem. Nu tak, serdeńko, żeś zarobił na ten chlebuś z kawiorem, więc... Że za okienkiem czeka, że patrzą? Patrz pan na nich także! Patrz pan jak przez siwą mgieł, jak przez Dziennik Ustaw, aż oczy spuszczą i zawstydzą się, cine niam-niamy, że nie znają kawioru!

Na palce nawet się wspiął, by lepiej widzieć całe to tałatajstwo. Był mą pogardą dla tych tam w ogonkach za numerkami, pogardą nieomal apłańską, i Szczęsny uczuł wstyd na policzkach, że plunąć w tę gębę e może, że znów musi kark zgiąć i uśmiechać się po prośbie — dla leba, panie starszy, dla chleba...

Tak się zaczęła „praca społeczna".

Nie była to praca przyjemna, ale czy zarobku szuka się dla przy jemności?

Szczęsny pobiegł za świeżym tropem nieubezpieczonych ze spokojnym sumieniem, że czyni to dla ich dobra, aby mieli opiekę lekarską i różn zasiłki.

Tropił wytrwale, z wzrastającą zaciekłością, bo na każdym kroku próbowano go zmylić, zastraszyć lub przekupić. I szło mu nie o zarobek nie o mniejsze lub większe pogłówne, ale o ten awans na urzędnika.

Do Szamotulskiej wracał tylko na noc. A noce stawały się nie do zniesienia. Nastały upały. Resztki warzyw rozkładały się w małej, szczel nej jak zakorkowana butelka spiżarni; potniały mury, Szczęsny budz się zlany potem własnym i piwniczych tynków, zatruty wyziewami.

Na dobitkę Szamotulska parę razy już westchnęła, że ciężko kobiecie samej, kobiecie ostatecznie nie starej, co by jeszcze mogła dać szczęści choćby i młodemu.

Otrzymawszy w sobotę 16 złotych, po złotówce od główki, postanow nocować w domu Braci Albertynów.

Szamotulskiej powiedział, że idzie do kolegi, w niedzielę jednak n pewno wróci, żeby zamówiła kupców na stryczek — i poszedł na Prag

Z krótkiego pobytu kiedyś u Albertynów pamiętał, że w sobotę je tam najspokojniej, można zająć lepsze miejsce. Pamiętał też młodeg brata Marcelina, chciał go odszukać i poprosić, żeby ulokował na jak tydzień w drugiej sali za przepierzeniem, gdzie są tylko cztery łóżk

Na moście Kierbedzia spotkał niespodzianie Bucka. Przywitali s niewyraźnie, bezosobowo — ani ty, ani pan — bo u Czerwiaczka n byli z sobą zżyci, a od tego czasu minęło prawie cztery lata.

— Z roboty? — zagadnął Szczęsny.

— Tak, do domu... Do Albertynów.

— Masz ci... Do Albertynów?!

Bucek się obraził.

— Źle pan to zrozumiał. Pokój mam u nich własny, bo mnie potrz bują.

— Do czego? — zastanowił się Szczęsny nie rozumiejąc, komu i czego może się przydać ten niemrawy i zastrachany kiedyś u Cze wiaczka uczeń.

— Przeważnie do reperacji, bo dom duży, stale trzeba coś naprawia ramy czy drzwi, czy stoły... Czasem nowy mebel na gwałt potrzebn Więc robię dla nich po fajrancie.

Zerknął na wyświechtane ubranie Szczęsnego i po chwili dodał zde-
dowanie per pan, z jeszcze większą godnością, żeby Szczęsny odczuł
wój błąd: Bucek nie jest bezdomny, Bucka ludzie poważają!

— Nie chcą, proszę pana, puścić od siebie. Zostań, mówią, warsztat urządzimy, będziesz mistrzem. Bo mnie chłopaki lubieją, więc Alber-ni namawiają, żebym uczył młodzież. Na jesieni, jak zamieszkam teściów, to pewnie rzucę Czerwiaczka i przejdę do nich.

— Żeni się pan?

— Tak, po słowie jesteśmy. Mieszkanie będę miał na Inżynierskiej, warsztat u Albertynów.

To nie był już ten głupi Bucek, któremu kawa poszła przez nos bań-ami, gdy go Czerwiaczek z nagła zapytał, czy nie jest głodny. Mały ucek z dużą głową kroczył teraz statecznie obok Szczęsnego, z calówką eladnika w kieszonce i pewnością siebie na pyzatej twarzy.

— A co słychać u Czerwiaczka?

— Jeszcze się rusza, ale więcej Bogu się udziela. W warsztacie rządzi ulasiewicz. Szefowa tylko Kulasiewicza woła do „Dekortu".

— Cóż ona tam robi? — zdziwił się Szczęsny, przypominając sobie głoszenie z gazety: „Dekort — tanie komfortowe meble na spłaty".

— Przecież „Dekort" i szefowa to jedno i to samo. Szefowa i mece-as Ortman. Nie wiedział pan? No, to proszę przy okazji, kiedy pan ędzie na Chmielnej, popatrzeć, jaki mają sklep! Warto zobaczyć. Już y sami nie dążymy. Co drugi stolarz na Lesznie, na Okopowej dostaje obotę z „Dekortu".

— Patrzcie, tak się urządziła... — burknął Szczęsny, mając Zochę zed oczyma, Zochę w uniesieniu, z zagajnika: „Co ty potrafisz, co? ieszczotki z tobą, owszem, ale interes?!..." Ma teraz z Ortmanem i to tamto...

— A co u pana, panie Szczęsny?

— Różnie bywało. Nie daję się. Coś jeszcze potrafię.

— Słyszałem, że pan odszedł od Wierzbickiego... Może praca potrzeb-a? Można pogadać z szefową. Panu przecież nie odmówi.

Szczęsny spojrzał ostro na Bucka: kpi sobie? Ale Bucek patrzył pro-odusznie, widocznie o niczym nie wiedział. Pewnie przypomniało mu ę, że Czerwiaczkowie zawsze Szczęsnego wyróżniali.

— Warsztat już nie dla mnie. Mam obecnie pracę społeczną.

Bucek na te słowa pokiwał, po namyśle, swą dużą głową: nie jest głu-, rozumie.

— Tak właśnie myślałem, że pan poszedł po tej drodze... społecznej—

powiedział ciszej, z naciskiem — Ja się tam na polityce nie znam i nie chcę jej znać. Po mojemu możemy swego bronić bez niej. Ale jak kto robi politycznie ze szczerą wiarą i naraża się, to czy mogę rzucić w niego kamieniem? Nie mogę. I myśmy nieraz mówili między sobą, że prawdę powiedziawszy, warto by Szczęsnemu podziękować.

— Za co?

— Za naukę. Przecież pan pierwszy bić się nie dał i żądał od Czerwiaczka, żeby karmił możliwie, żeby z robotą nie gnał do wieczora. Pamięta pan tę drakę? „Jak nie będziecie żądać, to on was wyciśnie, przez swoją centryfugę przepuści!" Przy Czerwiaczku! Trzęśliśmy się wtedy ze strachu...

Bucek opowiadał, jak potem, po odejściu Szczęsnego, jego postawę jego słowa terminatorzy coraz częściej wspominali, jak się wreszcie zmówili, do buntu doszło nie tylko u Czerwiaczka, ale i u Sawickiego u Paczuły, na całym Lesznie z przyległościami, no i w końcu swego dopięli...

Szczęsny słuchał jednym uchem, zaprzątnięty własną sprawą: co teraz z sobą począć? W domu Albertynów nocować nie można, bo tam Bucek ma swój warsztat, rozpowiedziałby, że Szczęsny sypia z bezdomnymi... Zocha wzdrygnęłaby się na to ze zgrozy: „mógł ze mną spać baciar jakiś, całe szczęście, że się go w porę pozbyłam"... Zocha w wielkim interesie, bo „Dekort" i Zocha to jedno i to samo, Zocha i mecenas Ortman. Na nich teraz chałupnicy pracują, na nowe banknoty, kolczyki brylanty w złocistym puzderku z czeczotu. „A ja często trzymam paryskie pudełeczko i tak sobie głaszczę"... Od tego jej szeptu i pieszczot wszystko się zaczęło. Bodaj nigdy nie spotkał tej zmory, nie poznał, co to kobieta, i czułość, i głodne zmysły.

Pragnął jej, i brzydził się jej, i wszystko by oddał, aby tylko pokazać że ma ją po prostu za dziewkę.

Trzeba było coś postanowić. Dalej tak iść niepodobna. Zatrzymali ruchem kołowym stali już na rogu Zygmuntowskiej i Targowej naprzeciwko wprost Dworca Wileńskiego.

— Cieszę się, że pana spotkałem. Nie wiadomo, kiedy się znów zobaczymy, bo muszę wyjechać. Właśnie szedłem na dworzec.

Bucek znów skinął głową, że rozumie — w pracy społecznej są różne wyjazdy.

— A do pana mam prośbę — ciągnął dalej Szczęsny — Mały upominek dla szefowej.

Wyjął z kieszeni ciemną śliską linkę, splecioną w gruby pierścień i po-
ał Buckowi. Majątek, pieniądze murowane na życie, na dach nad gło-
ą oddawał za bzdurę: żeby tylko odejść z fasonem!

Bucek cofnął się zdumiony.

— Sznurek? A po co jej sznurek? Za taki kawał ona się ze mną
rachuje.

— Nie kawał. Czas już na mnie, pociąg pewnie stoi... Ale daję słowo,
będzie bardzo wdzięczna. Niech pan tylko powie: „od Szczęsnego na
częście!"

Pożegnali się, przebiegł na drugą stronę ulicy i podążył za tłumem
jeżdżających.

Najchętniej byłby naprawdę wyjechał gdzieś daleko, bo czego się tu
robił? Komu się przydał i co po sobie zostawił? Śmiech powiedzieć:
ką tam podziękę od terminatorów, którym niechcący pokazał, że mo-
a walczyć z majstrem. Tylko to! Wytrwali, wyzwolili się z terminu —
eladnicy... A on stoi przed rozkładem jazdy i myśli o tym, czy jest
Warszawie takie miejsce bezpieczne, gdzie spać można za darmo
zdrowo? Żeby na głowę nie kapało, smrodem nie dusiło?

„Dojrzałe jabłko spada nie dlatego, że pliszka trąciła, ale po prostu
atego, że dojrzało — napisał Szczęsny w pamiętniku. — Moją pliszką
ała się dziewczyna, z którą spędziłem noc na Powiślu i której nigdy
otem nie ujrzałem"...

Parę zdań zaledwie, tak że dopiero na podstawie późniejszych ust-
ych relacji w komisji konkursowej można odtworzyć obraz tego
zełomu.

Stało się to w noc lipcową na Powiślu, niedaleko elektrowni.

Szczęsny siedział w ogrodzie na ławce wyczekując pory policyjnej,
łaściwie psa z policjantem.

Przed sobą miał klomb z latarnią pośrodku, za sobą gęste zarośla.
tych haszczach bzu sypiał od dwóch tygodni, chyba że deszcz padał,
tedy chronił się do spiżarni Szamotulskiej. Noce pogodne wolał spę-
ać w tym miejscu naprawdę bezpiecznym, w bzowej grocie zielonej,
dzie sen był zdrowy, a ranek rzeźki, bez bólu głowy.

Na drugim końcu ławki jakaś dziewczyna niespiesznie spożywała ko-
cję. Szczęsnego denerwowało, że papier rozkłada na walizeczce zamiast
rwety, że delikatnie robi kanapki — pomyślałby kto, na przyjęcie! —
vie bułeczki z kawałkiem kiełbasy.

— A zjedz już, do cholery — zaklął w duchu — i odwal się wreszcie...

Zły był i w podłym humorze, choć na pozór wszystko szło jak najle piej. Florczak dostał eksmisję, wkrótce będzie można zająć suterynę p nim. A naczelnik powiedział:

— Ma pan powodzenie. Dwadzieścia kucharek, cztery pokojówki, czte ry mamki i staruszka do czytania... Rekordowy tydzień! Jest pan bardz rzutki, panie Szczęsny. Od września biorę pana na etat.

A więc o co się tu martwić? Nie jest głodny, w kieszeni ma 20 zło tych, za parę dni nie będzie bezdomny, za parę tygodni nie będzi „sługołapem" — zostanie urzędnikiem etatowym.

Tak, ale urząd już nie nęcił.

W dyrekcji widziało się te same stosunki co wszędzie, tak samo jedn drugich gnębili, byli wyrobnicy i byli panowie, ale walki nie było. Szep ty, kwasy, czasem spazmy lub trzaśnięcie drzwiami, owszem, ale żeb tak wszyscy razem, kupą? — nie, każdy trzymał się swego fotela, a jeś się bronił, to własnym wdziękiem, stosunkami, podstępem... Przy okien ku pod numerkiem, w szklanych klatkach za przegródkami siedział etaty skwaszone, bieda z cenzusem, im biedniejsza, tym wielmożniejsz nadęta, że mimo wszystko jest umysłowa, a nie broń Boże fizyczna!

To wszystko Szczęsnego mierziło i coś już w nim samym zaczynało g mierzić. Niby co? Że łapie służące? Toć to praca na zlecenie instytuc społecznej... Koń by się uśmiał! Kto tu podchodzi do pracy społecznie Ubezpieczalnia? Pracodawcy?! Trzebaż widzieć te kupcowe, majstrow porucznikowe, panie różnego wieku i ogłady: — wszystkie jednakow wobec Szczęsnego, gotowe pluć i drapać w obronie wolnej niepodległ kuchni lub masarni!

Ostatnio spotkały go dwie podłe przygody, jedna po drugiej. Naw w Czerwoniaku napisali:

— Wysłannik Kasy Chorych — w kajdankach do komisariatu!

Kajdanki oni naturalnie zmyślili dla sensacji, ale do komisariatu pol cja rzeczywiście Szczęsnego odstawiła. Dopiero tam mógł wytłumaczy że wszedł do nowej wędliniarni z zapytaniem, dlaczego personel n jest ubezpieczony? A właścicielka zamknęła sklep i zadzwoniła po p licję, że napad, że bandyta w interesie! Miała w komisariacie znajom go aspiranta, więc zapłaciła tylko 5 złotych kary i śmiała się z teg „Codziennie mogę wam tyle płacić za taką frajdę, bo to naprawdę ba dycka kasa!"

A drugą przygodę miał na Złotej. Narwał się tam na siwiejącą hist ryczkę w papilotach.

Spytała Szczęsnego przez łańcuszek, do kogo się tak dobija. Powiedział, że do Marysi. — „A pan kto taki?" — „Kuzyn ze wsi." — „Z jakiej wsi?" Szczęsny wiedział, skąd Marysia przybyła, więc śmiało: „Z Obrygo." Wtedy dopiero otworzyła. Ale Marysia, gdy wbiegła do przedpokoju, to tak i stanęła jak wryta: „Proszę pani, ja tego pana nie znam!" A to Szczęsny wyjął legitymację z Ubezpieczalni. Tę matronę w papilotach zatrzęsło: Oszust, krzyczy, bolszewik, krzyczy, farmazon! Jej pudel łapie Szczęsnego za rękę, Szczęsny pudla butem w nos, pudel wyje, Marysia zawodzi, a ta papilotka do Szczęsnego z trzepaczką! Co miał robić? Odsunął ją na bok. Skoczyła do okna i na całe podwórze: „Ratunku!" Przybiegł dozorca, i rotmistrz z przeciwka z rewolwerem, i znów była policja, protokół, urąganie, jakby Szczęsny poruszył do żywego ich mieszczaństwie najbardziej mieszczańskie świętości.

Wspomnienie o tym było kąśliwe jak pudel, lazło natrętnie, chciałoby się otrząsnąć i zasnąć czym prędzej.

Przez otwarty ogród przejechał na rowerze policjant, pies jego obwąchał już krzaki, więc można było pójść za ławkę, do ustronnej groty z zarośli bzu. Słowem było po jedenastej, a dziewczyna w bereciku, z walizeczką, wciąż siedziała.

— Pani pewnie także spóźniła się na pociąg? — zagadnął ją Szczęsny lekką ironią.

— Na pociąg? — powtórzyła z roztargnieniem. — Nie, mój pociąg dopiero nie nadszedł.... Będzie nad ranem.

Gdy patrzyła w zamyśleniu na latarnię, Szczęsny widział ładny profil, a kiedy się odwróciła, ujrzał szeroki nos. W ogóle miała za szerokie twarz, ale inteligentną, otwartą.

— I pani zamierza siedzieć tu do rana?

— Cóż robić... Na dworcu nie wolno. W Warszawie nikogo nie znam prócz krewnych, a oni wyjechali na letnisko. Mieszkanie zastałam zamknięte. Pieniędzy zostało mi tylko na bilet powrotny do Radomia. Trzeba się jakoś przemęczyć.

Głos miała spokojny i miły, zachowywała się prosto, bez lęku czy zalotności.

Nawiązała się rozmowa. Szczęsny przysunął się bliżej ze swą wyruchałą teczką, kupioną za dwa złote na Wołówce. Miał tam maszynkę do golenia, mydło, ręcznik, jasieczek pod głowę i listę nieubezpieczonych.

— Skaleczył się pan? — spytała dziewczyna, zauważywszy obandażowaną rękę. — Pewnie przy pracy.

— Nie, pies mnie pogryzł. Przy pełnieniu obowiązków służbowych
— Ach, przy pełnieniu... A ja myślałam, że w warsztacie, że jest pa
robotnikiem.

— Myli się pani — odrzekł szorstko Szczęsny. — Ja jestem hyce
Hycel z Ubezpieczalni. Sługołap.

Rzucił jej to wyzwanie z gorzką brawurą Sosnowskiego („...wcale si
nie wstydzę! Bo kto jest większy złodziej: Sosnowski czy Steinhagen?"

— Przepraszam, co to znaczy: sługołap?

Szczęsny wyjaśnił.

— Po złotówce od główki? Wie pan, studiuję ekonomię trzeci rok
i jeszcze się nie spotkałam z takim zawodem.

— To nie jest mój zawód. Przypadkowo tym się zająłem, z musu

— Ale jak pan do tego doszedł? Dlaczego?

— Po wojsku. Straciłem, widzi pani, zajęcie...

Musiał jej opowiedzieć, co przeżył ostatnio i czego się teraz spo
dziewa.

— Praca biurowa, mówicie... Czy warto o nią tak się zabijać i znosi
to wszystko?

— Pewnie że nie warto. Nie będzie mi tam lepiej z tą szpagatow
inteligencją, zresztą znów komuś naurągam i wyleją na zbity łeb.

Wyciągnął papierosa.

— Pani pali?

— Owszem, dziękuję.

Przypalając, zajrzała w jego mroczne, zuchwałe oczy. Szczęsny odpo
wiedział jej swoim cierpkim, nieco drapieżnym uśmieszkiem.

— Czemu się pani przygląda? Twarz mam, powiadają, niegrzeczn
podobno nawet zbójecką, nie można długo trzymać człowieka z tak
twarzą.

— Nie wygląda pan na słabego człowieka, na „sługołapa" powied
my... Widocznie musiał pan wiele przejść. Pan stale mieszka w Wa
szawie?

— Nie, pochodzę ze wsi. Ojciec był tam cieślą.

Chciała wiedzieć coś jeszcze i jeszcze, jak było w Rzekuciu, a jak w
Włocławku, dlaczego wybuchł ten strajk, w jaki sposób zbudowali o
chałupę z czerepów, co przeżył w Warszawie, a co w wojsku...

Czuł ulgę, że może komuś powiedzieć całą prawdę o sobie, bo przeci
nie znają się wcale, noc minie, pójdą w różne strony, by nigdy się pó
niej nie spotkać.

— Niech pan mówi — prosiła dziewczyna, gdy przerywał. — Niech an mówi, ja słucham... Co dalej?

Była bardzo przejęta.

— I podarował pan jej ten stryczek?

— Musiałem. To by się za mną ciągnęło jak — za przeproszeniem — kiś smród.

— Dziwne...

— Co w tym dziwnego?

— Tyle razy mógł pan poślizgnąć się, nadarzały się różne okazje. ożna się było urządzić wygodnie, jakimś tam kosztem sumienia. Nie rządzić się, nie spokornieć w takiej biedzie, w samotności... Rzeczyiście ma pan niegrzeczną twarz, ma pan charakter!

— Nie, ja już spokorniałem... Nieraz czuję, że kark zginam. Jakeśmy dchodzili z Rzekucia — mówiłem już — to ojciec kazał, żebym tego rania, szwagra ojca, uszanował. „Pocałuj go w rękę, pocałuj!" Od tej ory wszędzie widzę te łapy, już-już schylam się, wtem coś się staje, rzypadek jakiś, muszę odejść i zaczynać na nowo.

— Przypadek! Dobrze. Raz przypadek, dwa — przypadek... Czemu ednak wszystkie przypadki układają się jednakowo, w tym samym kieunku? Wyrzucają mnie zewsząd, mówicie, i krzyczą: bolszewik! Wiocznie jest w waszej postawie coś nie do przyjęcia w tym świecie, jaaś cecha drażniąca, bolszewicka, no bo skąd to wszystko? Widocznie est on tak urządzony...

Mówiła o tym, jak świat wyzysku jest urządzony. Były to rzeczy cale nie nowe, z Symbirska i z Celulozy, ale teraz w słowach obcych, siążkowych widziało się swoją krzywdę, swój bunt i wstyd — prawdę łasnego życia.

— Ja już z sobą nie mogę wytrzymać — powiedział głucho. — Niech ani nie myśli, że z powodu bezrobocia albo dlatego, że nie mam gdzie pać. Pal sześć, nie o to chodzi. Ale że taki się stałem ni pies, ni wyra — to mnie dusi! Mnie się zdaje, że całe życie będę hyclem dla tych anów! W takich chwilach ja bym z nimi nie wiem co zrobił — wszystko mi jedno!

Zaśmiał się z cicha, zgrzytliwie.

— Co z wami?

— Nic. Powieszony mi się przypomniał. Ten Komisarz... On tak samo. owiedz, pytał się, dlaczego jest mi wszystko jedno?

Dziewczyna przechyliła się ku niemu.

— To wszystko dlatego, żeście się odbili od swoich. Tak nie może na — reflektowała go łagodnie i nawet za rękę ujęła. — Za to drogo się płaci. Od tego człowiek marnieje, żebyście wiedzieli! Albo od swoich odejdzie, do obcych nie przystanie, dulczy, dulczy, wybije się i uschnie w ciasnym fachu...

Szczęsny skinął głową: owszem, magister Biernacki.

— ...albo pójdzie do wroga, będzie gnębił i bogacił się jak każdy kapitalista.

Znów musiał jej w duchu przytaknąć, bo przecież taka była droga Korbala i Sumczaka.

— Ale z wami inaczej. Nie widzę, żeby z was był kiedyś uschnięty fachowiec. Dorobkiewicz? Też chyba nie. Doprawdy nie rozumiem tej całej ucieczki z warsztatu... Po co?

— Bo mi się zdawało, że pracą i nauką sam dojdę do czegoś lepszego. Przejąłem się wtedy jednym filmem...

Opowiedział jej „Człowieka bez rąk".

— Ależ on nie miał rąk! — zawołała dziewczyna. — To była droga samotnego kaleki! Nie jesteście, towarzyszu, samotni ani kaleka...

W zapale wymknęło się jej nieostrożne słowo: „towarzysz"... I Szczęsny zrozumiał, czym się zajmuje ta studentka, jakich nie zastała w Warszawie „krewnych"! Czy aby nie wyjechali oni na letnisko przy ulicy Pawiej?

— I ja już, wiecie, tak myślałem, że trzeba wrócić do ojca.

— Do ojca, do swej klasy — oczywiście! Walczcie razem z nią, bo inaczej... No powiedzcie sami, do czegoście już doszli? Jeszcze trochę a rzeczywiście będziecie im służyć!

Przegadali tak do samego rana, aż wszystko stało się jasne jak słońce nad Zamkiem.

Poszli obok syreny ze spiżu, a potem bulwarem Powiśla.

Odprowadził ją do mostu Kierbedzia nie pytając o to, dlaczego tak śpieszy na Dworzec Wileński, chociaż z Dworca Wileńskiego nie ma o piątej dwadzieścia żadnego połączenia z Radomiem.

Praga jeszcze spała i piaskarze, stojący w łódkach pod brzegiem, wachlując kołysali jej sen kosiorami. Było tak cicho, że słyszało się wodę jak szklane dźwięki drobi o kamień filaru, za którym — w łuku n

rzestrzał — różowiała dal roziskrzona, wabiąca i Wisła jak rówieśnica, lwadzieścia trzy, najwyżej dwadzieścia pięć lat — wieku swego Szczęsny przecież nie znał dokładnie.

Uścisnęli sobie ręce przed mostem.

Dziewczyna pobiegła, nagle odwróciła się i zawołała:

— A nie zwlekajcie... Są pociągi, na które spóźnić się nie wolno!

XIV

Zza mireckiej łachy pod Rzekuciem wypływało drzewo. Woda była niska. Podmajstrzy, płynąc łódką, raz po raz wiosło podnosił w górę i kręcił piórkiem w powietrzu: uważaj!

Szczęsny z przednikiem Perehubką dobrze musieli uważać na nurt i na znaki, bo za nimi sunęły wszystkie tratwy, po cztery pasy w każdej, po dziesięć tafli w każdym pasie, po 15 albo 18 dłużyc w tafli.

Płynął las zwierzyniecki znad Tanwi: szarordzawy wąż długości dwóch kilometrów — trzy tratwy w łagodnych skrętach — nie byle jaki majątek: półtora tysiąca kubików! Nie daj Boże rozprószyć po Wiśle! Kupca można zrujnować, sławę flisacką pohańbić.

Chwostek-podmajstrzy już nie śpiewał, wlazłszy między wyspy i przemiały. Witkami szlak wytyczał pilnie, nadłamanym wierzchołkiem w stronę łachy, żeby uciekali od Rzekucia, i Szczęsny szedł po śliskich kłodach napierając całym ciałem na długi drąg, wbity w mieliznę. Spychał pierwszą taflę, a przysadzisty, z kudłatą głową Perehubka zarabiał drygawką w lewo, postękując rytmicznie urywanym z wysiłku głosem:

— Nuże — raz, nuże — dwa! Niedaleczko do Dobrzynia... A tam wże bude hłubokaja woda!

— Ale bujasz! — zaśmiał się Szczęsny. — Ja to od Warszawy słyszę: aby tylko do Modlina, aby do Wyszogrodu... Cały czas bujasz, po twoemu — breszesz!

— Nie breszu ja — opierał się Perehubka — Bude woda czysta, hłubokaja woda! O se, skażu ja wam, jak w życiu prybłyzytelno *). Nie można żyć bez jasnoj dumoczki...

Szczęsny odłożył drąg i stanąwszy z drugiej strony drygawki, zaczął trymać wraz z Perehubką. Tafle zwolna skręcały na lewo, zostawiając z boku dalekie Rzekucie nad rzeczką Malusią, domki w kupce bezład-

*) Z rosyjskiego „priblizitielno" — w przybliżeniu, mniej więcej.

nej i zbitej jak bedłki, domki, co z jaru wyleźć nie mogą, uwikłane na dnie chruścianymi płotkami; cmentarz na górze, gdzie przestronnie śpią nieboszczyki...

— Kościół, baczysz? Jakaż to wioska?

— Nie wiem — odrzekł obojętnie Szczęsny.

Odgarniał wodę miarowo i mocno, nie patrząc na cmentarz lat dziecięcych, twarzą do słomianej budy, w której sypiał obecnie. Do tablicy: „Retman Józef Nasielski, Ulanów". I drugiej tablicy „Kupiec: Stefan Steinhagen, Fabryka Celulozy, Włocławek". Na żerdzi między tablicami wisiał garnitur z jesionką, rzeczy, które sprawił był sobie przed wojskiem, a które potem dwa lata leżały u Szamotulskiej, w kuferku z lipowej deszczyny. Piąty dzień już się wietrzą i wciąż je czuć naftaliną.

Znikło z oczu Rzekucie jak przed tym Płock czy Warszawa, żegnana bez żalu, z uczuciem ulgi, że nareszcie można odejść.

Trzy miesiące przerobił u piaskarzy. Jak się rozstał z dziewczyną, co mu tak trafnie przygadała, to już nie poszedł na łowy dla Ubezpieczalni.

Poszczęściło się: przystał do piaskarzy na żoliborskim brzegu, obok przystani Górnego na krypie. Robił najpierw łopatą jako „odwalacz", rzucając przywieziony piasek z kantu na warsztat, potem w łódce kosiorem. Siedem, czasem osiem złotych dziennie, wikt u Górnego, spanie także u niego w kabinie na przystani kajakowej.

Nie pił, nie hulał, na marymonckie dziewczyny nie chodził, zbierał grosz do grosza, aż się uzbierało 120 złotych — na podarki dla domu. Nie chciał wrócić niby syn marnotrawny. Na Kozłowie wszyscy się znają, wszystko wiedzą o sobie. Niechże się nad ojcem nie litują, że nie udał mu się najstarszy, nic nie wart, włóczęga, bo wrócił po latach obłachany, bez grosza przy duszy...

Tratwy akurat stanęły na noc przy piaskarzach. Z rana Chwostek przybiegł do Górnego, czy nie da bodaj jednego na tratwę? Policja dwóch ludzi mu zamknęła za bójkę na Ludnej, a czekać na nich nie może, bo drzewo musi dostarczyć w terminie.

Trudno o lepszą okazję. Do domu oto jedzie i jeszcze 30 złotych zarobi.

— Nuże — raz, nuże — dwa... A tam wże bude hłubokaja woda!

— Breszesz — droczy się ze starym Szczęsny. — Płytko było, płytko będzie!

— Nu hladi, jakiż ty niedowiarek... Takoj mołodoj, a niedowiarek

Październikowy dzień chłodnawy, lecz słoneczny, babiemu latu darowany. Jednostajny plusk drygawki, bełkot drobnej fali przy drzewie

Niebo jak „jasna dumoczka" Stepana Perehubki, i czysta dal, i droga rosta do domu...

— Koli chcesz być flisakiem, to zawsze...

— Nie będę flisakiem.

— Ot, durny... Kab ja bukwy znał i pisał jak ty, taż ja byłby teraz etman!

— Choćbyś nie wiem jak pisał i rachował, byłbyś nadal tylko przednikiem.

— A czemuż to, prybłyzytelno?

— Bo nie umiesz ludzi trzymać za mordy, ani wyżyłować! Retmanowi, mówiłeś, firma płaci od spławu. Zarabia mniej więcej 400 — 500 zł miesięcznie, ale drugie tyle wyciąga z ankrażu, z forsuszu, ze śryków *). Od firmy wreszcie dostaje nagrodę, gdy kupca oszuka na drzewie. Ale ty... Skąd wziąłbyś na kaucję? Masz żonę bogatą?

Perehubka chmurnieje, bo mu żona uciekła. Z młodszym poszła do miastá. Szczęsny przypomniawszy sobie o tym poniewczasie, zagaduje czym prędzej:

— Retman u was rzeczywiście ma się dobrze, ale wy? Ciśnie was firma i ciśnie retman. Do tegoż w ogóle flis podupada, bo kolej wam wchodzi w paradę. Za czasów austriackich, powiadasz, mieliście myto, strawne i ogółkę od spławu. Teraz została wam tylko ogółka, tylko te sto czy sto pięćdziesiąt złotych średnio na miesiąc, więcej chyba nie wypadnie. A ile miesięcy siedzisz w domu i czekasz na sezon, na spław? To ja miałbym tak tyrać ze trzy lata najpierw jako „chłop", potem — przednik, potem — retmańczyk, podmajstrzy... Piętnaście lat co najmniej, od rana do wieczora, w skwar czy pluchę — żeby się dochrapać patentu na retmana, na burżuja! Nie, już mnie na to nie nabierzesz. Ja swoją drogę znam.

Jesienne słońce stoi nisko. Godzina, najwyżej dwie, i trzeba będzie śrykować. Przystaną pod nieznanym brzegiem na ostatni nocleg przed Włocławkiem, rozpalą ognisko. Zejdą się „chłopi", przednicy, retmańczycy i podmajstrzy Chwostek, który retmani w zastępstwie Nasielskiego, bo retman Nasielski czeka na nich we Włocławku. Może Perehubka

---

*) Ankraż — opłata na Wiśle na rzecz miejscowych kotwicowych (z niem. *Anker* — kotwica) za przeprowadzenie tratew pod mostami. Retman układał się z nimi o wysokość opłaty.

Forsusz — fundusz dyspozycyjny retmana od firmy na nieprzewidziane wydatki.

Śryki — słupy do palowania, brzozowe, grabowe lub bukowe. Po spławie retman mógł sprzedać na własny rachunek całe drzewo pomocnicze: drągi, śryki, poprzeczki.

znów coś opowie, pośmieją się słuchając dziwnej bajdy i pokręconych słów. Perehubka — poleszuk, służył w wojsku carskim, zimuje z Ukraińcami, a flisaczy z Polakami. Pomieszała mu się mowa, nie wiadomo czyj on, głupi czy mądry — taki jakiś „prybłyzytelny".

Zbliża się ogromna, żółtą gliną wypięta góra dobrzyńska. Droga wiekowa, popielata pnie się pokracznie do pierwszych chałup na szczycie. Miasteczka nie widać. Kilka stodół zaledwie, kilka strzech słomianych....

Chwostek, stojąc w łódce, kłania się czapką prawemu brzegowi i woła donośnie:

— Hohohooo — wara bakortu!

Zarabiają w prawo. Drzewo schodząc z przemiału wślizguje się na ostry wart.

Chwostek wiosło kładzie równolegle do wody, to znaczy, że dobrze płyną, niech teraz Wisła niesie. Siada w łódce i na cały głos zaczyna:

Hej tam za granicą
urodzaje lichsze...

Ludzie na tratwach podchwytują. Z Ulanowa są, z flisackiej stolicy znają tę pieśń:

więc polską pszenicą
zapełniają śpichrze!

Tylko oni nie śpiewają — Szczęsny z Włocławka i Perehubka z Pulemca, znad jezior włodawskich.

Niesie nas prąd gładki
za Kraków, za Kraków...

Stepan wyjmuje z portek kapciuch, hubkę i krzesiwo. Poczęstowawszy Szczęsnego szczyptą sieczki machorkowej, skręca w skupieniu paluchową „cygarkę".

— Daleko, każuć, na welikim ocejanie...

Machorka pali jak pieprz. Siwe dymki stoją długo nad tratwą w cichą godzinę zachodu. Czerwienieją wylizane plastry ławic piaszczystych i woda odbija czerwienią. Znajome jest wszystko, wszystko od dziecka pamiętne: świetlisty, rozszczepiony w tym miejscu jak rozwora szlak wiślany, wikliny nieprzebrane na fotele, co statek ciągle wozi do Warszawy, zapach Wisły i niebo jakieś jaśniejsze... I ta chłopska, odwieczna tęsknota:

— Daleko, każuć, na welikim ocejanie leży ostrów bogaty — Awstralia!

Na tej wyspie, mówi, drzewa są zawsze zielone i żniwa dwa razy co oku. Nie ma tam panów i nie ma niewolnych. Ziemia niczyja, można rać i siać, ile zdołasz. Kłódek, ni płotów ludzie nie znają. Bo kto kradnie lub kogoś ukrzywdzi, to go zaraz gromada sądzi i na okręt aduje, żeby sobie odjechał do obcych krajów.

Szczęsny wie, że nie ma na świecie wyspy szczęśliwej. Wszędzie to sano mniej więcej ździerstwo, i gwałt, i plugastwo. Zburzyć trzeba cały en świat! Ale jak zburzyć i co dokładnie budować — tego jeszcze Perehubce wytłumaczyć nie może, więc nie przerywa.

— ...i czołowik żyje tamuj z kobietą w kochaniu, spokojnie, z ditkami, parszuczkami — jak Adam z Ewoj, prybłyzytelno!

We Włocławku wyszedł do nich z retmanem nie Arciuch, jak się Szczęsny spodziewał, ale ten jego młody pisarz, Mleczarski, który kiedyś wydał ośniki „chłopskiej partii" i do pracy na placu drzewnym postawił. Arciuch, mówili robotnicy, powiesił się u siebie na klamce od okna.

Mleczarski nie poznał Szczęsnego. Przechodząc obok niego z retmanem, przystanął na tratwie, zapatrzony w wodę, czy nie zdradzi gdzieś chorego drzewa. Szukał tłustych oczek żywicy, pływającej zawsze nad murszem jak nafta. Kazał robotnikom długimi dłutkami na drążkach zrywać korę pod sęczkami, czy są zdrowe, czy nie wylatują. Przemierzył wreszcie i oszacował na chybił trafił kilkanaście dłużyc z różnych tafli. Klasa się zgadzała, więc poszli do kasy.

Szczęsny zjadł obiad w słomianej budzie z Perehubką i wysiadł na ląd, do fryzjera.

Po powrocie zrzucił robocze ubranie, które kiedyś było galą, ponoć z bielskiego materiału, od Sosnowskiego. Przebrał się we wszystko nowe, kupione na Świętokrzyskiej przed wojskiem, prawie nie noszone. Wprawdzie zalatywało od niego naftaliną, ale można było wytrzymać.

W mieście od komina do komina podawano fajrant, gdy flisacy na brzegu uporali się z wypłatą. Szczęsny wziął swoje trzydzieści złotych i poszedł ze wszystkimi do Michałka na Płocką.

Chciał się tylko rozstać obyczajnie, trąciwszy się kielichem, ale flisacy, obsiadłszy stoły, wzięli się ostro do wódy. Kazali sobie dawać co tłuściejsze i raz po raz korek leciał w górę na komendę „hohohoo, wybijaj!" — jak gdyby śryki wybijali.

Chwostek wyciągnąwszy z futerału harmonię, ręce czerwone opierzchłe od zimna, osieczone od wiatru położył na klawiszach i mie chami ruszył:

Przeorałeś, flisie,
Wisełkę do Gdańska...

Za nim wszyscy chórem — skocznie, zadzierżyście, tak samo twardo przełamując słowa:

a te-raz przy-grywasz
na skrzy-peczkach z pańska!

Pod ogólny śpiew i gwar Szczęsny wymknął się do bufetu. Półlitrówkę kupił dla kompanów. W głowie lekko szumiało. W kieszeni uwierały papierki i bilon, około czterdziestu złotych — co ma żałować, trzeba coś i dla rodziny, na ten powrót!

— Daj pan jeszcze pół litra i kilo rozmaitości — powiedział do Michałka.

Przy szynkwasie stał młody policjant w mundurze prosto z igły, błyszczący jak nowy pieniążek w obiegu. Wstąpił widocznie na jednego po służbie.

— Podać? — spytał Michałek.

— Nie, wezmę z sobą. Na Kozłowie przecież o tej porze nic nie dostanę.

Policjant odłożył kanapkę.

— Czy pan tutejszy?

— Tutejszy.

— To jak pan powiedział? Gdzie pan nie dostanie?

— Na Kozłowie — odrzekł Szczęsny, pakując butelkę do kieszeni, a wędlinę za pazuchę.

— Chwileczkę. Płaci pan karę.

— Za co?

— Za Kozłowo.

— Nie rozumiem.

— I nie trzeba — uciął policjant wyjmując bloczek. — Godność pana?

— Wystarczy, że jestem z Kozłowa!

— Znów? Pięć złotych kary albo trzy dni aresztu!

— A idź pan... — żachnął się Szczęsny.

Zamierzał odejść, ale policjant złapał go za rękaw.

— Wolnego, tu nie ma żartów. Płaci pan?

— Nie szarpać — powiedział cicho Szczęsny — bo jak ja szarpnę...

Gdy oni tak stali sczepieni, mierząc się wzrokiem, Perehubka spostrzegł, na co się zanosi.

— Chłopcy, taż ta sobaka czerniawca chapie!

Flisacy pozrywali się na nogi.

— Co się stało? Panie władzo, dokąd?!

— Do komisariatu. Proszę odejść. Ja tu służbowo, na służbie.

— Na służbie? A dlaczego w takim razie nie ma paska pod brodą?

I nacierając na policjanta, wołali do Szczęsnego: „czego ta glina chce?"

— Nie wiem — wzruszył ramionami Szczęsny — przyczepił się, gdy powiedziałem, że idę do domu, na Kozłowo.

Michałek wychylił się do nich zza szynkwasu.

— Panowie, to jest słowo surowo zabronione! Nie ma Kozłowa, ma być Grzywno.

— Dlatego, że grzywnę ściągają?

— Nie dlatego. Jest tam jezioro Grzywno i dzielnicę magistrat nazwał podług jeziora. Całkiem słusznie, panowie, bo Kozłowski na ten zaszczyt nie zasługuje. To nawet miastu ubliżało. Zwyczajny chłop, śmieciarz jakiś...

— A jak myśmy tam mieszkali w jamach, to to miastu nie ubliżało?! — zawołał Szczęsny. — Dopiero na chłopską nazwę zrobiło się, ścierwo, wrażliwe!

— Dosyć — przerwał policjant. — Chodźmy!

Chwostek szepnął: „pryskaj!"

Szczęsny szarpnął się. Flisacy rozstąpili się i zwarli za nim.

— Stój!

— Sam sobie stój! — odkrzyknął Szczęsny zza muru gromady.

Chwycił z rogu kuferek. Biegnąc do drzwi usłyszał głęboki, wzgardą drgający bas Chwostka:

— Schowaj pan pukawkę. Zabijesz człowieka za pięć złotych? Śmieszne rzeczy...

Na ulicy chłód wionął w twarz, od biegu. Zmierzch na chwilę ośmielił. Na chwilę, bo już w końcu Płockiej widziało się wyraźnie sylwety parterowych domków, bruk połyskujący wilgocią, choć deszczu nie było, i czarny komin Celulozy. Kurzył niewysoko, kłębami w dół — na niepogodę.

Przed Celulozą trzeba było przystanąć, bo z placu drzewnego na drugą stronę Łęgskiej, do rąbalni, mknęły wózki z obałkami. Z głębi dziedzińca dochodził łoskot maszyny papierniczej — łańcuchy puszczo-

no zda się z młyńskiego upustu, w oparach ługu i rozgrzanej oliwy. Trzecia zmiana robiła, fabryka jak za dnia łomotała. Spokojem tchnęła tylko willa w ogrodzie za żelaznymi sztachetami. Ktoś stanął tam pod żyrandolem, czyjś cień, może cień Pandery, padł przez jezdnię na ciemny budynek dyrekcji.

Gdy budkowy podniósł szlaban, Szczęsny ruszył dalej ostrym krokiem, skręcił w lewo, podążając w kierunku Szopena i Warszawskiej.

Przed wystawą apteki zauważył kobietę w chustce i męskim kubraku. Trzymała się mosiężnej poręczy, przechylona, jedno ramię sterczało wyżej, bezradne ramię.

— Co pani jest? Może pomóc?

— A już przeszło. Krople dali. Ulżyło.

Choć głos miała słaby, nadpęknięty, choć twarz jej stała się formą zużytą po człowieku, jak formy gipsowe po talerzach na śmietniku u Fajansa, to jednak była to Cichowiczowa.

— Nie poznaje mnie pani?

— Nie.

— Szczęsny, syn Tomasza...

— Kto by tam poznał... Taki chłop.

— Co pani tu robi?

— Do domu szłam, ale słabo mi się zrobiło. Serce jakby kto wyżął.

— A teraz?

— Teraz jakoś lepiej.

— No to chodźmy razem. Niech mnie pani weźmie pod rękę, pójdziemy spacerkiem.

Poszli po maleńku.

— Pranie miałam duże, pewnie od tego. U Korbalów.

— To Korbal nie mieszka na Kozłowie?

— Korbal teraz wielki pan. Drugi sklep otworzył, tam mieszka. Na św. Antoniego, zaraz koło placu, gdzie Pandera buduje kamienicę.

— Obydwaj, widzę, forsę robią... A co z tym pierwszym sklepem? Sprzedał go Korbal czy trzyma?

— Trzyma. Szwagierka prowadzi z subiektem. Korbal tylko dogląda. Siedzi przeważnie w nowym sklepie na św. Antoniego, no i na politykę musi mieć czas. Gazety o nim piszą. W zarządzie jest.

— U chadeków?

— Nie, w stowarzyszeniu kupców. Chadeków rzucił, z rządem teraz idzie, z bebe.

Szli Szosą Warszawską, skąpo oświetloną latarniami, wzdłuż Nowego Cmentarza.

— A jak tam u nas? Dużo ludzi przybyło?

— Pięć tysięcy, powiadają, a może i więcej. Nie poznasz Kozłowa. ice powstały, sklepy. Dawniej mieliśmy tylko Sosnowskiego, potem rbala, a teraz jest już Paczkowski, Świdziak, Piskierska, Kędziora... ało sklepów.

Dobrą kartą wyszedł Korbal. Na Kozłowo postawił przed pięcioma y. Kryzys, mówił, wyrzuci ludzi z miasta i ze wsi na Kozłowo, wielka yrośnie dzielnica. Będą tam sklepy potrzebne... No i są. Oblazły bie- tę jak pluskwy.

— A Sosnowscy?

— Jeden tylko został. Rogatkowy. Bo drugiego Sosnowskiego gdzieś dobno złodzieje zabili. Ale pierwszy Sosnowski żyje, z handlu natu- lnie, wójtem jest zamiast Kozłowskiego. Ten jak jeździł, tak jeździ piernikami po odpustach. Tyle tylko że konia ma. I Kozłowo nie jest ozłowem, ale Grzywnem.

Na zebraniu, mówiła, to się stało. Na jakim zebraniu, Cichowiczowa kładnie nie wie. W sprawie kanalizacji i żeby gazownia była we Wło- awku. Jak już wszystko obgadali, gdzie co ma być, to wystąpił Kę- ński, rymarz z Celulozy: „Pominęliście, panowie, najważniejszą dziel- icę, bo Kozłowo!" Oburzyli się na niego, jak śmie tak mówić: najważ- iejsza! Niektórzy nawet tupali: „wywrotowiec!" Ale jeden kapitan jeszcze jakiś pan poparli Kępińskiego, że naprawdę Kozłowo jest we Włocławku największą dzielnicą, dlaczego magistrat o nią nie dba? Ka- itanowi nie można było naubliżać od wywrotowców, zaczęli więc ra- zić i uradzili różne rzeczy dla Kozłowa. Będzie się nazywało Grzyw- o. Będzie miało wójta Sosnowskiego, bo Sosnowski zalega miastu rogatkowym, niech zatem odrobi to wójtowaniem. Kaplicę drewnia- ą wybuduje się na Grzywnie, a w pobliżu, przy Płockiej, murowany ościół i zakład pod wezwaniem Jedenastu Tysięcy Dziewic...

— A kanalizacja?

— O tym nie słyszałam. Chodzimy po staremu do Żabiego Skrzeku. Byli już na Kozłowie czy też po nowemu na Grzywnie, przy rogat- kach miejskich. Droga widocznie zmęczyła Cichowiczową. Oparła się o latarnię.

— Nie wiem, czy cię w domu poznają — mówiła oglądając Szczęsne- go. — Rozrosłeś się i taki elegancki. Dobrze ci się widać powodzi.

— Nie mogę narzekać. Jakoś idzie.

— A coś ty robił tyle czasu w Warszawie?

— Najpierw to się uczyłem na stolarza, potem do wojska wzięli. W wojsku też gładko poszło. Mógłbym zostać na zawodowego...

— Czemu nie zostałeś?

— Kiedy w cywilu więcej zarabiałem. Posadę miałem w Ubezpi
czalni...

Łgał jak najęty. Niech wie, że dobrze mu się wiodło, że wrócił z pe
nym kuferkiem. Niech się to po sąsiadach rozniesie — nie będą się na
ojcem litowali.

Cichowiczowa wszakże słuchała obojętnie. Tak ją życie zmęczyło, ta
bieda zżarła, że nawet zawiści nie zostało.

— A to chodźmy. Niech się twoi ucieszą, a i na mnie dzieciak
czekają.

Zaczęli schodzić w dolinkę biblijną, gdzie ludzie w arkach się chowal

— Teraz ty się mnie trzymaj — radziła wdowa — bo do domu ni
trafisz.

Rzeczywiście po ciemku Szczęsny zabłądziłby sam w tym kretowisku
Zamiast kilkunastu stały setki chałup i lepianek. Były płoty i druty
były zasieki jak zapadnie, zaułki jak pieczary, jak okopy.

— Tu mieszka Szklarski, powroźnik... Tu Dąb od Mizama... Zara
będzie moja chałupa, a wasza naprzeciwko.

Dobrnęli nareszcie do ślepej budki, w której dziecko żałośni
chlipało.

— Franek pewnie natłukł, żeby go cholera...

Zdjęła pasek, którym kubrak jej był ściągnięty i odeszła bez słowa
obojętna na wszystko. Matka, która musi bić, bo sama jest bita. Kobieta
która musi żyć, bo dzieci żyją...

Dom ojcowski na Grzywno patrzył oświetlonym oknem. Zgrabny do
mek, na którym znać fachową rękę. Wszystko w nim trzyma się winkl
i pionu, wszystko podług ojca marzenia, nawet w oknie są bagne
sztangi i drzwi jak należy — filungowe.

Rodzina siedzi przy stole: ojciec całkiem łysy, zdrobniały, z posiwia
łym wąsem, Walek już w wieku poborowym, kawaler, za Kachną chło
paki pewnie uganiać się zaczynają, śmieszka z dołeczkami... A Weronk
po dawnemu wszystkim matkuje i głębszą ma zmarszczkę nad brwiam

Można wejść. Jak sobie przed laty ułożył: zobaczywszy świat, czeg
się tam nauczywszy, wraca oto do swoich. Jest porządnie ubrany, m
podarki: ciepły sweter dla ojca, srebrny ołówek dla Walka, korale d
Kachny, a najdroższy podarek dla Weronki — materiał na sukienk
I nikt się nie dowie, jak ciężko to przyszło. Że wyjazd był niepotrze
ny i powrót jest nie dla rodziny, nie po to, żeby tu życie urządzić w
godnie, nie po to... O tym lepiej nie mówić, bo tylko się zlękną i zacz
zaklinać na wszystkie świętości, by poszedł po rozum do księdza!

Kiedy go już wyściskali i obejrzeli ze wszystkich stron, kiedy im a bezładne pytania powiedział mniej więcej co Cichowiczowej i że nie yjedzie, że zostanie, bo wszędzie jest dobrze, ale w domu najlepiej, o tym wszystkim właśnie, przy kolacji, Kachna w dłonie plasnęła:

— Szczęsny, ty coś masz!

— Co mam, to już nie dla ciebie. Korale dostałaś?

— Ale ja nie o tym! Ty coś ukrywasz. Jesteś taki...

— Jaki?

— Taki ważny! Patrzysz nieruchomo, jakbyś nie mógł mrugnąć uśmiechasz się dziwnie, półgębkiem. Tajemniczy pan!

Walek słuchał jej trajkotania pobłażliwie, bawiąc się ołówkiem o zarzasku automatycznym, ojciec nic nie widział poza odzyskaniem syna, le we wzroku Weronki było Kachny pytanie: musi w tym coś być, żeś aki kamienny!

— Powiedz — nalegała Kachna — może ożeniłeś się w Warszawie? Miałeś romans?

— Nawet dwa, tylko jednej buzia się nie zamykała, więc nie chciałem się żenić, a druga powiada, że najpierw musimy Weronkę wydać.

— No, to zostaniesz starym kawalerem. Ona czeka, żeby się jej ks. Wojda oświadczył.

Weronka pociemniała na twarzy.

— Głupiaś...

Zgarnęła ze stołu talerze i wyszła do kuchni.

— I co ty pleciesz — zganił ojciec. — Zastanów się!

— Przecież to prawda — broniła się Kachna. — Żadnego kazania nie opuszcza, a gdy stoi w kościele, to się wpatruje jak święta dziewica w swego oblubieńca.

— Po pierwsze, święta dziewica nie ma oblubieńca, a po drugie, nie rób plotek z uczuć religijnych.

Uwagi Walka, zwłaszcza sposobu, w jaki ją wtrącił, z lodowatą wyższością — Kachna znieść nie mogła. Zaperzyła się, więc Szczęsny spróbował obrócić w żart ich sprzeczkę.

— Czy tu czasem nie przygania kocioł garnkowi? Sami pewnie romansujecie.

Oboje — jak się okazało — byli na to za rozsądni. Kachna powiedziała, że ani jej się śni, przede wszystkim musi się usamodzielnić. Od stycznia, gdy spłacą ostatnią ratę pożyczki na domek, będą mieli

o 17 złotych więcej, ojciec dołoży jeszcze trzy i ona pójdzie na kurs handlowe, bo mężczyźni cenią teraz tylko kobietę niezależną, z fachem. A Walek po prostu uśmiechnął się na myśl, że będąc dopiero szprycownikiem, mógłby się ożenić!

— W warzelni pracujesz? — zapytał go Szczęsny. — Nigdy tam w środku nie byłem. Powiedz, jak to wasze warzenie wygląda.

Rzeczywiście nie wiedział, ale w tej chwili chciał raczej brata rozruszać, bo Walek pasjami lubił tłumaczyć, prostować, pouczać.

— Najpierw po wyczyszczeniu warników napełniamy je strużkami z rąbalni — Walek pozował trochę na Mussa, „werkfirera" papierni, który mówi zawsze w sposób przystępny i na dystans. — Do każdego warnika wchodzi 100 i 150 metrów sześciennych rąbanki, bo są mniejsze i większe, stare i nowoczesne. Ja właśnie po szkole mechanicznej zacząłem od sypacza i przez parę miesięcy sypałem strużki z góry widłami do warnika. Teraz otwieram krany po warzeniu, puszczam wodę i z węża szprycuję, żeby zeszły wszystkie brudy i gazy.

— Dobrze, ale w jaki sposób otrzymujecie celulozę?

— W taki sposób, że rąbankę drzewną zalewamy ługiem. Pompa ługowa bije przeszło godzinę, aż nabije do dwóch atmosfer. „Pompa gotowa!" krzykną i dają parę. Ciśnienie wzrasta do pięciu atmosfer a temperatura do 144 stopni, zależy, jaką chcesz mieć celulozę, miękką czy twardą. Miękką celulozę, na pergamin, na wiskozę i papiery buchalteryjne, gotuje się dłużej, 13 do 14 godzin, przy 140 stopniach i wyżej, a twardą — krócej, o parę stopni niżej. Przez cały czas robi się próbki i analizy, dopóki kochermajster nie każe opuszczać warnika w gaz. Gazy powracają do siarkowni, płyn puszcza się dołem przez aparat Lurgiego na spirytusownię, żeby spirytus odciągnąć, i w warnikach zostaje sama masa celulozy. Potem się ją płucze i bieli na różne sposoby, i wtedy dopiero płynie ona na maszynę. Szkoda, żeś nie widział. To się tylko tak mówi „maszyna", ale to przecież łańcuch maszyn! Kolos! Automaty przez całą halę, jeden przy drugim, trzeba tylko doglądać. Masa tam płynie jak woda we młynie, w dzień i w nocy — bez przerwy. W jednym końcu hali widzisz taki potok, jakąś manną kaszkę, a na końcu hali masz celulozę. Gotowe arkusze na walcach, niby biała tektura.

Nareszcie Szczęsny przyłapał brata na odruchu uczucia. Jest jedna coś, o czym może mówić z przejęciem, wobec czego traci cały swój chłód i zarozumiałość. „Kolos" powiedział, i blada cera zaróżowiła mu się lekko — romansowy chłopak, jeśli chodzi o automaty.

— Pójdę tam, na pomocnika maszynisty, a potem...

Nie dokończył. Zamknął przed nosem drzwi na halę, w której kom-
nował po cichu.

— Bo w warzelni można zdrowie stracić. Gaz dusi — usprawiedli-
ał się głosem znów obojętnym i znużonym. — Do domu wracam za-
uty, nawet jeść mi się nie chce, żadnego smaku w ustach nie czuję.

Ojciec dodał śpiesznie:

— A przecież wszystko się robi. Nie żałujemy. Co tylko skutkuje na
gazy, jabłko czy świeże masło, wszystko ma. Jak są tanie cytryny,
i cytrynę czasem Weronka dla niego kupuje.

— W takim razie nie wiem, czy to się opłaca. Ile zarabiasz?

— Dziewięć złotych z połówką.

— Nieźle. O dwa złote więcej od ojca.

— Ii, grubo więcej. Nie te czasy, synu. Daj Boże, teraz sześć złotych
rzynieść. Urwali nam z akordu.

— Dużo?

— Dużo. Złoty sześćdziesiąt zostało od metra.

Szczęsny gwizdnął.

— Walczono, pamiętam, o dwa pięćdziesiąt, przystaliście na dwa
dwadzieścia i z tego wam w końcu urwano. 60 groszy od dwóch dwu-
dziestu, ile wyniesie? Około trzydziestu procent, trochę mniej... Ładnie
was Pandera wykantował!

— Nie Pandera — sprostował Walek — wojna drzewna z Niemcami.

Szczęsny nie rozumiał, co ma piernik do wiatraka — jakaś wojna
drzewna do tego, że Pandera gniecie strugaczy? Walek więc spokoj-
nie i jak zawsze ze znawstwem tłumaczył:

— W dwudziestym siódmym roku drzewo kosztowało 40 złotych metr
przestrzenny. Lasy u nas produkują rocznie około trzech milionów me-
trów, z tego tylko jeden milion zużywa przemysł krajowy, a dwa mi-
liony idzie na eksport, przeważnie do Niemiec. Kiedy Niemcy przesta-
ły brać, cena drzewa spadła do 20 złotych. A teraz policz: za twoich
czasów przy cenie 40 złotych strugacze mieli akord dwa dwadzieścia
od metra czyli ostruganie, przygotowanie drewna do produkcji celu-
lozy, wynosiło wtedy z grubsza 5%. A po twoim odjeździe, po dwudzie-
stym ósmym roku, struganie przekroczyło 10% ceny surowca. Tak jest,
bracie, 10%! I z tego trzeba było jakoś wybrnąć. Najpierw obniżono
stawki, a potem zaczęto zwijać obróbkę u siebie, bo się już nie opłaca.
Lasy państwowe za dopłatą jednego złotego dostarczają obecnie obałki
ostrugane. Powiadasz, że dwa dwadzieścia to kant. Ale chłop robi to

na miejscu za złotówkę! Dlatego są redukcje, u nas zwolniono już cztery partie strugaczy... Pandera nic na to nie poradzi, taka jest sytuacja, musi przedsiębiorstwo ratować.

— Czyim kosztem? Ojciec stracił, a on kamienicę buduje!

— Gdybyś był na jego miejscu, postąpiłbyś tak samo. Uczciwie pracuje, na pewno więcej niż niejeden z nas, a że płacą mu 5.000 złotych, to co ma robić z pieniędzmi? Odkłada i buduje. Trudno, tu nie ma względów, rynek rządzi, konkurencja. Gdyby nie Pandera, Celuloza dawno by upadła i przeszło tysiąc ludzi zostałoby na bruku. Organizator pierwsza klasa, to trzeba mu przyznać, i jako człowiek zupełnie przyzwoity.

— Porządny człowiek — potwierdził ojciec. — Przystępny. Ze mną zawsze się wita, porozmawia, co słychać i w ogóle.

— Z przekonań jest nawet socjalista — dorzucił Walek.

Szczęsny chciał powiedzieć, gdzie on ma takich socjalistów i co myśli o Walku, ale odłożył na kiedy indziej tę rozmowę. Nie będzie się z bratem wykłócał przy rodzinie, przy pierwszej kolacji po powrocie.

— Co tam, Pandera czy inna cholera — dla nas bez różnicy... Niech no ojciec leją ostatniego, na dobranoc.

Stary sięgnął po butelkę. Nalewając na ceratę chlapnął: ręka mu drżała.

— A czy sztuczkę z zapałkami ojciec jeszcze pokazuje? Zapałkę na dwoje rozszczepia?

— E nie, synku, lata swoje robią. Nie to oko, nie ta ręka...

Patrzył z zawstydzeniem na tę rękę, która po pół wieku cieślicę zdradziła. Stara krew zastojała żyły rozdęła, reumatyzm kostki rozsadził, skóra uschnięta, sflaczała — ni mocy, ni czucia dawnego w takiej ręce...

— A wie ojciec, za cośmy wypili? Za spokój tej ręki!

— Bóg z tobą, synu, toć jeszcze żyję.

— A niech ojciec sobie żyje choćby i sto lat, ale z robotą koniec. Ostatni raz jutro ojciec idzie do pracy.

— Jakże to? Walek będzie nas wszystkich żywił?

— Nie. Nic się nie zmieni. Ja zamiast ojca zostanę siekierą.

Tego się po nim nie spodziewali. Zaczęli mu perswadować: ojciec nieśmiało, Kachna zapalczywie, że przecież ma on swój fach stolarski majstrem powinien zostać, a Walek rzeczowo, z perspektywą, że strugganie się kończy, trzeba poszukać czegoś pewniejszego i że w ogóle do tej najgorszej roboty brać mu się już nie wypada.

— A ojcu wypada? Dosyć naharował się, nie mamy o czym mówić. owiedziałem: ostatni raz jutro ojciec idzie do pracy.

Walek z Kachną spojrzeli po sobie: to był ten sam Szczęsny, który edyś trzymał ich w garści, któremu lepiej się nie sprzeciwiać.

Weronka uśmiechnęła się do niego od progu, a ojciec mrugał niepodnie czerwonymi powiekami, wypatrując coś z dalekiej przeszłości.

— Teresko, pani kochana... Toć mówiłem ci, mówiłem, że do niego ójdę na stare lata!

XV

Spotkali się u Leona na Piekarskiej. Staszek Rychlik przybył pierwzy, punktualnie o szóstej, mieszkał przecież w tym samym domu. zczęsny trochę się spóźnił.

Przywitali się jak gdyby nigdy nic, zwyczajnie — siekiera i zdun Celulozy. Usiedli przy stole, twarzą w twarz, na wprost doniczki. Zieona paprotka stała między nimi i pamięć pierwszego spotkania. Pięć at temu, w lokalu chadeków...

Mogli się teraz szacować spokojnie, przez splątane gałązki, że sczerniał zupełnie czerniawy, jeszcze bardziej zacięty z tym swoim podgolonym wąsikiem i ciężkim mrocznym wejrzeniem — że białas wcale się nie zmienił, rumiany jak piekarczyk, tylko nos mu się zrósł jednak nieco na bakier.

Szczęsny chciałby z miejsca przystąpić do rzeczy, ale w pokoju był jeszcze Bolek Gąbiński. Chociaż Bolek walczył z kapitałem na własną rękę, bo Sumczaka zabił i siebie z rozpaczy postrzelił, chociaż siedział w więzieniu i właśnie niedawno wyszedł stamtąd, Szczęsny nie mógł jakoś nabrać przekonania do tego gogusia, nie zaczynał więc przy nim, rozmowa nie kleiła się i tylko Leon gadał za wszystkich rozpamiętywując czasy wspólnej służby wojskowej, poniewierkę Szczęsnego, walkę z Gedrońcem i zupakami.

W dobrej wierze przedstawiał go kolegom z najlepszej strony, zbyt jednak przesadnie i hałaśliwie. Szczęsny zżymał się, Bolek zerkał do lustra, na własne mętne odbicie w ramie ciemnej i płaskiej jak plaster, a Staszek słuchał uważnie ruszając niekiedy brwiami.

Dopiero gdy Bolek wyszedł, przygładziwszy długie blond włosy — „no na mnie czas, a ty Staszek, przychodź, zagramy" — Szczęsny odsunął paprotkę, jak gdyby ona najwięcej przeszkadzała.

— Prosiłem Leona, żeby was tu ściągnął, bo muszę rozmówić się z Marusikiem.

— Nie ma go we Włocławku — odrzekł niechętnie Rychlik.

— Wiem. Mówiono mi, że dawno wyjechał. Ale czy nie przyjeżdża tu czasem do rodziny? Koniecznie chcę się z nim zobaczyć.

— W takim razie musicie czekać dziewięć lat.

— Dostał dziewięć lat?

— Tak, akurat podpadł im pod nowy kodeks. Gdyby go sądzili w sierpniu, to by miał tylko cztery.

— To pech... — zmartwił się Szczęsny myśląc o pechu Marusika i swoim. — Po to właściwie wróciłem do Włocławka.

— Tylko po to?

— Mówię przecie wyraźnie: chcę wszystko wyjaśnić, chcę do partii.

Rychlik wzruszył ramionami.

— Do tego nie potrzeba Marusika. Macie tu partię.

Skinął w stronę Leona. To już zakrawało na kpinę, bo Leon był pepesiak jak jego ojciec i brat.

— Wiecie dobrze, o jaką partię mi chodzi — powiedział hamując się Szczęsny. — Nie wierzycie, widzę. Cóż, ja was za ten nos nie przepraszam. Szczeniak byłem wtedy, prosto ze wsi — musicie to zrozumieć. Przez te lata oczy mi się otworzyły, sam przychodzę, bez żadnej agitacji. Chcecie teraz ze mną mówić, to dobrze, nie — to spróbuję inaczej, a do PPS nie wstąpię.

— A dlaczego? Czy to zła partia? Czerwony sztandar, proletariusze wszystkich krajów łączcie się i tym podobne... Czytaliście ich program?

— Nie czytałem i nie będę. Wystarczy, że mają Piotrowskiego.

— No to co — wtrącił Leon — Piotrowski ci przeszkadza?

— Przeszkadza. Jeśli poseł łamie strajk i partia za to go nie wyrzuca, to jakaż to dla mnie partia?!

Leon wiedział, jak bardzo zaszarganą opinię ma Piotrowski w Celulozie, więc tylko burknął:

— Mamy też Dubois.

Szczęsny nic nie miał przeciwko Staśkowi Dubois. Znano go we Włocławku. Kujawiak, z sąsiedniego Brześcia, syn wąsatego notariusza, co mieszka przy rynku. Równy chłopak.

— Sam widzisz, istnieje u nas prawica i lewica — bronił Leon swej partii biorąc milczenie Szczęsnego za wahanie. — Jedni próbują powoli bez ryzyka, inni chcieliby zawsze na gorąco, trochę po bolszewicku. A który sposób lepszy, to zależy od sytuacji, od taktyki, na tym trzeba się znać, bo droga do socjalizmu nie jest prosta...

— A mnie odpowiada ta prosta — na przełaj! W takim kołomęcie, trochę w prawo, trochę w lewo, można się tylko uglinić. Weź chociażby Celulozę, dwa wielkie strajki. Raz w dwudziestym trzecim roku, strajk okupacyjny. Piotrowski wtedy wywołał robotników za bramę, na plac drzewny, gadał, gadał na tym wiecu, a glina tymczasem fabrykę zajęła. Drugi strajk był w dwudziestym ósmym, wtedy sam byłem świadkiem, jak wasi okręgowcy powiedzieli: „dziki strajk, nam nic do tego". Co mi z takiej taktyki, kiedy raz urwali z akordu, drugi raz urwali i w końcu biorę złoty sześćdziesiąt od metra. Nie mamy o czym mówić. Jak walka, to na całego, bez kantów, albo pies drapał, wolę rybki łapać!

Rychlik uśmiechnął się blado, z przelotną aprobatą, a Leon poczerwieniał.

— No i gadaj z takim! Na barykady, powiada, inaczej pójdę sobie na rybki.

— A ty mu przetłumacz, że nie macie jeszcze na te barykady pozwolenia od starosty.

Zaczęli sobie docinać. Umieli dobrać szpilę, znali się przecież jak łyse konie, od małego razem, z jednego podwórka.

Szczęsny wstał.

— Myślałem, że dopomożecie.

Do Rychlika to powiedział. Ten wydął pulchne usta. W sam raz do smoczka takie usta.

— Pilno wam, a do czego — sami dobrze nie wiecie. Byle walka, na przełaj, mówicie. Bez żadnego pojęcia... Nic żeście nie czytali o tych sprawach, aby mieć pewność, że to prawda.

— Ta prawda nie przyszła do mnie z mądrych książek. Ja się dosyć z nią uszarpałem. Ale wam się wydaje, że to słomiany ogień, albo że jestem nasłany. Wypada więc przeprosić was za fatygę i poszukać kogo innego.

Rychlik wbił w niego swe krągłe, siwe oczy.

— I coście akurat do mnie z taką sprawą? Czy ja co wiem, albo mogę? — zaczął śpiesznie, a kiedy się śpieszył, to trochę seplenił. — Marusika owszem znałem, ten walczył, więc siedzi. Chłopi w leskim powiecie walczyli — słyszeliście? — to ich postrzelali, resztę wtrącili do więzienia. Trzystu chłopów... Ale ja? Dużo tam można przy zduńskiej robocie! Składki zbieram i tyle. Możecie też zbierać na więźniów, na obronę, na sieroty, co robiąc będziecie walczyć. Przyjdźcie jutro w obiad do kotłowni, może dostanę dla was bloczek.

„Bloczek był wielkości pudełka od zapałek, tylko cieńszy i miał 50 kwitków z niebieskiej bibuły. Na każdym kwitku była kwota: 1 złoty. Nic więcej, bo i tak każdy wiedział, że na walkę.

Na grzbiecie bloczku zanotowałem: 12.X.1932. Grzbietem miałem się rozliczyć z Leonem. Chciałem wiedzieć, w jakim czasie wszystko zbiorę, więc zapisałem dla pamięci datę, która później została przy mnie na zawsze.

— Uważajcie — powiedział Rychlik w kotłowni — zbierać trzeba pośród swoich, do byle kogo nie chodźcie.

Zacząłem od brata. Ten jednak oświadczył, że na Czerwoną Pomoc nie da. Ma inne poglądy i nie będzie się podawał za sympatyka.

Nawet ojciec się zgorszył.

— Ależ to na sieroty, na tych, co za kratami.

— Mnie tam na ciepłe słówka nie nabiorą — odparł i dalej majstrował montując aparat radiowy.

Nie pójdzie na lep, mówił, nie pójdzie i mnie nie radzi. Z kim chcą walczyć? Z wojskiem, z policją, z całą potęgą kapitału? Zawracanie głowy!

Chciałem brata ratować, toteż możliwie spokojnie spróbowałem mu wytłumaczyć, że tak nie można. Nie wolno nam się od walki usuwać i myśleć tylko o sobie. A kiedy to nie poskutkowało, to się przemogłem i pokazałem własne życie, całą swą nędzę — niech wie, jak się bije biedaka, niech widzi podłe żarty z człowieka.

Ojciec był mą spowiedzią wstrząśnięty — synu, mówił, toś nie mógł do mnie wrócić?! — ale Walek dowiedziawszy się prawdy, że nic w Warszawie nie zdobyłem, nawet świadectwa czeladnika, że do domu wróciłem niby rozbitek marny — był nawet jakby zadowolony. Zawsze uważał się za lepszego i miał mnie za ciołka.

— Nie rozumiem tej nienawiści, tych pretensji. Nikt ci nie kazał tak się matłać bez celu i wszędzie stawać sztorcem.

Tu ja już nie wytrzymałem.

— Ty za to, widzę, jesteś giętki w krzyżu!

Od słowa do słowa, przygadaliśmy sobie na blachę, on mi od idiotów, ja mu od łajdaków, i już nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia.

Tak się to zaczęło: brat nie dał, ale Gawlikowski dał.

Gawlikowski był sortownikiem w naszej partii i mieszkał u nas na górce. Gdy mu powiedziałem, o co chodzi, bez słowa wyjął złotówkę. Więźnia rozumiał, bo sam kiedyś siedział w areszcie za włóczęgę bez papierów i może dlatego ptaków nie trzymał w klatce.

Sosenki i brzózki rosły u niego na stryszku, w skrzyniach z ziemią. Z gałązki na gałązkę fruwały swobodnie czyże, gile, pokrzywniaczki i inne świergotki, przez które Gawlikowski wiele wycierpiał. Korbal wymówił mu mieszkanie. Cichowiczowa też go w końcu nie chciała, chociaż żyli z sobą podobno nienajgorzej. Dopiero na krótko przed moim przyjazdem urządził się u nas wygodnie — „stary poświetnik", jak go ojciec nazywał. Kumpel Korbala przed laty, człowiek milczący, nijaki. Ptaszki lubił okropnie, a ludzi nie bardzo.

Tego dnia był strasznie wzburzony, bo szpak jeden, Sławoj, ziębę podziobał do utraty zmysłów. Gawlikowski tulił Kaśkę w dłoniach jak w gniazdku i chuchał na biedactwo chodząc po pokoju.

Ja do tego zaraz nawiązałem, że słusznie nazwał łobuza Sławojem. Mam nawet o nim artykuł, może chce posłuchać?

Gawlikowski skinął głową, więc zacząłem mu czytać z organu MOPR'u na Polskę, z Czerwonej Pomocy o sławojkach i o tym, jak pan minister przyprowadził do sejmu policję, by usunąć posłów komunistów. Czytałem zacinając się, bo to było na powielaczu, miejscami wytarte, Gawlikowski wszakże słuchał uważnie. Jak się okazało znał Sławoja z Zagłębia, gdzie pan doktór-generał-minister robotników rozbrajał.

A kiedy doszedłem do tego miejsca, że Piłsudski powiedział na radzie ministrów: „trzeba będzie dobrać inny gabinet, ale Składkowskiego nie wezmę, bo się migdali... Ja się zresztą namyślę, ale musi bić jak stupajka!" — to Gawlikowski przyklasnął:

— Dobre!

I pogroził drańskiemu szpakowi, co go z brzózki przedrzeźniał:

— Ty, stupajka!

Odtąd inaczej na niego nie wołał.

Potem czytaliśmy o nowym regulaminie więziennym, który odbierał politycznym stare wywalczone prawa i wszystko uzależniał od łaski naczelnika. I jeszcze o nowym kodeksie karnym, o tym polskim, niepodległym, na który naród czekał czternaście lat. Według niego zasądzono Marusika na 9 lat, czego by nawet car nie zrobił, o czym każdy może się łatwo przekonać porównując carski artykuł 102 z polskim artykułem 89.

Zobaczyliśmy dalej, że nowy kodeks wszędzie tak winduje karę i za byle co grozi sądem doraźnym, nawet za przeciwstawienie się szarwarkom, licytacjom i komisarzom, za opór policji i egzekutorom! A co do sądów doraźnych, to najwięcej wyroków śmierci wydają one na ziemiach okupowanych przez polski imperializm, na Białorusi Zachodniej

i na Ukrainie Zachodniej. Kat Maciejewski, pisano, nie ma chwili wytchnienia.

— Dlatego przysłał mi sznur uczciwie, metr jak uciął. Ma teraz tych sznurków do cholery i trochę.

Gawlikowski nie znał historii spadku po Komisarzu, więc mu opowiedziałem, a potem mówiliśmy o burdach japońskich na sowieckiej granicy i że w Niemczech znowuż niejaki Hitler pcha się do władzy.

Gdy odchodziłem, Gawlikowski z własnej woli podpowiedział:

— Bajurski.

Przyznałem mu rację. Rzeczywiście, ten mógł dać i pewnie też chętnie by posłuchał.

— Chwytliwy — dodał z naciskiem.

Bajurski — muszę wyjaśnić — zajął u nas miejsce przy kobyłce po Michalskim, co przepadł z lekką dziewczyną. Chłop młody, świeżo ze wsi, najmocniejszy chyba na Wilku i jak duże dziecko.

Wkrótce przekonałem się, że Bajurski każdą rzecz z Czerwonej Pomocy w lot chwyta i o jeszcze prosi. Na więźniów dał dwa złote, a Kaźmierczak z Kwapiszem złożyli się po pół złotego na jeden kwitek, u nich bowiem z forsą było krucho: ten miał kupę dzieci, co rok to prorok, tamten znów pił zwyczajnie, albo się wstydził, wtedy pił jak pompa.

Już tylko trzech zostało mi w partii, ale nie poszedłem do nich, bo to były zabite chadeki. Przy pomocy Bajurskiego zacząłem zawierać znajomości gdzie indziej, w piątej, szóstej, i siódmej partii, dotarłem wreszcie do ładowaczy, tak że w niespełną dwa tygodnie, dołożywszy za ostatnie kwitki cztery złote od siebie, zwróciłem Rychlikowi oskubany do czysta grzbiecik i 50 złotych.

Rychlik dał mi nowy bloczek i pisma.

— Lewicowe pisma powinniście czytać. Możecie zbierać prenumeratę, bo to są pisma dozwolone.

Zbierałem dalej na więźniów, na Trybunę i Wolność. Byłem przekonany, że Rychlik dużo wie, coś tam znaczy w partii, ale o nic się nie pytałem.

— Jeszcze boli go ten nos, jeszcze mi nie ufa, przygląda się, czy nie jestem nasłany.

Tak to sobie wtedy tłumaczyłem i robiłem swoje, co mi Rychlik kazał.

Kazał, pamiętam, przyjść w Dzień Zaduszny z młotkiem na groby — przyszedłem.

Znaleźliśmy w samym końcu cmentarza grób bez krzyża, bez tablicy — bezimienny grób. Rychlik wyjął zza pazuchy blachę, zastukałem młotkiem przybijając i na to hasło zbiegł się tłum chłopców, dziewcząt, robotników, co dotąd klęczeli przy cudzych nagrobkach. W oka mgnieniu okryli mogiłę kwiatami, wieńcami, czerwienią wstęg, po świeżą tablicę, że tu leży Zenek Węgrowski, metalowiec, kazetempowiec, zamęczony przez faszyzm we włocławskim więzieniu.

Za dalsze nie ręczę. Ktoś mówił o Zenku, jak walczył, co po nim zostało i śpiewano Międzynarodówkę, były zda się hasła rzucane — dokładnie nie pamiętam, bo wszystko odbyło się galopem.

Ale powrót widzę jak dziś.

Wracaliśmy we trójkę, z Grzybowskim, i ten opowiadał, jak Zenka chowano w zeszłym roku, w dzień wietrzny, pachnący wiślanym wylewem.

Takiego pochodu Włocławek dawno nie przeżywał. Pierwszy raz szli razem komuniści, pepesowcy, nawet robotnicy ze związków chadeckich — masy niezliczone!

Wajszyc głowę stracił, Wajszycowa szeptała: „nie ruszaj ich, idioto, bo nas rozszarpią w kawałki!"

I nie padł żaden rozkaz. Odszczurzyło się miasto, szpicle nawiały. Blada policja stała po bramach patrząc na lud rozszalały, który niósł transparenty „Precz z białym terrorem!" — pomstował i śpiewał „O cześć wam, panowie magnaci!"

— Żebym ja miał taki pogrzeb! — marzył Grzybowski, również od nas, z Celulozy, bo robił w kotłowni — mały, szczupły, natura mimo czterdziestki psotna, chłopięca. — Żebym leżał tak sobie w trumnie pod sztandarami i niech by te skurczybyki znowuż tak się trzęsły przed masami!

Zrobiło mi się przykro, że Rychlik z tego zażartował, bo we mnie wtedy coś się poruszyło, miłość czy zapał, w każdym razie jakieś ciepłe uczucie dla sprawy.

A co do masówek, to pierwszą miałem w końcu listopada pod więzieniem.

Rychlik kazał stawić się na podpunkt przy placu Dystylera — naturalnie że się stawiłem, przyprowadzając z sobą Bajurskiego.

Znów poszło w oka mgnienie. Ze wszystkich podpunktów, od Dystylera i Kilińskiego, zbiegły się grupy na Gęsią, na drutach zawisły sztandarki, przy płocie na wprost więzienia wyskoczył ponad tłum młodzieżowiec i rzucał hasła, a te hasła były dobrze czerwone — na śmierć katom, na zwycięstwo proletariackiej rewolucji! I tak jakoś zgod-

nie zabrzmiało „Wyklęty powstań ludu ziemi!" — prawie jednocześnie na ulicy i za kratami.

Z więzienia wypadły „klawisze", ale się załamały pod gradem kamieni i butelek z wapnem. Dwóch za głowy się złapało, inni ich pochwycili i dali nura pod sklepienie bramy.

Na bulwarach, dokąd uciekliśmy później, Rychlik klął młodzież za partacką robotę: transparentu nie zdążyli rozwinąć! Transparenty, mówił, należy szyć jak worki. Wtedy wystarczy wetknąć dwie laski i już łopocze nad głowami. A ja, słuchając go, wciąż tym się pokrzepiałem, że jednak oddałem im, czego mnie w wojsku nauczyli przy rzutach granatem, bo z tych dwóch najcelniejszych butelek jedna była moja.

Nazajutrz rozeszła się po Włocławku wieść, że rozwścieczone „klawisze" wpadły do cel, zbiły politycznych do nieprzytomności, a Śliwińskiego z Peplakiem zatłukły na śmierć. W nocy chcą ich pochować po cichu na cmentarzyku Dziadowskim za miastem, przy szosie do Wieńca Zdroju.

Z wieczora warta stanęła na Dziadowie. Około dwustu z partii, młodzieży i sympatyków. Noc była ciemna. Żeby nie zmarznąć, musieliśmy chodzić uważając na krzyże i świeżo wykopane groby. Nieraz po ciemku jeden na drugiego wpadał, twarzy nie można było rozróżnić, zewsząd słyszało się głosy, tak że niekiedy, zwłaszcza gdy wiatr zawył, zdawało się, że jest nas milion co najmniej, tymczasem było, jak wyżej napisałem, nie więcej niż dwie setki.

Kto mieszkał w pobliżu, zabierał do siebie po kilka osób na rozgrzewkę, co godzinę inną grupę. Na zmianę.

Tak do rana wartowaliśmy, by towarzyszy pochować jak przystoi, trupów jednak nie przywieziono i o świcie musieliśmy się rozejść.

Dowiedziano się potem z całą pewnością, podobno od sierżanta Paprockiego, że Śliwiński i Peplak rzeczywiście są bestialsko skatowani, ale żyją. Zrobiono masówkę na mieście, tym razem nie bardzo udaną, bo z miejsca zjawiła się policja.

To wszystko jednak nie poszło na marne. Sprawa stała się głośna we Włocławku i dalej, pisano o niej w kraju dlatego, że pisano za granicą, tam znów dlatego, że tow. Lubartówna korespondowała z kolegami, którzy studiowali we Francji i Belgii; oni właśnie podali do prasy jej list o mordowni włocławskiej. W Paryżu i Brukseli odbyły się demonstracje przed poselstwem polskim, naurągano od siepaczy i barbarzyńców, szyby wybito, ale ja o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po pół roku, gdym się spotkał z towarzyszką Ewą w tym samym

niejscu, na Dziadowie, tym razem jednak w zupełnie innych okolicznościach.

Ale wtedy, to znaczy w grudniu, żyło się po tych zajściach spokojnie, bez specjalnych wydarzeń.

Zacząłem podrzucać strugaczom zakazane pisma, oględnie, niewidzialną ręką: pod kobyłkę, między obałki, przy których mieli jutro pracować, do kieszeni odwieszonej kapoty... Po całym planu drzewnym, raz tej, raz tamtej partii.

Jużem się zżył z Bajurskim i Gawlikowskim pracując z nimi razem i czytając im Czerwoną Pomoc lub Czerwony Sztandar (zawsze woleli raczej posłuchać). Gawlikowski słuchał w milczeniu, płacił składki na więźniów, ale z górki, z ptasiego gaju swego na stryszku, ruszyć się nie chciał. Bajurski przeciwnie wolałby już coś robić. Rozpierała go młoda siła i niepojęta wręcz ciekawość. Czytając widzieliśmy wyraźnie, żeśmy dotąd żyli jak ślepe krety.

Chcieliśmy kupić książki za „gwiazdkowe". Liczyłem na te 12 złotych, tylé przecież ojciec dostał na święta pięć lat temu przed moim wyjazdem do Warszawy. Tymczasem nadeszła wigilia i poza normalną wypłatą nic nam nie dano. Ja się wtedy zainteresowałem, jak to było z „gwiazdkowym", i co się okazało?

Otóż, w dwudziestym trzecim roku kilku robotników poszło z opłatkiem do dyrektora Moszewskiego. Moszewski, podzieliwszy się opłatkiem, każdemu z nich po sto złotych odpalił.

Wtedy Karolak zwołał załogę Celulozy i wjechał na tych lizuchów, że to wielki wstyd dla robotnika tak się płaszczyć przed kapitałem i brać z łaski. Dyrekcja powinna wszystkim robotnikom wypłacić świąteczną premię!

W następnym roku nikt już nie poszedł do Moszewskiego i ten wszystkim bez wyjątku dodał na święta po 12 złotych.

Tak już zostało. Pandera ten zwyczaj uszanował, dlatego ojciec dostał wtedy „gwiazdkowe".

Ale chadeki zaczęły się burzyć: „jak to jest? Moja gwiazdka taka sama jak tych z chłopskiej partii? Dwadzieścia lat pracuję w Celulozie, a ten dopiero nastał!"

Od tego czasu Pandera wypłaca tylko starym robotnikom, przeważnie chadekom.

Tak oto na gwiazdkę nic nie dostałem od dyrekcji, ale Rychlik dał mi Manifest Komunistyczny.

— Święta idą, będziecie mieli czas, przeczytajcie.

Po czym na wszelki wypadek dodał:

— Książka dozwolona, każdy może kupić w sklepie, ale dla komunisty nie jest dozwolona. Jeżeli zaczną szukać dowodu, co robiący znajdą? Manifest, wtedy będzie to dowód.

Przeczytałem raz i drugi. Początek brzmiał zupełnie jak wiersz:

„Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu. Wszystkie potęgi starej Europy połączyły się do świętej nagonki przeciw temu widmu....“

Dalej nie poszło tak gładko. Odpowiadało się tu komuś z zeszłego wieku. Były sprawy nieznane, słowa trudne, choć sens, jeśli dobrze uważać, wyłaniał się prosty: na tym, jak są ludzie w pracy ustawieni, na tych stosunkach wszystko się trzyma — i kultura, i polityka, i władza. Zmieniają się klasy przy władzy i koniec jest jasny: niech drżą klasy posiadające przed rewolucją komunistyczną!

Powypisywałem, pamiętam, na kartkach rzeczy do wyjaśnienia, jak falanster czy idee filozofów niemieckich, ale gdy zagadnąłem o to Rychlika, to się wydało, że nie zna Manifestu, chociaż innym rozdaje. Czytał z ledwością, w ogóle umiał wówczas mniej ode mnie. Można to było poznać chociażby po tym, jak mówił. Mówił „sztrejk“, „zabombony“, „cafnął“ i to swoje całkiem nieokrzesane „co robiący“...

Nie było kogo przepytać o wszystko, co napływało do głowy. Owszem, byli we Włocławku towarzysze mądrzejsi, słyszałem co nieco o nich. Ale nikt mnie nie znał i ja nikogo poza Rychlikiem nie znałem.

Działał u nas, na przykład, Olejniczak Franciszek, co czterdzieści lat tkwił w ruchu, cierpiąc na katordze za cara, za sanacji w więzieniach, by zginąć w końcu za Hitlera w komorze gazowej. „Sumienie i rozum włocławskiego proletariatu“ — tak się o nim teraz pisze, moim zdaniem wciąż za mało i jakoś bez zrozumienia. To jeszcze nie wszystko — nazwać ulicę czyimś imieniem! Co z tego, że robotnik czyta na tablicy „Ulica Franciszka Olejniczaka“, kiedy nie wie, młody, jakim naprawdę był towarzysz Olejniczak. Ja o nim wtenczas wiedziałem tyle co wszyscy — że nieugięty, że mądry, nie znosi podłości i nigdy nie kłamie, nawet w sądzie. Jeśli nie mógł zeznać prawdy, mówił: „tego panom nie powiem“. Niczego się nie bał i zawsze był gotów na wszystko uważając, że zginąć musi w końcu dla sprawy. Nawet sędziowie, co go sądzili, spotkawszy potem na ulicy, pierwsi się kłaniali.

Albo Babcia Słotwińska. Za moich czasów była przedstawicielką Czerwonej Pomocy na okręg kujawski. Każdy we Włocławku wiedział, że jak nie ma na paczkę, na obronę, to trzeba iść do Babci Słotwińskiej. Muszę tu powiedzieć, bo nie wiem, czy później będę miał okazję, że ona mi życie uratowała w 1943 roku, mnie i jeszcze kilku towarzy-

zom, których adresy Gestapo chciało od niej wydostać za wszelką cenę, ona jednak nikogo nie wydała i zmarła śmiercią męczeńską w byłej fabryce Grünlanda, w tym właśnie pokoju, gdzie teraz jest świetlica.

W ogóle wielu o tym czasie działało towarzyszy, którzy dobrze się zasłużyli sprawie robotniczej we Włocławku, chociażby Perlikowski Józef. On właśnie przerobił Marusika na komunistę, gdy jeszcze razem pracowali w ładowni Celulozy, na jakie dziesięć lat przed moim wstąpieniem do partii. Bardzo się po więzieniach wykształcił. Nie znając go jeszcze, słyszałem, że mówca z niego nadzwyczajny. Raz przyszedł do teatru na wiec wyborczy sanacji. Sam jeden przeciwko wszystkim pułkownikom, prezesom, magistrom. Zmiął, starł ich i gadał, ile chciał — pouciekali, a on został na sali z masami. Rychlik, który zawsze się dławił słowami, trawiony obawą, że zaraz mu przerwą, sepleniący Staszek Rychlik wszystko by oddał, żeby tylko mówić jak Perlikowski!

Co do Rychlika, to on w owym czasie już mi niby to ufał, ale nie za bardzo. Może nos go jeszcze bolał, a może inaczej w pracy podziemnej nie można — ja to sobie różnie tłumaczyłem.

— Trochę stawiak, no i hazard lubi, w karty grałby całą noc — myślałem. — Poza tym chłopak kalibrowy, kuty, szelma, jeśli chodzi o technikę.

Punktem przełomowym w naszych stosunkach była Akcja Trzech L...“

O tym, że taka akcja będzie, Szczęsny nie miał pojęcia. Po prostu w połowie stycznia zebrali się u Gawlikowskiego, we czwórkę jak zwykle: Gawlikowski, Szczęsny, Bajurski i Rychlik. Rychlik przyniósł literaturę, więc najpierw posłuchali życiorysów, które Szczęsny czytał wśród świergotu ptaszków, potem Rychlik tłumaczył im, jak mógł, trzy tezy Lenina o dyktaturze proletariatu.

W parę dni potem, 20 stycznia, Rychlik powiedział Szczęsnemu na osobności:

— Jutro rocznica śmierci Lenina. Sztandarki wartałoby zarzucić. Poszlibyście ze mną?

— Czemu nie.

— Ale jak złapią, to można kukać ze trzy lata za kratami.

— No to będę kukał... Ciągle wam się zdaje, że ja to słomiany ogień. Czwarty miesiąc.

— W takim razie przyjdźcie o dziesiątej pod „Słońce“.

O dziesiątej udali się spod tego kina w kierunku dworca.

— Na Kokoszkę idziemy — wyjaśnił Staszek. — Sztandarki przyniosą chłopaki z Kokoszki. Dla nich jestem Corobiący. Też powinniście mieć jakieś pseudo.

— Niech będzie Bida — zadecydował po namyśle Szczęsny.

— Dobre pseudo. Towarzysz Bida... Lepsze od mojego jak babcię kocham! Skąd wam to przyszło?

— A bo tak mnie już kiedyś przezwano. To było w ochronce, w Symbirsku, a w Symbirsku przecież urodził się Lenin i dziś akurat jego rocznica... Pasuje. Nawet domek ten widziałem, w którym się urodził, tylko wtedy on mnie wcale nie obchodził.

Za żelaznym mostem, po drugiej stronie torów, czekało na nich dwóch towarzyszy z Kokoszki. Jeden poszedł ze Szczęsnym, drugi ze Staszkiem. Zarzucali sztandarki na druty w ciemnej dzielnicy, rozbabranej jak śmietnik i przykrytej tymczasem śnieżną ponową.

Zrobiwszy swoje, znów się zeszli i śmieli się ubawieni przygodą — jak Corobiący spłoszył spod muru uczennice z pędzlami.

Szczęsnemu został jeszcze jeden sztandarek, więc go wyjął i już się zamachnął, wtem zza rogu ukazało się dwóch umundurowanych.

Wsypa zdawała się murowana. Zaułek był ślepy, u wylotu jego stali zaskoczeni policjanci.

Nagle Szczęsny, pochyliwszy głowę, poszedł wprost na policjantów krokiem pewnym, zdecydowanym, z lewą ręką zaciśniętą na sztandarku, z prawą w kieszeni płaszcza.

Ruszyli za nim bezwiednie — jak on, to i oni. Czterech ich sunęło w mroku, a każdy miał prawą rękę w kieszeni.

Policjanci jak na komendę podnieśli paski. Błyskawicznie można powiedzieć zrzucili z brody na czapkę.

— Ależ, panowie... My nie na służbie!

Cztery widma milczące i groźne przeszły obok, skręciły w przecznicę, a władza czmychnęła pod most.

— To był Turek, a drugi był Śliwoń — zauważył Staszek. — Ale swoją drogą, Bida, musisz wiedzieć, że z tym się nie chodzi.

— Z czym?

— A z tym, co trzymasz w kieszeni.

— Figę trzymam — odrzekł Szczęsny pokazując gołą pięść. Spokojnie, z pewną nawet urazą, że prostą rzecz, naturalną musi jeszcze tłumaczyć.

Staszek parsknął na całą ulicę.

— A niech cię! Myślałem, że masz jednak broń! — rżał do wtóru

obydwóch kokoszkan. — Wszyscyśmy tak myśleli... Bida, będzie z cie-ie fajny technik!

Mroźna noc już na dobre stężała, gdy Szczęsny wracał ze Staszkiem o domu. Gdzieniegdzie lampy latarń majdały ze zgrzytem na wietrze pędzając się sennym ciemnościom. Suchy pył śnieżny wirował pod imi jak ćma. Ulica szczerzyła się ostrokołem ułomnych parkanów, wyrwami placów opuszczonych, ziejących czarną rozpaczą. Za każdym arkanem psy czuwając nad światem znajomych zapachów, nad świa-em wymerdanym, zamkniętym na kłódkę, obszczekiwały nerwowo ieznane w krokach dwóch towarzyszy. Poskrzyp ich kroków był nie-ierpliwy i zgodny, do rytmu słów skandowanych z przejęciem:

— Widmo krąży po Włocławku — widmo komunizmu...

Wychynęło ono z rana na miasto czerwienią sztandarków na dru-ach. Wyjrzało z ulotek, z napisów na murach: „L", i znów „L", i je-zcze raz „L" — trzy razy pod rząd. A potem wyraźniej: „Lenin — Liebknecht — Luksemburg!" I już zupełnie wyraźnie, po prostu: „Niech żyje Polska Republika Rad!"

Zerwała się defa z Wajszycem na czele — zrywać, ścierać, łapać!

Wybiegł na miasto gruby Wajszyc z mordą czerwoną, masarską, ten sam, co kiedyś, w czasie strajku, zawarczał na Szczęsnego przy bramie Celulozy: „nie pętać się, nie pętać... Tu czy tam?"

Wybiegł służbiście sierżant Paprocki, zastępca Wajszyca, i zapija-czony Kot, i piękny Jasio-jąkała, dwa asy wywiadu, Śmirus, i Pulpet, i Łysko... Wszystkie tajniaki, których znano jak zły grosz z nazwiska i przezwiska, z twarzy i charakteru, od świtu tropiły już Trzy L. Nawet Latawiec, co zwykle robił tylko zdjęcia i odciski palców, przebrany po cywilnemu asystował teraz Wajszycowej. Szefowa sama poszła dopil-nować interesu.

Szturmak baba, którą Pan Bóg skarał głupim mężem, kroczyła prosto przez miasto nie patrząc na ugrzecznionych kupców przed sklepami. To tylko Wajszyc lubił Żydków, w gotówce i w naturze, pod każdą po-stacią — brudny filosemita! Jak świnia do nich lazł i chwytał, co się dało, bodaj śledzi beczułeczkę, jeśli już nic lepszego nie dało się wymu-sić. Wajszycowa nie! — nosiła się wysoko w kapelusiku z liliowymi apli-kacjami i chodziła tylko na politycznych. Samoczynna parasolka, to-rebka, w torebce rewolwer i puder — ten rynsztunek znał cały Wło-cławek.

Węszył Wajszyc z Wajszycową — nic, tyle tylko, że widzieli święto trzech wodzów proletariatu. Robotnicy nie wszyscy stawili się do fa-bryk, a po żydowskich warsztatach rzemieślnicy strajkowali.

O dziesiątej nadszedł pierwszy meldunek: masówka na Staryn Rynku!

Szefostwo nie zdążyło. Rynek był pusty, nieliczni snuli się przechod nie i znudzone przekupki mogły gapić się do woli, że Wajszyc gęst się tłumaczy, Wajszycowa nos puszkiem opyla wzgardliwie, a torbę je trzyma usłużny Latawiec.

Pociągnęli w stronę Celulozy oddalając się od głównej ulicy, gdzie dojrzewały wypadki, z których długo później śmiano się po budach

Na Trzeciego Maja wpadła Cyklinówna, a przez nią Barcikowska z ulotkami. Jedną złapał Kot, drugą Jasio-jąkała, te asy. Konfident do brze ułożony, z cenzusem, i łapacz ostatniego rzędu, samouk, łachman cuchnący potem i wódą. Każdy z nich miał się za asa nienawidząc kamrata nienawiścią gada odmiennego gatunku, toteż dopadłszy zdo byczy, pociągnął ją za sobą, przeciwną stroną ulicy.

Lada chwila mogła nadejść odsiecz. Cyklinówna spróbowała zagrać na zwłokę.

— Już drugi raz pan mnie prowadzi.

— Prze-prze-praaaszam nnajmoc... — ubolewał Jasio z czarującym uśmiechem.

Był szarmancki, jak zawsze elegancko ubrany, z laseczką, pełen wdzięku i rezygnacji wobec smutnej konieczności.

— Nie szkodzi. Z dwojga złego, wolę już iść z wychowanym człowiekiem. Bo ten pański kolega jest straszny!

— Nno bbbo ja ku-kursy sko-ończyłem, a ten ttto cha-cham!

Tymczasem Barcikowska, idąc z Kotem po przeciwnej stronie, wyciskała łzy niewinności.

— Nawet nie wiem, co jest na tych kartkach. Pan to chyba zaraz wyjaśni, wiadomo, człowiek starszy, nie fircyk jak tamten!

— Szczeniak — potwierdzał Kot — trochę w szkole poduczony, a ja już na służbie dwadzieścia lat. Ja was wszystkich znam jak niańka

Barcikowska spostrzegła, że Cyklinówna nachyla się nad opadającą pończochą, niby poprawia, chcąc widocznie wygrać na czasie.

— Panie, ja się wstydzę — zaczęła błagać Barcikowska. — Chodźmy prędzej i jakąś ulicą, gdzie mniej ludzi. Chodźmy Cyganką. Panu przecież wszystko jedno, ja i tak nie ucieknę.

— Za krótkie nóżki, panienko! Cóż, możemy się przejść Cyganką Jestem zgodny, ze mną jak z niańką.

Tak go Barcikowska przywiodła prosto na podpunkt.

Byli już chłopcy od Mizama, a z Celulozy — Staszek, Szczęsny, Ba jurski i inni.

Kot uciekł, bo nieraz bywał bity i rozum miał w nogach nadzwyczaj ystry. Ale Jasia, co się z Cyklinówną zajął, własną jego laską sprali, o czym Staszek zabrał odbite dziewczyny, żeby czym prędzej wypra- ić z Włocławka, a oni wszyscy podążyli na masówkę, jak było umó- ione, o jedenastej, przy ulicy Trzeciego Maja.

Następna masówka odbyła się w porze obiadowej przed fabryką Fa- ansa, i ostatnia wieczorem na Kokoszce.

Tu Wajszycowie zwęszyli, trzeba było pryskać, jednak sześciu wpa- ło. Ale że tych nowych, nigdy dotąd nie notowanych i wziętych bez owodu nie można było długo trzymać, wyładowano złość na Olejni- zaku i Perlikowskim.

— Za waszym poduszczeniem są wszystkie akcje — powiedział im Wajszyc — więc posiedźcie trochę w areszcie.

Szczęsny wyglądał nowej akcji. Nie było. Partia pochowała się, za- głębiła w robotę powszednią.

Miesiąc minął i nic nowego nie zaszło. Tylko w Niemczech Hitler przestał być nijaki — wybił się na kanclerza, i robotnicy we Wło- cławku zaczęli mu się baczniej przyglądać. Tylko w Celulozie zdarzył się wybuch: ósmy warnik po zagotowaniu dostał dziury. Kochermajster, człowiek niemocny w płucach, zemdlał nałykawszy się gazu. Szczęściem Walek doskoczył. Zamknął parę i otwór pod wyrwanym śrubunkiem zaklinował. Dwa dni potem przeleżał w domu zatruty, ale Pandera go dostrzegł. Walek awansował na pomocnika maszynisty. Nareszcie pra- cował przy automatach.

Jeśli chodzi o rodzinę, to żyło się im nienajgorzej, lepiej niż innym, bo dwóch zarabiało, tylko wyczuwało się u nich jakieś rozluźnienie. Szczęsny z Walkiem ciągnęli w różne strony, nie rozumieli się, nie sza- nowali. Kachna, odkąd poszła na kursy, dla domu przepadła. Ojciec czekał tylko na wiosnę, by ogródek założyć, a Weronka... Cóż, miała ich wszystkich przy sobie, z troską o wikt, bieliznę, ubranie, miała ko- ściół w niedzielę, swego księdza jak gwiazdkę na niebie.

Nawet Szczęsny zapomniał, że Weronka może żyć własnym życiem. Czasem wprawdzie przemknęło przez głowę „marnuje się dziewczyna, za mąż by ją wydać" — ale jak wydać, gdy dzika i dla mężczyzn opry- skliwa?

Nikogo znać nie chciała poza dwiema-trzema sąsiadkami, zawsze sama, chyba że Gawlikowski zejdzie wieczorem z górki do kuchni i siadłszy w kącie patrzy, jak Weronka pierze albo rachuje na zapał-

kach. Oboje słów używali oszczędnie, z musu, mogli się obyć samym milczeniem.

W tym czasie, przed wiosną, wybuchł pożar. Paliło się nie w porcie, ani na Dolnym Szpetalu za Wisłą — paliło się zagranicą, ale iskry padały na Włocławek.

Zakotłowało się w mieście. Wszyscy widzieli wyraźnie, że łuna to groźna — podpalono Reichstag w Berlinie!

Chwytano wiadomości z gazet, z radio: kto podpalił?

W baraku stołówki strugacze co dzień zbierali się przy Szczęsnym — niech czyta, dlaczego aresztowano bułgarskich komunistów? Że to ich robota? Prowokacja!

Co do tego nie było dwóch zdań. Robotnicy z PPS-u, ze związków chadeckich stawali teraz w obronie komunistów. Podpalać, mówili, owszem podpalają na swój sposób, ale nie tak głupio, nie naftą z pakułami!

Palił się cały dorobek niemieckiej klasy robotniczej, wszystkie prawa i wszystkie zdobycze, faszyzm tańczył przed stosem swój taniec wojenny — wstyd było patrzeć.

Ten wstyd, ten gniew ich łączył — Szczęsny to czuł w rozmowach z Leonem czy z innym porządniejszym pepesowcem. Z tym większą jednak siłą rozpalały się namiętności w sprzeczkach o to, kto zawinił.

To było nie do pojęcia, żeby taka potęga jak niemiecki ruch robotniczy, te miliony uświadomionych członków, banki, spółdzielnie, samoobrona, blisko 200 gazet — żeby to wszystko pękło nagle jak bańka mydlana!

Komuniści bili w socjal-demokratów, że nie chcieli jednolitego frontu i poszli na ugodę z Hitlerem. A pepesowcy z błotem mieszali komunistów niemieckich, walczących jakoby więcej z socjal-demokracją niż z Hitlerem.

— Niechby już zwyciężyli komuniści! — wyrwało się raz Leonowi i Szczęsny odpowiedział mu w duchu podobną myślą „niechby już socjały, byle nie Hitler!" Bo Hitler miażdżył tych i tamtych, nic dobrego jego panowanie dać nie mogło tylko obozy i wojnę.

Wzburzenie było tak wielkie, że nawet Gawlikowski zabrał głos, a gdy Stupajka, kłótliwy szpak, który przed tym był Sławojem, znów skrzywdził jakąś ptaszynę, to rozeźlony Gawlikowski przezwał go Hitlerem. Co się biedak nie namordował, żeby ze szpaka zrobić papugę. Nauczył go gwizdać różne melodie, już-już zdawało się próbuje gawo-rzyć, wtem ta złośliwa przekora pobije się z kimś, pomiesza wszystkie dźwięki i Gawlikowski musi zaczynać od nowa, bo takie było jego marzenie, jego ambicja, że nauczy Hitlera mówić po ludzku!

Kto inny może by się uśmiał z tego, ale Szczęsny rozumiał. Każdy człowiek ma jakieś marzenie, niekiedy małe na pozór i śmieszne, a jednak nie do zastąpienia. Bez niego byłby niepełny, okrojony. Grzybowski, na przykład, chciałby mieć pogrzeb jak Węgrowski. Rychlik pragnąłby mówić jak Perlikowski, masy porywać!

Szczęsny w tym czasie nie myślał o sobie, wypełniony nienawiścią gwałtownie wezbraną po latach złudzeń i zatamowań, walczyłby do upadłego — oby ta walka jak burza nadeszła!

A gdy brała go tęsknota za dziewczyną, to chyba za tą z Radomia, spotkaną raz na Powiślu.

Dziwnie to wszystko się splata — taka dajmy na to tęsknota za tym, co jest ponad nami, silniejsze, ważniejsze od nas.

Przypadki chodzą po ludziach. Nieprawda, myśli Szczęsny, to ludzie chodzą po przypadkach bez zastanowienia. Kto ma oczy otwarte, widzi, że stare wciąż do nas powraca w nowej postaci, że nic się nie dzieje tak sobie, bez powodu, i sens jest nawet w przygodnym spotkaniu.

Idzie oto Szczęsny na wezwanie Staszka. W ciemnej sionce ktoś pyta niegłośno:

— Przepraszam, może pan wie, która godzina?

— Dwunasta dochodzi — mówi Szczęsny, choć nie posiada zegarka i jest najwyżej ósma.

— Ostatnie piętro, na prawo, pukać trzy razy — odpowiada z mroku ten sam głos.

Szczęsny idzie na górę po schodach drewnianych, skrzypiących (dużo jest we Włocławku schodów drewnianych, rozchwierutanych), oczy ma otwarte na nowe, na nieznane. Nigdy jeszcze nie był u Staszka. Był tu wprawdzie pięć miesięcy temu, ale na pierwszym piętrze, u Leona. Leon mówił, że Staszek mieszka z matką, a właściwie sam, bo matka służy u państwa i najwyżej raz w tygodniu, któregoś wieczoru, może wyrwać się do domu. Ojca nie ma. Nieślubny.

W maleńkim pokoiku o jednym oknie jest na razie tylko Leon i człowiek szpakowaty z uczesaniem na poleczkę. Staszek przedstawia „towarzysz Bida — towarzysz Prosty", ale Szczęsny pamięta tę zwięzłą twarz, cerę ziemistą, wątrobianą, łupież na kołnierzu...

— Spotykaliśmy się, towarzyszu rektorze...

Dobiszewski nie pamięta. Szczęsny przypomina: uniwersytet ludowy przy ul. Wolność, rozmowa w kancelarii, podanie załatwione przychylnie.

— Wybaczcie, towarzyszu, rzeczywiście, zdaje mi się, żeśmy się widzieli. Tyle miałem podań i tyle młodzieży, że rozumiecie...

— Rozumiem. Kawał czasu. A ja wtedy tylko o tym marzyłem, żeby się dostać do was.

— Tymczasem uczelnia sama przyszła, co?

Okazuje się, że uniwerek dawno jest już przeniesiony z ul. Wolność i towarzysza Prostego przenoszą na emeryturę. Nie nadaje się do „wychowania obywatelskiego".

— Nie żałuję. Rozpoczynam, jak widzicie, wykłady objazdowe... I wy nie żałujcie. W partii prędko się rośnie, prędzej niż na uniwerku.

Schodzą się towarzysze, około piętnastu, z których Szczęsny zna tylko kilku, wśród nich ze zdumieniem spostrzega Gąbińskiego. Staszek wyjaśnia, że go do siebie zaprosił, ręczy za niego — sympatyk.

Siadają na piecu, na łóżku, na desce od prasowania, na parapecie pod szczelnie zasłoniętym oknem... Krzeseł jest tylko dwa.

Staszek przy stoliku zagaja, podniecony jak zwykle, pomyśleć można, Bóg wie jaki występ, a to tylko słów parę, że wobec wielkiego poruszenia tym, co się dzieje w Niemczech, proszą towarzysza Prostego o wykład na ten temat.

Towarzysz Prosty opowiada, jak to się kiedyś zaczęło w pewnej winiarni w mieście, które przywodzi Szczęsnemu na pamięć „monachów" rosyjskich — Monachium...

— Taki z grubsza biorąc był program Hitlera w dwudziestym roku, gdy słuchało go sześć osób. Teraz nie ma w Niemczech sali, która by pomieściła wszystkich pragnących posłuchać proroka Trzeciej Rzeszy...

Towarzysz Prosty pali bez przerwy gniotąc niedopałki z wyrazem obrzydzenia. Inni także kopcą. Żarówkę całkiem zaćmiono. Z żółtawej mgły występują twarze zmienione, nie te same, nie twarze — oblicza. Staszek wcale nie zdun, ale sędzia — jak powie, tak będzie. Bajurski — to chłopiec łapczywy na gadkę, dziecko, co słuchając porusza za starszym ustami, a Gąbiński wygląda jak kibic. Cudza gra go podnieca, sama gra!

— W Turyngii i Saksonii przeważają wpływy komunistów, w Bawarii natomiast Hitlera. Bojówki jego liczą już 10.000 szturmowców...

Gąbiński ma wyraz podziwu.

— Hitler łączy się z Ludendorfem i wraz z nim urządza zamach stanu w Bawarii...

Gąbiński uśmiechem jak gdyby przytakuje. Dziwny to uśmiech na zebraniu robotniczym, obcy i kibicowy.

Wszyscy są z lekka zaczadzeni. Stosy na placach, pogromy żydowskie, napady na ulicy robotniczej, morderstwa, prowokacje... Dużo czadu i nikczemności.

W Niemczech — nędza, bezrobocie, sabotaż finansjery, rozbicie ru-u robotniczego, zamęt w rządach drobnej burżuazji — na tym grzę-wisku Hitler rośnie w siłę...

— Socjal-demokracja kupiona mglistą obietnicą lojalnej współpra- paraliżuje wystąpienie proletariatu, koncerny i banki zasilają Hi-era złotym strumieniem subsydiów, a mieszczaństwo przerażone wid-em komunizmu, wylękłe i zbite z pantałyku mieszczaństwo wynosi go wczym pędem do władzy...

Towarzysz Prosty urywa uderzony, jak się zdaje Szczęsnemu, wy-razem triumfu w oczach Gąbińskiego. Nie, to tylko chwila zamyślenia.

— Jest nad czym pomyśleć, towarzysze. Na wypadki w Niemczech atrzą milionowe masy i wyciągają wnioski. Pierwszy wniosek, że ka-italizm w dotychczasowej postaci robi już bokami i będzie się ratował aszyzmem. Nauka Hitlera nie pójdzie w las...

Mówi o drugim wniosku, także oczywistym dla szerokich mas — że aprawdę z faszyzmem walczą tylko komuniści. Przecież na oczach ca-ego świata zapędzono niemiecką partię komunistyczną w podziemie, apełniono obozy komunistami, a jednak ta partia walczy i pomimo traszliwego terroru mobilizuje przeciwko Hitlerowi pięć milionów gło-ów. Ona jedna. Wszystkie inne partie, z socjal-demokracją razem, leżą rzed nim plackiem.

— Rozpoczynamy kampanię o uwolnienie Dymitrowa, Toglera, Po-owa i Tanewa. Odezwy, zbieranie podpisów, masówki aż do straj-ków protestacyjnych włącznie... Ta kampania powinna stać się u nas pierwszą akcją jedności... Pamiętajmy jednak o błędach niemieckich towarzyszy. Wyzbyć się musimy wszelkiego sekciarstwa. Nie wolno w czambuł potępiać wszystkich robotników z PPS-u! Przekonamy ich nie programem, nie hasłem dyktatury proletariatu, ale naszą postawą w ich obronie w każdym konkretnym wypadku. Trzeba wykorzystać każde wydarzenie, każdego człowieka dla sprawy jednolitego frontu...

To zdanie, tak proste na pozór, kryje w sobie mnóstwo trudności. Wygląda zza niego obrażony Leon, któremu ostatnio fest się przyga-dało, Kaźmierczak skądinąd wcale do rzeczy, ale strasznie zachadeczo-ny, bez księdza z nim ani rusz... Jest jeszcze niechęć wśród ludzi, są sprawy nieprzebaczone, różne kłamstwa i obawy. Nie, niełatwo to pój-dzie, niełatwo będzie z tym wykorzystaniem każdego człowieka, każ-dego wydarzenia.

Szczęsny próbuje wykorzystać poruszenie Hitlerem. Sprzedaje w sto-łówce książeczki Karskiego Hitler — podpalacz Europy.

Towarzysz Prosty przywiózł z Warszawy. Mała książeczka wielkości dłó
ni, wydana legalnie, niby powiastka jaka, a jest w niej wszystko, c
mówił towarzysz Prosty. Tak sprytnie napisana, że czyta się jednym
tchem jak romans, i kosztuje tylko 50 groszy. Chętnie kupują.

Wychodząc z baraku widzi przy ostatnim stole Bajurskiego. Zebrał
się przy nim spora paczka. Słuchają z podziwem — Bajurski nigdy tak
nie gadał!

— ...to całkiem jasne, dlaczego podpalił. Od jesieni zeszłego roku
zaznaczył się w Niemczech przełom na korzyść komunistów. Nawet
w Reichstagu zdołali oni przeprowadzić swój wniosek przeciwko obniża
ce płac. Hitler rozwiązał Reichstag, ale co się okazało? W nowych wy
borach jego partia straciła 32 mandaty, socjal-demokracja — 11 man
datów, komuniści zaś zdobyli dodatkowo 11 mandatów. Naturalnie Hi
tler znów rozwiązał Reichstag, ale nie mógł liczyć na pełne zwycię
stwo, stawało się jasne, że raczej przegra. Lud wyraźnie odwracał się
od niego. Wtedy 27-go lutego, akurat na tydzień przed wyborami, bo
wybory miały się odbyć 5-go marca, zapłonął Reichstag i wybuchła
najdziksza nagonka przeciw komunistom. Komuniści podpalili! Śmierć
podżegaczom! Zaczęły się masowe aresztowania, zamykanie prasy, ni-
szczenie wszystkiego co komunistyczne — akurat, powtarzam, na kilka
dni przed wyborami!

Szczęsny jest zaskoczony odkryciem: Bajurski ma nadzwyczajną pa-
mięć! Gada jak z nut powtarzając prawie słowo w słowo wykład to-
warzysza Prostego. Szczęsny nawet nie przypuszczał, że można mieć
pamięć jak wosk, na którym odciska się wszystko z najdrobniejszym
szczegółem.

— Co z tym fantem robić? — myśli. — Nie można, żeby to się dalej
marnowało...

Przy robocie, postukując siekierą, opowiada niby od niechcenia, że
był w Warszawie jeden taki, którego po miastach pokazywano za drogie
pieniądze.

— A co on miał w sobie, że go pokazywali? — pyta się Kwapisz.

— Pamięć. Pamiętał wszystko, co raz usłyszał, bodaj same liczby
Fenomen — tak o nim gazety pisały.

— Wielka rzecz — odzywa się Bajurski — ja to też potrafię.

— A no spróbuj... Cztery razy cztery szesnaście, cztery raz pięć dwa-
dzieścia, cztery razy sześć...

Bajurski słucha zdzierając łyko z obałka. Usta lekko mu się poruszają
Ośnik łyska w słońcu miarowo, wióry lecą cienkie i długie.

— Skończyłeś? Masz ten fenomen: cztery razy cztery szesnaście

tery razy pięć... — powtarza tabliczkę mnożenia — patefon jakiś, szystko zagra, co na płycie!

— Cholera — mówi Szczęsny — żeby człowiek z taką pamięcią nie niał czytać! Tak nie może być. Muszę cię nauczyć.

— Nie mam czasu... Jak trafię na uniwerek przy Gęsiej, to wtedy ibiorę się do nauki.

— Nie bardzo. Teraz obowiązuje nowy regulamin. Nie wolno przyłać książek, ani ołówków, ani zeszytów.

— W takim razie będę pisał palcem po murze. Zawsze ktoś tam okaże.

Bajurski na nic nie zważa, wszystko dla niego dziś furda. Inni także ą jacyś pewniejsi siebie, robota składnie im idzie. Najlepiej robi się a placu właśnie w taki dzień pogodny w końcu marca, w początkach wietnia, gdy ani mróz, ani skwar nie dokucza. Wśród sągów jest cieło. Wiatr wilgotny, nawiślony przewala się górą nad stertami. Skowronki śpiewając wwiercają się w niebo perliście, obłoki mkną na wyrzódki i powietrze dzwoni wiosną.

Po fajrancie Bajurski pierwszy zmyka, pilno mu za bramę. Ma dziewczynę. Szczęsny nie ma. Bez pośpiechu otrzepuje się z wiórów i pyłu drzewnego, czesze kudły cynowym grzebieniem przed lusterkiem, urągając sobie z goryczą: siekiera! Straszyć może taka twarz spod siekiery, ściemniała na wietrze, zdziczała wśród walki i przeciwności...

Biorąc ze schowka między drzewem resztę powiastek o Hitlerze-podpalaczu, spostrzega na łagance krew i trochę pierza. Lisy ostatnio zrobiły się bardzo żarłoczne. Widocznie mają już małe. A w ogóle ten przechera, co przyszedł do miasta i założył tu rodzinę, jest chyba najmądrzejszym lisem na Kujawach. Poluje, szelma, na myszy, na króliki, dusi ptactwo po komórkach przy domkach robotniczych i żyje bezpiecznie na kupie dzieci i wnuków. Pandera czy Feliks Steinhagen nie będzie się przecież ośmieszał strzelaniem na terenie fabrycznym, obcych stróże nie puszczą, zresztą jak znaleźć go pod sągami wśród ćwierć miliona kubików?

Wychodzi Szczęsny na ulicę, myśli o lisach, że to dobry sposób, z defą trzeba by tak samo na wariata, gdzie się najmniej spodziewa, tymczasem z bramy wysypują się na Łęgską dziewczęta z Madery.

Trzy idą przed Szczęsnym. Trzy dziewczyny w jednym szeregu — mała, większa, największa. Malutką trzyma pod rękę Bajurski, do niej widocznie było mu śpieszno, a koło wysokiej tańcuje Gąbiński. Szczęsny widzi granatowy berecik, płaszczyk jasno szary, włosy bujne, kasztanowe...

Niemożliwe, perswaduje sobie, niemożliwe, żeby to była ona, ale z drugiej znów strony wszystko w życiu możliwe. I przyśpiesza kroku doganiając dziewczęta. Już-już ma zajrzeć w twarz, wtem wysoka odwraca się i Szczęsny bąka „przepraszam".

— Nie ta? — współczuje dziewczyna z drwiącą skierką w oczach.

— Rzeczywiście nie ta — wyznaje Szczęsny. — Pomyliłem się.

— A której pan szuka? — chichoczą koleżanki. — Proszę powiedzieć, może ją znamy.

— Kiedy ona nie z Włocławka. Z Radomia.

— Z Radomia, słyszysz? — trącają tamtą. — Madziu, może to jednak ty?

— Poznajcie się — prezentuje Bajurski — to mój kolega.

Idą teraz wszyscy razem — Fela z Bajurskim, Jadzia z Madzią między Szczęsnym i Gąbińskim. Ten bawi je rozmową, śmieją się z jego kawałów, Szczęsny czuje się nieswojo, obcy tu i niepotrzebny, postanawia, że dojdzie z nimi tylko do rogu Stodólnej.

— A wie pan — zwraca się nagle do niego ta w bereciku, ta Madzia — ja naprawdę jestem z Radomia.

— W takim razie niedawno pani pracuje w Maderze. Inaczej to bym zauważył.

— Jestem dopiero na próbie, dniówkowa. Ale prędko już przejdę na akord. Dziś właśnie pierwszy raz wyrobiłam normę.

— A więc dlatego jest pani taka uradowana.

— Pewnie! Będę miała nie dwa osiemdziesiąt, ale cztery złote, może nawet pięć i więcej, ile zdołam wysortować.

Szczęsny nie zna warunków pracy w pakowalni.

— Jak tam jest u was w Maderze? — zapytuje. — Jaki macie akord?

Madzia z Jadzią tłumaczą, że mają stawkę od wysortowania 100 kilogramów. Stawki są różne zależnie od tego, jaki to papier — drzewny, bezdrzewny czy „Jawa", inaczej pakowy. Dziś właśnie miały „Jawę", przy której dostają 25 groszy za każde 100 kilo, normą zaś jest wysortowanie dwóch ton.

— Wysortowałam — cieszy się Madzia — pierwszy raz nadążyłam, ale rąk nie czuję.

— Przyzwyczaisz się — zapewnia Jadzia — ramiona zawsze bolą od dźwigania i w przegubach rwie od liczenia. Przy ciężkim sortowaniu jak dzisiaj powinnaś zakładać bandaże.

— A jak pani sortuje? — zaciekawia się Szczęsny.

— A tak — pokazuje Madzia ruchami — kładę na stół pakę papieru

) albo 30 kilo, zarzucam z jednego rogu i przebieram palcami po tym achlarzu, czy nie ma gdzie skazy, następnie tak samo z drugiego rogu...

Szczęsny patrzy na dłonie dziwnie drobne i wąskie, potem na twarz twartą i śmiałą, na włosy w sam raz kasztanowe, bo jeszcze trochę, już by wpadały w odcień rudawy...

— I po co ja to mówię, kiedy pan nie słucha, tylko patrzy się na nnie i to tak jakoś...

— Jak?

— Nie wiem. Nieprzyjemnie, tak jakoś czyhająco!

— Bo to szermierz — wtrąca Gąbiński — szermierz na bagnety.

— Nie — usprawiedliwia się Szczęsny — na ręce spojrzałem, bo takie małe, wcale jakby nie robotnicy.

Nie powiedział przecież nic złego, czemu więc strzeliła ostrym wzrokiem? I ruch uczyniła taki, jakby chciała schować swe dłonie.

— Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie byłam robotnicą. Pracowałam dotąd przy koronkach. Przy gipiurach... Dlatego męczę się tu więcej niż inne.

— Zmęczenie najlepiej roztańczyć — radzi Gąbiński. — Chodźmy w sobotę na zabawę. Słuchajcie, czy na pewno będzie? Jesteście w komitecie, musicie wiedzieć.

— Nie jestem w komitecie — odpowiada Szczęsny — będę tam porządkowym, na wszelki wypadek, do wyrzucenia nieproszonych gości. A na zabawę powinnyście przyjść wszystkie z Madery, bo to na Czerwoną Pomoc.

— A to znów co za pomoc?

Szczęsny wyjaśnia jej, że dużo jest więźniów politycznych, za sprawę robotniczą, około dziesięciu tysięcy; regulamin obecnie mają nowy, ostry, brak im wszystkiego, trzeba zebrać pieniądze.

— Dobrze już, dobrze... Nie mówmy o smutnych rzeczach. Rozumiem — na więźniów! Przyjdę, bo szalenie lubię tańczyć.

„Zupełnie nieuświadomiona" szacuje Szczęsny i dalej idzie Stodólną. Dawno minęli ten róg, przy którym miał odejść. Przyjemnie jest nawet w milczeniu iść z dziewczyną, która tak się cieszy z pierwszego akordu czy na pierwszą zabawę w nowym mieście, mniejsza o to, dlaczego podąża radośnie krokiem swobodnym, rozkołysanym, podawszy się naprzód, wychylona ku czemuś. Wyrwała się z Madery i biegnie zda się przez zarośla...

— Jesteśmy — oznajmia Jadzia. — Żegnajcie, mili goście, bo nam się chce jeść.

Wszystkie trzy, jak się okazuje, mieszkają razem w tym piętrowym drewniaku pomalowanym na kolor starej rdzy, w pokoju odnajmowanym u matki Jadzi.

Dwa stopnie u wejścia. Na stopniach wklęsłych, wyszuranych do pół cegły stoi Jadzia i Madzia, bo Fela poszła na spacer z Bajurskim pewnie od dawna z nim chodzi.

Madzia znów dostrzega Szczęsnego. Do tej pory cały czas rozmawiała z Gąbińskim.

— Czy ta radomianka też mówi tylko o polityce?

— Niekoniecznie. W każdym razie nie tylko o tańcach.

— I mieszka obecnie we Włocławku?

— Nie wiem, gdzie mieszka. Spotkaliśmy się raz w Warszawie, gdy byłem bezdomny. Ona też musiała przesiedzieć do rana na ławce w ogrodzie.

— Ach, taaak... — dziwi się, jakby dopiero teraz wszystko zrozumiała. — I przegadaliście całą noc na Powiślu?

— Owszem. A pani skąd wie, że na Powiślu?

— Przecież pan sam przed chwilą powiedział.

— Nie powiedziałem.

— No jakże! Jadziu, słyszałaś?

Jadzia trzyma jej stronę, Gąbiński Szczęsnego i tak się sprzeczają „powiedział — nie powiedział", dopóki nie otwiera się z trzaskiem okienko na piętrze:

— Długo jeszcze mam czekać z obiadem?!

Na ten głos obie uciekają do sieni, która przebija drewniak na wylot, z ulicy na podwórze.

Jadzia dudni po schodach na górę, Madzia przy poręczy unosi nad głową dłoń drobną, ponoć od gipiury, pomachuje w powietrzu jak wszystkie dziewczęta, a jednak inaczej, inna jest niż wszystkie. Szczęsnemu wydaje się, że właśnie jego żegna tak zgrabnie i przyjaźnie.

— Ale dziewczyna — mlaska Bolek. — Łania! Muszę ją sobie przygadać.

— Spróbujcie — mówi Szczęsny.

Głupia będzie, myśli, jeśli na takiego poleci.

I jeszcze się ociąga z odejściem, choć sionka jest pusta. W jasnej ramce wylotu nikogo już nie ma, na sznurze w głębi podwórza coś jak zjawia powiewa — gipiura jakaś czy inna koronka...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Igor Newerly

ORTEGA

Sztuka w 4 aktach, w 6 odsłonach.

OSOBY:

ELIKS ORTEGA — 40 lat
IANA — jego żona, 30 lat.
LIP DALOU — 55 lat.
IARIA CHAVANNES — 28 lat.
ILL TALBOT — 30 lat.
ANDA — jego żona, 24 lata.
NATOL PIETROW — 50 lat.
OBERT GREY — 35 lat.
NITA SUAREZ — 26 lat.
IARRY FRANKLIN — 45 lat.
YREKTOR BIURA PERSONALNEGO — 40 lat.
WINDZIARZ, II WINDZIARZ, III WINDZIARZ.
SEKRETARKA, II SEKRETARKA, III SEKRETARKA.
DELEGAT, II DELEGAT, III DELEGAT, IV DELEGAT.
URZĘDNIK, II URZĘDNIK, III URZĘDNIK.
URZĘDNICZKA, II URZĘDNICZKA, III URZĘDNICZKA.
GONIEC
EKRETARKA DYREKTORA BIURA PERSONALNEGO.
Delegaci i pracownicy ONZ.
Rzecz dzieje się w Nowym Jorku wiosną 1951 r.

AKT I

Pierwsza odsłona

Trzy obszerne dźwigi osobowe w gmachu sekretariatu ONZ, ustawione rzędem, zajmują całą długość sceny. W głębi każdego z nich, tyłem do widowni, przy otwartych drzwiach metalowych stoi windziarz w mundurze i białych rękawiczkach. Przez drzwi na drugim planie widać wielki marmurowy hall, gdzie nieustannie krążą ludzie, między innymi delegaci w egzotycznych strojach. Gdy jeden lub wszystkie dźwigi są „w ruchu", nad drzwiami wyskakują świetlne numery pięter; gdy winda „staje" na piętrze, przez otwarte drzwi zamiast hallu widać tylko ścianę; gdy winda jest na „parterze", znowu widać hall, skąd dolatuje stłumiony gwar rozmów.

W I WINDZIE

I WINDZIARZ *(Do kilku osób przy drzwiach)*: Express! Przystanki od 15-go piętra w górę! *(Kilka osób wchodzi do II windy).* Express! Przystanki od 15-go piętra w górę! *(Parę osób wchodzi do II windy).*

W III WINDZIE

III WINDZIARZ *(Do wchodzącego Dalou, który wyciąga do niego rękę)* Moje uszanowanie dla pana Dalou.

DALOU: Jak się macie, moi drodzy?

III WINDZIARZ: Dawno już nie widziałem pana Dalou — chyba z dwa tygodnie.

DALOU: Tak, byłem pół roku w Ameryce Południowej.

(Wchodzi urzędnik, z którym Dalou wita się serdecznie).

W II WINDZIE

II WINDZIARZ *(Zamykając drzwi, gdy weszło jeszcze parę osób):* Piętra proszę. *(Padają różne numery pięter, windziarz naciska odpowiednie guziki — dla pamięci — i puszcza windę w ruch).*

W I WINDZIE

I WINDZIARZ *(Do osób przy drzwiach):* Express! Przystanki od 15-go piętra w górę!

MARIA *(Wchodząc):* 17-te proszę. *(Windziarz naciska guzik).*

W III WINDZIE

TALBOT *(Wchodząc z grupą kilku osób, do Dalou):* Filip! *(Obejmują się i hiszpańskim zwyczajem poklepują po plecach).*

III WINDZIARZ *(Zamykając drzwi):* Piętra, proszę. *(Padają różne numery, windziarz naciska guziki i winda rusza. Tymczasem II winda staje na jakimś piętrze, parę osób wysiada i winda znowu rusza).*

W I WINDZIE

I SEKRETARKA *(Wchodząc):* 17-te proszę. Dzień dobry, Mario.

MARIA: Serwus! Co ty...też do Personalnego?

I SEKRETARKA: Właśnie. A ty? Jako członek zarządu — jak zwykle?

MARIA: Nie tylko. Mam bardziej skomplikowane sprawy.

W III WINDZIE

DALOU: Co ty mówisz?

TALBOT: Nie masz pojęcia, co się dzieje w Sekretariacie. Nie poznasz ONZ-u.

DALOU: Aż tak?

TALBOT: Nawet w naszym wydziale — w naszej grupie tłumaczy... Ale nie wiesz wcale, że wyrzucili Fayola, Berwicka i tę małą Zosię!

DALOU: Co ty mówisz?

W I WINDZIE

I WINDZIARZ *(Zamykając drzwi, gdy weszło jeszcze parę osób):* Piętra, proszę.

(Tymczasem II winda znowu stanęła na jakimś piętrze i znowu jest w ruchu).

I SEKRETARKA: Więc chcę pójść do dyrektora, chociaż mnie uprzedzono że mnie nie przyjmie — i żebym zwróciła się do niego „drogą służbową"

MARIA *(Z namysłem):* Czekaj... Ja bym wolała, żebyśmy to wpierw wzięli a zarząd. Szkoda, żeś mi wcześniej nie powiedziała.

W II WINDZIE

I DELEGAT: Swoją drogą, nasi gospodarze przeholowali. Nie wpuścić rzedstawicieli Światowej Rady Pokoju, których zaprasza przewodniczący ady Bezpieczeństwa!!

II DELEGAT: Panie ambasadorze, niech mi pan wierzy, że wszystkie elegacje europejskie uważają to za błąd.

I DELEGAT: Niestety, panie ministrze. Nikt z nas nie ma tu nic do adania!

W III WINDZIE

DALOU: Ale tej małej Zosi szkoda. Śliczna dziewczyna. A nogi!

TALBOT *(Śmiejąc się):* Ty w kółko o jednym i tym samym.

DALOU: Czekaj, aż zobaczysz moją Anitę!

TALBOT: Jaką znowu Anitę?

DALOU: Nowa koleżanka. Odkryłem ją w Argentynie. Powiadam ci: alent!

TALBOT: Jako tłumaczka?

DALOU: Jako tłumaczka... również! *(Śmieją się, wychodzą z windy poclepując się po plecach).*

W I WINDZIE

I SEKRETARKA: Osobiście zupełnie się tym nie przejmuję. Mam tego po uszy. Od dawna już chciałam wrócić do Anglii.

MARIA: Kochanie, nie o to idzie! Nie walczymy przecież o własne posady.

I SEKRETARKA: Droga Mario! My, sekretarki, ani wy, tłumacze, nie uratujecie ONZ-u.

W III WINDZIE

I URZĘDNIK: Kto to był? Znam ich twarze, ale sobie nie przypominam.

II URZĘDNIK: Tłumacze. Starszy to Dalou, Belg, a młodszy — Talbot, Anglik.

I URZĘDNIK: To dlaczego rozmawiają po hiszpańsku?

II URZĘDNIK: Wie pan przecież, jakie to towarzystwo. Sami już nie pamiętają, jaki jest ich język ojczysty.

W II WINDZIE

II DELEGAT: Tak, wie pan, powiedziałem właśnie ambasadorowi radzieckiemu: Co z tego, że macie rację? Amerykanie mają większość!

I DELEGAT *(Śmieje się):* Właśnie! Musi być jakaś równowaga na świecie! *(Winda staje, obaj wychodzą, śmiejąc się, wraz z kilkoma osobami, po czym wchodzą inni).*

W I WINDZIE

MARIA *(Zniżając głos):* Zarząd ma poufną wiadomość — od jednej z telefonistek, rozumiesz — że wczoraj telefonował Spencer, drugi zastępca sekre-

tarza delegacji amerykańskiej, żądając usunięcia całego naszego Komitetu Obrońców Pokoju.

I SEKRETARKA: To skandal! Kto tam jest oprócz ciebie?

MARIA: Jest nas czterech tłumaczy, trzy maszynistki, dwóch ekonomistów i jeden urzędnik departamentu politycznego.

I SEKRETARKA: No widzisz! Obrzydło mi to wszystko!

MARIA: Nic nie widzę. Nie można już tolerować tego stanu rzeczy!

W II WINDZIE

III URZĘDNIK: Więc pan uważa, panie ministrze, że nasze stanowisko w sprawie Chin pogrzebało ONZ?

III DELEGAT: Pan mówi o stanowisku delegacji amerykańskiej?

III URZĘDNIK *(Z uśmiechem):* Przepraszam, panie ministrze, powiedziałem „nasze" — mówiąc nie jako Amerykanin, ale jako urzędnik ONZ. Przecież większość delegacji zajęła to stanowisko!

III DELEGAT: Tak, ale niech pan pomówi prywatnie z członkami tych delegacji...

W III WINDZIE

II URZĘDNIK: Wczoraj podobno telefonował delegat amerykański, żeby zrobić porządek z naszymi tłumaczami.

I URZĘDNIK: Czyżby? Sam ambasador telefonował w tej sprawie?

II URZĘDNIK: Podobno miał się wyrazić, że jeśli Sekretarz Generalny nie może sobie poradzić z wydziałem tłumaczy, to Departament Stanu przyjdzie mu z pomocą i przydzieli kilkunastu własnych tłumaczy.

I URZĘDNIK: No, daj pan spokój. Takiego Ortegi na przykład nie mają w całej Ameryce.

II URZĘDNIK: Takiego jak Ortega nie mają, ale takich jak Talbot czy Dalou znajdą z pewnością.

(Tymczasem I winda stanęła na 17-ym piętrze, Maria i I sekretarka wyszły).

W II WINDZIE

II SEKRETARKA *(Wchodząc, zwraca się do innej):* Ach, jak to dobrze: Szukam cię od rana. Ty przecież jesteś zaprzyjaźniona z Zuzanną?

III SEKRETARKA: Z którą? W Biurze Personalnym?

II SEKRETARKA: Tak, tak. Więc dowiedz się, ale koniecznie dzisiaj, przed końcem urzędowania, po co dyrektor wezwał Henryka.

III SEKRETARKA: Aha, nowy flirt?

II SEKRETARKA: Nie bądź głupia! Nie wiesz, co się teraz dzieje w Sekretariacie?

(I winda stanęła na wyższym piętrze i reszta pasażerów wysiadła. Windziarz rozejrzał się po korytarzu, krzyknął „Na dół!" i zamknął drzwi. Winda wraca na parter. Również III winda stanęła i reszta pasażerów wysiadła. Windziarz krzyknął „Na dół!" i weszły dwie urzędniczki i goniec).

W III WINDZIE

I URZĘDNICZKA: 4-te proszę.

II URZĘDNICZKA *(Kontynuując rozmowę):* Ja ci powiem: on jest bar-

dzo przystojny i bardzo miły. Ale... Turek! Rozumiesz? Wyobraź sobie, że go odwołują. I co? Do Turcji nie pojadę.

I URZĘDNICZKA: No, gdyby go odwołali, to mógłby zwrócić się do Departamentu Stanu o prawo azylu.

II URZĘDNICZKA: Czyś ty oszalała? Przecież w Turcji siedzą Amerykanie! Kraj jest zmarshallizowany.

I URZĘDNICZKA: Ach, racja! Ale to nic. Za parę lat będzie tam rewolucja, Alfred ciągle to mówi. We wszystkich krajach zmarshallizowanych będzie rewolucja.

II URZĘDNICZKA: Uważaj, żeby nie wyrzucili twego Alfreda.

(II winda tymczasem stanęła na jakimś piętrze i reszta pasażerów wysiadła. Windziarz krzyknął „Na dół!", i weszły dwie osoby, młodziutka urzędniczka i starszy opasły delegat).

W II WINDZIE

III URZĘDNICZKA: Chciałabym przy okazji prosić pana, panie ambasadorze... Mój narzeczony jest tłumaczem. Między innymi doskonale zna hiszpański. Czy nie dałoby się może... w pańskim biurze... albo w innej delegacji południowo-amerykańskiej...

IV DELEGAT: Co? Posadę? Hm... A dlaczego nie w Sekretariacie?

III URZĘDNICZKA: On właśnie tutaj pracuje... na razie.

IV DELEGAT: Ach tak... A jakiej on jest narodowości?

III URZĘDNICZKA: USA.

IV DELEGAT: A dlaczego go wyrzucają?

III URZĘDNICZKA: Dlatego, że... *(Połapała się).* Ależ wcale go nie wyrzucają! Zapewniam pana, panie ambasadorze... On nie jest czerwony.

IV DELEGAT: Tak, tak... Ale rozumie pani... W takich warunkach... *(Przyglądając się jej).* A może by pani przeszła do mojego biura, co? Właśnie poszukuję prywatnej sekretarki.

(Tymczasem I winda zjechała na parter. Windziarz otworzył drzwi, przed którymi zebrało się już parę osób. Również II winda stanęła na parterze i delegat z urzędniczką wyszli).

W I WINDZIE

I WINDZIARZ: Express! Przystanki od 15-go piętra w górę! *(Czekający odchodzą sprzed drzwi I windy).*

W III WINDZIE

II URZĘDNICZKA: Daj spokój z tym Alfredem. To się źle skończy.

I URZĘDNICZKA: Ale! On jest siostrzeńcem delegata szwedzkiego.

III URZĘDNICZKA: Wielka mi rzecz! Szwecja przecież nie przystąpiła do Paktu Atlantyckiego.

I URZĘDNICZKA: No to co?

II URZĘDNICZKA: Nic nie rozumiesz. Kto zmontował Pakt Atlantycki? Wiesz? Przeciwko komu? Wiesz? No, a Szwecja nie przystąpiła.

III WINDZIARZ *(Zwracając uwagę):* 4-e piętro. *(Wychodzą. W windzie zostaje tylko goniec. Windziarz rozgląda się po korytarzu, woła „Na dół!" i zamyka drzwi).*

GONIEC: Słyszał pan? Wyrzucają wszystkich tłumaczy.

III WINDZIARZ: Co? Tłumaczy?

GONIEC: Podobno telefonował sam Sekretarz Stanu, Acheson.

III WINDZIARZ: Oho! Znaczy się, bez tłumaczy? Źle. Bardzo źle. Znaczy się, nie chcemy gadać z Rosjanami.

(III winda staje na parterze i goniec wybiega).

I WINDZIARZ *(Do osób przy drzwiach):* Express! Przystanki od 15-go piętra w górę!

(Kilka osób wchodzi do I i II windy).

Odsłona druga

Sala tłumaczy w gmachu ONZ. Na wprost olbrzymie okno z widokiem na drapacze chmur i zachodzące słońce. Obok okna — duża półka metalowa z licznymi przegródkami, jak u portiera hotelowego. Na przegródkach widnieją kartki z nazwiskami, a w każdej niemal leżą papiery. Pod oknem i w sali — metalowe fotele, kanapy, stoliki. Na stolikach są porozrzucane czasopisma. Kilka telefonów. W głębi, z prawej strony od widowni — drzwi. Z lewej strony — oszklona szafa biblioteczna ze słownikami i czasopismami. W sali nie ma nikogo. Dzwoni telefon; po chwili znowu dzwoni; jeszcze raz. Pauza. Dzwoni inny telefon, dzwoni jeszcze raz. Potem naraz dzwonią dwa telefony. Wchodzą Grey i Pietrow.

PIETROW *(Podnosząc słuchawkę):* Hallo! *(Odkłada słuchawkę).* Nie ten. *(Idzie do innego telefonu).* Hallo! Serwus, mówi Pietrow.

GREY *(Przy innym telefonie):* Hallo! Tak, sala tłumaczy.

PIETROW: Nie wiem, jest na komisji.

GREY: Kto taki? Jak? Chwileczkę.

PIETROW: Bo co?

GREY *(Do Pietrowa zasłaniając słuchawkę):* Czy jest u nas jakaś Anita Suarez?

PIETROW *(Patrzy na Greya):* Kiedy? *(Do Greya):* Kto?

GREY: Anita Suarez.

PIETROW *(Wzrusza ramionami):* Dobrze. Powiem Franklinowi.

GREY: Nie, nie ma. Nie, pan Dalou jest zagranicą. Ach tak? Nie wiedziałem. Proszę bardzo. *(Odkłada słuchawkę).*

PIETROW: Dobrze, dobrze. Nie, Ortegi też nie ma. Tak, Grey jest tutaj. *(Patrzy na Greya).* Chyba niedługo. Nie zapomnę. Serwus. *(Odkłada słuchawkę).* To Maria. Coś się stało.

GREY: No?

PIETROW: Nie mogła powiedzieć przez telefon.

GREY: Dalou wrócił.

PIETROW *(Uradowany):* Dalou? Skąd wiesz?

GREY: Telefon.

PIETROW: To gdzież on się podziewa? *(Nakręca numer).* Stary łobuz... *(mówi przez telefon).* Mieszkanie pana Dalou, proszę *(pauza).* Hallo! Nie odpowiada? Proszę pani, nie wie pani, czy pan Dalou jest w Nowym Jorku? Pietrow Pie-trow. Wrócił? Dziękuję. *(Odkłada słuchawkę).*

(Grey wyjął papiery ze swojej przegródki i siedzi w fotelu czytając).

PIETROW: Okazja do bibki, co? Jak myślisz?

GREY *(Czytając)*: Potrzebujesz okazji?

PIETROW: No chyba! Inaczej się pije, inny jest nastrój, inne... Ale co ja będę tobie tłumaczył! *(Zerknąwszy na zegarek)*. Skoczę do Ortegi. Druga podkomisja, prawda? Mam nadzieję, że jest wolny wieczorem.

GREY *(Tak samo)*: Zdaje się.

PIETROW: Wiesz, że jest wolny?

GREY *(Odrywając wzrok od dokumentów)*: Mówię, zdaje się, że jest na drugiej podkomisji.

(Pietrow machnął ręką, wychodzi).

GREY *(Za nim)*: Miałeś powtórzyć coś Franklinowi.

PIETROW *(Wracając)*: Co? Ach tak, zapomniałem. Żeby zwołał posiedzenie zarządu na szóstą.

GREY: To wstąp do niego po drodze. Komisja Transportu.

PIETROW: Nie, no wiesz! Będę się fatygował!

(Pietrow wyszedł, Grey czyta. Wchodzi jeden tłumacz, potem dwu innych. Zaglądają do swoich przegródek, kręcą się przez chwilę po sali, przeglądają czasopisma, wychodzą. Wchodzi Talbot i również zagląda do swojej przegródki, skąd wyjmuje plik papierów).

TALBOT *(Spostrzegając Greya)*: Pietrow już poszedł?

GREY *(Czytając)*: Nie.

TALBOT: Dalou wrócił.

GREY: Słyszałem.

TALBOT *(Przeglądając papiery)*: Znowu wyznaczyli mi tę podkomisję populacyjną. A niech to wszyscy diabli! Ty co masz jutro?

GREY: Prawa człowieka.

TALBOT: Nudy na pudy. Na angielski czy na francuski?

GREY: Angielski.

TALBOT: No, tak. Siedzisz sobie i drzemiesz, wszyscy gadają po angielsku. A ja płuca sobie wypluwam, cholera. Jak mnie zaprzęgli do hiszpańskiego, tak od miesiąca nie dają odpocząć. No, wrócił Dalou. Może mnie zmienią.

GREY *(Chowając papiery do kieszeni)*: O ile wiem, czekają na Dalou do pomocy Rosjanom.

TALBOT: No, daj spokój!

GREY: Lepiej zna rosyjski, wiadomo.

TALBOT: Bardzo dobrze zna hiszpański.

GREY: Urodził się w Petersburgu, do Rewolucji tam mieszkał, a pierwszych kilkanaście lat życia — to decyduje o mowie.

TALBOT: Tak, decyduje. Z matką mówił po hiszpańsku, z ojcem po francusku. *(Z niechęcią rzuca papiery na stół. Pauza)*. Nie wiesz, gdzie Pietrow?

(Wchodzi Franklin).

GREY: Poszedł na chwilę do Ortegi. Franklin! Dzwoniła do ciebie Maria. Pilna sprawa. Żebyś zwołał dziś na szóstą posiedzenie Zarządu.

FRANKLIN: Wiesz, skąd dzwoniła?

GREY: Nie.

(Franklin podchodzi do telefonu, nakręca numer. Wchodzą Dalou i Anita).

DALOU *(Do Greya)*: Jak się masz, mój drogi? *(Do Talbota)* Z tobą już się widziałem. *(Do Franklina z oddali)* Serwus, Franklin! *(Grey wstał, ściskają*

sobie dłonie). (Do Anity) Pozwól, że ci przedstawię swoich przyjaciół i kolegów. Robert Grey, syn Albionu a raczej Oxfordu, najlepszy pianista pośród tłumaczy, najlepszy tłumacz pośród pianistów. Bill Talbot, również poddany Jego Królewskiej Mości, pół Francuz, ale urodzony w Buenos Aires i tam wychowany — jak ty. Harry Franklin... Ale niech skończy telefonować. Panowie, oto Senorita Suarez, nasza nowa koleżanka. *(Anita podaje im rękę).* A to jest, moja kochana, nasze — że się tak wyrażę — biuro. Tutaj załatwiamy nasze prywatne telefony, odbieramy korespondencję, plotkujemy. Bo gdy inni muszą udawać, że w biurze pracują, my mamy biuro do wypoczynku.

ANITA: Ach, jak tu przyjemnie!

TALBOT *(Wpatrzony w nią):* A jak wygodnie! *(Podsuwa jej fotel).*

ANITA *(Do Greya i Talbota):* Strasznie jestem rada, że będę pracować w ONZ-ecie. Ale boję się, że nie podołam.

TALBOT: Pani nie tłumaczyła dotychczas?

DALOU: Jak to, nie tłumaczyła! Powieść przetłumaczyła!

ANITA: Skądże! *(Do Dalou)* Wiesz przecież, że to nie to samo. *(Do Talbota)* Taka praca jak tutaj — żeby jednocześnie w innym języku wygłaszać przemówienie — to strasznie trudne, prawda?

DALOU: Egzamin zdałaś doskonale.

GREY: To Dalou panią egzaminował?

ANITA: Tak — i miałam straszną tremę. *(Do Dalou, śmiejąc się)* Pamiętasz?

(Franklin odkłada słuchawkę i podchodzi do rozmawiających).

DALOU *(Podając mu rękę):* Jak się masz, mój drogi? Pozwól, że cię przedstawię: Harry Franklin, najlepszy kolega, prezes stowarzyszenia urzędników ONZ. Senorita Suarez, nowa ozdoba wydziału tłumaczy.

FRANKLIN *(Kłania się sztywno):* Bardzo mi przyjemnie.

DALOU *(Do Anity):* Franklin jest — żebyś wiedziała — jedynym Amerykaninem w Sekretariacie, który jest znawcą literatury hiszpańskiej.

ANITA: Bardzo jestem rada. Czy i pan wychował się w Argentynie?

FRANKLIN: Nie. *(Pauza).* Grey, gdyby Maria jeszcze raz zadzwoniła, to powiedz jej, proszę, że będę o szóstej.

GREY: Dobrze.

FRANKLIN: Zresztą wrócę niedługo, więc niech tutaj zaczeka, gdyby chciała ze mną pomówić przed posiedzeniem. Państwo wybaczą. *(Wychodzi).*

DALOU: Czemu on taki ponury?

TALBOT *(Do Greya):* Czy znowu kogoś wyrzucili?

GREY: Nie wiem.

TALBOT *(Do Anity):* Nasz biedny Franklin niczym innym się nie zajmuje, tylko antyszambruje u Sekretarza Generalnego, który nigdy nie chce go przyjąć.

DALOU: Kochani moi, nie psujmy sobie humorów! Gdzie reszta kolegów? Wszyscy na posiedzeniach? *(Patrzy na zegarek).* Przeciągają się, widzę, te nasze komisje. Możebyśmy się umówili na wieczór?

TALBOT: Doskonale! Przyjdźcie do nas!

DALOU: A nie! Ja zapraszam. Ale à propos: jak Wanda?

TALBOT: Dziękuję.

DALOU *(Do Anity)*: Bill ma uroczą żonę, Polkę.
TALBOT: Przyjdźcie na siódmą, na kolację.
DALOU: Mowy nie ma.
(Wchodzi Pietrow).
PIETROW: Filip! *(Obejmują się i całują).*
DALOU: Jak się masz, mój drogi?
PIETROW: Stary byku!
DALOU *(Do Anity)*: Oto właśnie Anatol Pietrow, przed którym cię już ostrzegałem, mój druh i kompan i kolega jeszcze z dawnej Ligi Narodów — Panie świeć nad jej martwymi duszami! Senorita Suarez.
(Pietrow całuje ją w rękę. Wchodzą dwaj tłumacze, odkładają do swoich przegródek papiery, po czym wychodzą).
DALOU *(Witając się z nimi w przejściu)*: Jak się macie, moi drodzy? *(Do wchodzącego Ortegi)* Aaa! Kochany! *(Obejmują się poklepując po plecach).* Jak się masz, mój drogi? *(Prowadząc go do Anity).* Anito, oto on — we własnej osobie — Feliks Ortega! *(Do Ortegi)* Anita Suarez *(Anita wstaje).* Najmłodsza adeptka sztuki, z której słyniesz na obu półkulach, onieśmielając i odstręczając w ten sposób młodych i utalentowanych tłumaczy, którzy z twego powodu boją się ONZ-u jak ognia.
ORTEGA *(Podając Anicie rękę)*: Niech mu pani nie wierzy.
DALOU: Chyba, żebym ja jej nie wierzył, bo sama mi to opowiadała.
ORTEGA *(Z uśmiechem, patrząc kolejno na Dalou i Anitę)*: Nie chcę wchodzić w to, czy macie sobie wierzyć nawzajem. Więc powiedzmy raczej: niech pani tego nie bierze na serio.
PIETROW: Moi drodzy, wszystkie te zagadnienia — wiary i życia, i życia na wiarę — będziemy roztrząsali, gdy pokrzepimy ducha. Więc umówmy się wszyscy...
TALBOT: U mnie o siódmej...
PIETROW: O siódmej u Talbotów.
TALBOT *(Do Ortegi)*: Przyjdź z Dianą, koniecznie.
ORTEGA: Na siódmą nie mogę. Raczej po kolacji.
DALOU: Więc umawiamy się. No, to na razie. *(Do Ortegi)* Ucałowanie rączek dla Diany. Przedwczoraj właśnie, w Meksyku, byłem w ambasadzie angielskiej na przyjęciu, które Sir Albert wydał z okazji swojej nominacji. Czarujący człowiek. I podobny do Diany, prawda?
ORTEGA: Owszem, jest pewne podobieństwo rodzinne.
DALOU: Więc tymczasem. *(Do Talbota)* Powiedz Wandzie, że mam dla niej niespodziankę.
(Dalou i Anita wychodzą. Pietrow i Talbot oglądają się za Anitą).
PIETROW: Cacy dziewczyna.
TALBOT: Palce lizać!
PIETROW *(Zwracając się do Talbota)*: Ale nie więcej! Bo chyba nie o takiej niespodziance dla Wandy wspominał Dalou. *(Śmiech).*
TALBOT: No, idę. Ale nie spóźniajcie się. Czekamy. Zobaczę, czy jest coś w domu do picia.
PIETROW: To podwieź mnie do garażu. Muszę odebrać swój wóz.
(Talbot i Pietrow wychodzą. Pauza).
GREY: Zmęczony jesteś?

ORTEGA *(Wyjął papiery ze swojej przegródki i siedzi trąc czoło)* Nie... Wiesz, po prostu przybity.

GREY: Przed południem miałeś Radę Bezpieczeństwa?

ORTEGA: Właśnie.

GREY: Co było?

ORTEGA: Nic... Ciągle to samo. *(Pauza).* Obrzydzenie bierze słuchać i powtarzać te kawałki... Wiesz, gdy siedzę zwrócony twarzą do delegacji radzieckiej, to patrzę gdzieś w bok, żeby przypadkiem nie napotkać wzroku Malika.

GREY *(Po chwili):* Tak... To najgorsze. Przy jednoczesnym tłumaczeniu, gdy siedzisz w budce, nikt przynajmniej nie patrzy na ciebie.

ORTEGA: Nie, najgorsze jest to, że mówisz, powtarzasz oszczerstwa i kłamstwa, kłamstwa zresztą, w które nikt nie wierzy — ani mówca, ani tłumacze, ani słuchacze, ani naród.

GREY: Jaki naród?

ORTEGA: Żaden.

GREY *(Po chwili):* Tak...

(Milczenie).

ORTEGA *(Wstając):* No, czas do domu.

GREY: Zostań jeszcze chwilę. Zaraz przyjdzie tu Maria, a wiem, że chciała z tobą pomówić w swojej sprawie i w sprawie pozostałych dziewięciu kolegów, których Amerykanie chcą wylać.

ORTEGA: O co idzie właściwie?

GREY: Założyli Komitet Obrońców Pokoju z Marią na czele, żeby zbierać podpisy w Sekretariacie. Niby, że w ten sposób pogwałcili statut, który zabrania nam działalności politycznej.

ORTEGA: Aha... *(Pauza).* Czy biorąc rzecz formalnie — nie pogwałcili statutu?

GREY: Zmiłuj się! To Sekretarzowi Generalnemu wolno wysyłać nas do Korei, a nam nie wolno podpisać Apelu o zawarcie Paktu Pokoju?

ORTEGA *(Po chwili):* Tak, oczywiście... Ja tylko na chwilę tak — z ich punktu widzenia... Tak, to się nie da utrzymać. *(Pauza).* Ale co ja mogę zrobić w tej sprawie?

GREY: Nie wiem, Franklin zwołał posiedzenie Zarządu. *(Milczenie, Czekają. Ortega odłożył papiery.)*

ORTEGA: Jak tam Franklin? Czy ma wiadomości od syna?

GREY: Był list parę dni temu. Żali się bardzo. Pisze, że skasowano wszystkie urlopy, bo każdy żołnierz amerykański wracający z Korei byłby „rozsadnikiem zarazy pokojowej".

ORTEGA: Zarazy pokojowej... A miał przyjechać na urlop?

GREY: Tak. W tym miesiącu.

(Milczenie. Ortega wstaje, podchodzi do okna, patrzy na zachodzące słońce).

ORTEGA *(Tyłem do widowni):* Wiesz, nienawidzę tego miasta... Ono jest potężne — tak — olbrzymie i jakieś wspaniałe w swoim rodzaju. Ale jak głaz, na którym je zbudowano... Martwe wewnętrznie.

(Grey staje obok Ortegi. Patrzą w milczeniu).

ORTEGA *(Odchodząc od okna):* Za każdym razem, gdy ląduję w Europie, myślę o tym, co tak razi w Ameryce: że nic tutaj nie ma korzeni. Domy nie

mają wspomnień, miasta nie mają historii. Jak gdyby nie było ciągłości, nie było związku z przeszłością — wiesz?

GREY: Wiem, ty myślisz o Toledo. Myślisz o miastach i krajach, gdzie domy mają po kilkaset lat — i gdzie ci się wydaje, że znajdujesz sens życia, sens historii.

ORTEGA: Nie jest tak?

GREY: A gdy patrzysz na amerykańskiego Murzyna, to o czym myślisz? Czy o tym, że jego pradziad z dżungli afrykańskiej został zakuty w kajdany i sprzedany plantatorowi? Nie. Myślisz o tym, że on sam jest deptany jak gad w dżungli amerykańskiej. Bo nie w rodowodzie Murzyna, ale w jego położeniu, w jego obecnym położeniu jest to, co boli, co razi. A ciebie rażą nowe domy.

ORTEGA: Nie przekręcaj. Nie o tym mówiliśmy. Ty mówisz o ludziach...

GREY: No chyba! A co to jest Ameryka? Czy te drapacze chmur, czy też ludzie, którzy żyją wśród tych drapaczy chmur?

ORTEGA: Gdyby nie drapacze chmur, ludzie byliby inni.

GREY: Dajmy na to. Ale co z tego?

(Milczenie. Ortega znowu stanął przy oknie, potem zaczął chodzić).

ORTEGA: No, chyba się nie doczekam.

GREY: Maria zaraz tu będzie.

ORTEGA: Wybacz, ale nie mogę. Obiecałem dzieciom... *(Patrzy na zegarek).* Za godzinę będą już spać. Możemy przecież pogadać u Talbotów.

GREY: Nie wiem, czy Maria będzie mogła przyjść.

ORTEGA: Aha... Ale ty będziesz tam na kolacji? *(Grey potakuje).* To wiesz co? My wpadniemy tylko na chwilę, a potem razem pójdziemy do nas. Więc niech Maria też przyjdzie do nas około dziesiątej.

GREY: Dobra.

(Ortega wychodzi. Słońce już zaszło. Grey wstaje, robi parę kroków, bierze pisma i usadawia się do czytania).

AKT II

Duży salon w mieszkaniu Talbotów z nieodzownym kominkiem, kanapą przed kominkiem, stolikami, przepaścistymi fotelami. Fortepian. Na prawo od widowni — drzwi. Na wprost — oszklone drzwi, otwarte na oścież, przez które widać pokój jadalny, gdzie Dalou, Wanda, Pietrow, Anita, Talbot i Grey kończą kolację. Gwar rozmów, brzęk talerzy.

PIETROW *(Mocno podchmielony):* Proszę państwa! *(Podnosi kieliszek).* Proszę państwa!

TALBOT *(Nieco trzeźwiejszy od Pietrowa):* Udzielam głosu Anatolowi Pietrowowi.

PIETROW: W sprawie formalnej. Co do porządku dziennego... Piliśmy już zdrowie naszej ślicznej gospodyni, potem cudnej Anity, potem naszego brata marnotrawnego Filipa, potem miłościwie nam przewodniczącego gospodarza, potem naszej ślicznej gospodyni, potem cudnej Anity, potem naszego brata marnotrawnego Filipa...

DALOU: Co to za płyta?

TALBOT: Przywołuję mówcę do porządku. Zdrowie gości ani gospodarzy nie jest sprawą formalną.

PIETROW: W sprawie formalnej! Tłumacz widocznie źle przetłumaczył, albo źle mnie zrozumiał. Ja powiedziałem, że będę mówił o porządku dziennym, zaś na porządku dziennym mieliśmy: zdrowie naszej ślicznej gospodyni, potem cudnej Anity, potem naszego brata marnotrawnego Filipa, potem miłościwie nam gospodarzącego przewodniczącego — tj. miłościwie nam przewodniczącego gospodarza, potem naszej ślicznej...

(Gwar rozmów zagłusza słowa Pietrowa, którego nikt nie słucha).

DALOU *(Wstaje z kieliszkiem w ręku):* Drodzy przyjaciele!

TALBOT *(Lekko głaszcząc wydekoltowane plecy Anity):* I przyjaciółki.

DALOU: Do licznych toastów tutaj wzniesionych chciałbym dodać jeszcze jeden. Za przyjaźń! Za naszą przyjaźń i przyjaźń między narodami! Nas sześcioro reprezentuje przy tym stole pięć narodowości. Oby ta przyjaźń urzędników międzynarodowych w służbie pokoju i bezpieczeństwa była zawsze odbiciem niezmąconej przyjaźni między naszymi narodami.

(Wszyscy wstają, wychylają kieliszki).

TALBOT *(Usiłując objąć Anitę):* Za przyjaźń między naszymi narodami!

ANITA *(Broniąc się ze śmiechem):* Jakimi narodami? Pan jest prawie moim rodakiem!

WANDA *(Rzuciwszy okiem na męża, do Greya):* Robert, proszę cię, zagraj coś, albo otwórz radio. *(Do wszystkich).* Zaraz podam kawę. *(Wszyscy z wyjątkiem Wandy, która znika, przechodzą do salonu. Pietrow otwiera szafkę pod radiem i kolejno ogląda różne butelki).*

DALOU *(Do Greya przy fortepianie):* Tylko błagam cię, nie Bacha. Nie po kolacji! Zasnę.

ANITA: Ach, pan na pewno ślicznie gra Chopina! Bardzo proszę — Chopina, na cześć pani Wandy.

TALBOT: Jakiego koniaku szukasz, Anatol?

PIETROW *(Niby płaczliwie):* Ja chcę Napoleona...

ANITA *(Do Talbota):* Pan ma uroczą żonę. Czy ona jest prawdziwa Polka, czy tak jak wy wszyscy — z mieszanego małżeństwa i urodzona w obcym kraju, jak Filip, pan, Ortega?

TALBOT *(Podając Pietrowowi butelkę):* Najprawdziwsza, urodzona w Warszawie, córka polskiego profesora i znanej polskiej aktorki.

ANITA: Aktorki? Ach, jakie to interesujące! I gdzieście się poznali?

TALBOT *(Siadając bardzo blisko Anity):* W Londynie. Podczas wojny.

DALOU *(Do Anity):* Mylisz się co do Ortegi. On jest rodowitym Hiszpanem i nawet urodził się w Madrycie.

ANITA: Ale od dzieciństwa przebywał w Paryżu?

DALOU: Tak.

ANITA: To na jedno wychodzi. Dziwne tylko, że po hiszpańsku mówi jak... jak Cervantes!

PIETROW *(Nalewając koniak):* To nic. Po rosyjsku mówi jak ja! A po angielsku — jak Szekspir!

ANITA *(Śmiejąc się):* Jak Szekspir? To przecież nic nie można zrozumieć!

TALBOT *(Szepcąc jej do ucha)*: Nie trzeba rozumieć, Anito. Trzeba czuć, ...uć i smakować — jak miłość.

(Grey, który dotychczas siedział przy fortepianie, wstał i otworzył radio).

ANITA *(Wstając)*: Ach, pan przecież miał grać Chopina!

(Słychać przeraźliwy jazz, który Grey ścisza natychmiast).

TALBOT *(Pije, ale zrywa się nagle)*: Wspaniale! Zatańczmy! Ale tango, ...ango! Daj spokój z tym radio, Grey. Nastawię patefon.

GREY *(Do Anity)*: Nie mam nastroju. I zdaje się, że reszta towarzystwa, ...wyjątkiem pani, woli trawić kolację przy innym akompaniamencie.

PIETROW *(Przysiadając się z butelką do Dalou)*: Wiesz, co ci powiem, ...ilip? To mnie bardzo wzruszyło, z tą przyjaźnią — to co powiedziałeś...

ANITA *(Do Greya)*: To niełądnie... Ja tak proszę!

GREY: Może później...

PIETROW *(Ironicznie)*: Oby przyjaźń między narodami była jak ta przy...aźń między nami!... Tak, pięknie to powiedziałeś.

TALBOT *(Prosząc do tańca, gdy z patefonu cicho popłynęło tango)*: ...enorita?

(Talbot i Anita tańczą. Grey patrzy na nich przez chwilę i wychodzi przez ...adalnię. Dalou pije, obserwując tańczących).

PIETROW *(Popijając)*: Tak, stary łobuzie... Bo my jesteśmy ludzie, rozu...niesz? Ludzie, a nie bydlęta. Weź Anitę, Talbot pali się do niej. Patrz, co ...z nią wyprawia... Ona jest twoja. I co? Czy dźgniesz go nożem za to, że ją ...przyciska do siebie? Ale gdybyś ty był rządem belgijskim, a on rządem ...brytyjskim, a ona kopalnią złota czy miedzi, czy jakimś guano chilijskim, ...to już byłby zatarg między wami!

DALOU *(Śmiejąc się)*: Tak, gdyby Talbot był rządem brytyjskim, to był...by już zabrał Anitę.

PIETROW: Nie, nie zabrał! Nie, staruszku! Od czego my jesteśmy, my — ...ONZ? Ty byś wniósł skargę, my byśmy rozpatrzyli skargę...

DALOU: I Anitę zabraliby Amerykanie!

(Pietrow i Dalou wybuchają śmiechem).

PIETROW: To, to, to! Zabraliby psiekrwie! Nieszczęście z tymi Jankesami! Bolszewicy jak coś zabierają, to przynajmniej to rozdają. *(Pije).*

DALOU: Źle to formułujesz, mój drogi. Nie na tej płaszczyźnie. Amerykanie, to jednak swoi — jak to bywa w rodzinie, młodsza linia, powiedzmy — ale krew z krwi, kość z kości. Bez naszego wyrafinowania, naszej kultury, patyny. Lecz w historii narodów zwycięski cham i żołdak uczył się zawsze od zwyciężonego arystokraty ducha. Tak, mój drogi. Grecy uczyli się od Fenicjan, Rzymianie od Greków, Frankowie i Germanie od Rzymian itd. W ten sposób kształtowała się nasza kultura i cywilizacja. Ale bolszewicy... bolszewicy, to po prostu buntownicy!

PIETROW: Byli! Byli buntownikami! W siedemnastym roku byli buntownikami. Ty mnie nie ucz historii! Rewolucja francuska, to też był bunt, nie? A rewolucja amerykańska, to też był bunt, może nie? Pleciesz, stary... Upiłeś się i pleciesz... *(Pije).*

DALOU *(Pogardliwie)*: Sam jesteś, widzę, pijany jak bela. Zaraz zaczniesz chlipać, gdy swoim zwyczajem rozczulisz się po pijanemu nad „Matuszką Rossiją". Nic to, że twego ojca wygnali jak psa, że sam byłeś w łachma-

nach, gdyśmy cię przygarnęli w Lidze Narodów! Milsi ci bolszewicy, niż nasi przyjaciele!

PIETROW *(Niby dobrodusznie):* Mówię ci, że się upiłeś i gadasz od rzeczy. A może to... Anita, co? *(Szeptem).* Talbot i Anita, co? *(Wybucha śmiechem).* Taki stary a taki głupi! *(Pietrow podchodzi do tańczących i przygląda się im popijając. Milczenie. Przez dłuższą chwilę słychać tylko patefon).*

DALOU: Talbot! Otwórz drzwi! *(Krzyczy).* Otwórz drzwi, mówię! Ktoś dzwoni!

TALBOT *(Zatrzymując się w tańcu):* Nie słyszałem. *(Odstawia patefon).* To pewno Ortega. *(Wychodzi przez drzwi na prawo).*

(Przez jadalnię wchodzi Wanda i Grey, który niesie tacę z maszynką kawy i filiżankami).

ANITA: Ja pani pomogę.

WANDA *(Do Greya):* Bądź łaskaw — likiery.

(Nalewają kawę i likier. Wchodzą Franklin i Talbot).

PIETROW: Franklin!

FRANKLIN: Dobry wieczór.

WANDA *(Szczerze):* Jak to ładnie, że pan przyszedł.

PIETROW *(Idąc do Franklina):* No, nareszcie! Pierwszy raz przychodzisz na bibkę!

FRANKLIN: Bardzo przepraszam, przeszkadzam na pewno. Wpadłem tylko na minutę, żeby złapać Ortegę. Mieliśmy posiedzenie...

TALBOT: Siadaj, napij się czegoś. Ortegowie przyjdą za chwilę.

WANDA: Pan wprost z posiedzenia? To pan nie jadł kolacji! Zaraz panu coś przyniosę!

FRANKLIN: Nie... Dziękuję...

WANDA: Ale wszystko jest gotowe! Bill, nalej panu Franklinowi kieliszek Vermouthu. Ja tymczasem coś przygotuję. *(Wychodzi przez jadalnię).*

ANITA: Ja pani pomogę! *(Wychodzi za Wandą).*

TALBOT: Co tam Vermouth! Napij się whisky. *(Nalewa jemu i sobie).*

PIETROW *(Coraz bardziej pijany):* To ty nie na bibkę? Ty w interesie!

FRANKLIN: Tak, wyobraź sobie, Pietrow... W naszym wspólnym interesie!

DALOU: Wspólnym interesie? Nie przypominam sobie, bym prowadził z tobą jakieś interesy.

TALBOT *(Śmiejąc się głośno):* Ani ja! Nic mi przynajmniej z tego nie kapnęło! *(Pije).*

DALOU *(Do Talbota):* Bo to są takie interesy, mój drogi, które prowadzi się bez nas, ale za to — za nasze pieniądze.

FRANKLIN: Nie rozumiem tej aluzji.

DALOU: Zdaje się, że dość jasno się wyrażam.

PIETROW: Filip zawsze tak się wyraża, jakby mówił to, co myśli.

FRANKLIN: Ja bym jednak prosił o wyjaśnienie.

DALOU: Cóż.. Prowadzicie swoją politykę bez nas, ale za to w naszym imieniu. Oto chyba dokładne sformułowanie działalności zarządu i naszej roli w stowarzyszeniu jako frajerów — prawda, drogi prezesie?

GREY *(Do Franklina):* Nie warto, Harry... Nie denerwuj się..

FRANKLIN *(Drżąc z gniewu)*: Co ty chcesz przez to powiedzieć?
PIETROW: Ty go jeszcze pytasz! Zawsze wiadomo, co Dalou chce po-
edzieć. Tylko nie zawsze mu się udaje...
FRANKLIN: Ty śmiesz mi zarzucać, że nie jestem bezstronny, że nie
onię interesów wszystkich kolegów?
TALBOT: Ja się tam nie znam na polityce. Ale dlaczego zawsze bronisz
munistów?
FRANKLIN: Jakich komunistów?
DALOU: Słuchaj, Harry, przestań się wygłupiać...
PIETROW: ...Pozostaw to Filipowi!...
DALOU: ...bo nie podejrzewasz nas chyba o to, byśmy nie wiedzieli, że
akcja obrońców pokoju jest inspirowana przez komunistów. I nie wma-
iaj w nas, że większość urzędników Sekretariatu chce tej propagandy
omunistycznej.
FRANKLIN: Więc ty uważasz, że tylko komuniści domagają się zawar-
a Paktu Pokoju?
DALOU: Kto mówi o pokoju, kochasiu? Czy tu chodzi o podpisanie je-
zcze jednego papierka? Ty, urzędnik międzynarodowy, wierzysz w jakieś
akty?
PIETROW: Po co? Takim, jak Dalou, można wierzyć na słowo...
DALOU: Ta cała kampania ma na celu jedno: pokazać światu, że Stany
jednoczone nie chcą pokoju!
FRANKLIN: No, bo taki jest rząd w Ameryce! Bo nie chce pokoju!
DALOU: Jasne, że nie chce! Ale dlaczego? Jakiego pokoju nie chce Ame-
yka? Takiego, który hańbi ludzkość, który przekreśla całą kulturę, który
znacza niewolę ducha, jarzmo bolszewickie, takiego pokoju...
PIETROW: ...na którym nie można zarobić.
DALOU *(Jakby teraz dopiero spostrzegł Pietrowa)*: A, ty też masz coś
o powiedzenia? Nie uchlałeś się jeszcze do nieprzytomności?
PIETROW: Ja może się uchlałem, ale Grey jest przytomny. No, to za-
ytaj Greya — zapytaj go, jakiego pokoju nie chce Ameryka!
DALOU *(Śmiejąc się sztucznie)*: Greya mam pytać!
(Wchodzą Wanda i Anita z kolacją dla Franklina).
DALOU *(Jakby opowiadał dowcip)*: Ja wam powiem, moi kochani, jaki
est nasz Grey. To porządny chłop z kościami, dobry kolega, przyjaciel. Ale
ierzcie mi, gdyby jutro nie daj Boże wybuchła rewolucja, to Grey, który
est moim przyjacielem — powiesiłby mnie na pierwszej latarni.
*(Nagle Pietrow zaczyna się śmiać, śmieje się do rozpuku, zarażając śmie-
hem innych. Grey z kamienną twarzą patrzy na Dalou).*
ANITA: Panie Grey, niech mu pan powie, że to niesmaczny żart!
GREY: Masz rację, Dalou. Powiesiłbym cię na pierwszej latarni.
(Śmiech urwał się nagle. Milczenie).
TALBOT *(Podchodząc bardzo blisko do Greya)*: Coś ty powiedział?
WANDA: Bill!
TALBOT: Powtórz, coś powiedział.
WANDA: Opamiętaj się! To nasz gość!
GREY: Powiedziałem, że Dalou ma rację: że powiesiłbym go na...
TALBOT *(Ryczy)*: Won! Precz z mego domu! Słyszysz!

(Franklin rzucił się między nich).

WANDA: Bill! Tyś oszalał!

TALBOT *(Wskazując Greyowi drzwi):* Pójdziesz stąd, czy mam cię wyrzu
cić?

WANDA *(Podchodzi do Greya):* Błagam cię, nie słuchaj, nie odpowiada
On jest pijany i nie wie, co mówi.

TALBOT *(Po chwili):* Dobrze. Wobec tego ja opuszczę ten dom. Chod
Filip! *(Wychodzi).*

PIETROW *(Krzyczy):* Wróć! Kretynie jeden! Wróć, psiakrew! *(Wychodz
za Talbotem, zataczając się).*

GREY: Strasznie mi przykro...

WANDA: Przestań. To ja powinnam cię przepraszać...

DALOU *(Oschle):* Postaram się go uspokoić. Idziemy, Anito.

ANITA *(Podchodzi do Wandy, staje bezradnie):* Nie wiem... Nie wiem, c
się mówi w takich wypadkach... Chciałabym... Nie mogę podziękować pan
za... za miły wieczór...

WANDA: To zbyteczne.

(Dalou stanowczym ruchem bierze Anitę pod rękę. Wychodzą).

WANDA: Miły wieczór...

*(Milczenie. Franklin nagle się decyduje i zabiera się do kolacji. Wand
ani Grey nie zwracają na niego uwagi. Za sceną słychać głos Ortegi: „C
to? Drzwi otwarte!" Wchodzą Diana i Ortega).*

DIANA: Hallo!

ORTEGA: Co się tu dzieje? *(Ze zdumieniem patrzy na Franklina, któr
je).*

WANDA *(Opanowała się, z uśmiechem):* Diana! *(Całują się).* Siadajcie
Nic się nie stało. Bill się upił i Pietrow się upił i... była mała awantura.

ORTEGA *(Zorientował się):* Aha... I wszyscy poszli zaczerpnąć powietrza

GREY: Właśnie. My tylko zostaliśmy, czekając na was.

FRANKLIN *(Odsuwając talerz):* Ja mam do ciebie interes, Ortega!

WANDA: Siadajcie. Chcecie kawy? *(Do Franklina).* Jeżeli pan chce po
mówić z Feliksem...

FRANKLIN: Nie, nie! Nie mam tajemnic. Nie przed wami! *(Wszyscy sia
dają).*

DIANA *(Do Wandy, która chce nalać jej kawy):* Nie, dziękuję, kochani

ORTEGA: Nie, dziękuję.

FRANKLIN: Krótko mówiąc: zarząd naszego stowarzyszenia odmawia in
terwencji. Większość członków zarządu jest zdania, że żądanie delegac
amerykańskiej jest usprawiedliwione, ponieważ koledzy, którzy założyli Ko
mitet Obrońców Pokoju, pogwałcili statut zakazujący nam działalności po
litycznej.

GREY: To tak, jakby chciano wyrzucić urzędników amerykańskich za t
że głosowali w wyborach do Izby.

FRANKLIN: No, niezupełnie. Zarzuca się kolegom nie to, że podpisa
Apel, ale że założyli w Sekretariacie Komitet Obrońców Pokoju, celem zbie
rania podpisów pod Apelem. To nie jest to samo.

ORTEGA: Nie, oczywiście.

FRANKLIN: Wymówienia zostały im doręczone dzisiaj po południu. Jak ecie, idzie o czterech tłumaczy: Marię Chavannes, Lewandowskiego, Scotta, kinsona i Fernandeza, oraz trzy maszynistki, obywatelki amerykańie i dwóch ekonomistów, również Amerykanów. Poza tym w Komitecie st jeden Hindus, urzędnik departamentu politycznego. Spośród tłumaczy lko Scott jest obywatelem amerykańskim. Wszyscy zostali wezwani do ersonalnego, gdzie im oświadczono, że zostają wydaleni bezzwłocznie, bez lszkodowania — i że ci spośród nich, którzy nie są obywatelami amerykańskimi, muszą opuścić Stany Zjednoczone w ciągu 30 dni, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

ORTEGA: A odwołanie do naszego Trybunału Administracyjnego?

FRANKLIN: Owszem. Mogą się odwołać, co zresztą nie wstrzymuje nakazu opuszczenia Stanów Zjednoczonych. W najlepszym wypadku dostaną dszkodowanie. Ale to teoria. W praktyce nie mają żadnej szansy.

GREY: Nie chodzi tylko o tych dziesięciu kolegów. Chodzi o żądanie degacji amerykańskiej, by usunąć ich za to, że chcieli zbierać podpisy. chodzi o fakt, że Sekretarz Generalny wykonał ten rozkaz.

FRANKLIN: Oczywiście.

(Milczenie).

ORTEGA: Tak... I co dalej?

FRANKLIN: Sytuacja jest następująca. Wobec stanowiska zajętego przez arząd jako ciało, my — to znaczy przede wszystkim Maria, która jest osoiście zainteresowana, oraz inni postępowi członkowie zarządu — nie moemy wystąpić do Sekretarza Generalnego, ani nie możemy się odwołać do alnego zebrania. Pozostaje jedno: żeby paru ludzi o znanych nazwiskach, udzi najbardziej poważanych w Sekretariacie, wystąpiło osobiście.

ORTEGA: Z prośbą do Sekretarza Generalnego?

FRANKLIN: Nie. Z wezwaniem do trzech tysięcy urzędników ONZ.

WANDA: To znaczy strajk?

FRANKLIN: Niekoniecznie. Możemy zastanowić się nad inną formą maowego protestu.

ORTEGA: Na przykład?

FRANKLIN: To właśnie chciałem z tobą omówić.

DIANA: Dlaczego akurat z Feliksem?

FRANKLIN *(Po chwili)*: Dlatego, że nie ma ani jednego urzędnika w ONZ, tóry by nie wiedział, kto to jest Feliks Ortega. Dlatego, że olbrzymia większość urzędników ONZ jest dumna z Ortegi, czytali o nim w gazetach, łyszeli o nim cuda, wiedzą o jego karierze naukowej w Oxfordzie, wiedzą, że jest najlepszym tłumaczem na świecie...

ORTEGA: Daj spokój...

FRANKLIN *(Z uśmiechem)*: Nie mówię, że jesteś. Ale masz taką opinię. *(Do Diany)*. I wreszcie — niech mi pani wybaczy moją brutalność — dlatego, że Ortega jest jednym z najbardziej zagrożonych pracowników Sekretariatu.

DIANA: Co to znaczy?

FRANKLIN: No, wiadomo... W razie czego, żadna delegacja nie mogłaby się za nim ująć. Hiszpan, republikanin... To gorzej niż bezpaństwowiec!

DIANA: Nie, nie rozumiem. Jeśli pańskim zdaniem Feliks jako Hiszpan i antyfaszysta jest jednym z najbardziej zagrożonych urzędników ONZ, to dlaczego on ma się jeszcze bardziej narażać?

GREY *(Po chwili):* Ja ci wytłumaczę, Diano. Chodzi o to, że gdyby Feliks wystąpił z wezwaniem, to dałby taki dowód odwagi, jakiego nikt inny w Sekretariacie nie potrafiłby dać. Wszyscy by zrozumieli, co to dla niego znaczy. I fakt, że mimo wszystko występuje z wezwaniem — może nie pomniejszyłby obaw ludzi o ich własny los, nie wiem — ale na pewno podniósłby znaczenie i... i wagę polityczną samego wystąpienia, samego wezwania.

DIANA: To jakiś nonsens! Więc panowie chcecie, żeby Feliksa wyrzucili z ONZ-u dla jakiejś brawury, żeby ludzie mówili: patrzcie, jaki ten Ortega odważny? Po co to? I cóż my poczniemy? Dlaczego mają nas wypędzić z Ameryki? Jak to będzie wyglądało? Feliks, odezwij się! O tobie mowa!

FRANKLIN: Ależ proszę pani! To nie jest najważniejszy powód, dla którego Ortega powinien wystąpić. To uboczny motyw, dodatkowy. Przede wszystkim idzie o to...

DIANA: Tak, że jest znany jako najlepszy tłumacz! No, to co? To każdy pomyśli: „Oczywiście, Ortega może sobie na to pozwolić. Jego nie wyleją. Ale mnie wyleją!" Nie, panowie, lepiej poszukajcie sobie kogo innego. Feliks nigdy się nie zajmował polityką. I cały ten projekt nie ma sensu. Powinien wystąpić pan Franklin, ot co!

GREY: Dlaczego Franklin?

DIANA: Bo go wybrali na przewodniczącego, więc chyba go znają, szanują i mają zaufanie do niego. A poza tym, skoro już o tym mowa, to jako postępowy Amerykanin, pan Franklin jest co najmniej tak samo zagrożony, jak Feliks.

FRANKLIN *(Z uśmiechem):* Pani wybaczy... Dla naszych potrzeb tysięcy ludzi, Harry Franklin to zwykły urzędnik, który pracuje społecznie i jest niezgorszym kolegą. Nie mam niestety prestiżu Ortegi, a nikt bez prestiżu osobistego nic tu nie zdziała.

(Ortega wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. Diana, Grey i Franklin wodzą za nim wzrokiem).

WANDA *(Zamyślona):* Słucham waszej rozmowy — tej jakiejś licytacji — kto jest bardziej znany, bardziej zagrożony... Dlaczego nikt nie mówi, że wszyscy jesteśmy zagrożeni? Że grozi wojna? Dlaczego nikt nie mówi, że jesteśmy świadkami tego, jak się przygotowuje wojnę? Wy jesteście w ONZ-cie, wiecie wszystko, widzicie to z bliska, a jednak...

(Pauza).

ORTEGA *(Który przystanął po pierwszych słowach Wandy):* Co — „jednak"?

WANDA *(Z pasją):* Po coście poszli do ONZ-u? Co was tu sprowadziło? Ty, Robert, mogłeś spokojnie siedzieć w Londynie wśród swoich książek i nut. Ty, Feliks, byłeś wybitnym językoznawcą w Oxfordzie. Poszliście do ONZ-u, żeby służyć wielkiej sprawie pokoju, prawda? A czemu służycie Amerykańskiej organizacji wojennej!

DIANA: Jak możesz!...

WANDA: Wybacz Diano... ale słuchając, jak tutaj broniłeś Feliksa, z panami, żeby broń Boże nie naraził się Amerykanom, wybacz — ale ja... a sobie myślałam, że... byłabym dumna, gdyby przyszli do mego męża... prosić... Byłabym szczęśliwa!

(Ortega podchodzi do Wandy, stoi nad nią mocując się ze wzruszeniem— znowu zaczyna chodzić po pokoju).

WANDA *(Cicho)*: Miałam dwanaście lat, gdy wybuchła wojna... Nigdy już potem nie byłam w Polsce. Mówili, że tam rządzą robotnicy i chłopi, że nie ma kultury, nie ma co jeść... Mówili o wolności w Anglii i Ameryce... Ale wiedziałam! Wiedziałam, że kłamią. Nie wiedziałam tylko, nie rozumiałam, dlaczego kłamią, po co. Ale gdy odbył się w Warszawie Światowy Kongres Pokoju — Kongres, który nie mógł się odbyć nigdzie na Zachodzie, to nagle — może to głupie, co powiem — nagle zrobiło mi się tak... tak radośnie, że w moim kraju są lepsi ludzie, niż tu... Nagle poczułam, że mogłabym należeć do tych dobrych ludzi — i że tych ludzi, którzy walczą, żeby nie było nędzy, żeby nie było wojny, żeby nie było nieszczęścia na świecie — są miliony, ale nie tu.

(Pauza).

GREY: Tutaj też są, Wando. Nie mówmy o nas: o Feliksie i o mnie. Może lepiej bym uczynił, gdybym został w Anglii i pomagał w swoim kraju. Nie przypuszczałem, że będzie tak, jak jest. Ale i tutaj są ludzie, którzy wszystkimi siłami dążą do tego, by nie było wojny. Harry walczy o to samo, o co walczą w Polsce i w Związku Radzieckim i w Chinach i w tylu innych krajach. I takich jak Harry jest wielu w Ameryce.

DIANA: Tak, bo pan Franklin ma syna w Korei! Ale jak przychodzi co do czego, to się zwracacie do Feliksa!

FRANKLIN: Niechże pani zrozumie... Chodzi o ONZ, o urzędników międzynarodowych!

DIANA: Ale lwia część tych urzędnikow, to przecież Amerykanie! Dlaczegóż wymagacie od Hiszpana, człowieka bez paszportu, bez ojczyzny, by się poświęcał dla was? On w swoim własnym kraju nie walczył...

ORTEGA: Przestań!! *(Po chwili, z wysiłkiem)* Przepraszam...

DIANA *(Zmieniając ton)*: Ja tylko chciałam powiedzieć, że Feliks nie jest — jak to się mówi? — bojownikiem. Nikt nawet nie wie, ile go to kosztuje, żeby przemawiać publicznie, gdy tłumaczy na Radzie Bezpieczeństwa. To go zjada po prostu! A zresztą, gdyby Feliks wyleciał z takim trzaskiem... Moja rodzina w Anglii mogłaby mieć przykrości. Nie moglibyśmy już liczyć na jej poparcie.

GREY: Ale dlaczego przypuszczać... Sama przecież powiedziałaś, że Feliks może sobie na to pozwolić! Tak powiedziałaś, prawda? Że to nie odniesie skutku, bo każdy sobie pomyśli: Ortegi nie wyleją, ale mnie wyleją... No, więc w najgorszym razie to nie odniesie skutku!

(Milczenie. Słychać dzwonek).

GREY *(Do Wandy)*: Ja otworzę.

(Grey wychodzi i długo nie wraca. Ortega chodzi po pokoju. Diana niespokojnie patrzy na niego. Wanda zerka w stronę drzwi. Wreszcie Franklin wstał i podszedł do Ortegi).

WANDA: Kto tam przyszedł? *(Idzie do drzwi).*

(Szybko wchodzi Maria, za nią Grey).

MARIA: Dobry wieczór, nie witam się. Ja do ciebie, Harry. Szukam cię po całym mieście. Musimy natychmiast jechać do domu.

FRANKLIN: Co się stało?

MARIA: Powiem ci w drodze. Nie ma czasu.

FRANKLIN: Mario! Co jest?

MARIA: Twoja żona zasłabła. Chodź. Szybko. Telefonowałam już po lekarza.

(Maria i Franklin wychodzą w pośpiechu).

ORTEGA *(Do Greya po chwili):* Maria powiedziała ci coś w korytarzu.

GREY: Tak... Depesza z Ministerstwa Wojny...

ORTEGA: Syn!! Zginął?

WANDA: Boże!

(Długie milczenie Stoją skamieniali. Ortega siada, zakrywa twarz).

AKT III

Niewielki gabinet w mieszkaniu Ortegi. Książki do sufitu. Antyczne meble angielskie. Wrażenie elegancji, prostoty i ciepła. Na wprost — okno zasłonięte portierą. W głębi na prawo — drzwi. Na lewo od widowni — drzwi do hallu. Na pierwszym planie biurko. Gdy podnosi się kurtyna, Ortega chodzi po pokoju, potem siada i zakrywa twarz. Po chwili drzwi w głębi otwierają się i wchodzi Diana w szlafroku.

DIANA: Przeszkadzam ci?

ORTEGA: Nie, nie. Czekam na Marię.

(Diana siada. Milczenie. Ortega wstaje i znowu zaczyna chodzić tam i z powrotem).

DIANA: Nie przejmuj się tak, kochany... Naprawdę... Co to ma za sens?

ORTEGA: Nie rozumiesz...

DIANA: Ależ rozumiem! Śmierć tego chłopca boli mnie tak samo jak ciebie!

ORTEGA: To nie to. Nie o to idzie. *(Ortega staje przed biurkiem, machinalnie bierze przycisk do papierów, waży go w ręku, odkłada go, przesuwa papiery, odchodzi od biurka, siada z dala od Diany).*

DIANA *(Podchodzi do męża, siada na poręczy jego fotela, gładzi jego włosy):* Feliks, nie można tak... Nie można tak się zagryzać... Jedyny mój!... Wiem, o czym myślisz... Strasznie mi przykro, że tak się spierałam z Franklinem... Ale ty byś się zawsze kierował uczuciem... A teraz tym bardziej... Jesteś wstrząśnięty tą śmiercią...

ORTEGA *(Wstaje, robi parę kroków):* Niepotrzebnie mówiłaś, że... że nie powinienem wystąpić, gdy Franklin apelował do mnie... *(Pauza).* I jak mogłaś powiedzieć o nim — że walczy o pokój, bo ma syna w Korei?

DIANA: Nie powiedziałam, że dlatego!

ORTEGA: Owszem, powiedziałaś. Że dlatego walczą o pokój — on i inni Amerykanie. A jak przychodzi co do czego, to zwracają się do mnie.. I że dlaczego akurat do mnie? Że ja przecież... we własnym kraju nie walczyłem!...

DIANA *(Cicho)*: Wybacz mi, kochany... *(Podchodzi do niego)* Nie gniewaj się na mnie... Błagam cię! Ja tylko chcę ustrzec cię od tego szaleństwa...

ORTEGA *(W którym wzbiera gniew)*: Jakiego szaleństwa? Gdyby twój syn był o dziesięć lat starszy i był wysłany do Korei jak...

DIANA: Nie mów!!

(Milczenie).

ORTEGA: Musimy bronić się przed tą potworną rzeczą. Ty nie rozumiesz... Nie wiesz, co Amerykanie zrobili z ONZ-u. Posadzili te marionetki południowo-amerykańskie i inne, wszystkich tych opasłych i upermumowanych bydlaków, żeby głosowali za wojną w Korei, za blokadą Chin, za nawiązaniem stosunków z Franco! Grożą bombą atomową, bombą wodorową! A my tu siedzimy jak psy na łańcuchu i ujadamy na delegatów radzieckich czy polskich. Ja przecież nic innego nie robię, tylko szczekam we wszystkich językach. Za to mi płacą. Za to posyłam dzieci do szkół, gdzie na domiar uczą się nienawiści do wszystkiego, co postępowe — gdzie wpaja im się wstręt do Murzynów i pogardę dla Azjatów. Ja... ja krztuszę się tymi słowami, które codziennie muszę tłumaczyć. Wiem, co one znaczą, co się za nimi kryje, po co są powiedziane, a jednak je powtarzam... *(Z goryczą)*. Po to wstąpiłem do Organizacji Narodów Zjednoczonych!

DIANA: Przecież nie musisz — nie musisz tu zostać! Czy ja mówię, że chcę mieszkać w Ameryce? Sam wiesz, jak się niepokoję o dzieci. Jestem przerażona tym wychowaniem. Naprawdę, będę szczęśliwa, jeśli wrócimy do Anglii. Ale to trzeba przygotować! W Anglii ani we Francji nie chciałbyś takiej posady. Trzeba się rozejrzeć, pomyśleć... Może za rok, dwa. Może Albert by pomógł — może wuj Edward... Nie daj się tylko wciągnąć w żadną awanturę! Nie urządzaj strajków! Po co ci to?

ORTEGA *(Podchodzi do niej, głaszcze ją po głowie)*: Dziecko jesteś... Nie można uciec od tego zła.

DIANA: Można, Feliks. Trzeba, jeśli to cię tak gryzie. Wrócisz do pracy naukowej. Ja wezmę posadę, mamy trochę oszczędności. Zamieszkamy znowu w Oxfordzie.

ORTEGA: W Oxfordzie, powiadasz...

DIANA: Tak, kochany...

ORTEGA: Dobrze by było. Stare mury, stare uliczki — i te łąki, nagle, nad rzeką, w środku miasta, jak oaza... Ale nie! Czas na mnie. Najwyższy czas.

DIANA: Na co czas, Feliks?

ORTEGA *(Całuje ją)*: Na mnie. Jestem potrzebny. Zrozum! Nareszcie jestem potrzebny. Będę mógł pisać i mówić o tym, co od tylu lat widzę dokoła siebie — i od czego uciekałem. Ileż rzeczy mnie dręczyło! Teraz będę wolny. Wolny i szczęśliwy. Zobaczysz!

DIANA: Będziesz pisał?

ORTEGA: Będę pisał, będę mówił na wiecach...

DIANA: Dlaczego na wiecach?! Co się z tobą stało? Czy musisz wszystko rzucić, narazić się, zmarnować swoje życie?!

ORTEGA: To oni zmarnowali moje życie, Diano — ci co mnie przekupili i zrobili ze mnie błazna, kukłę, która zamyka oczy i mówi kilkoma

językami. Ale teraz czuję w sobie tyle siły! Tyle siły — i grunt pod no gami!

DIANA: Ale co z nami będzie?

ORTEGA: Damy sobie radę. Jeśli wypędzą nas z Ameryki, to pojedzie my do Anglii, do Francji, do Ameryki Południowej. Gdziekolwiek będzie my, będziemy mieli przyjaciół. To jest najważniejsze, Diano. Wszędzie w każdym kraju będziemy mieli przyjaciół — tysiące przyjaciół, którzy wal czą o pokój.

DIANA: Ale dzieci, Feliks? Co będzie z dziećmi?

ORTEGA: Będziemy razem. Nie zginiemy. Jak nie będzie wojny, t nie zginiemy. Wszędzie, gdzie będę mówił o tym, kto i dlaczego przygoto wuje wojnę — dlaczego w ONZ-ecie głosują za wojną — wszędzie przyj mą nas i pomogą. Zobaczysz. A za to...

(Pauza).

DIANA: Co za to?

ORTEGA *(Cicho):* Za to... będę mógł wrócić do Hiszpanii... Zdobędę pra wo powrotu, rozumiesz? Gdy minie burza, gdy zniknie faszyzm, to poje dziemy do małej wioski rybackiej na Majorce, w słońce... Matka mi opo wiadała. Mój ojciec tam się urodził. Tam, w słońcu, na Balearach — spędzimy ostatnie nasze lata... po tej długiej wędrówce — chcesz?

DIANA *(Po chwili, sucho):* Nie, Feliks. To są mrzonki. *(Wstaje, robi par kroków).* Nie wiem, co się z tobą dzieje. Co prawda, zawsze bujałe w obłokach. Kiedyś mi się to podobało... Byłeś inny, niż mężczyźni z me go otoczenia. Byłeś romantyczny... porywczy... niezwykły. Ale widzę, ż jesteś tylko fantastą i że... że...

ORTEGA: Że zrobiłaś wielki błąd w życiu?

DIANA: Możesz sobie kpić. U ciebie zawsze tak. Wpierw się wzruszasz a potem ironizujesz. Ale wzruszasz się tym, co sobie wyimaginowałeś a kpisz z tego, co jest naprawdę. *(Pauza).* Nie rozumiem tylko, jak mo żesz nie dbać o dzieci! Poświęcać dzieci dla jakiejś polityki! Narażać j na poniewierkę!

ORTEGA *(Cicho):* Więc wolałabyś poświęcić swego syna, tak jak Frankli musiał swego syna poświęcić? Zrozum, że...

DIANA *(Przerywając):* Nie chcę rozumieć! Nie chcę słuchać twoich racj Nie przekonasz mnie, że uratujesz świat!

ORTEGA: Diana... Doprowadzasz mnie do rozpaczy! Ja...

DIANA: A ja? Do czego ty mnie doprowadzasz? Dałam ci najlepsze la ta mego życia, moją młodość, 10 lat! Walczyłam z całą moją rodziną o cie bie! Nie żałowałam tego. Nie chciałam zabaw i blichtru i bogactw, jaki mogłam mieć!

ORTEGA: A dzisiaj... żałujesz?

DIANA *(Po chwili):* Nie wiem... Zabrałeś mi całą... całą przyszłość. Bó raczy wiedzieć, co z nami będzie.

ORTEGA: Mówię ci przecież...

DIANA: Nie, nie! Nie pójdę na poniewierkę! Ja nie chcę! *(Pauza).* Nie mo gę. *(Pauza).* Wolę już... Choćbym miała... sama wrócić z dziećmi do Anglii!

ORTEGA: Diana!

DIANA: Żebyś wiedział!

(Milczenie. Ortega siedzi nieruchomo. Diana patrzy na niego i nagle, szybkim krokiem wychodzi. Po dłuższej chwili słychać dzwonek, potem pukanie do drzwi i wchodzi Maria od strony hallu).

MARIA: Można? Przepraszam, że się spóźniłam.

ORTEGA *(Szybko podchodzi do niej)*: Jak Franklin?

MARIA: Nic. Słowa nie powiedział. Jak kamień.

ORTEGA: Kto teraz jest z nim? Robert? *(Maria potakuje)* A ona?

MARIA: Śpi — po zastrzyku. *(Siada).*

ORTEGA *(Po chwili)*: Straszne!

MARIA: Tak. *(Pauza).* Musimy jednak załatwić naszą sprawę, Feliks. *(Pauza).* Może Diana chciałaby być przy tej rozmowie? Robert mi mówił, że opierała się gwałtownie...

ORTEGA: Nie, poszła już spać.

MARIA: Aha. *(Pauza).* Więc jak będzie, Feliks?

ORTEGA *(Po chwili)*: Nie wiem...

MARIA: Nie zdecydowałeś się jeszcze?

ORTEGA *(Po chwili)*: Nie... jeszcze nie.

MARIA *(Cicho)*: Dlaczego? *(Ortega nie odpowiada. Długa pauza).* No, a kiedy się zdecydujesz w takim razie?

ORTEGA: Nie wiem... Daj mi kilka dni czasu...

MARIA *(Trochę zniecierpliwiona)*: Kilka dni? Jutro musimy zwołać zebranie. Trzeba zmobilizować ludzi do masowego protestu. Trzeba do nich przemówić! *(Pauza)* Feliks! Nie występowałeś dotychczas, to prawda. Ale nikt z nas nie wątpił, że w razie czego wystąpiłbyś, że możemy liczyć na ciebie. A teraz, gdy ci mówimy, że jesteś potrzebny — nie możesz się zdecydować!

ORTEGA *(Z wysiłkiem)*: To nie to... Jestem zdecydowany. Ale...

MARIA *(Cicho)*: Ale co?

ORTEGA *(Znalazł wybieg)*: Ale czy sądzisz, że ja, który zawsze trzymałem się na uboczu, potrafię zrobić ideowych ludzi z takich... Talbotów czy Pietrowów? Tak — od razu? Może wy to potraficie — wy politycy i działacze społeczni. Ale skąd ja?

MARIA: Słuchaj, Feliks. Tylko nie gniewaj się na mnie. Powiem ci coś bardzo przykrego.

ORTEGA: Wiem. Że nie jestem lepszy od Dalou czy Talbota.

MARIA: Nie. Jesteś lepszy. Ale nie masz prawa tak o nich mówić, bo nic nigdy nie zrobiłeś, co by cię kwalifikowało jako „ideowego człowieka".

ORTEGA: Niech i tak będzie. Tym mniej możecie wymagać ode mnie, bym bez tej kwalifikacji organizował ludzi do walki.

MARIA: Przeciwnie. Gdybyś był znany jako człowiek ideowy, jako postępowiec, to zrobiliby z ciebie bolszewika. Roztrąbiliby, że z tobą idą tylko komuniści, że ktokolwiek będzie solidaryzował się z tobą, da dowód, że jest komunistą, lub przynajmniej sympatykiem. Nastraszyliby ludzi. Ale wszyscy wiedzą, że całe życie trzymałeś się na uboczu, z dala od polityki, że jesteś antyfaszystą w tym sensie, w jakim każdy uczciwy Hiszpan i każdy uczciwy człowiek w ogóle, który nie chce mieć nic wspólnego z mordercami Franco, jest antyfaszystą. Jesteś akurat taki, jak większość urzędników Se-

kretariatu. I dlatego wielu pójdzie za tobą. Nie zlękną się. Nikt im nie wmówi, że w ten sposób zadeklarują się jako komuniści. Nie tylko komuniści walczą o pokój. *(Pauza).* Ja wiem, Feliks... Tobie trudno... trudno przestawić się. Znam to wszystko. Widzisz — mój brat i ojciec byli tacy sami jak ty. Obydwu zamordowało, zamęczyło Gestapo. Gdyby walczyli w Ruchu Oporu, gdyby byli w organizacji, być może przed śmiercią dokonaliby czegoś... Być może ich śmierć i katusze uratowałyby innych... Ale nie chcieli, nie umieli. Nie byli „działaczami". Byli uczciwymi ludźmi... patriotami francuskimi, dobrymi katolikami. *(Pauza).* Ale czy nie widzisz, że ludzie się zmieniają? Czy Robert Grey nie zmienił się?

ORTEGA *(Z uśmiechem):* Owszem. Pod twoim wpływem.

MARIA: Wiesz, jak był daleki od... jaki był nieuspołeczniony, do trzewi nieuspołeczniony. Dziwiłam się nawet, że tutaj przyjechał, żeby pracować w ONZ-ecie!

ORTEGA: Bo ty byłaś tutaj.

MARIA: Nieprawda. Ledwośmy się znali w Anglii. A zresztą, obojętne, co kogo naprowadza na dobrą drogę, byle na nią wkroczył. Gdybyś się teraz zgodził wystąpić, byłoby przecież obojętne, dlaczego taki pięknoduch znajduje w sobie nagle dość siły charakteru, dość męstwa, by ewentualnie zamienić to wszystko... *(Gestem wskazuje pokój)* z żoną arystokratką i małymi dziećmi, na jakąś mansardę w Paryżu.

ORTEGA: Pięknoduch, powiadasz... Nie będę cię przekonywał. Nie znacie mnie. Sądzicie według... według pozorów, według szablonu. Sądzicie według tego, czym się kto wykazał. No, tak. Macie rację. *(Pauza).* Ale ja ci powiem. Człowiek nie zmienia się z dnia na dzień. Ty powiadasz: Gdybym się zgodził, byłoby obojętne, dlaczego taki „pięknoduch" jak ja zdecydował się nagle... To nie jest obojętne. Bo właśnie nie byłbym zdecydował się nagle. Ja zawsze byłem gotów — całe życie byłem gotów, rozumiesz? Gdyby wtedy, w trzydziestym szóstym roku, ktoś przyszedł do mnie i powiedział: „Idź, Ortega, to twój kraj, to wielka sprawa, o którą walczy lud hiszpański — sprawa, za którą warto umrzeć!" Ja byłbym rzucił wszystko i pojechał do Hiszpanii. Byłbym poszedł na front, jak to było moim obowiązkiem. Moim psim obowiązkiem. *(Pauza).* Nikt nie przyszedł do mnie, nikt mi tego nie powiedział, a ja... ja sam nie miałem... nie wiedziałem — i nie miałem siły.

MARIA: No, widzisz...

ORTEGA: Czekaj! *(Pauza).* Nigdy tego nie mówiłem nikomu... Od piętnastu lat z tym żyję. Z tym... wstydem. Z całego świata ludzie... umierali... za mój kraj. Za mój nieszczęsny kraj, który krwią spłynął. Walczyli za mnie. Rozumiesz, Mario? Za mnie umierali. *(Pauza).* Całe życie potem człowiek chodzi z tym jak z chorobą serca. Chwilami nic ci nie dolega, śmiejesz się, bawisz się z dziećmi. Wydaje ci się, że jest lepiej. Ale nigdy, nigdy nie możesz zapomnieć.

MARIA *(Cicho):* Ja wiem, ja nie o tym mówiłam, że jest obojętne dlaczego... Chciałam tylko powiedzieć, że tylu z nas, z takich czy innych powodów przeżyło podobne rzeczy, że jest obojętne, jakie to są rzeczy. Ciebie gnębi myśl, że ty, Hiszpan, nie walczyłeś w Hiszpanii. Ale tam chodziło nie tylko o Hiszpanię, wiesz przecież! Może... gdy mego ojca i brata katowano w Gestapo — może cierpieli te katusze z przebłyskiem świadomości, że umierają

za to, za co nie walczyli... Może inni, może Pietrow w bezsenną noc myśli czasem o swej ucieczce z Rosji, jak ty myślisz o Hiszpanii. Każdy z nas ma sobie coś do wyrzucenia — bodajże obojętność wobec nędzy, jaka go otaczała — wobec cierpień, które go nie wzruszały. To jest to, co chciałam powiedzieć; że jest obojętne, dlaczego człowiek nagle... nagle zaciska pięść. To tylko każdy wie o sobie.

ORTEGA: Tak... Być może... Może jest więcej takich jak ja..

MARIA *(Z uśmiechem)*: Wszyscy jesteście tacy...

ORTEGA: A ty?... Ty jesteś mocna. Ty idziesz prostą drogą, zawsze szłaś prostą drogą — prawda?

MARIA: Mówisz jak Robert. Nie. Ja... ja dawno zrozumiałam. Oto wszystko. *(Pauza)* Ale zrozumieć, to mało, Feliks. Trzeba... trzeba zacisnąć pięść. *(Milczenie).*

ORTEGA: Powiedz, Mario... Gdyby — gdybyśmy przegrali... Co byś ty robiła we Francji?

MARIA *(Po chwili)*: Nie wiem jeszcze. Ale walczyłabym nadal... Nie myśl o tym. Nie przegramy. Na jutro zwołamy zebranie. Zobaczysz... Napisz sobie, co będziesz mówił. Żeby było gotowe do powielenia z samego rana — dobrze?

ORTEGA *(Po chwili)*: Dobrze.

MARIA: No, pa!

ORTEGA: Mario... *(Ściskają sobie dłonie).*

(Maria wychodzi. Ortega ją odprowadza. Scena jest pusta. Ortega wraca, stoi przez chwilę w zadumie, robi parę kroków, potem podchodzi do biurka i zapala lampę, wraca do drzwi i gasi górne światła, siada przy biurku. Po chwili słychać dzwonek. Ortega patrzy na zegarek, idzie otworzyć. Za sceną słychać głos Pietrowa: „Wybacz, że tak późno..." i głos Talbota: „To Pietrow mnie zaciągnął." Wchodzi Talbot i Pietrow. Za nimi wchodzi Ortega mówiąc: „Nie szkodzi, nie szkodzi").

PIETROW: Myślałem, że dopiero co wróciliście od Talbotów.

TALBOT: Chciałem cię przeprosić, że nie było mnie w domu...

ORTEGA: Siadajcie, siadajcie!

TALBOT: Poszliśmy odprowadzić Dalou i Anitę i... tego... nie spostrzegliśmy się... więc Pietrow...

ORTEGA: Jasne, nie tłumacz się!

PIETROW: Mieliśmy trochę w czubie, rozumiesz...

TALBOT: Nie weźmiesz mi chyba za złe...

ORTEGA *(Z uśmiechem)*: Dajże spokój! Co za ceregiele! Napijecie się czegoś?

TALBOT: Nie, nie. Dziękuję.

PIETROW: Piliśmy. Dość.

(Siadają. Milczenie.)

PIETROW: Taaak...

(Milczenie. Talbot zapala papierosa.)

PIETROW: To wszystko bujda, oczywiście. Przyprowadziłem Talbota, siłą go tu przytaszczyłem, bo nie chce wracać do domu... Wiesz chyba, zachował się wobec Greya jak bydlę...

TALBOT: On ubliżył...

PIETROW: Siedź cicho! Jak bydle, powiadam. Pokazał mu drzwi! A teraz jest śmiertelnie obrażony na Wandę, bredzi o rozwodzie... Myślałem, że mu to wywietrzeje, ale furt gada od rzeczy. Więc ten... przyprowadziłem go, żeby cię przeprosił, ale w gruncie rzeczy po to, żebyś mu przemówił do słuchu, jeżeli nie do rozumu. Bo rozumu nie ma za grosz.

ORTEGA *(Do Talbota)*: Co to za historia? Dlaczego jesteś obrażony na Wandę?

PIETROW: Ty jeszcze go pytasz! Powiedz mu, że nie jest wart jej małego palca! Zachował się jak cham. Dolewał się do tej Anity w obecności Wandy, jak gdyby...

TALBOT: Mój Boże! Byłem wstawiony...

ORTEGA: Ale dlaczego jesteś obrażony na Wandę?

TALBOT: Bo zrobiła ze mnie idiotę! Bo to zawsze to samo! Jak ja teraz wyglądam wobec Dalou. W moim domu ubliżają mu, prowokują go. A Wanda broni jeszcze Greya! Nie myśl, to nie pierwszy raz! Od dawna nie mogę z nią mówić spokojnie. Nie podobają się jej moi przyjaciele. Nie podoba się jej ONZ. Nie podoba się jej Ameryka. No, to lepiej skończyć. Ja chcę mieć spokój w domu.

(Milczenie. Ortega chodzi tam i z powrotem po pokoju).

PIETROW: Mówię ci, Bill, nie masz racji. Po pierwsze, to Dalou sprowokował Greya, a nie odwrotnie. Po drugie — byłeś pijany, sam przyznajesz. Więc nie mówmy już o Anicie. Ale Wanda zachowała się jak dama. Po trzecie — wierzaj mi, ja lepiej znam Dalou niż ty, niż wy wszyscy. On z ciebie robi szuję, tak jak ze mnie próbował zrobić szuję. Tak jest. Nie potrzebujesz się ironicznie uśmiechać. Przypominasz mi czasem Dalou sprzed dwudziestu laty. Tylko, że ty masz jakiś hart moralny — tak mi się przynajmniej wydaje. W 39-ym roku zgłosiłeś się aż z Argentyny... Nie wiem, może tylko szukałeś przygody, może to żyłka awanturnicza... Ale biłeś psubratów, strąciłeś ileś tam samolotów hitlerowskich... a potem zgłosiłeś się do ONZ. Za to cię szanuję. I lubię cię, jak wiesz. I dlatego ci mówię: nie idź za przykładem Filipa. Stajesz się bawidamkiem, frazesowiczem. Dalou też na takiego wygląda, prawda? Ale on tylko tak wygląda. Łajdak. Umyślnie zmienia tłumacząc z rosyjskiego. Zmienia sens przemówień delegatów radzieckich. Przewrotna bestia.

ORTEGA: Ale pijesz z nim...

PIETROW: Piję — i wszystko to mówię mu w twarz!

ORTEGA *(Zaciekawiony)*: Zdawało mi się, że jesteście zaprzyjaźnieni...

PIETROW: Zaprzyjaźnieni... Byliśmy zaprzyjaźnieni... Ale gdy Hitler uderzył na Związek Radziecki i ten... ten sukinsyn urodzony w Petersburgu poszedł na służbę do... *(Urywa nagle)*. Co tam! Szkoda gadać.

ORTEGA: Na jaką służbę? *(Pauza)*. Mów, skoro zacząłeś!

PIETROW: Lepiej nie.

ORTEGA: Bo jeśli był w służbie hitlerowców czy faszystów włoskich, to według statutu — jak ci wiadomo — nie może być w ONZ-ecie!

PIETROW: Wiem. Ale on nie był w służbie hitlerowców ani faszystów.

TALBOT: Tylko co?

PIETROW: Nic. *(Milczenie).*

TALBOT: Nie przypuszczałem... Prawdziwy dżentelmen z ciebie. Szkaesz człowieka, który uważa się za twego przyjaciela, a przyparty do muru stawiasz tylko brudną plamę.

(Milczenie).

PIETROW: Dobrze. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Ale odpowiesz uczcie „tak" albo „nie"?

TALBOT: To zależy od pytania.

PIETROW: Pytanie dotyczy ciebie i Dalou.

TALBOT: Proszę.

PIETROW: Dajesz słowo honoru, że odpowiesz uczciwie?

TALBOT: Tak.

PIETROW: Czy Dalou proponował ci kiedykolwiek, byś wstąpił do wyadu amerykańskiego?

(Milczenie).

PIETROW: Tak czy nie?

TALBOT: Nie... formalnie.

PIETROW: Ale dał ci do zrozumienia... zrobił aluzję?

TALBOT: Mniej więcej... ogólnikowo.

PIETROW: No, więc o tym mowa. On od dziesięciu lat jest w służbie amekańskiej — specjalista od Sowietów.

(Milczenie).

PIETROW: Słyszałeś, co powiedziałem?

TALBOT: Słyszałem.

PIETROW: A jak ci się zdaje — dlaczego agent wywiadu amerykańskiego, óry jest specjalistą od Sowietów, usiłuje wciągnąć ciebie do roboty — akut ciebie, co?

TALBOT: Nie wiem. Nie rozumiem... Mógłby znaleźć kogoś, kto przynajniej zna rosyjski.

PIETROW: Nie domyślasz się?

TALBOT: Nie.

PIETROW *(Po chwili):* A Wanda?

TALBOT: Co — Wanda?

PIETROW: Wanda ma krewnych w Polsce... *(Pauza).* No, sam sobie dośpiaj! Mógłbyś korespondować z Polską za pośrednictwem swojej żony...

(Milczenie).

ORTEGA: Dziwne, dziwne to wszystko... Ja myślałem, że wy trzej jesteście ak ci trzej muszkieterowie. A tymczasem ty *(do Pietrowa)* masz Dalou za jdaka — a ty *(do Talbota)* wiedziałeś, że to szpicel.

TALBOT: Nie wiedziałem!

ORTEGA: Nie wiedziałeś? Proponował ci wstąpienie do wywiadu amerykańskiego!

TALBOT: Nie... nie byłem pewien... Nie połapałem się.

ORTEGA: Tak... Trudno czasem się połapać...

PIETROW *(Po chwili):* Ech, Feliks, czy wszystko da się powiedzieć? Przyomnij sobie — w jakiejś sztuce Pisemskiego ktoś mówi: „Jest' takowo roda

otkrowiennosti, katoryje triebujut bolszoj bessowiestnosti, sztoby wyskazy wat ich"...

TALBOT: Co to znaczy?

ORTEGA *(Patrząc na Pietrowa)*: To znaczy, istnieją szczere wyznania teg rodzaju, że trzeba dużej bezczelności, żeby się na nie zdobyć..

TALBOT *(Do Pietrowa)*: Ty do mnie pijesz?

PIETROW: Nie, Bill. Ja czasem piję sam...

ORTEGA *(Przerywając)*: Nie trzeba, Pietrow... Nie trzeba żadnych zwid rzeń. Każdy z nas... I nie ma takich błędów, za które człowiek do końca ży cia musiałby pokutować. Tyle jest do zrobienia w życiu! A ty co robisz Zalewasz robaka. *(Pauza)*. I ty też, Talbot. Powiadasz, że Wandzie nie po dobają się twoi przyjaciele, że nie podoba jej się ONZ ani Ameryka. Ni przyznajesz tylko, że i tobie nie podoba się to wszystko, ale nie wiesz, czyn to zastąpić... Nie masz co robić ani dokąd pójść. Tacy jesteśmy. Oderwan od swego narodu, bujający w jakimś międzynarodowym pasie pogranicz nym — pół-Anglicy i pół-Francuzi, i pół-Rosjanie, i pół-Hiszpanie — słu żący amerykańskiej propagandzie wojennej. W pasie pogranicznym, ale n pasku amerykańskim!

TALBOT *(Wybucha)*: Więc co ja mam robić, do cholery! Czego wy chce cie ode mnie? Ja nie mam nic wspólnego z tą całą polityką! J nie siedzę w tym po uszy jak wy! Gdy była wojna, to się zgłosiłem. Gd skończyła się wojna, to wziąłem posadę. Byłem lotnikiem, jestem tłumaczem Nic innego nie robiłem i nie umiem robić. Czy mi się podoba ONZ i Amery ka... A kto mnie pytał, czy mi się podoba bombardowanie fabryk i kol i miast?

ORTEGA: Teraz cię pytają, Bill. Teraz cię pytają! Mówisz o sobie ta jakbyś był lokajem. Gdyby ci kazali zrzucać bomby atomowe, zrzucałby bomby atomowe z taką samą gorliwością, z taką samą bezmyślnością, z jak teraz czyścisz buty delegacji amerykańskiej...

TALBOT: Wypraszam sobie!

ORTEGA: Nie krzycz. *(Pauza)*. Nie po to mówię. żeby cię dotknąć. T sam poniżasz się do takiej roli, sam mówisz o sobie, że robisz to, co ci każą to, do czego cię wytresowali jak psa. Bo chcesz mieć spokój, powiadas Spokój! Spójrz na Pietrowa! Nie miał 20 lat, gdy uciekł z Rosji — jak d zerter — bo inteligencja rosyjska opuściła swój naród. To nie jego wina, ta go wychowali. A teraz... On teraz marzy, żeby po tylu latach męczarni prz baczono mu to *(Pietrow zaprzecza)*. Tak, Pietrow, wiem, co mówię — żeb mu pozwolono umrzeć na ziemi rosyjskiej... *(Pietrow schyla głowę)*. Widzis Bill — twoje szczęście, że walczyłeś w wojnie sprawiedliwej, przeciwko h tlerowskiemu napastnikowi. Ale teraz ci grozi, że walczyłbyś przeciwko cał niemal ludzkości. Jak się z tym uporasz w swoim sumieniu? Że ci kaza Kto? W imię czego? *(Milczenie)*.

TALBOT *(Ponuro)*: Dlaczego to ja jestem najgorszy?

ORTEGA: Nie jesteś, Bill. Tylko że ja już zrozumiałem, co robić — a nie. *(Pauza)*. Oto wszystko.

PIETROW *(Po chwili)*: No, późno już. Chodź, Bill.

(Pietrow i Talbot wstają, ociągając się).

ORTEGA *(Z ręką na ramieniu Talbota)*: I powiedz Wandzie... Powiedz jej, ją całuję... Dobrze? Pozwalasz? Nie wiesz wcale, jaką masz żonę... *(Ortega odprowadza Pietrowa i Talbota idąc między nimi i obejmując ich. ena jest pusta. Ortega wraca, rozsuwa portierę, szeroko otwiera okno. wita. Ortega stoi przez chwilę przy oknie, potem siada przy biurku i zaczy- pisać).*

AKT IV

Odsłona piąta

Gabinet dyrektora Biura Personalnego. Przez okno, zasłonięte żaluzją, rzebija słońce. Dwoje drzwi, obitych skórą. Duże mahoniowe biurko, sto- k mahoniowy, na którym stoją 3 telefony. Skórzane fotele. Stół konfe- encyjny. Oszklona szafa biblioteczna, jak w sali tłumaczy, ale na pół pusta. dy podnosi się kurtyna, dyrektor siedzi przy biurku. Wchodzi sekretarka papierami, które podaje dyrektorowi.

SEKRETARKA: Pan Dalou czeka już od 10-ej, panie dyrektorze.

DYREKTOR *(Pisząc)*: Dobrze, zaraz go przyjmę.

(Dzwoni telefon).

SEKRETARKA *(Przy telefonie)*: Biuro Personalne. Kto mówi, proszę? wszem, jest. Łączę. *(Zakrywa dłonią słuchawkę).* Delegacja amerykańska.

DYREKTOR: Kto, Spencer?

SEKRETARKA: Tak jest. *(Oddaje słuchawkę dyrektorowi. Wychodzi).*

DYREKTOR *(Skwapliwie)*: Jak się masz, Spencer? — No, oczywiście, za- atwione! Wczoraj dostali wymówienia. *(Śmieje się).* Dziękuję. — Nie, nie rzewiduję żadnych trudności. Zarząd stowarzyszenia? Aha, dlatego, że ta Maria Chavannes jest członkiem zarządu? Nie ma obawy. Mamy tam swo- ch ludzi. *(Śmieje się).* Oczywiście. Zresztą wydam odpowiedni komunikat do prasy... Co? Nie podawać do prasy? Aha... Zupełnie zatuszować? Aha... Nie, nie! Ja też tak uważam. Oczywiście! To tylko w biurze Sekretarza Ge- neralnego ktoś wpadł na ten pomysł, żeby podać do prasy. *(Śmieje się).* Tak. Nonsens, oczywiście. Dobrze. No, to na razie. *(Odkłada słuchawkę, naciska guzik przy innym telefonie).* Słuchaj, czy komunikat do prasy w sprawie tych dziesięciu już wyszedł? Cooo? Psiakrew! Natychmiast wycofać! Co mi tam „uzgodnione z Sekretarzem Generalnym"! Sekretarz Ge- neralny nie zna się na tych rzeczach. — No to co, że sam kazałem? Mówię ci teraz, żebyś to wycofał! Tak. Daj mi znać. *(Odkłada słuchawkę, porządku- je papiery na biurku, podnosi słuchawkę innego telefonu).* Niech pani po- prosi pana Dalou. *(Odkłada słuchawkę).*

(Wchodzi Dalou).

DALOU: Kochany! Jak się masz? Jak zdrowie?

DYREKTOR *(Siedząc)*: Jak się masz, Filip. *(Ściskają sobie dłonie).*

DALOU: Wspaniale wyglądasz!

DYREKTOR: No, jak ci tam poszło?

DALOU: Doskonale! Nadspodziewanie dobry materiał ludzki, mój drogi!

DYREKTOR: To dlaczego siedziałeś pół roku zamiast trzech miesięcy?

DALOU *(Śmiejąc się)*. Bo trzeba było ten materiał znaleźć! Trzeba go było szukać!

DYREKTOR: Z twoich raportów nie wynika, żeby to byli najlepsi ludzie — ci, których znalazłeś.

DALOU: Kochany! Ja ci gwarantuję, że nie są gorsi od tych, których mają tutaj zastąpić.

DYREKTOR: No, zobaczymy. Wezwę cię za parę dni, gdy ostatni twój raport będzie zanalizowany. Żałuję, że nie mogłem przyjąć cię wczoraj i że teraz jeszcze kazałem ci czekać.

DALOU: Ależ proszę cię bardzo! Zameldowałem się tylko, żeby się przywitać.

DYREKTOR: Tak. No i co powiesz?

DALOU: Cóż... Słyszałem, że masz kłopoty.

DYREKTOR: Myślisz o tym *(ironicznie)* Komitecie Obrońców Pokoju? To nic. Zdusiłem to w zarodku. Za mordę i won. *(Dzwoni telefon, podnosi słuchawkę)*. Tak? Wycofany? Dobrze. *(Odkłada słuchawkę)*. Tak... To nie są poważne kłopoty. Ale są inne. Sytuacja się zaostrzyła. Pamiętasz, sprawa Korei wykazała, że trzeba odpluskwić aparat. Kilkunastu ludzi wtedy odmówiło wyjazdu do Korei — wykręcali się, zasłaniali się względami zdrowotnymi, rodzinnymi. Ale od tego czasu Spencer wystąpił z konkretną propozycją. Wyrywacie tylko chwasty, powiedział.

DALOU *(Śmiejąc się)*: A trzeba świeżego nawozu, co?

DYREKTOR: Właśnie. Ci Amerykanie nie zdążają do celu czterema drogami, jak to mówimy po francusku. I mają rację. Okazuje się, że nawet wśród białych Rosjan, ba! nawet wśród naszych Chińczyków są niepewni ludzie — tacy, których ta propaganda pokojowa przeciągnęła na stronę bolszewików.

DALOU: Otóż to! Wiesz, ten Pietrow... Anatol Pietrow, pamiętasz? — całkiem się zbolszewizował. Znam faceta od 20 lat. Nigdy bym nie przypuszczał!

DYREKTOR *(Zapisując)*: Pietrow, powiadasz. Masz coś konkretnego?

DOLOU: A jakże! On jest zamieszany w tę akcję obrońców pokoju.

DYREKTOR *(Zapisując)*: Ach tak? Skąd wiesz?

DALOU: Talbot mi opowiadał. Oni tam wczoraj do późnej nocy siedzieli u Ortegi.

DYREKTOR (*Przestając pisać)*: To i Ortega bierze w tym udział?

DALOU: No, jakto! To główny matador. Ma wziąć byka za rogi.

DYREKTOR: Pierwsze słyszę.

DALOU: Ostatnie wiadomości, mój kochany. Jak chcesz się dowiedzieć, co się dzieje w Sekretariacie, to zawsze pytaj starego Dalou, choćby dopiero co wrócił z podróży.

DYREKTOR: Takie dzieje... Więc Pietrow, Talbot, Ortega...

DALOU: Nie! Talbot jest nasz! Opowiadał mi, jak starali się go przekabacić.

DYREKTOR: Aha... Więc Ortega i Pietrow. Kto jeszcze?

DALOU: No, jest Robert Grey, jak się chyba domyślasz.

DYREKTOR: To ten narzeczony Marii Chavannes? Tak, wiem o nim. Ale rtega... Hm. *(Wstaje, zaczyna chodzić po pokoju).* Niezłą jaczejkę macie tym waszym wydziale tłumaczy.

DALOU: Cóż... Z Ortegą sobie poradzisz. Hiszpan, republikanin...

DYREKTOR *(Chodząc):* To nie jest takie proste. Nie jest takie proste. *Siada. Długo patrzy na Dalou)* Czy można polegać na tym, co opowiada en... Talbot?

DALOU: Absolutnie. Buntowali go przeciwko nam. Ortega nawymyślał nu od lokajów. Dosłownie: że czyści buty delegacji amerykańskiej, że lolność w stosunku do ONZ — to bezmyślność — i temu podobne historie. Pomijając już osobiste wycieczki przeciwko mnie. Że gdy tłumaczę przemówienia delegatów radzieckich, to złośliwie przekręcam... *(Śmieje się).* Zdemaskowali się po prostu. Pachołki bolszewickie!

DYREKTOR *(Zapisując):* I mówisz, że są zamieszani w tę akcję obrońców pokoju?

DALOU: Sam się przekonasz, mój drogi. Ortega ma wystąpić dzisiaj na zebraniu protestacyjnym.

DYREKTOR: Ach tak? Chcą zwołać zebranie? No, jeszcze zobaczymy. *Podnosi słuchawkę)* Niech mnie pani połączy z Browningem. *(Odkłada słuchawkę).* Zaniedbaliśmy trochę ten wasz wydział tłumaczy. Myśleliśmy, że poza tą czwórką „obrońców pokoju" zostali tam już tylko Franklin i Grey, przy czym Grey nie był czynny dotychczas. Tak... Wyrywanie chwastów... *Dzwoni telefon, podnosi słuchawkę).* Tak? Gdzie jest? No, to niech mi pani da kogoś innego ze straży bezpieczeństwa. Kto zastępuje Browninga? Dobrze. Niech mnie pani połączy. *(Odkłada słuchawkę)* No, Filip, dziękuję, żeś mnie odwiedził.

DALOU *(Wstał):* Bardzo się cieszę, że mogłem z tobą pogawędzić, mój drogi. *(Ściskają sobie dłonie).*

DYREKTOR: Tylko na przyszłość, gdy będziesz sobie przywoził dziewczynki, to przynajmniej zachowuj pozory. Zaangażowałeś osiem osób, ale jedną wziąłeś ze sobą.

DALOU *(Śmieje się):* Kochany! Czy wolałbyś, bym sobie sprowadził cały harem?

DYREKTOR: No, no.

DALOU: Zresztą, to wyjątkowo sprytna dziewczyna. Wiesz, kto mi ją polecił w Argentynie? Ambasada amerykańska.

DYREKTOR: Ach tak?

DALOU: Kłaniam się pięknie.

(Dalou wychodzi, dzwoni telefon. Dyrektor patrzy za Dalou, potem podnosi słuchawkę).

Odsłona szósta

Sala tłumaczy jak w II odsłonie. Zachód słońca. Wchodzi Wanda w kapeluszu i rękawiczkach, patrzy na zegarek, siada, przegląda pisma leżące na stoliku. Po chwili wchodzi Maria...

WANDA *(Wstaje):* Jesteś już wolna?

MARIA: Co się stało?

WANDA: Musiałam się z tobą rozmówić przed waszym zebraniem, a bałam się mówić przez telefon. Kiedy macie zebranie?

MARIA: Nie wiem. Nie udzielili nam sali.

WANDA: Jak to?

MARIA: Biuro Personalne wywąchało widocznie, że to ma być zebranie protestacyjne. Więc nie dają nam sali. Po prostu.

WANDA: I co będzie?

MARIA: Nie wiem. Czekamy na Franklina.

WANDA: Franklin przyszedł do biura?

MARIA: Tak. Powiada, że tu jest jego miejsce.

WANDA *(Po chwili)*: Słuchaj. Jaka w tym wszystkim rola Billa?

MARIA: Rola Billa?

WANDA: Tak. Ty byłaś u Ortegi wczoraj. Bill wrócił późno, nie położył się wcale... O 6-ej rano zatelefonował do Dalou. Z tego, co mu powiedział, wywnioskowałam, że Bill również był u Ortegi — z Pietrowem — i że ma coś ważnego do zakomunikowania Dalou.

MARIA: Nic nie wiem. Gdy przyjechałam do Ortegi, było już po 11-ej — spóźniłam się bardzo. Ortega czekał na mnie. Być może Bill i Pietrow przyszli do niego po moim odejściu...

WANDA *(Po chwili)*: Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to dręczy.

MARIA: Co cię dręczy?

WANDA: Co on mógł mieć ważnego do zakomunikowania Dalou? *(Patrzą na siebie).* On jest przeciwko wam... prawda? *(Maria odwraca głowę).* Nie ukrywaj przede mną. Ja wiem: on... on...

MARIA: Po co — po co o tym mówisz?

WANDA: Wczoraj, po tej awanturze — wiesz, Robert opowiadał ci chyba — całą noc o tym myślałam. Boże! Jaki on jest niski, podły!

MARIA: Uspokój się...

WANDA: On was nienawidzi. Nienawidzi was!

MARIA: Nie przejmuj się, naprawdę...

WANDA: Pomóż mi, Mario!

MARIA: Co, kochanie?

WANDA: Nie mogę... Nie mogę więcej! Od dwóch lat już...

MARIA: Wandziu...

WANDA: Starałam się go zrozumieć. Mówiłam sobie, że może to są osobiste rzeczy, zazdrość o Ortegę, o Roberta...

MARIA: Czego by on zazdrościł Robertowi?

WANDA: Nie wiem. Jego kultury, wykształcenia. Bill nic nie umie, nic nie czyta. Ale to nie to. On jest inny niż wy. Nic go nie obchodzą ludzie, sprawy — wszystko co się dzieje na świecie — te okropne rzeczy — wojna, którą szykują Amerykanie... Nic go nie obchodzi jego kraj... On nawet nie wie, który jest jego kraj!

MARIA: Prawdziwy urzędnik międzynarodowy...

WANDA *(Wybucha)*: Ale ja, Mario! Jakże ja mogę żyć z tym człowiekiem? Co ja mam z nim wspólnego?

MARIA *(Cicho)*: A co mieliście wspólnego dawniej?

WANDA: Ach, jakaś ty... Czy naprawdę nie rozumiesz? Była wojna. On był oficerem, lotnikiem. Podobał mi się. Miałam 17 lat. Opowiadał mi, jak

ał nad Polską... Tyle właśnie mieliśmy wspólnego: że latał nad Polską. że! Jak ja czekałam jego powrotu! Jak się cieszyłam! A dzisiaj... Dzisiaj również latałby nad Polską, ale... Przysięgam ci, Mario! Ja bym go własmi rękami zabiła, gdyby...

MARIA: Wanda!

WANDA *(Po chwili)*: Nie patrz tak na mnie... Ty nie wiesz, co to jest życie człowiekiem, który... którego nie można przekonać, przerobić — którego ożna tylko przekupić!... *(Pauza)*. Za późno zrozumiałam... Byłam sama, oderana od... od... Nigdy przecież nie znałam takich ludzi jak ty!

MARIA: Nie jest za późno, kochanie.

WANDA: Tak, wiem. Ale dla mnie...

MARIA: Nieprawda. Nie zmarnowałaś tych lat. A że ciężko ci przyszło — ś byłaś wśród obcych, bo emigranci to też obcy, chociaż mówią twoim jękiem — że ciężko ci przyszła ta nauka, to nic. Nigdy jej nie zapomnisz.

WANDA: O nim też nie zapomnę...

MARIA: Nie. Ale nie będziesz się litować nad sobą.

WANDA *(Po chwili)*: Twarda jesteś.

MARIA: Tak lepiej, Wando.

(Wchodzi jeden tłumacz, potem drugi, potem Grey. Grey wita się z Wandą. Wchodzi jeszcze kilka osób, które zaglądają do swoich przegródek, siadają w fotelach i telefonują lub krążą po sali, przeglądając pisma, podczas gdy Grey cicho rozmawia z Marią).

GREY: Szukałem cię na komisji. Ortega został wezwany do Sekretarza Generalnego.

MARIA: I co?

GREY: Nie wiem. Gdzie Franklin?

MARIA: Nie widziałam go od obiadu.

GREY: Miał mi dać znać, co z zebraniem.

(Znowu wchodzi kilku tłumaczy, wśród których jest Pietrow).

MARIA: Widocznie trzymają go jeszcze w Personalnym.

WANDA: Czy wszystkie komisje już się skończyły?

GREY: Chyba tak. *(Rozgląda się)*. Pełno strażników na korytarzach.

MARIA: Obawiają się pewnie, że wbrew zakazowi zwołamy zebranie.

GREY: Niestety, za kilka minut ludzie się rozejdą.

PIETROW *(Podchodzi i wita się z Wandą)*: Słyszeliście o Ortedze?

GREY: Co?

PIETROW: Pół godziny temu Sekretarz Generalny...

MARIA: Słyszeliśmy. Wytoczyli najcięższą armatę.

GREY: Ty skąd wiesz?

PIETROW *(Zdziwiony)*: Wszyscy o tym wiedzą.

WANDA: Właśnie. W jaki sposób rozeszła się ta cała historia?

(Grey bierze Marię na stronę)

PIETROW: Że Sekretarz Generalny wezwał...?

WANDA: Nie. W ogóle cała historia. Przecież odmówili wam sali! Czy Bill był z panem wczoraj...

GREY *(Do Marii)*: Widocznie Biuro Personalne samo roztrąbiło, że Franklin został wezwany do dyrektora Biura, zaś Ortega do Sekretarza Generalnego, że mieliśmy urządzić protest...

MARIA: Ciebie nie wzywano?
GREY: Nie. Dlaczego pytasz?
MARIA: Co z Pietrowem?
GREY: Z Pietrowem?
MARIA: Tak. Ortega ci nie mówił, że Pietrow i Bill przyszli do nieg
w nocy?
GREY: Nie. Mówił mi tylko, że całą noc pisał swoje przemówienie. *(Sal
zaczyna się opróżniać. Słońce zaszło).*
PIETROW *(Do Wandy):* Po co! Czy koniecznie musi pani wiedzieć, po co
Mieliśmy interes do Ortegi. Inaczej nie bylibyśmy go nachodzili po nocy!
WANDA: Pan mówi do mnie takim tonem... Może mi pan jeszcze powie
żebym spytała swego męża?
PIETROW *(Podnosząc głos):* Proszę pani! Niech mi pani nie insynuuje..
(Maria i Grey podeszli do nich).
GREY: Czego krzyczysz, Pietrow?
PIETROW: Ja nie krzyczę. To pani Wanda się denerwuje. Nie chce zro
zumieć, że — naprawdę — są rzeczy, których nie można powiedzieć. No, ni
można. Co ja poradzę...
MARIA: A gdy cię pytali dzisiaj w Biurze Personalnym, to...
PIETROW: Też nie powiedziałem...
GREY: Ach tak? Więc wezwali cię do Personalnego?
PIETROW *(Zmieszany):* Owszem.
MARIA *(Po chwili):* Dlaczego nic nie mówisz?
PIETROW: Co ja mam mówić?
GREY: No, zdawałoby się, że mamy *(z naciskiem)* wspólne interesy — nie
(Milczenie).
PIETROW: Nie wiem, o co wam idzie. Zebranie nie może się odbyć bo.
GREY: ...bo wypaplałeś wszystko, co ci powiedział Ortega!
PIETROW: Łżesz!!!
MARIA: Anatol! Robert!
GREY: Po coś był u Ortegi wczoraj w nocy?
PIETROW: Nie twój interes!
MARIA: Przestańcie! To przecież nie ma sensu! Robert, proszę cię! *(Pauza*
Jesteśmy wszyscy podminowani, to jest zrozumiałe, ale ty *(do Pietrowa)* prze
swoją drażliwość niepotrzebnie dolewasz oliwy do ognia. Nikt cię o nic ni
podejrzewa, nikt cię nie oskarża...
PIETROW: Tylko Grey robi ze mnie szpicla!
MARIA: Ależ nic podobnego. Chcemy ustalić fakty, a ty nam nie poma
gasz — i stąd całe nieporozumienie.
PIETROW: Jakie fakty? Chcecie wiedzieć, co było w Personalnym? Zagro
zili, że mnie wyleją. Oto wszystko.
GREY: A ty co?
PIETROW *(Po chwili):* Nic.
MARIA: Jak to — nic. Coś przecież powiedziałeś?
GREY: Skąd wiedzieli, że byłeś u Ortegi w nocy?
WANDA *(Cicho):* Nie męczcie go. Wszystko jest jasne. *(Pauza).* Bill do
niósł... *(Milczenie. Wchodzi Franklin z żałobną opaską na klapie marynarki-
po amerykańsku; jest zgarbiony, zgaszony, mówi z wysiłkiem).*

MARIA: Harry!
FRANKLIN: Gdzie Ortega?
GREY: U Sekretarza Generalnego.
FRANKLIN: Aha, już go wezwali...
MARIA: Harry, oszczędzaj się... Strasznie wyglądasz...
FRANKLIN *(Z wysiłkiem)*: Wyleli Ortegę... *(Pauza)*. W tej chwili — Sekrez Generalny daje mu ostatnią szansę — albo Ortega wycofuje się z wszelej — z akcji pokojowej — a wtedy — w drodze łaski — przyjmują go powrotem — albo...
MARIA: Albo co?
FRANKLIN *(Po chwili)*: Deportacja.
(Milczenie).
WANDA: Deportacja? Dokąd mają go deportować? *(Pauza)*. Panie Harry, zecież Ortegi nie mogą deportować! On nie ma żadnego obywatelstwa! auza). Dlaczego nic nie mówicie? *(Pietrow zasłania oczy. Grey wpatruje się Marię, która powoli schyla głowę. Franklin tępym wzrokiem patrzy przed bie)*. Panie Harry! Mario! Powiedzcie-że, wytłumaczcie! *(Pauza, nagle ozumiała, krzyczy)*. Nie, nie, nie! To nie może być! Nie mogą tego zrobić!! apie za ręce Marię, Greya)* Przecież to jest... to jest... *(Pietrow wstał. Franin spojrzał na niego)*. Za co? Za co wydają człowieka na śmierć? *(Do ranklina)*. Co panu powiedzieli? Musi być jakieś... Boże mój! Czy nie ma kiegoś prawa? Przecież jest... prawo międzynarodowe!
(Milczenie. Pietrow odszedł parę kroków i ciężko usiadł. Wanda wodzi jecze wzrokiem po tamtych, potem siada i zakrywa twarz. Franklin i Grey oglądają po sobie, lecz każdy z nich odwraca wzrok, gdy łapie na sobie ojrzenie drugiego.)
MARIA *(Cicho)*: Jak długo on już jest u Sekretarza Generalnego?
GREY: Wezwali go przeszło pół godziny temu. Ale, wiesz jak to jest, penie kazali mu czekać.
(Milczenie).
FRANKLIN *(Do Pietrowa)*: Co oni tobie powiedzieli?
PIETROW *(Po chwili)*: O Ortedze — nic. Rzucili się na mnie, że.. że ntuję ludzi. Mówili tak, jakbym był jednym z przywódców... jednym z oranizatorów waszej akcji. Musiałem wyjaśnić...
GREY: Że co?
PIETROW: No, że nie jestem... Co, u licha! Przecież nie jestem!
FRANKLIN: I co jeszcze?
PIETROW *(Wybucha)*: Czegoście się przyczepili do mnie?! Co wy sobie yślicie?!
FRANKLIN *(Znużony)*: Idź do diabła. Ortedze grozi — obóz koncentrayjny... u Franco... a ty tutaj — stroisz jakieś fanaberie!
(Milczenie)
WANDA: Ale w jaki sposób? Wytłumaczcie mi to! Przecież nie mogą go resztować, nie mogą posadzić go na okręt i wysadzić w Hiszpanii!
GREY: Niestety, mogą. Dają mu 30 dni na opuszczenie Stanów Zjednoczoych, a potem...
WANDA: No więc! To wyjedzie do Francji, do Anglii!
GREY: Na to trzeba wizy.

WANDA: To Francuzi nie dadzą mu wizy? Anglicy odmówią mu wizy? Przecież Diana jest Angielką!

GREY: Ona i dzieci — tak, będą mogły wyjechać. Ale Ortega... ONZ po stara się o to, by go żaden rząd nie wpuścił.

WANDA: Ach, w ten sposób? Co za łotry!

(Milczenie)

MARIA *(do Franklina):* Może by tam pójść... do niego? *(Franklin potrząs głową).* My tutaj siedzimy, a on...

FRANKLIN: Daj spokój.

MARIA: Ale może on jeszcze czeka, aż Sekretarz Generalny go przyjmie

FRANKLIN: To co? *(Patrzą na siebie).*

GREY *(Do Marii):* Nie bój się.

PIETROW: A czy wy wiecie, czego się boicie?

MARIA: Nie mów głupstw, dobrze?

PIETROW: Boicie się, że on się załamie... Tak, tego się boicie! Że Orteg się załamie... Ale to, że go zamordują w jakimś obozie śmierci — że go ska tują — na miazgę!...

FRANKLIN: Milcz!!

PIETROW *(Po chwili):* Bohaterzy, psiakrew!

WANDA: Dlaczego pan tak mówi? Ja jestem przekonana, że każdy z nic *(wskazuje ręką)* wolałby zamienić się z Ortegą...

PIETROW: Tak, zamienić!

GREY *(Do Franklina):* Nie warto, Harry! Nie denerwuj się...

FRANKLIN *(do Pietrowa, drżąc z gniewu):* Co ty chcesz przez to po wiedzieć?

PIETROW: Takiego człowieka narazić! Takiego Ortegę! Wspaniałego czło wieka! Ładnieście go urządzili, niech was diabli wezmą!

FRANKLIN: To myśmy to „urządzili"? Ach, ty, nędzniku! On za ciebi idzie na śmierć! Za ciebie i tobie podobnych! Po to go wydają, by jego męk i śmierć odstraszyła was od walki o pokój! Po to go wydają, żeby wam po kazać, że jeśli będziecie stawiać opór, to rozprawią się z wami tak samo ja z nim!

MARIA: Harry, oszczędzaj się...

FRANKLIN: Ach, wy! „Porządni ludzie"! Będziecie litować się nad Ortega Byłby siedział cicho, co? Po co mu to było, co? Niech inni giną w faszystow skich mordowniach! Robotnicy! Komuniści! Niech walczą za wszystkich A wy...

MARIA: Proszę cię, no, proszę cię! *(Do Pietrowa)* Idź sobie — idź że na reszcie!

(Pietrow robi krok naprzód, chce coś powiedzieć. Maria i Grey uspokajaj Franklina).

GREY *(do Franklina):* Po co się denerwujesz!

(Milczenie. Pietrow powoli wychodzi).

MARIA: Oni cię tam kilka godzin trzymali — w Personalnym?

FRANKLIN: Tak. Indagacje. A co ten, a co tamten? Kiedy, gdzie...

GREY: Oddział Federalnego Biura Śledczego...

FRANKLIN: Oczywiście.

MARIA: Wyobrażam sobie, jak cię wymęczyli...

FRANKLIN: Im się wydaje, że jak człowiek jest złamany... Po takim ciosie... To jest miękki jak wosk.

GREY: Wyleli cię!!

FRANKLIN: No, chyba.

WANDA: Nie może być!

MARIA: Harry!...

FANKLIN *(Do Greya):* A wiesz, dlaczego ciebie nie ruszają? Chcą sobie zaoszczędzić odprawy, jaką musieliby ci wypłacić — i czekają, aż sam podasz się do dymisji, rozumiesz? — gdy Maria będzie musiała wyjechać z Ameryki.

GREY: A niech się udławią swoimi dolarami!

MARIA: Harry... Ale ty!... Ciebie nie wypuszczą z Ameryki...

FRANKLIN: Nie wyjechałbym, Mario. Tu jest moje miejsce....

(W drzwiach staje Ortega).

ORTEGA: Masz rację, Harry... *(Wszyscy wstali, patrzą na Ortegę).* Co to? *(Pauza).* Aha, wiecie już wszystko... *(Powoli idzie od drzwi).* Jak to dobrze, że jesteście — że czekaliście na mnie!... Szkoda tylko, że... Szkoda, że nie ma zebrania! *(Pauza).* Pożegnałbym się z kolegami...

WANDA *(Rzuca mu się na szyję):* Feliks!...

ORTEGA: Nie płacz... Nie trzeba rozpaczać. Słyszałaś, co powiedział Harry? Trzeba w swoim własnym kraju walczyć... Tak... Długą drogę, ciężką drogę przebyłem. Piętnaście lat!... Ale... ale trafiłem z powrotem... w czas! Mogę się jeszcze przydać. Tylko... nie mówcie Dianie!

MARIA *(Po chwili):* Lepiej, żeby ją przygotować...

WANDA *(Przez łzy):* Tak, Feliks, Maria i ja...

ORTEGA: Nie... *(Z wysiłkiem)* Ona wyjeżdża z dziećmi — do Anglii... *(Pauza).* Wczoraj postanowiliśmy...

WANDA: Wczoraj?

ORTEGA: Tak... *(Maria, Franklin i Grey porozumiewają się wzrokiem).* Powiem jej, że... że jadę do Ameryki Południowej.

GREY: Nie myśl o tym. Masz jeszcze 30 dni czasu.

ORTEGA: Przyśpieszcie jej wyjazd. Ja nie mógłbym...

MARIA: Nie troszcz się. Wszystko będzie, jak chcesz.

ORTEGA: I również... co do dzieci...

GREY: Co, Feliks?

FRANKLIN: My się nimi zajmiemy.

ORTEGA: Pamiętajcie, żeby...

MARIA: Niczego im nie zabraknie!

GREY: Aż do twego powrotu, Ortega!

ORTEGA: Do mego powrotu...

FRANKLIN: Tak, bądź spokojny!

ORTEGA: Ale gdybym nie wrócił... Żeby nie wyrosły na ludzi bez ojczyzny i na... na wrogów ludu! Żeby wiedziały, że to było ostatnią nadzieją ich ojca, że... będą żyły w lepszym świecie...

WANDA: Ale wrócisz! Ty wrócisz! Nie pozwólcie mu... Boże! Wyście chyba... Jak można! Stoicie bezradni!... Przysięgam ci, że cię nie wydamy do obozu koncentracyjnego! Słyszysz, Feliks? Przysięgam! Pójdę do delegata polskiego, będę prosić rząd polski! Czy wy myślicie, że nie ma rządu na świecie, który by się nie ugiął przed bandytami amerykańskimi? Że

oni mogą spodlić wszystkich? Są przecież wolne państwa na świecie! Zobaczysz, Feliks! Powiem delegatowi polskiemu — powiem tak: Ja nic nie zrobiłam dla kraju, jestem niegodna swego kraju, ale Ortega, który walczy o to samo, co Polska — o pokój między narodami — on jest godzien mego kraju!

MARIA: A wiecie?... Przecież Wanda ma rację!

GREY: Ale nie jesteśmy komunistami! Ortega nigdy...

MARIA: No, to co? Związek Radziecki uratował tysiące republikanów hiszpańskich, patriotów greckich, antyfaszystów, którzy nie są komunistami.

WANDA: No, widzicie! Polska też nie odmówi obrońcy pokoju — i to Hiszpanowi! Nie odmówi! Na pewno!

ORTEGA: Nie wiem... Nie wiem... Ja nie chcę uciekać...

GREY: Uciekać? Ortega!!

FRANKLIN: Jeśli państwo socjalistyczne albo ludowe, udziela azylu antyfaszystom...

MARIA: Jakże tego nie rozumiesz, Feliks! Idzie o uratowanie bojowników dla walki, dla dalszej walki, w ich własnym kraju!

ORTEGA: Ja jeszcze nie zasłużyłem... Nie wykazałem się niczym...

WANDA: Nie mów tak, nie mów tak! Bo ja... ja naprawdę nie jestem godna... jako Polka... Ale będę błagać — na klęczkach — żeby mi pozwolili wrócić do kraju... pracować dla kraju... o pokój! O wolność dla wszystkich!

MARIA: Razem pojedziemy...

GREY: Będziesz miał tłumaczkę!

(Ortega patrzy kolejno na wszystkich, twarz jego wyraża wielkie wzruszenie. Franklin podchodzi do niego, obejmuje go).

FRANKLIN: Spotkamy się jeszcze wszyscy... w Ameryce, w wolnej Ameryce!

MARIA *(Całuje Ortegę):* I we Francji!

GREY *(Ściskając rękę Ortegi):* I w Anglii!

ORTEGA: Tak... I w Hiszpanii!

KONIEC

Maj, lipiec 1951

Adam Tarn

JERZY PUTRAMENT

Notatnik chiński*)

TRZY WYSTAWY

Wyjeżdżamy rano na wystawę kolejarzy chińskich. Mają oni swój dom kultury i odpoczynku — urządzony we wschodniej części „miasta zakazanego", w której mieściły się ongi apartamenty, przeznaczone dla duchów cesarskich przodków.

Jak się zdaje, powodziło się im niezgorzej, tym duchom. Kilka wielkich dziedzińców, obramowanych podłużnymi oficynami. Pośrodku parę dużych, parterowych, ale wysokich gmachów, przypominających nasze wiejskie stodoły, nadmiernie powiększone. Wysokie dachy o pozaginanych do góry rogach. Do gmachów tych prowadzą szerokie schody z marmuru, pięknie rzeźbione, pełne lwich pysków i powykręcanych cielsk smoczych.

W pierwszym dziedzińcu parę tysięcy młodzieży szkolnej — 8—12 lat. Stoją karnie w kolumnach, czarnymi oczkami odprowadzają nas, uśmiechają się, machają rękami. Przyszły tu oglądać aż trzy wystawy, które dokwaterowano do duchów.

Jedna z nich poświęcona jest walczącemu Vietnamowi. Podłużny budynek rozmiarów sporej hali sportowej podzielony jest półprzegródkami na dziewięć części. W każdej z nich przebywał jeden duch cesarskiego przodka. Ta struktura nadaje się znakomicie właśnie na wystawę. Na przegródkach i ścianach rozwieszono ponad tysiąc fotografii, ukazujących ucisk i nędzę chłopa vietnamskiego pod francuską okupacją, okrucieństwa wojsk francuskich, działania armii Vietnamu. Szczególnie uderzyła mnie obfitość książek wydanych — w warunkach tropikalnej dżungli! — przez armię Hu Szi-mina. Tłumacze wyjaśniają: dzieła marksizmu-leninizmu, literatura polityczna, podręczniki wojskowe, obfita literatura piękna (a my nie mamy bodaj jednego przekładu z niej!), literatura popularnonaukowa.

Inna wystawa w bocznej oficynie: pochodzenie człowieka. Zaczyna się od szkieletu ogromnego zwierzęcia przedhistorycznego, jakiegoś „saurusa" czy „donta". Zafrapowani tym widokiem przechodzimy obok serii kilkudziesięciu obrazów, opatrzonych krótkimi napisasami. Etap po etapie oglądamy dzieje życia na ziemi, od protoplazmy, rodzącej się pod promieniami słońca na ciepłych łachach oceanicznych, poprzez serię prazwierząt, aż do zwierząt współczesnych. Osobna seria obrazów opowiada o rozwoju człowieka: małpoludy, człowiek neandertalski, jawański, pekiński. Ten, rzecz jasna, potraktowany jest szczególnie dokładnie; fotografie szczątków czaszki, rekonstrukcja tej czaszki w gipsie, wreszcie obrazek rodzajowy, człowiek ówczesny, stawiający czoło dzikim zwierzętom, tygrysom szablozębnym, dynozaurusom i innym, dosyć sielankowo wyglądającym wobec dzisiejszych nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego, zwierząt z bombą atomową.

Obok skomplikowany schemat zoologicznej systematyki: plątanina różnokolorowych nici, ukazujących stosunki pokrewieństwa świata zwierzęcego.

Wycieczki przepływają tędy, oprowadzane przez wygadanych przewodników.

*) Patrz Twórczość numer poprzedni.

Dzieci gapią się na szkielety potworów, na barwne i dramatyczne rysunki. Przechodzą robotnicy, zatrzymują się przy schematach. Chłopi w białych chustach oglądają szczątki swego prapraprzodka z pekińskich równin. Żołnierze w zielonych drelichach. Dziewczęta.

Ogromny ruch w tym niewielkim jakby muzeum. Staram się przypomnieć sobie: czy u nas, w Warszawie, widziałem coś podobnego? Przecież od tego, od ukazania tych prostych prawd — zaczyna się abecadło wszelkiej kultury. Jak można walczyć z ciemnotą, z religianctwem, z przesądami — nie odpowiedziawszy na pierwsze pytanie: skądeśmy się na tej ziemi wzięli?

Nie przypominam sobie, abym w Warszawie widział coś w tym rodzaju. Nasze muzea — zdaje się — są ciągle jeszcze obliczone raczej na tzw. „specjalistów", „znawców", a nie na zwyczajnego widza, robotnika, chłopa czy młodzież. Dla specjalistów powinny być przecież instytuty naukowo-badawcze.

A może się mylę? Może i nasze muzea zrozumiały już swoją główną misję: dopomóc masom ludowym naszego kraju w odrobieniu zaległości kulturalnych, tego ponurego spadku polskiego kapitalizmu?

W każdym razie jedno jest pewne. Proste prawdy naukowe o pochodzeniu życia na ziemi, o pochodzeniu człowieka w Chinach wykłada się codziennie tysiącom i dziesiątkom tysięcy wczorajszych i dzisiejszych jeszcze analfabetów. W Ameryce głoszenie tych prawd jeszcze i dziś tu i ówdzie jest ścigane sądownie.

Wreszcie wystawa kolejowa. W pierwszej sali ogromna mapa Chin. Przewodnik z bambusową pałeczką. Zapalają się kolejno różnobarwne rurki neonowe. 1948 — wojna domowa w pełni. Tylko na północo-wschodzie, w dawnej Mandżurii pali się kilka gałązek światła. 1949—wielka ofensywa na południe. Wypryskują nowe odcinki, posuwają się na Pekin, na Hoang-ho, sięgają wielkiej krechy Jang Tse-kiang. 1950— dobiegają do Kantonu. 1951 — cała sieć kolejowa Chin kontynentalnych jest odbudowana. Oto dwie cyfry: 1948 — czynnych tylko 7.000 km linii kolejowych, 1951 — cała sieć jest uruchomiona.

Co prawda, wynosi ona zaledwie 22.600 kilometrów — mniej niż ma trzydzieści razy mniejsza od Chin Polska. Blisko połowa tej sieci przypada na wielki teren północo-wschodu.

Chyba w tym kryje się największa trudność tego kraju. Poza północowschodem (nie ma już nazwy Mandżuria, skończyła się razem z operetkowym cesarstwem Mandżukuo, sfabrykowanym przez Japończyków, teraz jest rejon administracyjny Tunbej — czyli właśnie północo-wschód, albo raczej, po chińsku: wschodo-północ) są, w gruncie rzeczy, tylko cztery wielkie magistrale — jedna z Pekinu idąca wprost na południe, na Kajfyn, Hankou (czy raczej Uhań), Kanton. Dwie inne idą w kierunku równoleżnikowym, wzdłuż obu wielkich rzek. Poza tym są tylko drobne raczej odgałęzienia albo linie lokalne, nie związane z główną siecią, jak np. kolej junnańska, połączona z siecią północnego Vietnamu. Cała zaś zachodnia połowa Chin, ogromne tereny Tybetu i Sibeju (zachodo-północy) — w ogóle są pozbawione kolei.

Rząd ludowy dokłada niebywałych starań, aby temu zaradzić. Już odbudowa zniszczonych przez cofających się kuomintangowców mostów, torów, urządzeń stacyjnych była przedsięwzięciem iście herkulesowym. Dziś są prowadzone budowy kilku nowych linii. Co jednak oznacza budowa kolei w górzystych terenach Chin, świadczy przykład kolei na Lan-Czou. Na ukończonym niedawno odcinku długości 150 kilome-

ów — trzeba było zbudować 123 tu-
ele.

Idziemy do dalszych sal. Nasz związ-
owiec jest kolejarzem, mógłby więc
powiedzieć dokładniej, cośmy tam uj-
eli. Jak przystało na laika — zachwy-
m się przede wszystkim ogromnymi
akietami stacyj rozdzielczych, przeła-
unkowych i jakichś tam jeszcze. Po-
ziwiam makiety blokowania auto-
natycznego, parowozowni, zwrotnic.
Wszystko „jak żywe", palą się lampecz-
i elektryczne, biegają pociągi, spadają
amiona semaforów. Co za radość dla
dzieci! Ile z nich, po obejrzeniu tych
wszystkich cudów zlokalizuje swoje ma-
zenia o dorosłym życiu właśnie w za-
wodzie kolejarskim.

Sala pomysłów racjonalizatorskich.
No, w tym się całkiem nie wyznaję, wi-
dzę tylko, że tego jest bardzo dużo.
Związkowiec aprobująco kiwa głową,
ogląda to i owo, kłopot ma jednak z tłu-
maczami.

Na ścianach znowu seria barwnych
rysunków: życie i walka kolejarzy chiń-
skich za czasów okupacji japońskiej
walki z Kuomintangiem. Właściwie —
to są prawie filmy; każda scena jest
pełna dramatycznego napięcia, każda
łączy się z sąsiednimi w logiczną ca-
łość, tekstu pod tym jest bardzo niedużo.

Cała wystawa obliczona jest właśnie
na tę poglądowość.

I pod tym względem nasze środki pro-
pagandy wydają mi się skąpe. Nasze
fotografie i kompozycje graficzne — na
ogół wyprane z fabuły, są raczej ilu-
stracją do tekstu. A tutaj podpis jest
dodatkiem do rysunku. U nas organi-
zatorzy wystaw obliczają swoje efekty
na mieszczucha, inteligenta, na czołów-
kę robotniczą. Tutaj robi się tak, aby
całkiem surowy widz ze wsi czy z mia-
sta wyniósł z wystawy maximum korzy-
ści. Dzięki doskonałemu wykonaniu ry-
sunków, dzięki umiejętnej kompozycji
wystawy — nawet „wyrobiony" gość
jest z takiej wystawy zadowolony.

Wychodzimy. Przy stoliku ogonek wi-
dzów — tam przykłada się do notesów
pamiątkowy stempel wystawy. Jest to
symbol kolei chińskich, przekrój szyny,
uchwycony rozciętym kołem. Znak ten
spotykamy na każdym kroku, jest on
jakby nowym hieroglifem, typową dla
alfabetu chińskiego drogą pojęciową,
a nie fonetyczną, wprowadzanym do
świadomości ludzi mówiących wszyst-
kimi dialektami Chin.

U CZU TEH

O czwartej zbiórka, jedziemy do Czu
Teh, żeby wręczyć prezenty Prezydenta
Bieruta dla Centralnego Rządu Chiń-
skiej Republiki Ludowej.

Czu Teh jest — obok Mao Tse-tunga
— legendarną postacią chińskiej rewo-
lucji. 24 lata temu, w okresie zdrady
Czang Kai-szeka i rzezi komunistów
Czu Teh razem z Czou En-lajem zor-
ganizowali zbrojne powstanie w Nań-
czanie, gdzie przeciwko zdradzieckiemu
Czang Kai-szekowi zbuntowały się naj-
lepsze jego oddziały wojskowe.

Czu Teh objął dowództwo nad tymi
rewolucyjnymi oddziałami. Przez kilka
miesięcy umiejętnie manewrując unik-
nął on otoczenia przez przeważające si-
ły Kuomintangu, budząc walkę rewolu-
cyjną wśród chłopów Chin południo-
wych przeszedł przez kilka prowincji o i
Jang Tse aż do Kantonu. W maju 1928
roku ten zalążek przyszłej Armii Ludo-
wo-Wyzwoleńczej połączył się w górach
Szinkań z robotniczo-chłopską armią,
stworzoną i dowodzoną przez Mao.

Czu Teh stał się głównodowodzącym
sił zbrojnych chińskiej rewolucji. Dwa-
dzieścia dwa lata wiódł je od bitwy do
bitwy, od klęsk początkowych do wspa-
niałego, końcowego zwycięstwa. Pierw-
sze dziesięć — to była wojna domowa
z reakcją Czang Kai-szeka, tworzenie

rejonów rewolucyjnych na południu Chin, „Wielki marsz" — niespotykany w dziejach wojskowości świata, całoroczny odwrót pod naporem kilkakrotnie silniejszego nieprzyjaciela poprzez niebotyczne góry południowo-zachodnich Chin aż do prowincji Szensi, gdzie została stworzona nowa baza rewolucyjna. Trasa marszu wynosiła blisko 12,5 tysiąca kilometrów — w najgorszych warunkach terenowych i przy stałym nacisku nieprzyjaciela, starającego się za wszelką cenę zniszczyć armię rewolucyjną.

A potem siedem lat wojny z Japończykami. Ósma Armia (tak się teraz nazywa) była jedyną siłą, walczącą czynnie z Japończykami. Wystarczy powiedzieć, że najeźdźca zmuszony był rzucić przeciw niej dwie trzecie własnych wojsk, zaangażowanych w Chinach i prawie wszystkie siły organizowanego przez siebie rządu marionetkowego Wan Dzin-weja.

W tym czasie — w styczniu 1941 roku — Czang Kai-szek, zamiast walczyć z Japończykami, prowokuje błahe incydenty i otacza tworzoną nad Jang Tse Czwartą Armią, rozbraja ją, oficerów morduje, żołnierzy zamyka w obozie koncentracyjnym.

Ósma Armia w końcowym okresie wojny z Japonią liczyła blisko milion żołnierza regularnego i ponad dwa miliony milicji ludowej. Tereny przez nią wyzwolone obejmowały siedemnaście prowincji z ludnością blisko stumilionową. Jej walka przyśpieszyła klęskę Japonii, której ostatnim akordem była błyskawiczna ofensywa wojsk radzieckich w Mandżurii.

W niespełna rok po kapitulacji Japonii, uzbrojony i opłacony przez Amerykę Czang Kai-szek rozpoczął ofensywę przeciwko wyzwolonym przez Ósmą Armię terenom. Wtedy armia Czu Teh przybrała swoją nazwę obecną.

Ostatni etap Armii Ludowo-Wyzwoleńczej trwał cztery lata. Pamiętamy go dobrze. Armia Czang Kai-szeka została rozbita w drzazgi. Wojska ludowe wzięły w toku tych działań ponad 4,5 miliona jeńców, ponad milion zbuntowało się przeciw Czangowi i przeszło na stronę ludu. Cały teren Chin — z wyjątkiem Taiwanu — został wyzwolony.

A przecież Ameryka nie szczędziła pieniędzy, broni, instruktorów, by Czanga wyciągnąć z przepaści. O rozmiarach tej pomocy niech świadczą cyfry trofeów wojennych wziętych w czasie ostatniego etapu wojny domowej, pochodzących z amerykańskich arsenałów — prawie 55 tysięcy dział, przeszło 300 tysięcy karabinów maszynowych, prawie 200 samolotów (nie licząc zniszczonych w czasie walk), 200 statków, ponad 600 czołgów, przeszło 500 milionów nabojów karabinowych, przeszło 5 i pół milionów pocisków itd.

Dziś Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza liczy 5 milionów żołnierza. Widzieliśmy parę dni temu, jak znakomicie się prezentuje.

Jej wodza mamy zobaczyć.

Jedziemy razem z delegacją koreańską. Za Tiań Ań Myń w czerwonym murze „miasta zakazanego" — inna brama, wjeżdżamy, wymijamy dużą „przeszkodę przeciwszatańską" — i nagle ogromny staw, otoczony ze wszystkich stron drzewami. Pośrodku wysepka z kilku wdzięcznymi budyneczkami o dachach z żółtych i zielonych kafli. Droga asfaltowa idzie brzegiem tego Nań-chaj — „południowego morza" — jak wyjaśnia nam Lian Ta — bo jest jeszcze Bej-chaj, „morze północne". Objeżdżamy staw, z drugiej strony kolejna, tym razem nieduża brama z rzeźbionego drzewa. Maleńkie podwórko, klomby z jaskrawymi gladiolusami, „kogucimi grzebieniami" i jeszcze czymś takim, bardzo malowniczym.

Maleńkie podwórko, niewysokie ofi-
ny, bardzo „rodzinny", wcale nie
urzędowy" domek. Na schodach Czu
eh.

Widziałem go na wielkim przyjęciu.
u świeci słońce. Są kwiaty i ten przy-
ulny domek. Czu Teh ma prosty i do-
ry uśmiech. Ubrany w zielony strój
ołnierski, bez jednego orderu, bez
wiazdek, pasów, sznurów, bez żadnych
bsolutnie oznak swego stanowiska w
ojsku. Tylko ta twarz, znana na pa-
nięć żołnierzom, których przez dwa
ziesiątki lat wiódł do zwycięstwa.

Wchodzimy do salonu. Z sufitu zwi-
ają metrowe draperie z rzeźbionego
ahoniu. Lampiony, parawany w ką-
ach, niskie stoliki z czarnej laki, na
tórych ustawiono tace ze słodyczami
hińskimi i owocami. Ogromne i blade
rzoskwinie wielkości średniego me-
onu.

Rozmowa odbywa się przez tłumaczy.
Koreańczycy pytają o zdrowie Mao Tse-
tunga. Czu Teh zapytuje mnie o zdro-
wie prezydenta Bieruta i marszałka
Rokossowskiego. Pijemy bladą herbatę
chińską o wspaniałym zapachu jaśmino-
wym. Patrzę na swego sąsiada, staram
się uchwycić te rysy jego twarzy, z któ-
rych można by odcyfrować osobowość
człowieka, jego udział w epokowym
zwycięstwie chińskiej rewolucji.

Czu Teh wygląda na lat pięćdziesiąt
(ma zaś dużo więcej). Jest dosyć wy-
soki, dosyć pełny, ma białe, zdrowe zę-
by. Trochę siwizny na skroniach. Twarz
szeroka, zwyczajna, podobna do tylu
twarzy, któreśmy widzieli na wielkim
przyjęciu. Może w oczach kryje się tro-
chę wesołości, ale właśnie zwyczajność,
właśnie prostota dominują w tym czło-
wieku.

Jak się mówi, krew z krwi, kość
z kości chińskiego ludu, pół swego ży-
wota wyrastał z tego ludu, drugie pół
życia budził ten lud, prowadził z Mao
Tse-tungiem do zwycięstwa przez jak-
że straszliwe trudności, kosztem jak
wielkim!

Mówi teraz — i tłumacze podchwy-
tują jego słowa, powtarzają na równie
niepojęty język koreański, a poczciwy
Lian Ta poci się, aby słów jego nie za-
gubić w przekładzie na rosyjski. Tłu-
maczę reszcie delegacji po polsku.

Czu Teh mówi o walce światowego
obozu pokoju, o tym, że Chiny są nie-
rozerwalnie z tym obozem związane. Że
można i należy rozszerzyć i wzmocnić
wymianę gospodarczą i kulturalną mię-
dzy krajami demokracji ludowej. Mówi
o bohaterstwie narodu koreańskiego
i o jego wkładzie w walkę z agresją
amerykańską.

Koreańczycy dziękują ludowi chiń-
skiemu za pomoc.

Mówię: — jesteśmy sąsiadami, choć
dzieli nas osiem tysięcy kilometrów, bo
między nami i wami jest nasz wspólny
przyjaciel, Związek Radziecki.

— Tak jest! — odpowiada Czu Teh —
Należymy do jednego obozu, na które-
go czele stoi wielki Stalin!

Przekazujemy podarki. My — wielką
wazę kryształową i współczesne gobeli-
ny, Koreańczycy — bojowy sztandar ar-
mii koreańskiej.

Czu Teh wznosi toast na cześć pre-
zydenta Bieruta i Kim Ir-sena. Odpo-
wiadamy toastem na cześć Mao Tse-
tunga i Stalina. Wizyta trwała 45 mi-
nut.

CZWARTY MAJA I ROZMOWY JENAŃSKIE

Straszliwy upał. Przez cały dzień spot-
kanie z chińskimi literatami.

Zbieramy się w sali hotelowej. Za-
biera głos Mao Tun, przewodniczący
Federacji Pracowników Kultury i zara-
zem tutejszy minister kultury. Na ro-
syjski tłumaczy go towarzyszka Lu
Chua-lan, córka Polki z Warszawy
i Chińczyka, profesora uniwersytetu,

jednego z najlepszych tutaj znawców języka rosyjskiego.

Lu Chua-lan mówi podobno po polsku. Po rosyjsku mówi znakomicie. Zaraz po niej tuzin tłumaczy półgłosem przekłada słowa Mao Tuna na tuzin języków Europy Środkowo-Wschodniej i Południowo-Wschodniej Azji. Powstaje malowniczy i różnobarwny szmerek, jak w medresie — mahometańskiej szkole wyznaniowej.

Mao Tun: To spotkanie jest pierwszym tego rodzaju nie tylko w Chinach, ale w ogóle w Azji. Zacznijmy od wzajemnego poznania się.

Po kolei wstają obecni:

Ibrahim Delis, powieściopisarz z Pakistanu. Dziewięć książek.

Panta-czari, esseista, z Indyj.

Mudżib, działacz oświatowy, Indie.

Mulk Raj Anand, indyjski powieściopisarz, był na Kongresie Warszawskim. Tłumaczony na polski. Bardzo czarny i wesoły.

Almad Abas, Indie.

Korrentia, Indie, prezes towarzystwa przyjaźni chińsko-indyjskiej.

Chodżi, ekonomista i dziennikarz, Indie.

Szelmaru, sekretarz Związku Literatów Rumunii.

Baria, poeta, Indonezja.

Armenpaki, nowelista i dramaturg, sekretarz Związku Pracowników Kultury Indonezji. Ten oświadcza: — jesteśmy w Indonezji trochę zacofani. Chcemy się u was poduczyć.

Powitany żywymi oklaskami Li Taj-dzin, Korea, nowelista, wiceprzewodniczący Związku Pracowników Kultury. Był także w Warszawie.

Ran Czun-smej — prezes Vietnamskiego Komitetu Obrony Ojczyzny i antyfaszystowskiego związku dziennikarzy i literatów.

Dagundaja, esseista, wiceprezes ogólnobirmańskiego Związku Literatów, prezes związku nowej literatury.

Dagunbao, wiceprezes towarzystwa przyjaźni chińsko-birmańskiej.

Tachin Kadumaja, nestor literatury birmańskiej, poeta o siwych wąsach: — Cieszę się, że spotkałem się z pisarzami całego świata. Kiedy wrócę do Birmy, napiszę poemat o tym, co widziałem w Chinach...

Kabalewski — kompozytor radziecki, laureat Nagrody Stalinowskiej, najwyższy, najszczuplejszy i najdowcipniejszy ze wszystkich obecnych tam delegatów Europy i Azji. Ponieważ nie bardzo wiedziałem, jak określić jego profil literacki — wpisał mi do notesu: poeta-liryk i trochę chemik.

Fuczikowa, wdowa po Juliuszu, Czechosłowacja.

Polanow, bułgarski Leopold Staff i Broniewski naraz, kończy właśnie 75 lat.

Karasławow, bułgarski prozaik. Już o nim mówiłem.

Konya Lajos, sekretarz Węgierskiego Związku Literatów.

Anna Seghers, Niemiecka Republika Demokratyczna, wybitna powieściopisarka.

Kurt Bartel, NRD, znany u nas bardzo dobrze.

Kurt Metzig, reżyser filmowy.

Tamdin Sulun, literat, szef delegacji Mongolskiej Republiki Ludowej.

Z kolei przedstawiają się gospodarze.

Czou Jan, wiceprezes Związku Literatów, krytyk.

Aj Cin, poeta, zastępca redaktora pisma Literatura Ludowa.

Din Lin, nowelista, wiceprezes Związku Literatów, redaktor naczelny Literatury Ludowej.

Sza Ky-fu, sekretarz generalny Związku Pracowników Kultury, tłumacz.

Li Bej-czao, dramaturg, wiceprzewodnicząca pekińskiego oddziału pracowników kultury i sztuki.

Czyn Ci-sia, zastępca sekretarza generalnego Związku Pracowników Kultury, krytyk.

Lu-din, kompozytor, rektor kon-rwatorium szanghajskiego.
Szi-po, poeta tłumacz Nerudy, brał dział — obok Emi Siao — w wieczo-e poetyckim dwudziestu narodów, dczas Kongresu Warszawskiego. oskonały poeta; w drodze do Chin zeczytałem w przekładzie rosyjskim lkanaście jego utworów.
Czy, poeta.
o Szu-li, prozaik i to znakomity.
ługo trwała ta prezentacja. Ale też rzadko się zdarza spotkać pracow-ów literatury piętnastu narodów Azji uropy, że warto nazwiska obecnych otować. Boję się zresztą, że pisow-ich niejednokrotnie poprzekręcałem.
zou Jan wygłasza krótki referat. Literatura chińska istnieje od paru ięcy lat. Ale nowy jej okres zaczął z dniem 4 maja 1919 roku. Jest to a wielkiego ruchu społecznego i kul-alnego, który rozpoczęli studenci obotnicy chińscy.
W dziedzinie kulturalnej ruch 4 ma-zapoczątkował zrewolucjonizowanie ratury chińskiej przez odnowienie języka, zbliżenie języka literackiego języka ludowego. Lu Sin, jeden rzywódców tego ruchu, wprowadził literatury chińskiej nurt realistycz-w takim utworze jak np. Prawiwa historia o A Kwei. Nazy-ją go dlatego „chińskim Gorkim". o Mo-żo i Mao Tun są przedstawi-lami tego nurtu realistycznego.
Jest to krótki okres, w porównaniu 2000 lat literatury chińskiej. Prze-ót, który się w tym czasie dokonał, e ma jednak sobie równego w całej storii Chin.
W czerwcu i lipcu 1942 roku, w ma-m mieście, zagubionym w górach ensi, w Jenań, w pełni nasilenia wojn z Japonią, Mao Tse-tung znalazł syć czasu, aby odbyć z literatami, uzykami, mularzami chińskimi słyn-rozmowy jenańskie.

W rozmowach tych Mao ukazał podstawowe zadania literatury chińskiej, ukazał jej cel główny — służyć ludowi, chłopom, robotnikom i żołnierzom. Pisarze muszą dobrze poznać i zrozumieć lud chiński i prawidłowo go przedstawić w swoich utworach.

Rozmowy jenańskie otwierają drugi etap nowoczesnej literatury chińskiej. Bohaterami klasycznej literatury chińskiej byli przeważnie feudałowie. Po 4 maja 1919 roku do literatury wkroczył drobnomieszczanin, a czołowym bohaterem stał się postępowy inteligent. W swoim czasie zresztą odegrało to dużą, pozytywną rolę. Ale pisarze tego okresu nie znali ani robotnika, ani chłopa, stąd nie umieli dać wiernych i pogłębionych obrazów ludu chińskiego.

Po rozmowach jenańskich literaci za cel swój główny postawili poznanie ludu chińskiego. Dlatego sami musieli się wychować na nowo. Był to proces dosyć długi, czasem trudny. Było to jednak konieczne.

Od rozmów jenańskich minęło 9 lat. Stosunek literatury do ludu i oblicze chińskiej literatury zmieniły się radykalnie.

Proces tej przemiany nie odbywał się w zamkniętym lokalu. Literaci byli z ludem: w walce, na wojnie, na froncie i na tyłach, w chwilach ciężkich i radosnych.

Na przykład utwór towarzyszki Din Lin Słońce nad rzeką San Gań, powstał w wyniku reformy rolnej, w której autorka brała czynny i bezpośredni udział. Pieśni U-caja Czao Szu-li mógł napisać tylko po dłuższym pobycie na wsi. Miedziane ściany i żelazne przegródki Lo Ciń napisał po dłuższej pracy jako kancelista w zarządzie jednej z prowincji Sibeju (zachodo-północy). To samo dotyczy najlepszego utworu produkcyjnego — Pieśni o Czerwonym Sztandarze, dzieła opie-

wającego naszą armię Wyrośli w walce i innych.

Nasza nowa literatura jest zaiste ludowa.

Jesteśmy dumni z tradycji naszej literatury. Szanujemy te tradycje, ale ustosunkowujemy się do nich krytycznie. Uczymy się u czołowych krajów świata, uczymy się u Związku Radzieckiego. Utwory radzieckie są u nas bardzo popularne i mają ogromne znaczenie wychowawcze.

Mao Tse-tung powiedział, że nie należy szablonowo przejmować obcych wzorów, że należy dostosowywać je do miejscowych warunków. Nie wolno robić bóstwa z własnych tradycji czy z obcych wzorów. Należy jedno i drugie przyjmować analitycznie, uwzględniając sytuację historyczną swego kraju.

Nie było w historii literatury chińskiej takiego zbliżenia do ludu jak obecnie. Minęły czasy, gdy literaci pisali dla siebie, czy dla wąskiej grupki „znawców". Uświadomienie polityczne narodu chińskiego wzrosło wydatnie, dlatego też podniósł się również poziom krytyki.

Obok literatów-zawodowców istnieją liczne koła literackie, dramatyczne i muzyczne w fabrykach, na wsi i w wojsku, w którym poziom kultury podniósł się szczególnie wysoko. Są one szeroką bazą, z której wyrastają nowi twórcy.

Ideowo - artystyczny poziom literatury chińskiej jest wysoki. Będziemy dążyli do dalszego podniesienia tego poziomu i liczymy na pomoc także i naszych towarzyszy z innych krajów demokracji ludowej".

Czou Jan kończy życzeniami pod adresem nas wszystkich.

Z kolei przemawia Din Lin, niewysoka, tęgawa i dobroduszna:

— Cieszę się, widząc tylu przyjaciół. Ponieważ przemawiać nie lubię, a i czasu jest niewiele, będę się streszczać.

„Literatura chińska dokonała w ciągu kilku lat dużego przełomu i dzielnie dopomaga swemu narodowi w jego storycznej przebudowie.

Stało się tak przede wszystkim dzi pomocy, jaką literatom naszym w znawaniu życia okazuje Partia i Rz Bo oczywiście ten, kto życie poznaje doniczkach i w akwariach ze złoty rybkami, nic trwałego napisać nie mo

Gdy pisarz nasz opracował plan tworu, instytucja, w której pracuje kadr mamy tak mało, że literaci, n stety, muszą u nas pracować w inst tucjach) stwarza mu dobre warun pracy. Na przykład wysyła go do Ih juaniu, gdzie przez kilka nawet m sięcy jest on wolny od wszystkich tro życiowych. Organizuje mu się rozmo i dyskusje ze specjalistami tej dzied ny, którą w książce opisuje. Książ wydaje się najpierw w niedużym nak dzie. Jeśli zostanie dobrze przyj przez czytelników — przekazuje się wydawnictwu o dużych nakładach.

Każdy z nas czuje opiekę Parti Rządu. W 1943 roku, podczas woj któregoś dnia o 17 godzinie wyszła zeta z pewnym moim utworem. W czorem tegoż dnia dostałam list od warzysza Mao z oceną utworu i zap szeniem na kolację i rozmowę.

Mamy Instytut dla kształcenia m dych literatów i Centralne Studi Literackie, liczące około 100 słucha Sama jestem jego kierownikiem".

Następuje przerwa. Jemy obiad ch ski w sąsiedniej restauracji. Ró fantastyczne dania. O tym potem.

Po południu dzielimy się na parę g i z gospodarzami przystępujemy do r mów bardziej szczegółowych.

Czou Jan wyjaśnia: „Do Instyt Literackiego przyjmuje się tych p rzy, którzy już debiutowali. Mają zazwyczaj duże doświadczenie życio natomiast wspólnym ich brakiem słaba znajomość techniki literacki języka. To właśnie jest głównym prz

em wykładanym w Instytucie. Czas
ów wynosi dwa lata.
eta Aj Cin mówi nam o bardzo
nplikowanym zagadnieniu chińskie-
ęzyka literackiego.

lasyczny język literacki w Chinach
był językiem ludowym. Wyjątko-
ć ta wynika przede wszystkim z
graficznego charakteru naszego al-
tu: jak wiadomo każdy nasz hie-
if oznacza pojęcie, a nie dźwięk fo-
yczny. Alfabetem tym posługiwała
dawniej tylko góra społeczna i za-
s tego języka, klasowo biorąc, był
dzo wąski. Tylko ci z ludu, którzy
czyli się tego języka, mogli dojść do
owisk urzędniczych. Lud natomiast
wił dialektami terenowymi.

ęzyk literacki zaczął się zmieniać
iero z dojrzewaniem rewolucji. Do-
ro od 4 maja język ludowy (tzw.
ały" t.j. prosty) wkroczył do litera-
y.

Czwarty maja stał się datą rewolucji
etyckiej. I tak na przykład dawna
ezja znała formy poetyckie wymaga-
e niezwykle rygorystycznego prze-
zegania pewnych reguł formalnych,
wiele sztywniejszych od europejskich
netów czy trioletów. Były więc for-
polegające na ułożeniu siedmiu
nawet pięciu słów w cztery zdania.
ten sposób poeta zmuszony był pa-
wać do każdego słowa bardzo dużo
eści i dobierać wieloznaczne wyrazy.
zultat tego był oczywisty: przesadna
ięzłość musiała doprowadzić do nie-
zumialstwa. Był kiedyś taki poeta
in En. Jego wiersze w Chinach dzi-
j rozumie zaledwie parę osób. Byli
ż i inni. Po Czu-i, choć żył przed dwu-
stu wiekami, rozumiemy i dziś, bo
sługiwał się on językiem zbliżonym
ludowego.

Dziś poezja zbliża się bardzo do po-
ji ludowej i poezji zagranicznej o
rcie rewolucyjnym. Naszymi mistrza-
mi są dziś Majakowski, Goethe, Heine, Whitman, Puszkin.

W naszej poezji zaznaczają się już formalne wpływy poezji europejskiej, zjawiają się na przykład utwory budowane z rymowanych zwrotek czterowierszowych. Prócz tego istnieje też wiersz wolny.

Nie można powiedzieć, by nasza poezja w pełni wyrażała uczucia ludu. Skupia się ona ciągle jeszcze przede wszystkim wokół rewolucyjnej inteligencji i do szerokich mas dostatecznie nie dotarła.

Ruch 4 maja chciał obalić stary język literacki. Dziś, gdy nowa poezja już okrzepła, znowu sięgamy do skarbnicy starych mistrzów po obrazy i cenne słowa.

Można powiedzieć, że istnieją dziś w naszej poezji dwa kierunki: ludowy i „literacki".

Na moją prośbę Li Bej-czao recytuje parę zwrotek poezji klasycznej i dzisiejszej. Rymy, o których mówiono, różnią się zasadniczo od naszych, oparte są na tożsamości ostatniej spółgłoski, np. tyn — wen. Wiersz ma swoją melodię, akcent w nim jest bardziej podobny do starogreckiego *przyśpiewu* niż do naszego *przycisku*.

Jeszcze raz mówi Czou Jan. O potrzebie studiowania marksizmu-leninizmu. O obowiązkowym uczestniczeniu inteligentów np. w reformie rolnej. Wreszcie o krytyce i samokrytyce. Pod tym względem bardzo pouczająca była dyskusja nad filmem U-Siuń, prowadzona przez pół roku od marca b.r. W filmie tym jako bohatera ludowego ukazano lumpa i sługusa dawnej epoki. W rezultacie dyskusji autor przeprowadził samokrytykę.

Sza Ky-ku wyjaśnia zawiłe zasady organizacyjne tutejszego świata kulturalnego:

„W 1949 roku na I zjeździe ogólnochińskim stworzono Federację Pracow-

ników Kultury. Wkrótce potem powstało osiem związków branżowych; literatury, muzyki, teatru, malarstwa, filmu, tzw. opery klasycznej, cyrku i tańca. Wszystkie należą do Federacji.

Prócz tego w każdym większym mieście (np. w Szanghaju) są lokalne oddziały każdego z tych związków. Prawie w każdej prowincji istnieją oddziały Federacji.

Sekcji twórczych w Związku Literatów jeszcze nie ma. Myślę sobie, że sytuacja tutaj, z grubsza biorąc, odpowiada naszemu okresowi mgławicowej Rady Zrzeszeń Artystycznych, tyle że tu, jak się co robi, to się robi solidnie. Oczywiście, dziś organizacyjnie jesteśmy bardziej zaawansowani.

Upał przeraźliwy. Pijemy gorącą, jaśminową herbatę bez cukru, pocimy się. Przynoszą gorące i mokre ręczniki, obcieramy ręce, twarze, karki. Jesteśmy wymęczeni.

Wieczorem klasyczna opera z prowincji Czecdzian. Piękne stroje i dekoracje. Aktorzy (tu są i kobiety) mówią jakąś melopeą przy akompaniamencie muzyki starochińskiej. Wspaniała dykcja sprawia, że język chiński, na ogół nie bardzo dźwięczny, nabiera swoistego piękna. Tu dopiero słychać, że w chińskim języku cały szereg spółgłosek staje się zgłoskotwórczy. Szczególnie dźwięcznie brzmią takie p.o. samogłosek, jak *n*, *s*. Nawet *k* z przydechem takie funkcje zdaje się pełnić.

Nie wiadomo skąd wzięło się u nas Czang Kai-szek. Rosjanie piszą Czan Kai-szi. Najbliższe prawdy byłoby Cziang Kai-sz, gdzie to *sz* właśnie występuje w formie zgłoskotwórczej.

ODKRYWAM AMERYKĘ

7.X

Niedziela, tydzień Pekinu. Nadmiar, natłok wrażeń. Niesposób zdobyć się na jakiekolwiek uogólnienie, uporządkowanie tego, co się tu widzi, słyszy, czu smakuje, czego się tu dotyka.

Nawet dziś — cały dzień jest wol a przecież samo oglądanie tego mias którego każdy szczególik tak się ró od naszych miast, ulic, domów, oki klamek, gwoździ bodaj — przyprav o zachwyt i dziwne znużenie. Po jaki czasie przestaje się reagować na n pięknie jsze gmachy, najdziwniej przedmioty, najciekawsze zagadnien Pojemność oczu, umysłu, duszy wid mam nienadzwyczajną.

Z paru pracownikami naszej amb sady wędrujemy przez niedzielny Pek Wszystkie sklepy są otwarte i ruch je nie mniejszy niż w dzień powszed Zaraz za hotelem zaczyna się dzielni handlowa. Ulice i tutaj przecinają pod kątem prostym, są dosyć szerok niektóre wysadzane drzewami. skrzyżowaniu ogromny posąg żołnier Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Wchodzimy do pasażu. Labirynt s isk. Tandeta biżuteryjna, szkła chy czeskie, naszyjniki, broszki, błyszcz i jaskrawe. Zabawki dziecięce: bębny *Jang-ko*, małpy na drabinkach, zrę nie spadające ze szczebla na szczeb starochińskie szable ze złoconej tektu gongi. Maski „sześciu postaci sceni nych w poszukiwaniu autora". Te ost nie kupuję — dla naszej sekcji dram tycznej ZLP. Sześć typów — to już tak źle, widywaliśmy sztuki, w któr i dwóch zarysowanych charakter trudno się było doliczyć.

Potem „antyki". Pekin jest ogromn zbiorowiskiem rzemieślników fabryk jących właśnie posążki z kamienia, dr wa, laki. Są czasem zrobione znako cie, ale prawdziwych antyków znal prawie niesposób, wszystkie wazy p celanowe, filiżaneczki i spodeczki z e ki Ming, czy dawniejszych, zdążyli wykupywać europejscy i amerykań kapitaliści.

Rząd usiłuje zorganizować rzemiosło tystyczne, oparte na motywach ludo- ych i klasycznych. Wchodzimy do klepu państwowego, tutejszej CPL i A. iękne hafty, wyroby z białego, różo- ego i zielonego kamienia, czarne pu- cłeczka z laki, rzeźbione kasetki z laki zerwonej, tzw. *cloisonné*, miedź i ema- a — wazy, tace, popielniczki. Wszyst- o ozdobione starochińskimi motywami e smokiem na czele.

Potem dochodzimy do pekińskiego Kercelaka". Niekończące się rzędy traganów, stoisk, po prostu kupek to- aru, rozłożonych wprost na chodniku. anuje tu amerykańska tandeta, rzu- ana na rynki chińskie w okresie „po- nocy dla Czang Kai-szeka. Setki stoisk amerykańskimi koszulami, gaciami, karpetkami, wojskowe mundury, „bat- ledresy", furażerki, buty, pasy, torby kórzane, mapniki, lornetki, witaminy, coca-cola, czuingumy, krawaty z wypię- tymi zadami kobiecymi, „pinupgerlsy", wszystkie skarby „atlantyckiej cywili- zacji", wszystkie wdzięki „amerykań- skiego stylu życia" (poza tylko psycho- analitykami austriackimi), walają się kupami na bruku pekińskim.

Dziwne wrażenie sprawia ta tandeta. Gdyby wycisnęło się całą sentymental- ną wodę, której Truman nie żałuje w swoich co tygodniowych i częstszych przemówieniach, cóżby zostało w koń- cu? Właśnie po to, by taką tandetą wy- pełniać rynki całego świata i pompo- wać stamtąd cenne surowce — właśnie po to zbroi się Ameryka, po to szykuje wojnę. Oto kwintesencja ich życia, trosk, uniesień, oto ich ideał. Zaiste, ideał sięgnął bruku.

Szybko mijamy ten rejon „Kercelaka". Trochę dalej zaczyna się starzyzna. I tu sporo tandety: brązowe, nagie kobiety o bujnych fryzurach, ogromne, fajan- sowe wyży, jakieś jeszcze ideały pię- kna niemieckich mieszczuchów. Ale w tym tu i ówdzie coś egzotycznego.

Całe stoisko z pieczęciami. Każdy Chińczyk musiał posiadać pieczęć z wła- snym hieroglifem — do podpisywania wszelkiej korespondencji, zwłaszcza urzędowej. Bogatsi lubowali się w ne- frytowych, ametystowych, jaspisowych statuetkach, kazali sobie rzeźbić lwy, smoki, figurki świętych. Ubożsi poprze- stawali na gładkich słupkach, kamien- nych czy drewnianych.

Przy innym klateczki z bambusu — na kawałku rzepy siedzi melancholijny świerszcz i rusza wąsami. Obok szkla- ne pudełko, kolorowa, „jak żywa" rzod- kiew i „jak żywy" świerszcz — wszyst- ko z kości słoniowej. Największy po- dziw budzą wąsy świerszcza — jak ni- teczki, a przecież wyrzeźbione z tejże kości. Całość nader brzydka, ale budzą- ca zdumienie — ile wysiłku! Chińczycy podobno przepadają za takimi sztucz- kami.

Inna specjalność miejscowa — to misternie rzeźbiona w kości słoniowej kula. Wewnątrz niej mieści się mniej- sza — i tak dalej.

Sporo sklepów państwowych, typu naszych PDT, dobrze zaopatrzonych we wszelkiego rodzaju towary.

Sklep z herbatą; cóż za zapach! Po- kazują nam rozmaite gatunki. Do tej jaśminowej dodaje się suszonych kwiat- ków jaśminu, jest to specjalność pekiń- ska, na południu pije się inne gatunki.

Chodzimy po mieście. Jest parterowe. Co krok napotykamy na jakieś piękno- stki. Oto brama zwyczajnego domku, zdobią ją lwy z pyskami buldogów, zwietrzałe od starości. Gdzie indziej są to sowy albo smoki. Oto sklep, ubogi i bylejaki, ale cała jego ściana jest z mi- sternie rzeźbionego drzewa.

Ruch jest duży w tej dzielnicy han- dlowej. Sporo Europejczyków. Parolet- nie dzieci, ubrane po tutejszemu, to zna- czy w długich spodniach, ale z rozcię- ciem w kroku niemal od pępka aż do krzyża.

Jest dosyć czysto, w każdym razie czyściej niż na paryskim *marché aux puces*.

CZOU EN-LAJ ODPOWIADA NA PYTANIA

Wieczorem jedziemy do Rządu Centralnego. Znowu „morze południowe", w którym pięknie odbijają się reflektory kilkudziesięciu nowiuteńskich samochodów amerykańskich, przydzielonych delegacjom. Przechodzimy parę dziedzińców, wreszcie trafiamy do dużej sali, zmodernizowanej trochę, ze światłem neonowym.

Kilka minut czekamy. Podchodzi do nas młody z wyglądu człowiek, czarnowłosy, o żywych oczach i ruchliwej energicznej twarzy, która wydaje mi się znajoma. To Czou En-laj, premier i minister spraw zagranicznych Chińskiej Republiki Ludowej.

Organizacja najwyższych władz chińskich różni się bardzo od naszej. W chwili obecnej przedstawia się ona następująco:

I. Zwołana przed dwoma laty ogólnochińska ludowa polityczna konferencja konsultatywna wybrała Rząd Centralny, najwyższą władzę państwową aż do czasu przeprowadzenia wyborów powszechnych i zwołania wszechchińskiego kongresu ludowego.

II. Rząd Centralny składa się z przewodniczącego, którym jest Mao Tse-tung, sześciu wiceprzewodniczących i 56 członków. Stanowisko Mao Tse-tunga odpowiada stanowisku naszego Prezydenta.

III. Rządowi Centralnemu podlegają: Rządowa Rada Administracyjna, Ludowo-Rewolucyjna Rada Wojskowa (najwyższa władza wojskowa), Najwyższy Sąd Ludowy oraz Urząd Ludowego Prokuratora Generalnego (najwyższa władza kontroli).

IV. Rządowa Rada Administracyjna — odpowiednik naszej Rady Ministrów — jest najwyższą władzą wykonawczą, odpowiedzialną przed Rządem Centralnym. Składa się z premiera, 4 wicepremierów i 16 członków Rady. Podlegają jej 4 komitety (spraw politycznych i prawnych, spraw finansowych i gospodarczych, spraw kultury i oświaty, wreszcie do spraw kontroli ludowej), 21 ministerstw, 3 komisje, 4 administracje, akademia i bank.

Czou En-laj kieruje właśnie Rządową Radą Administracyjną.

Po paru zdaniach, zamienionych z tym i owym spośród delegatów, Czou En-laj zaprasza nas do owej sali z neonami. Zasiadamy w krzesłach, ustawionych w półkola. Tak jakoś się składa, że południowo-wschodnia Azja zasiada po lewej, a Europa zajmuje prawą stronę.

Po przywitaniu nas w imieniu Rządu Centralnego Czou En-laj odpowiada na pytania, stawiane mu dosyć obficie przez „lewicę" — kraje południowo-wschodniej Azji. Tłumaczą go po kolei na rosyjski i angielski. Nie zawsze wychodzi to sprawnie.

— Czy mamy się bać przeludnienia? Nie, bo rozwój przemysłu z jednej strony i wykorzystywanie nieużytków z drugiej, przy poprawie ogólnej stopy życiowej i racjonalizacji rolnictwa pozwolą nam rozwiązać ten problem.

Perspektywy rozwoju gospodarczego Chin nieuchronnie prowadzą do nacjonalizacji przemysłu i kolektywizacji rolnictwa, ale na to potrzeba czasu. I jedno i drugie będzie realizowane tylko za zgodą ludności. Jeżeli obce mocarstwa nie będą się wtrącać do naszych spraw — a my nigdy na wtrącanie się nie pozwolimy — Chiny pójdą po drodze socjalizmu!

Huczne oklaski.

— Trudności finansowe, wynikłe na skutek długoletniej wojny, wielkich

rzeobrażeń społecznych i politycznych raz blokady, stosowanej przez imperialistów amerykańskich — zostały zlikwidowane w znacznym stopniu dzięki pomocy Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej, łącznie z NRD i dzięki surowcom, dostarczonym nam przez kraje Azji południowo-wschodniej. Wyrażamy wam wszystkim naszą głęboką wdzięczność.

Któryś z Hindusów: — Mówi się, że Chiny są demokracją ludową, a jednocześnie, że panuje tu dyktatura ludu. Jak to jest w gruncie rzeczy? Czyżby dyktatura i demokracja nie wykluczały się wzajemnie?

Czou En-laj: — Sprawa jest dosyć prosta. Mamy u siebie dyktaturę demokracji ludowej. Tworzymy władzę robotników, chłopów, drobnomieszczaństwa i burżuazji narodowej pod kierownictwem klasy robotniczej. Klasy te mają zupełną wolność: czynne i bierne prawa wyborcze, wolność stowarzyszania się, wolność prasy, swobodę wyznaniową. To jest właśnie chińska demokracja ludowa.

Co się tyczy dyktatury — władza ludowa zwrócona jest przeciw obszarnikom, sługom imperializmu, dawnym despotom z Kuomintangu. Władza ludowa baczy pilnie, by nie przejawiali oni antyludowej działalności, nie próbowali powrócić do władzy. Jeśli idzie o stosunek do klas obalonych, np. obszarników — dajemy im normalne działki rolne, by pracowali i w pracy wychowali się na nowo.

Wobec ludu — demokracja, wobec reakcji — dyktatura. Taka jest formuła naszego ustroju i dlatego demokracja i dyktatura nie wykluczają się wzajemnie, są jednością.

Delegat Pakistanu: — Jestem pewny, że naród chiński chce pokoju, ponieważ zwyciężył po 30 latach walki. Narody Azji chcą pokoju, są jednak w niełatwej sytuacji wobec nacisku państw imperialistycznych. Narody nasze muszą się zjednoczyć jak robotnicy w związkach zawodowych. W imieniu narodów Azji wyrażam nadzieję, że nowy naród chiński po swoim zwycięstwie pomoże narodom Azji zorganizować się w walce o pokój.

Czou En-laj: — Bardzo dziękujemy delegatowi Pakistanu za tę uprzejmość. Po raz pierwszy w ciągu 2 lat widzimy tu u nas tylu naszych przyjaciół. Korzystając z waszej obecności chcę poprosić, abyście przekazali waszym krajom, że Chiny wraz z narodami i krajami całej Azji i całego świata biorą udział w walce o pokój.

Prof. Sakrawati (Indie) stawia trzy pytania: 1. Czy nauki społeczne w chińskich uniwersytetach postawione są należycie? 2. Czy na uniwersytetach wykłada się filozofię Konfucjusza i czy jego światopogląd jest słuszny? 3. W jakim stopniu dzisiejsze odrodzenie sprzyja swobodnemu rozwojowi kultury chińskiej?

Czou En-laj: — Nie, nauki społeczne w naszych uniwersytetach nie są jeszcze postawione należycie. Wynika to z tego, że przez ostatnie 50 lat imperialiści dokonywali nielada wysiłku, aby poprzez uniwersytety wpływać na naszą najzdolniejszą młodzież, kształtować ją stosownie do swoich potrzeb, by pomagała im uczynić Chiny ich kolonią.

Z drugiej strony Chiny posiadały swoje własne — nie zawsze najlepsze — tradycje. Niektóre z nich hamowały rozwój kultury chińskiej i narodu chińskiego. Nauka Konfucjusza powstała przeszło 2000 lat temu i w swoim czasie niewątpliwie miała pewne walory, obecnie jednak nie ma racji bytu. Imperialiści dobrze zrozumieli reakcyjną treść nauki Konfucjusza i propagowali ją w Chinach dlatego, by osłabić roz-

wój narodu chińskiego i tym łatwiej go opanować.

Od czasu ruchu 4 maja, ruchu, który był protestem przeciw imperializmowi i feudalizmowi, protestem, który zrodził się pod wpływem Rewolucji Paź-Październikowej, świadomość Chin odnowiła się. Po 30-letniej walce Komunistyczna Partia Chin zwyciężyła i teraz kultura chińska ma wreszcie wszelkie warunki sprzyjające jej rozwojowi. Przełomowe znaczenie w tym względzie miały jenańskie rozmowy towarzysza Mao Tse-tunga z literatami. Główna teza Mao: nowa kultura chińska powinna powstać w oparciu o twórczość mas ludowych, wykorzystując osiągnięcia postępowej kultury zagranicznej i własne tradycje.

Kultura nasza rozwija się w tym kierunku. Sukcesy jej są jeszcze nieznaczne. Liczymy w tym względzie na wasze cenne wskazówki.

Któryś z Hindusów: Po co ochotnicy chińscy walczą w Korei? Czy Rząd Chiński uważa, że odwrót wojsk ONZ na 38 równoleżnik może rozstrzygnąć o zawieszeniu broni w Korei? Czy sprawy Azji południowo-wschodniej mogą być załatwione niezależnie od spraw Korei?

Czou En-laj: — I dawniej i dziś Chiny są za pokojowym rozwiązaniem sprawy koreańskiej. Od początku wojny proponowały to niejednokrotnie. Rząd amerykański bezczelnie odrzucał nasze propozycje. Amerykanie nadal okupują chińskie terytorium Taiwanu, rozszerzają wojnę w Korei, przekroczyli 38 równoleżnik, bombardują miasta chińskie, napadają na nasze okręty. Naród chiński nie mógł patrzeć obojętnie na tak bezpośrednie zagrożenie Chin. Stąd działania wojsk ochotniczych i pomoc udzielona narodowi koreańskiemu. Obecnie chcemy zgody w Kaesong na sprawiedliwych warunkach. Po załatwieniu tej najważniejszej sprawy koreańskiej będziemy mogli rozwiązać wszystkie spory na Wschodzie. Oczywiście, nie będzie to w smak imperialistom amerykańskim, liczymy jednak, że ten cel osiągniemy we wspólnym wysiłku narodu chińskiego i koreańskiego, narodów azjatyckich i przy poparciu narodów całego świata.

Któryś z Hindusów: — Jak wiadomo w 47 roku odbyła się w Delhi konferencja panazjatycka. Powzięła ona między innymi uchwałę, że następna konferencja odbędzie się w Chinach. Czy Chiny zamierzają uchwałę tę zrealizować?

Czou En-laj: — Ta sprawa nie jest nam znana, rząd nasz nie zajmował się nią, dlatego nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Wiem jednak, że najważniejszą sprawą dla narodów Azji jest pokrzyżowanie planów podboju Azji przez imperialistów amerykańskich. Sądzę, że zjednoczenie narodów azjatyckich, Indii, Chin, Burmy, Indonezji, Japonii wybije Amerykanom z głowy ich niezdrowe apetyty.

Delegat Indonezji: — Jak wiadomo, dużo emigrantów chińskich mieszka w innych krajach. U nas np. jest ich około 2 milionów. Co myślicie o podwójnym obywatelstwie chińskich emigrantów? Jestem tu od paru dni, widzę przebudzoną Azję. Co będzie dalej? Co trzeba robić dalej? Czy Chiny nie zajmą miejsca imperializmu japońskiego? Naród indonezyjski jest przeciwny imperializmowi holenderskiemu, jest wrogiem wszelkich imperializmów. Stoi on na stanowisku równouprawnienia wszystkich narodów.

Czou En-laj: — Sprawy podwójnego obywatelstwa nie opracowaliśmy jeszcze. Niektórzy z Chińczyków zamieszkałych zagranicą mają tę sprawę uregulowaną. Będziemy starali się załatwić ją drogą dyplomatyczną.

Jest całkiem jasne, że kraj podbity, pragnący wyzwolenia, może mieć wątpliwości nawet co do spraw oczywistych. Trzeba jednak wątpliwości takie jak najszybciej rozproszyć.

Współczujemy głęboko narodowi indonezyjskiemu, walczącemu o swoje wyzwolenie z imperializmem holenderskim i amerykańskim. Indonezja przeżyła okupację japońską. Chiny przeżyły ją również. Rozumiemy się doskonale, bośmy byli narodami podbitymi. Feudałowie chińscy w swoim czasie napadali na sąsiadów, na Koreę, Vietnam itd. Uważamy, że to były zbrodnie. Zapewniamy was, że naród chiński właśnie dlatego, że wypędził obcych imperialistów i własnych feudałów — nigdy tych zbrodni historycznych nie popełni.

Jestem przekonany, że wszyscy nasi goście zdają sobie sprawę z radości i przyjaźni, którą lud chiński odczuwa przy spotkaniach z wami. Imperialiści prowadzą oszczerczą kampanię na temat rzekomych agresywnych zamiarów Chin w stosunku do ich sąsiadów. Cel tej kampanii jest jasny: skłócenie narodów Azji. Jest takie przysłowie chińskie „Narody walczące o pokój, strzeżcie się złodziejów!"

Szef delegacji hinduskiej, Pandit Sunderlal: — W imieniu delegacji indyjskiej dziękuję za te szczere i wyczerpujące odpowiedzi. Wszystkie sprawy omawiano tu tak jak między przyjaciółmi. Wyjaśniwszy te sprawy będziemy mogli odpowiedzieć u nas w kraju o tym, cośmy tu słyszeli. Zapewnię moich rodaków, że Chiny i Korea pragną pokoju. Chiny walcząc z amerykańską agresją i pomagając Korei chcą jednak pokojowego rozwiązania tego konfliktu. Uważam, że Taiwan należy do Chin. Uważam, że Hong-Kong też należy do Chin.

Delegat Indonezji poruszył zagadnienie możliwości przekształcenia się Chin w państwo imperialistyczne. Myślę, że człowiek rozumny nie mógłby takiego zagadnienia postawić.

Tu poruszenie wśród obecnych, biedny Indonezyjczyk opuszcza głowę. Jest młody, co robić. Czou En-laj zachowuje absolutny spokój.

— Po powrocie do mego kraju — ciągnie Sunderlal, poprawiając lekko swoje prześcieradło — będę głosił, że narody Azji mogą zapewnić pokój w Azji i na całym świecie. Indie, Chiny i inne narody południowo - wschodniej Azji są w braterskich stosunkach. Nie godzą się one na interwencję i agresję imperializmu! — Sunderlal zaczyna się zapalać i kończy z uniesieniem: — Bezpieczeństwo Chin — to bezpieczeństwo Indii! Rozwój Chin — to rozwój Indii! Wasza wolność — to nasza wolność! Wasza wielkość — to nasza wielkość!

Huczne oklaski, poruszenie na sali. Hindusi ściskają dłoń swemu przewodniczącemu.

Czou En-laj: — Czy są jeszcze pytania?

Delegat Vietnamu oświadcza, że uważa za zaszczyt być obecnym na podobnym zebraniu.

Głos zabiera przewodniczący delegacji radzieckiej, Sołowiow. Mówi o tym, co delegacja widziała w Chinach Ludowych, mówi o wielkich osiągnięciach nowego ustroju: — Szczególnie uderzył nas wielki i powszechny entuzjazm narodu chińskiego w budowaniu nowych demokratycznych Chin!

Czou En-laj: — Dziękuję wszystkim zebranym za przybycie. Dziękuję zwłaszcza Związkowi Radzieckiemu, krajom demokracji ludowej z Europy wschodniej, delegacjom mongolskiej i koreańskiej za to, że tyle czasu poświęciły sprawom, dotyczącym Azji południowo-wschodniej. Nie stało się to przypadkowo. Z wami wszystko jest uregulowane, zwłaszcza po zawarciu paktu

przyjaźni między ZSRR i Chinami. Natomiast jeśli idzie o stosunki Chin z państwami Azji południowo-wschodniej imperialiści i klika Kuomintangu nie pozwalali dotąd na stworzenie przyjaznej atmosfery. Rozmawialiśmy dzisiaj jak przyjaciele i towarzysze. Mam nadzieję, że dzisiejsza rozmowa zapoczątkuje zjednoczenie narodów Azji i że będzie symbolem wzrostu sił pokoju na całym świecie.

Żegnamy się serdecznie z premierem Chin Ludowych. Zdobył nasze serca swoim spokojem, z którym odpowiadał na nie zawsze ważne i zręczne pytania, swoim rozumem, swoją werwą i swoim dowcipem, który parę razy zdołał się przedrzeć przez bezlitosnych tłumaczy.

Jest w pół do drugiej. Miasto śpi. Chłodnawy wiatr targa hotelowym oknem. Dzielimy się wrażeniami tego niezwykłego tygodnia. W dniu wczorajszym, gdy przeprowadzałem rozmowy z literatami, młodzieżowiec był na zebraniu aktywu młodzieżowego Pekinu, nasza Liga była w Lidze Chińskiej, Związkowiec — w tutejszej CRZZ. Wszyscy są pełni podziwu dla tego narodu, który w tak ciężkich warunkach tyle potrafił dokonać.

WAN WYN-BAO CHCE BYĆ TRAKTORZYSTĄ

8.X

Wyjeżdżamy na wieś. Za wielkimi murami miejskimi kończy się asfalt, długo jeszcze ciągną się zwarte rzędy sklepików i domków. Wymijamy karawany wozów o dwóch kołach, ciągnionych przez małe koniki, osły, muły, gromady obnażonych do pasa ludzi. Idą całe procesje chłopów, z których każdy niesie na bambusowych drągach parę koszy pełnych jarzyn. Gromady dzieci przy drzwiach chałup.

Nagle zamiast dygotać na kocich łbach samochód zaczyna podskakiwać na wielkich wybojach, bucha kurz. Skończyły się bruki.

Domki teraz są rzadsze. Skręcamy raz po raz na lewo, na prawo. Kępy drzew — i przy każdej kupka grobowców. Poletka ziemi ornej.

Jedziemy tak kilka kilometrów. Jest upał, niebo bez chmurki. Samochód na chwilę przystaje, patrzę przez przednią szybę, oglądam ten dziwny pejzaż i nagle widzę na szybie kroplę, która spływa powoli.

Szofer uśmiecha się, uderza dłonią w szybę: tak drobniutki, że aż niewidzialny kurz zbija się w chmurkę, toczy się na dół. Powietrze wysuszone jak w piecu, loes podpekiński zmielony na mączkę. Kurz tu jest wszędzie i zawsze — tak drobny, że wydaje się na szybie płynem. Stąd te maski na nosie i ustach pekińskich rowerzystów. Zato w okresie deszczów żaden czołg tędy nie przejdzie, żadne zwierzę. Tylko bosonogi kulis.

Jeszcze trochę gwałtownych podskoków samochodu. Zagrody z szarej gliny zagęszczają się nieco. Przed nieduży czworokątem murów i dachów kupa ludzi. Przyjechaliśmy.

Wchodzimy na dziedziniec. Jest jakby zmniejszeniem oglądanych dziedzińców pałacowych — te same oficynki po bokach, główny budynek naprzeciw bramy. Nawet parę tui po kątach. Dachy, kryte dachówkami tegoż typu co w Ihojuaniu.

Była tu niegdyś wiejska świątynia buddyjska. W oficynce na prawo uczyło się kilkoro dzieci wiejskich bogaczy. Dziś cała świątynia przekształcona została na szkołę.

Krótkie przywitania. Śpieszymy oglądać chałupy i pola, rozmawiać z ludźmi.

Dwa kroki od szkoły zagroda. Kilka drzew owocowych — Lian Ta twier-

zi, że to daktyle. Oczywiście nonsens, akaś odmiana ni to śliwy, ni to cze- oś w tym rodzaju. Grządki z jarzy- ami: marchew, pietruszka, kapusta hińska, inna niż nasza, bez główek, po- obna do boćwiny buraka, dziki czos- ek, rzekomo zgoła zabójczo pachnący, o co się nazywa „bakłażany" i „kaba- zki", bardzo cienkie pędy cebuli i tak alej.

Grządki tu robi się inaczej niż u nas. rzedzielone są nie rowkami, ale tama- ni wysokości dwudziestu centymetrów. hodzi o to, by woda nie spływała, lecz ostawała na grządkach.

Poletka długości kilkunastu metrów — bawełna. Krzaki nieco wyższe od na- zych kartofli. Na szczycie jeszcze kwit- ną biało czy różowo, niżej pękają już ojrzałe owoce, wyłazi ze szpar najzwy- zajniejsza — tyle że z nasion nie oczy- szczona — wata.

Dalej podobny do kukurydzy gaolan, rodzaj prosa o dużym, białym ziarnie. Czumiza — także proso, ale niższe i drobniejsze, podobne do naszego, tyl- ko, że kłos parokrotnie większy. Pataty — o liściach jak nasza fasola. Sieje się tu także pszenicę, głównie ozimą. Ryż — tylko na wilgotnych, nadrzecznych terenach.

Zachodzimy do pierwszej lepszej za- grody. Brama, naprzeciw dom miesz- kalny, po bokach zabudowania gospo- darskie, małe, typu naszych składzików. Dziedziniec też jest mały, może pięć metrów na trzy — każdy skrawek zie- mi tu się liczy.

Wita nas Cyn Kun, jeden z gospoda- rzy. Mieszka tu z bratem, obaj żonaci, obaj mają po troje dzieci. Po śmierci ojca woleli nie dzielić gospodarstwa. Zalicza się ich do średniaków: na dziesięć osób rodziny mają 24 mu. (Mu = $^1/_{15}$ hektara).

Chata z niewypalonej, szarej gliny. Trzy izby. Wchodzi się do środkowej, jest tu trochę gospodarskiego sprzętu, naczynia z fajansu, garnki, skrzynie. Na ścianie portret Mao i parę ulotek. W kąciku nieco zakurzony posążek Buddy, wielkości dłoni.

Przypominam sobie opowieść pewnego pracownika naszej ambasady, który był niedawno na Południu. Weszli do chaty jednego z wiejskich aktywistów i tam zobaczyli małego Buddę. Zapytany z oburzeniem odparł: — Uznaję tylko Mao, to moja matka-staruszka wierzy jeszcze w Buddę. Ale matka też się obruszyła: — Mógłbyś nie szkalować swojej matki. To dawniej wierzyłam w Buddę. Teraz wierzę i w Buddę i w Mao!

Skręcamy do bocznej izby: przeszło połowę jej zajmuje wielki, gliniany ni to tapczan, ni to przypiecek blisko metrowej wysokości, pokryty słomianymi matami. Wewnątrz mieszczą się przewody kominowe, ogrzewające go w czasie zimy. Na tym tapczanie śpi pokotem cała rodzina według starszeństwa. Przy ścianie wewnętrznej, więc najcieplejszej, sypia najstarszy, przy zewnętrznej — najmłodszy. Trzecia izba jest podobna do poprzedniej, sypia tam drugi brat ze swoją rodziną.

Podłoga jest gliniana, czysto zamieciona. Chata w ogóle jest utrzymana dosyć czysto.

Idziemy dalej przez pola. Miedze są cieniutkie, dróżki także. Jedynym nieużytkiem są mogiły, porozrzucane gęsto i bezładnie prawie na każdym skrawku pola. Jedne są murowane, w kształcie małych domeczków, inne — z kamienia, zazwyczaj w formie płaskiej płyty, postawionej na sztorc na kamiennym żółwiu, albo w formie kamiennego słupa z hieroglifami. Najczęściej jednak są to po prostu kupki ziemi, zarosłe krzakami.

Jeszcze jedna zagroda: jednoizbowy domek i obok daszek z łodyg kukurydzy — śpichlerz, stodoła, składzik — wszystko naraz. Gospodarz zwie się

Ju Szan. Rodzina złożona z pięciu osób posiada 4 mu ziemi. Dostali ją zresztą — tak jak i chatę — w wyniku reformy rolnej. Ju Szan dorabia poza domem, ziemię uprawia żona.

Zagrody są porozrzucane, nie ma tutaj ulicy wiejskiej, wygląda, jak u nas po komasacji, tyle że działki mniejsze, więc domki bliżej siebie położone.

Zachodzimy do starego Hań Suna. Ma lat 71, jest łysy, brodaty, wesoły. Przygotowano tu dla nas poczęstunek. Dziękujemy, nie jesteśmy głodni. — Jak to! — woła Hań Sun — W sześciu zagrodach na was czekają! — No widzicie — bronimy się — a żołądek każdy ma jeden! — To nic — Hań Sun nie poddaje się: — Wszędzie po trochu!

Nie ma rady, zasiadamy na podwórzu do stołu. Pod kukurydzianym daszkiem córka starego gotuje pierożki z mięsem. Zbiera się gromadka sąsiadów, na podwórku robi się tłoczno. Chwytamy pałeczkami pierożki — coś w rodzaju litewskich „kołdunów" czy syberyjskich „pielmieni". Talerz z kwaszoną kapustą, faszerowana papryka, sczerniałe jaja, które nie są bynajmniej zepsute, tylko sfermentowane. Wypijamy po naparstku wódki chińskiej. Po naparstku — bo jest straszliwie mocna.

Hań Sun częstuje nas i opowiada. Rodzina jego liczy 9 osób. Przed reformą miał 9 mu ziemi. Uprawiała je — po śmierci zięcia — córka starego. Teraz mają 22 mu.

— Kupiłem osła! — z dumą stwierdza Hań Sun. — Kosztował mnie 950 tysięcy! Przygotowaliśmy się do zimy. Jestem szczęśliwy, że doczekałem się porządku. Bardzo szczęśliwy! — dorzuca po namyśle — przed wyzwoleniem kuomintangowcy mówili, że komuniści są niedobrzy. Co tu gadać, bałem się. Teraz widzę, że szczekali...

Wnuczka starego jest sekretarzem wiejskiej organizacji młodzieżowej. Jest z tego bardzo dumny, woła ją, przedstawia. Mała Chineczka o szerokiej twarzy, z wesołymi oczkami. Wita się z zagranicznymi gośćmi bez cienia zmieszania.

Ustawiamy się do rodzinnej fotografii. Rudawy piesek z międzynarodowej rasy kundli patrzy na nas, ziewa, potem nieproszony podchodzi, układa się z przodu, robi przyjemny wyraz twarzy.

Żegnamy się z Hań Sunem, przestraszeni aż pięciu poczęstunkami, które jeszcze na nas czekają — robimy w tył zwrot, wracamy do szkoły. Nasz przyjazd wywołał we wsi zrozumiałe podniecenie, koło samochodów gromadki dzieci, kobiet z niemowlętami, starców. Prawie jak na odpuście: są już straganiarze, ten z owocami „kaki", ów ze smażonymi pierożkami.

Pięćdziesiąt metrów od szkoły inna zagroda, sprawiająca wrażenie forteczki, tak solidne mury ją otaczają. Idziemy popatrzeć.

Jak zwykle — brama, oficynki, na wprost wyższy domek, na dwóch ogromnych żółwiach słupy z hieroglifami. Była tu świątynia kultu Lao Tse, najbardziej reakcyjnego ze wszystkich wierzeń chińskich, jak zapewnia nas Lian Ta. Teraz mieści się tu wiejska kooperatywa.

Główny gmach jest składem zboża, które stąd wysyła się do miasta. W oficynce mieści się sklep. Mąka z prosa, z gaolanu, sól, mydło, jakieś tłuszcze, popularne książeczki, broszury z okazji 30-lecia Chińskiej Partii Komunistycznej, trochę galanterii. Na podwórzu brykiety z miału węglowego wyglądające jak garście wychniętego czarniawego błota.

Na ścianie sklepu „zobowiązania patriotyczne", podjęte przez pracowników kooperatywy 1. Nie bać się chłodu ani upału. 2. Nie oszukiwać kupujących. 3. Grzecznie do nich odzywać się. 4. Nie dopuścić do psucia się towarów.

Nie bardzo rozumiem punktu pierwszego. Lian Ta wyjaśnia: to takie ogólne zobowiązanie, w sensie hartowania ciała i charakteru...

Każdy z mieszkańców wsi ma prawo do jednego udziału w kooperatywie. Wynosi on równowartość 5 kg kukurydzy. Zyski dzieli się raz do roku. Sięgają zwykle 10 procent.

Wracamy do szkoły, gdzie tymczasem zebrali się przedstawiciele organizacji wiejskich. Jang De-ju — sołtys, Wan Szin-min — prezes Związku Chłopskiego, Myn Bin, sekretarz organizacji partyjnej, wnuczka Hań Suna, z młodzieży prezeska Ligi Kobiet, komendant „Pospolitego ruszenia", kierownik szkoły Paj Ju-ko.

W sali wiszą portrety Stalina i Mao Tse-tunga, mapy Chin i całego świata.

Na długim stole poczęstunek: przed każdym z gości kupki orzeszków ziemnych, na talerzu gotowane gorące pataty i jeszcze coś dziwnego, coś, co wygląda jak kawały pianki wielkości orzecha włoskiego, zakrzepłe, żółtawego koloru. Próbuję, ale smak też mi nic nie mówi. Okazuje się, że to są ziarnka kukurydzy, specjalnie prażone. Lokalny przysmak.

Pijemy jaśminową herbatę. Pataty w smaku przypominają trochę zmarznięte kartofle. Trzeba je jeść na gorąco. W zimie podobno są najlepsze — jak twierdzi Lian Ta — robią się wtedy „tłuste". Zresztą tutejszych łobuzów nazywa się też „Patatami" — bo najtańsze, niewiele warte.

W delegacji radzieckiej przyjechała między innymi jedna z czołowych kołchoźnic ZSRR, przewodnicząca pewnego podmoskiewskiego kołchozu, trzykrotnie odznaczona orderem Lenina. Zainteresowały ją pataty jako ewentualna pasza treściwa. Rozpytuje sołtysa, jak się je uprawia. Ten daje wykład: w marcu ustawia się rzędami nasienne pataty, pod kątem 45°, w ciemnym pomieszczeniu. Potem specjalnie ogrzewa się, raz o tyle stopni, innym razem mniej, po tym znowu więcej. Wreszcie sadzi się, najlepiej po pszenicy. To również bardzo złożona procedura.

Za dużo rąk roboczych wymaga uprawa tej najtańszej rośliny chińskiej.

Jang De-ju przechodzi do cyfr. Wieś liczy 362 zagrody, 1740 mieszkańców, 4120 mu ziemi. Innymi słowy, przeciętna działka rodzinna wynosi trzy czwarte hektara. Na mieszkańca (włącznie z dziećmi) wypada trochę więcej niż jedna ósma hektara!

Ale następna liczba jest jeszcze bardziej wymowna! Wieś Bej Jenczou posiada zaledwie 132 sztuki bydła pociągowego — krów, koni czy osłów (jak wiadomo, Chińczycy nie używają mleka krowiego, krowy hoduje się dla mięsa i jako bydło pociągowe).

Wynika z tego, że zaledwie co trzecia rodzina ma do pomocy jakiegoś osiołka czy krowę. Większość chłopów wszystkie roboty rolne wykonuje ręcznie przy pomocy specjalnej, trójzębnej motyki.

Co prawda, ziemi jest niewiele. Ziemia jest dobra. Ogrodowizna daje do roku trzy plony, na polach zbierają rocznie półtora urodzaju. Po ozimej pszenicy zdążą jeszcze zasadzić na przykład pataty czy kukurydzę.

Reforma rolna uwolniła chłopów od strasznej zmory tutejszej — obszarników - lichwiarzy, którzy oddawali w dzierżawę swoją ziemię, a potem wykorzystując nieurodzaje kumulowali niespłaconą tenutę, dopisywali procenty składane, i za każdy grosz wydzierali analfabecie - dzierżawcy dziesiątki i setki.

W Bej Jenczou było takich obszarników dziewięciu. Najzamożniejszy miał 100 mu ziemi, reszta — po dwadzieścia kilka. Reforma rolna na tym terenie — gdzie według naszych kryteriów są sami małorolni — uderzała w tego, kto sam swojej ziemi nie uprawiał. Tutejsi

obszarnicy nie mieszkali na wsi, byli z reguły urzędnikami w pobliskim Pekinie. Ciągnęli tylko nieludzkie zyski ze swoich dzierżawców. Usunięcie ich gospodarczej przemocy na wsi, sprawiedliwy rozdział posiadanej przez nich ziemi przyczynił się do poprawy doli mieszkańców Bej Jenczou. Stary Hań Sun mówił, że jest szczęśliwy. Nie on jeden. Cała wieś zdążyła zasmakować w nowym życiu, nauczyła się jeść do syta, poznała potrzeby kulturalne.

Szkoła miejscowa ma na razie IV oddziały. Na przyszły rok będzie V-ty. W czwartym uczą się dziennie 20 hieroglifów. Gromadka dzieci stoi koło progu, przygląda się nam uważnie i przyjaźnie. Wciągamy pierwszego lepszego do rozmowy.

Nazywa się Wan Wyn-bao, ma lat 14. Jest to właśnie w IV-tym oddziale. Zna już około 1000 znaków, co mu pozwala korzystać z gazet, czytać ogłoszenia, literaturę popularną, pisać listy. Kim chce być, jak dorośnie?

— Traktorzystą! — mówi bez wahania.

— A widziałeś traktor?

— Tylko na obrazku...

Kabalewski pyta go, co chciałby przekazać radzieckim pionierom.

— Żeby się dobrze uczyli... — mówi Wan Wyn-bao.

Zachęcony tym przykładem zwracam się i ja do niego.

— Słyszałeś o Polsce?

— Oczywiście. Tam był Kongres Pokoju, w Warszawie...

— No, a co byś przekazał twoim rówieśnikom w Polsce?

Wan Wyn-Bao mówi coś, tłumacze jakby się zakłopotali, muszę ich nacisnąć. Lian Ta w swój uśmiech wkłada wiele dyplomatycznego wysiłku, niby — nie obrażajcie się, on jeszcze niewiele rozumie...

— No, no, co powiedział?

— On powiedział, że głupio jest wierzyć w przesądy religijne!...

Żegnamy się z naszymi gospodarzami, wygłaszamy krótkie przemówienia, klaszczemy. Sala jest długawa, wysoka, dosyć ciemna. Naprzeciw drzwi duża kotara zasłania coś w rodzaju sceny. Wychodząc uchylam jej rąbka.

Duża nisza, w jej zakurzonym półmroku dwumetrowy, drewniany, czerwonozłoty posąg Buddy. Siedzi po swojemu, to znaczy „po turecku", krzywo się uśmiecha, wpatrzony we własny pępek. Za to jego przyboczni, też drewniani, ale mniejsi — mają weselsze oblicza. Jeden złożył ręce, jakby się także zabierał do klaskania.

NA WIELKIM MURZE

9.X.

Jedziemy na Wielki Mur. Przez długi czas z lewej strony ciągnie się wysoki mur Pekinu z XV wieku, bramy co kilkaset metrów, ruchliwe ulice, tłumy rowerzystów i rykszarzy na przejazdach. Potem mur odskakuje, trochę przedmieść, znajoma podpekińska równina, kępy drzew przy wioskach, samotne pagody, stalle kamienne na ogromnych żółwiach.

W rowach wzdłuż toru wąskie i długie pasemka rudego ryżu. Teraz wioski są otoczone murami, podłużne domki. Czyściutkie perony stacyjne, co kilka metrów kolejarz w czapce z owym hieroglifem, albo żołnierz z karabinem na pasie. Stoją na baczność, pociąg ich mija, robią zwrot w lewo czy prawo, patrzą za pociągiem. Na każdej stacyjce, przy każdym mostku japońskie bunkry.

Wolno zbliżają się siwe i brunatne góry. Wjeżdżamy wreszcie w nieszeroką dolinę rzeki Chu Cung-chan. Kamieniołomy dymią kurzem, cała robota wykonywana jest ręcznie, tyle że ciężarówki zabierają wykute płyty kamien-

e. Pojedyncze fanzy, przyklejone do romych ścian skalnych, okna zamiast yb mają przetłuszczony papier, kil-umetrowej długości tarasy ziemi rol-ej, żółknąca nać patatów.

Zaczynamy wspinać się w górę, co-az wolniej sunie pociąg, coraz bliżej odchodzą bezleśne urwiska górskie. W ole ledwo się sączy strumyczek, na ysokości pociągu, jakby zawieszony a sznurku jastrząb.

Tunele. Osypisko ogromnych czar-ych i rudych głazów. W całkiem pro-opadłej ścianie wykuta kapliczka, tłu-e posągi Buddy i S-ki wyzierają przez erokie okna. Znowu tunel. Gniazda ce-aemów na pobliskim szczycie, a tutaj ady niejednej serii kul.

Parę razy przez linię szczytów, przez stre granie dobiegają do koryta stru-nyka linie kamiennego muru. Dobiega-ą do strumyka, dochodzą do urwiska, rawie prostopadle spadają na dół. My-limy, że już dojechaliśmy, ale pociąg apie, poci się, jeszcze pnie się do góry.

Wreszcie koło dwunastej dojeżdżamy o stacyjki pod przełęczą. Wysiadamy. Czyściutki peron, grządki z kwiata-ni. Trochę dalej parę zabudowań. Do-oła ostre szczyty. Na peronie brązowa ostać człowieka z długimi, wąskimi ąsikami. W pierwszej chwili myślę: un Jat-sen. Okazuje się jednak, że to ielki inżynier chiński, Czan Cian-ju, który dokonał szeregu wynalazków olejowych, między innymi opracował ystem automatycznego szczepiania wa-onów, a wreszcie wybudował tę wła-nie kolej przez przełęcz górską na dro-ze z Pekinu do Kałganu.

Zagranicznym inżynierom rzecz wy-awała się nie do wykonania. Najsprytniejsi z nich proponowali różne spiral-e tunele w skale, jak to jest w Szwaj-arii. Kosztowałoby to horendalne su-ny. Czan Cian-ju wpadł jednak na po-nysł o wiele prostszy: zbudował kolej a zasadzie narciarskich zakosów. Na-zywa się ona: „most niebieskiego smo-ka". Po prostu pociąg dojeżdża do jed-nego punktu, tam wjeżdża na drugi tor i jedzie do tyłu i do góry. Po jakimś czasie manewr się powtarza. Dzięki te-mu potrójnemu zygzakowi pociąg wzno-si się na wysokość paruset metrów bez jednego tunelu. Wzniesienie toru jest bardzo duże: $33^1/_2$ metra na kilometr.

Z podziwem popatrzyliśmy na brązo-wego człowieka. Dalej poszliśmy pieszo. Jest piękny, słoneczny dzień, ani jednej chmurki na niebie. Na zboczach skal-nych kwitną jeszcze górskie zioła, jedno z nich, żółte, pachnie ostro miodem i cy-namonem.

W dole tu i ówdzie małe wioski, pól-ka, które stąd wyglądają jak czworo-kątne doniczki, a z bliska są niewiele większe. Trochę drzew przy zagrodach. Nagie góry.

Lian Ta twierdzi, że brak lasów w Chinach mają do zawdzięczenia pewne-mu cesarzowi, który nie wiadomo dla-czego znienawidził je i kazał wszystkie wyrąbać. Ludność wykonała to polece-nie nader skrupulatnie. W rezultacie dziś lasy pokrywają zaledwie pięć pro-cent powierzchni Chin. I zresztą te pięć procent przypada na dawną Man-dżurię i górzystą dżunglę południo-zachodu (Sinań). W praktyce Chiny wła-ściwe nie mają ani hektara lasu.

Słonko grzeje coraz mocniej. Jest ci-cho, tylko świerszcze w kłujących rzad-kich krzaczkach klekocą zapamiętale. Mały Chińczyk-przewodnik ujrzawszy, że przysłuchuję się niepodobnym do na-szych trelom, zatrzymuje się, chwilę czatuje nad czymś w rodzaju głogu i przynosi mi sprawcę tego hałasu. Świerszcz jest gruby i krępy, ma krót-ki odwłok. Hoduje się je tutaj w bam-busowych klateczkach.

Idziemy bitą drogą. Z rzadka mijają nas ciężarówki. W którymś miejscu gó-ry się rozstępują, kilkadziesiąt kilome-

trów w dole widać niebieskawą mgiełkę nad Pekinem.

Wychodzimy na przełęcz.

Wielki Mur nadciąga tu z dwóch stron, przeskakując ze szczytu na szczyt, ginąc w rozpadlinach zdawałoby się bezsensownych, urywany i splątany — wychodzi na drogę kałgańską i rozszerza się w zburzoną dzisiaj forteczkę.

Przyśpieszam kroku pędzony dziecinną chętką, aby jak najprędzej dotknąć ogromnych kamiennych brył, z których jest zbudowany.

Przeczytałem parę dni temu w rosyjskim przekładzie wiersz o długim marszu Mao Tse-tunga.

Obłoki jak lód zimne przeciągają
górą,
Śpieszących na południe gęsi cichną
głosy.
Jeżeli nie dojdziemy do Wielkiego
Muru
— znaczy, Chiny kochamy nie dosyć.

Ruiny bramy, ruiny kamiennych schodków. Włazimy na mur. Chyba z pięć metrów szerokości. Płyty kamienne, którymi wyścielona była jego nawierzchnia, tu i ówdzie znikły, ukazując pokruszoną cegłę i odwieczny, skamieniały cement.

Idziemy murem pod górę. Co paręset metrów wieża o kilka metrów wznosząca się nad murem i trochę od niego szersza. W każdej znaleźć można liczne ślady biwakowania turystów: w tej na przykład, z płyt kamiennych poustawiano jakby stoły, w kącie ułożono palenisko. Gromada kolejarzy niesie za nami koszyki z jedzeniem i napojami. Rozkładamy się na popas. Kuba robi zdjęcia. Przyrzeka, że przyśle je także do Warszawy.

Za wieżą mur wspina się do góry, na najbliższy szczyt. Idziemy. W bardziej stromych miejscach nawierzchnia muru ułożona jest w schodki. Słońce pali, wspinaczka jest trudna.

Anna Seghers zrezygnowała. Siedi oparta o głaz, patrzy przed siebie n daleką dolinę przed Kałganem. Przyp pominam jej: rok temu poznaliśmy s w Warszawie, a teraz jesteśmy na Chiń skim Murze. Gdzie będzie następne spo tkanie na tej niezbyt wielkiej ziemi

Potem drapię się dalej. Okazało si że wieża, która z dołu zdawała si wieńczyć najwyższy szczyt, znajduje si na niewielkim wierchu, z którego dc piero widać prawdziwe góry.

Ale mur stąd skręca w dół i do tyłu Widok tu najpełniejszy.

Przyjechaliśmy i wyszliśmy z gąszcz turni i rozpadlin, z łańcucha górskieg pełnego skał, bezleśnego i prawie bez ludnego. Za nami na blado-niebieskir niebie ostro łamane szczyty, siwe u gó ry, niżej rudawo-żółte od wyschłyc chwastów.

Przed nami przełęcz łagodnie opad na szeroką płaską dolinę, też żółtawo szarą, z rzadkimi kępami drzew prz wioskach. Nowy łańcuch urwistych gó zamyka się na horyzoncie nieregula nie schodkowaną linią.

Na lewo wysokogórskie hale podpe zają pod same szczyty. Tu i ówdz kępka czerwonych i złotych drze tkniętych już nadrannymi chłodami. T i ówdzie poletka ziemi uprawnej, po parte półkolistymi murami z głazów.

Wielki Mur spada w dół, biegnie najbliższego szczytu, ginie w rozpad nach, potem wyskakuje znienacka o p rę kilometrów na prawo, wspina się najwyższy szczyt okolicy, znika.

Chodzimy od rogu do rogu tej czw rokątnej wieży, staramy się zapamięt ten wspaniały widok, utrwalić w sob niejasne uczucia, jakie się w związ z nim zrodziły.

Rozległość pejzażu, skąpy i sz chetny dobór jego kolorów, przywod na myśl Mykeny, oparte o dziwnie p ste i nagie góry, mające przed sobą n zmierzoną równinę, łagodnie spadaj

do niebieskiej mgiełki nad zatoką ar-
lidzką. Tylko że Mykenom dodawały
skrawości dalekie ciemnozielone lasy
ajgetu i znajdujący się nad nimi grze-
eń ośnieżonych szczytów.

Tu jest za to więcej życia. Wycieczki
udentów i żołnierzy z Pekinu docie-
ją właśnie do tej wieży, na której sto-
ny. Dalszy ciąg muru jest opuszczony,
aude, zżółkłe badyle pozarastały szcze-
ny jego grzbietu. Ale po szosie jeżdżą
ężarówki. Pociągi wspinają się „mo-
em niebieskiego smoka". Nawet stąd
idzi się strzępy plakatów z hasłami,
aklejonych na skałach przy drodze.

Tu jest cicho. Brzęczą świerszcze, la-
ją w upale boże krówki.

A niżej widać jeszcze zygzaki poja-
ońskich okopów na grzbietach wzgórz
anujących nad drogą.

Sens muru jest prosty. Biegnie tędy
rzez szczyty ostatniego łańcucha gór-
kiego, broniącego doliny Pekinu. Dwa
ysiące lat temu punkt ten był równie
ażny strategicznie jak przed dziesię-
iu laty, tyle że ongi bronił chińskich
olników przed koczownikami, a nie-
awno usiłował bezskutecznie osłonić
amorskiego najeźdźcę przed ciągnącą
gór wolnością.

Ale znaczenie tego zdrowego ziarna
nyśli ludzkiej wyolbrzymione zostało
do największego na świecie absurdu.
Dzieło rąk ludzkich, przy którym pira-
nidy i amerykańskie drapacze chmur
ą dziecinnymi zabawkami — mur oko-
o 2 i $^1/_2$ tysiąca kilometrów długo-
ci, a z odgałęzieniami blisko dwa razy
dłuższy — nie zapewnił temu krajowi
spokoju, nie ustrzegł go przed najaz-
dami.

Dopóki kwitł i rozwijał się chiński
feudalizm, dopóty i bez takiego muru
mógł się on bronić przed wrogami. A z
chwilą, gdy się zaczął wyradzać — na-
wet mur nie był w stanie mu pomóc.

Daleki jestem od naigrawania się z
owego cesarza sprzed 2000 lat, który
wpadł na ten niebywały pomysł. Przemawiają za nim i czas budowy, i jej jakość. Ale co należy myśleć o artretycznych plagiatorach w guście pana Maginot? Spóźnieni, niekonsekwentni, cherlawi naśladowcy niegdysiejszych Chińczyków stokroć bardziej zasługują na wzgardę. Mieli dużo czasu, by się nauczyć, że najlepszą obroną dla narodu jest słuszny ustrój społeczny.

Schodzimy murami na dół. Są odcinki tak strome, że jednego z Mongołów, cierpiącego na zawroty głowy, trzeba prowadzić pod rękę.

Wracamy. Przy zrujnowanej bramie kilkunastoletni chłopak sprzedaje kępki wyschłej trawy, przypominającej krzaczasty widłak. — „Wieczna zieleń" — mówi Lian Ta. Może rok tak trwać całkiem zeschła; ale wstawcie ją do wody, a zazieleni się! Kupiłem i sprawdziłem. Zgadza się.

Na dworcu trzeba jeszcze poczekać na pociąg. Siadamy na ziemi koło pomnika Czan Cian-ju. Któraś z tłumaczek wyciąga z papierowego woreczka dziwnego owada, przypomina świerszcza, ale jest wydłużony, wygląda jak liliowa, prosta gałązka bez liści. Ktoś inny przynosi modliszkę. Ta obrzydła dewotka cały czas wymachuje głową, jakby wybijała pokłony modlitewne, ale poza tym ma zwyczaje okrutne i zwyrodniałe. Jednogłośnie ją potępiamy.

Czekanie przedłuża się. Obok nas grupka Hindusów, których delegacja podzieliła się na dwie części; ci w przeciwległych zostali w Pekinie. Nasz związkowiec przy pomocy „ligawki" próbuje nawiązać z nimi rozmowę. Jeden z Hindusów oświadcza, że jest profesorem uniwersytetu. Dziwny to być musi uniwersytet, po Anglikach odziedziczony, bo nasz profesor pyta, co to jest Warszawa. Paru innych z Mulk Raj Anandem na czele udziela mu zaraz gwałtownych w formie i prawdopodo-

bnie przekonywających w treści wyjaśnień.

Ale związkowiec jest urażony i czeka na sposobność zemsty. Profesor pyta, co się robi w Polsce. Związkowiec mówi: siedemdziesiąt pięć milionów ton węgla! Profesor: — My też w Indiach robimy cztery miliony metrów sukna! Związkowiec: — No, jeśliście tyle tego sukna narobili, to czemu wasi przyjechali bez portek?

Wybucha śmiech. Hindusi tarzają się po ziemi. Profesor nie może znaleźć odpowiedzi. Nie wiem, jak ocenić wystąpienie związkowca. Z jednej strony naigrawanie się z cudzych obyczajów nie należy do klasycznych metod postępowania w stosunkach międzynarodowych. Z drugiej strony jednak takie powiedzonko ma swoją niewątpliwą wartość wychowawczą: profesor do końca życia zapamięta sobie, co to jest Warszawa.

Pociąg zabiera nas wreszcie, zjeżdżamy w dolinę i w mrok. Kwiaty na stacji, jakieś duże kuliste rośliny amarantowego koloru. Na drzewach owoce kaki: pół-pomidory, pół-pomarańcze. Zmierzch bezwietrzny w dolinie. Niebieski dym unosi się z tysiąca kominów wioskowych, ściele się w nieruchomą chmurę. Tu i ówdzie wybijają się nad nią czarne kule dymu z fabryczek.

KRÓTKO U MŁODZIEŻY

Tegoż wieczoru, zaraz po powrocie jedziemy do Centralnego Komitetu Nowodemokratycznego Związku Młodzieży. Nasz młodzieżowiec miał się z nimi zobaczyć przed paru dniami, ale dopiero teraz znaleźliśmy — i my i oni — wolną chwilę.

Spotyka nas kilku młodych ludzi. Pierwszy sekretarz KC NDZM, towarzysz Fen Weń-bin, sekretarze Lao Czen-Czy, Dzian Nań-sian, Gao Tan.

Struktura odcinka młodzieżowego w Chinach różni się znacznie od naszej. Istnieje tu ogólnochińska federacja młodzieży, jednocząca ponad 70 organizacji. Organizacją czołową jest właśnie Nowodemokratyczny Związek Młodzieży, kierowany bezpośrednio przez Partię Chińską. Dwa lata temu podczas pierwszego zjazdu Związek liczył 190.000 członków. Dziś ma ich ponad 5 milionów. Świadczy to o ogromnym wysiłku organizacyjnym i wychowawczym.

Fen Weń-bin zaznacza jednak, że stoją przed nimi jeszcze bardzo poważne zadania organizacyjne. O ile na północy, na dawniej wyzwolonych terenach, prawie każda wieś ma swoją komórkę młodzieżową, o tyle na południe od Jang Tse blisko jedna trzecia wsi jest jeszcze niezorganizowana. Procent młodzieży wiejskiej w organizacji jest dosyć wysoki, bo przekracza połowę (ściśle 58%), ale biorąc pod uwagę, że ludności wiejskiej w Chinach jest 85 — 90%, trzeba przyjąć, że organizację na wsi należy nie tylko rozszerzyć, ale i powiększyć.

Dziewczęta stanowią w Związku tylko 15% jego członków. — Cyfra ta — mówi Fen Weń-bin wyraźnie wskazuje na kierunek przyszłego naszego wysiłku organizacyjnego. Są to przeżytki chińskiego feudalizmu. Jak wiadomo kobieta w Chinach została równouprawniona dopiero od niedawna, po wprowadzeniu nowej ustawy małżeńskiej. Przedtem jej udział w życiu społecznym był minimalny.

— O wiele mniej kłopotu mamy natomiast z religią. Buddyzm i różne odmiany kultu przodków zbankrutowały u nas już dawno i nie grają dziś większej roli. Chrześcijaństwo wprowadzane uporczywie w miastach przez różne konkurujące ze sobą kraje imperialistów — skompromitowało się właśnie przez zbyt ścisłe powiązanie się z imperializmem. Zresztą szkoły i przytułki prowadzone przez misjonarzy okazały

na ogół siedliskiem nędzy, chorób. niertelność wśród dzieci była zastraająca. Przytułki te bardzo często by- przykrywką szpiegowskich agentur.

Nie znaczy to oczywiście, żebyśmy etodami administracyjnymi zamierzawalczyć z religią. Do naszej federacji leży między innymi związek młodziechrześcijańskiej. Uważamy, że religa jest sprawą prywatną każdego człoeka i zostawiamy wierzącym całkotą swobodę kultu.

Pytamy o wychowanie polityczne. kazuje się, że w szkołach prowadzone specjalne wykłady. Związek organije poza tym kursy dla instruktorów olityczno-wychowawczych.

Związek liczy w swoich szeregach — oza 58% młodzieży wiejskiej — 21% botników i 18% studentów.

Chiny nie posiadają jeszcze centralej organizacji kultury fizycznej i sporu. Jest ona w trakcie powstawania. Waga tego zagadnienia jest doceniana. wiadczy o tym fakt, że właśnie Fen Ven-bin jest przewodniczącym Komitu Organizacyjnego.

Gospodarze nasi przechodzą do narcia, zaczynają wypytywać naszego łodzieżowca o ZMP. Ten opowiada o aszej pracy, o osiągnięciach i brakach. zczególnie zainteresowała Chińczyków Służba Polsce". Oni jeszcze nie mają rganizacji tego typu.

Jest późno, przechodzimy do części ficjalnej. Młodzieżowiec wręcza Fen Ven-binowi proporzec Zarządu Główego ZMP. Całują się z dubeltówki. Po hińsku — to znaczy, przytulając się oliczkami i klepiąc po plecach. Krótie przemówienia. Wspólna fotografia.

Już na odchodnym proszę Fen Weńina o ułatwienie nam poznania bohaerów pracy i walki nowych Chin. Obieuje załatwić, choć czasu mało: jutro yjeżdżamy na południe.

W DOMU BOHATERÓW

10.X.

Z samego rana Lian Ta alarmuje nas: Fen Weń-bin dotrzymał słowa. Mamy zaraz jechać do bohaterów frontu i zaplecza.

Ich Dom Wypoczynkowy mieści się obok „Miasta Zakazanego". Był dawniej rezydencją jakiegoś magnata. Dużo niewielkich dziedzińców, „mądre kamienie", trochę dekoracyjnych drzewek po kątach.

Czeka na nas pięcioro ludzi. Trzej w nowiutkich, eleganckich mundurach wojskowych, dwoje w granatowych, robotniczych drelichach.

Zaczynamy od szczupłej, wysokiej dziewczynki z warkoczykami. Dałbym jej 14—15 lat.

Okazuje się, że ma lat 21, nazywa się Tien Gu-in, pochodzi z Port-Artura.

Czemu właśnie ona została pierwszą w Chinach maszynistką kolejową? Złożyło się na to wiele przyczyn. W domu było ich sześć. Ojciec był rybakiem. Nie mógł podołać pracując sam, a w warunkach kapitalistycznych kobiety w Chinach nie miały możliwości zarobku. Było bardzo ciężko.

Po wyzwoleniu Tien Gu-in zostaje kasjerką w bufecie kolejowym w Dalnij. Jest to port kierowany wspólnie przez władze chińskie i radzieckie. W bufecie słuchała opowiadań, że kobiety w ZSRR wykonują wszystkie prace na równi z mężczyznami. Okazała się szczególnie wrażliwa na tego rodzaju wiadomości, wyrosła w rodzinie, gdzie brak syna i nadmiar córek był stałą okazją do narzekań.

Kiedy wreszcie inżynierowie radzieccy ogłosili, że przyjmują ochotniczki do szkolenia się na maszynistki kolejowe— powiedziała sobie: czemu nie?

Czy było trudno? Było bardzo trudno. Największą zmorą było ładowanie węgla do paleniska. Przeżywała nie raz

i nie dwa chwile zwątpienia: czy da radę? Mówiła instruktorom radzieckim: — Dajcie mi spokój! — Śmieli się. Opowiadali o radzieckich dziewczynach, ulepionych z tego samego ciasta, które przecież poradziły sobie z tą robotą.

— No i jakoś... — uśmiecha się Tien Gu-in. — Było nas trzy, potem dziewięć, teraz jest piętnaście. Uczyłam się osiem miesięcy i dwadzieścia dni. Jestem pierwszą maszynistką kolejową w Chinach. Na razie prowadzę lokomotywę manewrową na węźle kolejowym. Moje marzenia? Chciałbym prowadzić pociągi dalekobieżne. No, do tego trzeba doświadczenia...

Doświadczenia nie brakuje jej koledze po fachu, Fa Junowi. Jeszcze chciałbym zapytać Tien Gu-in o jej siostry, o ich życie obecne, o stosunek starego ojca do nowego fachu córki. Zbyt wielki jest przeskok od kaleczonych nóżek, barwnego kimona i wachlarzy jej babek do kierowania żelaznym smokiem. Ale nadbiega nasza „ligawka" i rzuca się na Tien Gu-in, jak jastrząb na upatrzony łup.

Fa Jun jest też z Tunbeju (pora nauczyć się, że tak się zowie dawna Mandżuria). Ma lat 28, a wygląda może i starzej. Ojciec jego jest cieślą. Udało się Fa Junowi trafić na kolej i zostać maszynistą.

W roku 48 w Tunbeju szalała wojna domowa. Armia wyzwoleńcza trzymała w ręku całą północną część kraju, ale kuomintangowcy byli jeszcze w Mukdenie i nad morzem. Dzięki ogromnej pomocy amerykańskiej panowali oni w powietrzu.

Właśnie zaczęła się decydująca bitwa o miasto Cin Czou. Jest to węzeł kolejowy, przez który przechodzi linia, łącząca Tunbej z Chinami północnymi. Zdobycie Cin Czou odcinało kuomintangowców w Mukdenie od reszty ich sił, decydowało faktycznie o panowaniu nad całym Tunbejem.

Rzecz jasna, kuomintangowcy wyła zili ze skóry, żeby utrzymać Cin Czo Rzucili oni całe swoje lotnictwo, ab zatrzymać marsz Armii Ludowo-Wy zwoleńczej. Dzięki temu udało im s przeciąć główną drogę, łączącą naci rające wojska ludowe z ich zapleczem Po kilku dniach niesłychanie zażarte bitwy wojskom ludowym zabrakło amu nicji. Los bitwy zawisł na włosku.

W Charbinie dokładano nielada wy siłków, by sytuację uratować. Przynaj mniej jeden pociąg musiał się prze drzeć do walczących oddziałów, by za wieść amunicję. Wtedy to Fa Ju otrzymał zadanie: w ciągu 90 godzi przeprowadzić pociąg okólnymi toram w pobliże frontu.

Przed wyjazdem sekretarz organizacj partyjnej przyszedł do brygady Fa Jun na rozmowę. Opowiedział całej szesnast ce o sytuacji na froncie. Zadanie: ni tylko dowieźć w porę, ale i dowieźć be strat.

Pojechali. Ta część Tunbeju nie jes górzysta. Pociągu nie schowasz w ja kimś wąwozie. Zresztą jest długi — 3 wagonów.

Na trzeci i czwarty dzień wjechali w zagrożoną strefę. Samoloty krążyły p niebie, szukając pociągów. Postanowi wobec tego jechać tylko nocą. Prze świtem rozłączali wagony na drobn grupki lub pojedynczo, maskowali każ dy wagon gałęziami czy trawą, czekal

Ostatniego dnia zobaczyli przed sob pożary, usłyszeli długie serie wybu chów. Później dowiedzieli się, że dw pociągi z amunicją, które szły przed ni mi, niedość skutecznie zamaskowan czy jadące w dzień — zostały zbombar dowane i spalone.

Lecz oni dojechali szczęśliwie — ciągu 82 godzin. Wojsko dostało amu nicję, szturm o Cin Czou rozpoczął si na nowo, kuomintangowcy skapitulo wali. Losy Mukdenu i całego Tunbej zostały przypieczętowane.

To nie szczęśliwy przypadek sprawił, ostatniego dnia tej podróży 15 razy dlatywały samoloty i ani razu nie strzegły pociągu Fa Juna. Po prostu trafił on bardzo starannie pociąg za-skować. Potwierdzają to jego dalsze y.

Bo w dwa lata później Fa Jun znaz się w Korei. W jesieni i zimie 50 ku Amerykanie panowali tam w poetrzu niepodzielnie. Tym razem i ja-a w nocy nie pomagała, bo Amery-nie rozwieszali „latarnie".

W tych warunkach Fa Jun przez iem miesięcy woził amunicję i żyw-ość na samą linię frontu. Gdy zapala-się „latarnie" — zatrzymywał po-ąg. Łamał sobie głowę, co wymyślić, znaleźć najpewniejszy sposób zabez-eczenia ładunku.

— Coś niecoś wymyśliłem — uśmie-ia się Fa Juń. — Przekazywałem swo-doświadczenie towarzyszom z innych ociągów. Był taki miesiąc, że 97 razy dbyłem drogę między Jalu i fron-em. I ani razu Amerykanie nie trafili ego pociągu.

— Myśmy też byli na Korei! — za-yna pierwszy z wojskowych.

Nazywa się Kuo Cun-tien. Ma lat 24, ygląda na grubawego, rozpieszczone-o chłopca, tak zwanego „mamin-syn-a".

Ale rzeczywistość jest całkiem od-ienna. Pochodzi z Tunbeju, z prowin-ji Givrin (albo Czi-li). Ojciec jego był ołnierzem. W 45 roku do Tunbeju za-zęła nadciągać Armia Ludowo-Wyzwo-eńcza. Gdy słuchy o niej dotarły do ego okolicy, powstała tam milicja lu-owa dla obrony przed miejscowymi andytami („chunchuzami").

Kuo Cun-tien, niewiele wiedząc o po-itycznym programie Armii Ludowo-Vyzwoleńczej, wstąpił do milicji ludo-vej. Był właśnie w lasach, brał udział v pościgu za bandytami, gdy do jego wioski nadeszła karna ekspedycja kuomintangowska.

Kiedy wrócił, nie zastał ani chaty, ani rodziców. Kuomintangowcy rozstrzelali ich za syna.

To była pierwsza lekcja polityczno-wychowawcza Kuo Cun-tiena. Straszną cenę zapłacił, by się dowiedzieć, która z sił walczących w Chinach jest krwawym, bezlitosnym sojusznikiem bandytów.

— Poszedłem do Armii Wyzwoleńczej. Chciałem pomścić rodziców. Dopiero w Armii zrozumiałem, że walczę także o szczęście całego naszego kraju.

Dlaczego poszedłem do Korei? Kiedy Chiny po 30 latach walki zwyciężyły i wypędziły własnych feudałów i obcych imperialistów — napadli na nas Amerykanie. Chciałem się temu przeciwstawić. Byłem w tym czasie nad granicą koreańską. Widziałem, że Amerykanie bombardują każde miasto, każdą wieś, każdą fanzę. Koreańczycy są teraz w jaskiniach. To tak jak pożar u sąsiada. Jak można na to patrzeć z założonymi rękoma?

Poszedłem. Dowodziłem plutonem: 30 ludzi, w tym ośmiu z naszego Związku Młodzieży. Pamiętacie, była to druga — po letniej — ofensywa roku 50. Późna jesień, w górach śnieg, w dolinach straszne błoto.

Rozbestwieni swoją przewagą Amerykanie parli na Jalu w kilku kolumnach. Największa szła głównym szlakiem od Seulu, na Fenian-Anduń. Gdy uderzyli nasi ochotnicy, dostałem rozkaz wyjścia ze swoim plutonem na tyły Amerykanów, którzy właśnie zaczęli pośpieszny odwrót.

Było ich na tym szlaku ponad 100 tysięcy, półtora tysiąca samochodów, ze sto pięćdziesiąt czołgów i tak dalej. Górami i bezdrożami wyszedłem z plutonem na tę drogę koło Fenianu, w okolicy góry San So-li, której szczyt obsadziłem.

Gdy zjawili się Amerykanie, otworzyłem ogień. Zaczęli mnie atakować, nie mogąc przecisnąć się przez drogę. Przez trzy doby trzymałem górę, odparliśmy kilka zaciekłych ataków, dwustu pięćdziesięciu wrogów położyliśmy trupem.

Atakowano nas z południa, z północy, ze wszystkich stron. Podpaliliśmy kolumnę samochodów, droga została zakorkowana i nieprzyjaciel nie mógł się ruszyć ni w te ni wewte. Bombardowano nas z powietrza, ostrzeliwano z dział. Aleśmy się ukryli dobrze i nie ponieśliśmy żadnych strat.

Po trzech dniach nadeszły nasze wojska. Otoczono i zniszczono czterdzieści tysięcy wrogów, którzy nie zdążyli na piechotę prześlizgnąć się koło San So-li.

Na bagnety nie walczyliśmy. Kiedy Amerykanie podchodzili do nas na 30—50 metrów, rzucaliśmy granaty ręczne. Uciekali.

Z kim walczyliśmy? Ze wszystkimi. Z Amerykanami, Anglikami, Turkami, Francuzami. Najtchórzliwsi są Amerykanie — zacznij strzelać, a od razu się kładą. Murzyni — nie, ci są odważniejsi.

No, po tej historii nasz pluton dostał nazwę „plutonu bohaterów imienia... — urywa, z pewnym zażenowaniem mówi: — mego imienia.

Ma medal: na biało-czerwonej wstążeczce szaro biały krążek z sylwetką żołnierza w obronnej postawie. Odznaczył go rząd koreański. Teraz dowodzi kompanią. O, tak, pisano o nim. Artykuły. Nawet broszurę. Czy jest w partii? Oczywiście.

— On był pod Fenianem — mówi drugi — na zachodnim froncie, a ja na wschodnim, w górach...

Ten jest starszy, ma siateczkę zmarszczek koło oczu, twarz podłużną, uśmiech trochę smutny, trochę wyrozumiały, uśmiech człowieka, który przeszedł niejedno. Nazywa się Czuo Wyn-dzian i ma lat 28.

Pochodzi spod Szanghaju. Ojciec był robotnikiem w cementowni. W roku 3[illegible] zmarł. Matka pracowała w majątku obszarnika, wygłodzona i wymęczona zmarła w tym samym roku. Zostało ich trzech braci i siostra. Tę zapędzono do fabryki włókienniczej. Ich — gdzieżby — zabrano do kuomintangowskiego wojska.

Jak tam było? Ba! Próbował parę razy uciec, łapano go, skazywano na chłostę. Karmiono? Oficerów doskonale, żołnierzy gorzej, ale nieźle. Tylko że to wszystko zabierano u ludności. Każda garstka ryżu stawała ci kością w gardle, jakeś widział, że jesz kosztem dzieci wiejskich, co się na ciebie gapią.

No i choćbyś pracował jak najlepiej wiadomo, że zawsze zostaniesz szeregowcem, boś ubogi.

W roku 44 Wan Dzin-wej miał nas posłać na front przeciw Ósmej Armii...

— Zaraz, zaraz... — przerywam — Wan Dzin-wej, to był ten wasz kwisling, on przecież razem z Japończykami... A wy mówiliście, że was wzięto w 39 roku do armii Kuomintangu, do Czang Kai-szeka?

— No to co? — dziwi się z kolei Czuo Wyn-dzian. — Jaka różnica Czang Kai-szek i Wan Dzin-wej, to to samo...

Ustalamy wreszcie, że przy tworzeniu przez Japończyków marionetkowego rządu w Nankinie, część kuomintangowców z Wan Dzin-wejem na czele przeszła otwarcie do Japończyków razem z dowodzonymi przez siebie oddziałami wojska. Czuo Wyn-dzian był właśnie w tych jednostkach. Dla niego zresztą ta część rozmowy ma charakter czczych rozważań akademickich. Jego osobiste doświadczenie, na własnej skórze zapisane, jest absolutnie ustalo

: i Kuomintang i Wan Dzin-wej — to samo.

— No, w końcu, jak nas chcieli po-ać przeciw Ósmej Armii, tośmy z ca-m oddziałem zbuntowali się i poszli milicji ludowej. Stałem się dowód-oddziału. Kiedy zaczęła się wojna do-owa, wziąłem w niej udział. Najwięk-a bitwa, którą przeżyłem, to była ta, od Hoang Ho.

To była ostatnia wielka bitwa przed ójściem Armii Ludowo-Wyzwoleńczej rzeki Jang Tse. Kuomintangowcy stali rozbici, uciekli paręset kilome-ów na południe. Czou Wyn-dzian ostał za tę bitwę order. Dowodził ba-lionem.

— Kiedy Amerykanie napadli na Ko-ę, samiśmy zorganizowali oddział chotniczy z prowincji Kiangsu i po-liśmy. W listopadzie zeszłego roku sy-uacja była sami wiecie jaka. Amery-anie szli w dwóch kolumnach. Wzdłuż chodniego wybrzeża, no, to towarzysz uż opowiedział. Wschodnia kolumna ożona była z 1, 3 i 5 dywizji amery-ańskich. Ich patrole dochodziły już do órnego biegu Jalu, a siły główne były 50 kilometrów od tej granicznej rze-i. Gdybyśmy się o dzień spóźnili —nie oglibyśmy się już przedostać.

No, zdążyliśmy. Amerykanie wpadli a nas i po krótkim zderzeniu rozpo-zęli odwrót. Właśnie w czasie tego ich dwrotu doszło do wielkiej bitwy nad eziorem Czao Cin Chu.

Było to w górach. Mrozy ponad 30 topni. Dostałem rozkaz, aby ze swoim atalionem uderzyć na sztab dywizji merykańskiej. Którejś nocy kazano mi robić skok 15-kilometrowy przez teren ysokogórski, zawalony śniegiem, do-tać się do tego sztabu, przeciąć drogę nie pozwolić Amerykanom na ucieczkę.

Szliśmy całą noc, nie mając łączności e swoimi. Byłem z czołową kompanią. Późny świt listopadowy zastał nas wśród skał, zasypanych śniegiem, w którym brnęliśmy czasem po pas. Nie mogłem zorientować się, gdzie jesteśmy: teren bezludny.

Na szczęście szpica doszła do jakiejś drogi. W tej górskiej pustyni to mogła być tylko ta jedyna droga, o którą nam chodziło. Ale jak się dowiedzieć, w którym miejscu wyszliśmy na nią?

Kucnąłem na głazie, próbuję połapać się na mapie — o pięć, dwadzieścia czy ile kilometrów jesteśmy od ich sztabu? Wtem turkot na drodze, Jeep czy Willys. Nasi nie zdążyli jeszcze zająć pozycji, przechodzili właśnie przez szosę, gdy samochód wyjechał całym pędem zza zakrętu. Kiedy szofer zobaczył naszych, w głowie mu się coś poplątało, tak kierownicą zakręcił, że Jeep hops! do góry nogami i wszystkich pięciu pasażerów nakrył jak szczury pułapką.

— No, ma się rozumieć, nasi żołnierze doskoczyli i już bagnetami chcą tamtych podźgać, gdy dowódca kompanii w krzyk: „Żołnierze, mamy przecież naszą politykę w sprawie jeńców". Żołnierze zaraz się zatrzymali, faktycznie, byli wyszkoleni politycznie, jak się należy. Któryś się znalazł, co znał angielski, nachylił się, powiedział: *Put daun ouk...*

(Nie znam angielskiego, pytam co to znaczy. Lian Ta pisze mi w notatniku: *Put down Ok).*

— Nic, nic — ciągnie Czou Wyn-dzian — tamci doskonale zrozumieli, powyłazili, uklękli, czegośmy od nich bynajmniej nie żądali — karabiny do góry! Poprowadzono ich przez góry do niewoli.

Jakeśmy tego Jeepa złapali, domyśliliśmy się, że sztab musi być niedaleko. Dwie moje dalsze kompanie jeszcze nie nadeszły, tylko ta piąta. Kazałem jej zająć wzgórze o dwieście metrów dalej. W tejże chwili wylazły dwa czołgi i cztery ciężarówki z żołnierzami. Nie spodziewali się nas tutaj, nie dostrzegli.

Łupnęliśmy w nich salwą granatów ręcznych. Wszystko poszło do diabła. Kilkudziesięciu zginęło, z dwudziestu wzięliśmy do niewoli, tyluż uciekło.

No, mówię do swoich, wypuściliśmy tamtych, teraz się trzymajcie! W pobliżu naszej góry był ich sztab i lotnisko. Ci, co uciekli, zaraz podnieśli larum. W godzinę może zjawia się tyraliera z paruset ludzi, a trzydziestka samolotów zaczyna nas okładać bombami.

Siedzimy, trzymamy się, ta jedna, piąta kompania. Dwunastu ludzi dałem pod górę, tuż przy drodze. Tych atakowano najzaciekiej. Patrzymy, raz po raz trzy grupy po trzydziestu ludzi. Nasi nic, czekają. Amerykanie zbliżają się na dwadzieścia metrów — a wtedy nasi granatami.

Amerykanie się denerwują: nie mogą wiać na Hamhyn, do portu. Rzucają wreszcie pięciuset piechurów, czołgi ze wszystkich stron, artyleria i lotnictwo na tę jedną górkę. Siedzimy między głazami, liczymy wybuchy. Kiedy trochę ucichło, wyglądamy, aż tu czołgi rycząc podpełzają pod sam szczyt. Wtedy komuniści i komsomolcy powiedzieli: „jeśli nie utrzymamy tej góry, nie obronimy ojczyzny". A jeden wziął ładunek dynamitu: „przyrzekam wysadzić pierwszy czołg". I rzeczywiście, cisnął dynamit, zerwał tamtemu gąsienicę i uszkodził działo. Reszta czołgów cofnęła się. Wtedy my do kontrataku. Mało nas było, ale jak Amerykanie zobaczyli, że czołgi zawróciły, nawiali także.

Tego pierwszego dnia, od ósmej rano do czwartej po południu atakowano nas dwadzieścia trzy razy. Utrzymaliśmy górę. Amerykanie stracili w zabitych, rannych i jeńcach ponad czterystu ludzi. Spaliliśmy cztery czołgi, z tuzin ciężarówek. Mieliśmy też straty: sześciu zabitych, piętnastu rannych.

Zapadł zmierzch, tamci bali się atakować w nocy w tym obcym dla nich kraju. Nadeszły dwie inne nasze kompanie, obsadziły drogę. Od rana znów się zaczęły walki, ale teraz Amerykanie atakowali rzadziej, dwa — trzy razy dziennie. Za to przez cały czas ostrzeliwali nas z dział i bombardowali z powietrza.

Przez trzy dni nic nie jedliśmy, przez tydzień trzymaliśmy tę drogę. Nadeszły wreszcie nasze główne siły, dwa pułki amerykańskie zostały zniszczone. Sztab dywizji uciekł na samolotach...

Patrzę na Czou Wyn-dziana i nagle przypominam sobie, że czytałem przed rokiem opis tej bitwy w reakcyjnej prasie francuskiej. Wszystko się zgadza. Francuski korespondent nie szczędzi kolorów, opisując ucieczkę samolotami ponad górami, w zimowe i chmurne noce. A gdy dochodził do ochotników chińskich — fantazja go porywała, spod pióra wypadały mu dziesiątki i setki tysięcy Chińczyków, wyłażących spoza każdej góry, spod każdego kamienia.

A rzeczywistość jest odmienna. Czou Wyn-dzian i setka jego żołnierzy z piątej kompanii. Jedno, jedyne wzgórze I kilka słów komunistów z tej kompanii: „jeżeli nie utrzymamy tego wzgórza, nie obronimy ojczyzny".

Tylko, że żaden z dziennikarzy burżuazyjnych nie potrafi odmierzyć siły takich słów. I widząc, jak najlepsza amerykańska piechota, najlepsze czołgi samoloty, działa nie mogą podołać garstce zgłodniałych żołnierzy, cóż innego może wymyślić, jak nie legendy o mrowiu ludzkim, które zalało całą północną Koreę.

Bo dywizja amerykańska, którą w potrzask złapał Czou Wyn-dzian, był zgodnie przez Amerykanów uważana za najlepszą. Była to dywizja piechoty morskiej. Francuski korespondent podaje, że nazywano ją dywizją *marsouins*. Patrzę w słownik: *marsouin* — znaczy po francusku „świnia morska delfin zwyczajny, w przenośni: marynarz, majtek, brudas".

Po laniu, które ochotnicy chińscy puścili tym majtkom, brudasom, delfinom zwyczajnym i nadzwyczajnym byby rzeczą słuszną nazwę tę zmodyfikować. Sztabowcy, którzy uciekli samotami, rzucając swoich żołnierzy na astwę losu, mogliby się nazywać np. świniami powietrznymi".

— Nasza piąta kompania — mówi Czou Wyn-dzian — po bitwie została agrodzona: każdy z żołnierzy otrzymał rder. W lecie tego roku byłem na Fetiwalu w Berlinie. Owszem, przejeżżałem przez Warszawę. Niestety, zarzymaliśmy się tam tylko dwadzieścia ninut. Zdążyłem zobaczyć, że dużo się uduje. Ale też ruin! Ci Niemcy hitlerowscy musieli być nie lepsi od Amerykanów!

LIU CZI-LIN, DOWÓDCA KOMPANII

Jest jeszcze piąty w tym pokoju. W dobrze uszytym mundurze z gabardiny wygląda najmłodziej. Jest niewysoki, ma bardzo małe ręce i niedużą, pulchną twarzyczkę.

Nie miesza się do rozmowy, czeka aż się zwrócimy do niego:

— Bo ja jeszcze w Korei nie byłem...

Nazywa się Liu Czi-lin, ma dwadzieścia sześć lat.

Połowę swego życia spędził w armii.

— Ojciec mój biedował na małym skrawku ziemi. Miał kilka mu gruntu, a u nas, w Hebeju — to nie to, co na południu, gdzie i na jednym mu można jakoś dać sobie radę. Rodzina była liczna: sześciu braci i dwie siostry. Matka próbowała dorabiać szyciem i tkactwem, aleśmy mimo to głodowali.

Pewnego dnia miejscowy obszarnik zażądał od ojca natychmiastowej spłaty procentów od pożyczonych przed rokiem iluś tam funtów prosa. Procenty znacznie przewyższały pożyczkę. Ojciec starał się jakoś go ubłagać. Nic nie wyszło, obszarnik był nieustępliwy. Ojciec wpadł w rozpacz i zaczął mu wymyślać. Tamten pogadał z policją i wpakowano ojca do więzienia. Wtedy zrobiło się całkiem ciężko.

W trzydziestym ósmym roku ojciec wyszedł z więzienia, ale był tak schorowany i złamany widokiem nędzy swojej rodziny, że tegoż roku zmarł. W tym czasie do naszej wsi przyszły oddziały Ósmej Armii rewolucyjnej. Mówiono, że walczy ona przeciwko Japończykom i obszarnikom o sprawiedliwość dla biednych ludzi. Postanowiłem pomścić ojca i zgłosiłem się do tej armii.

Ile miałem lat? No jednak, prawie trzynaście. Nie, nie byłem najstarszy. Byłem trzeci z kolei. Ale ktoś ojca musiał pomścić...

W Armii wzięto mnie na gońca. Byłem także w kółku artystycznym. Co robiłem w kółku? Nieważne. No... tańczyłem stare wojenne tańce. Sami rozumiecie, byłem najmniejszy w oddziale...

Ale wojna z Japonią trwała długo, miałem czas wyrosnąć i kiedy w czterdziestym szóstym Czang Kai-szek napadł na wyzwolone rejony, byłem już oficerem politycznym w kompanii, a potem nią dowodziłem.

Co tu gadać, na początku kompania uzbrojona była fatalnie; przekształcono ją na oddział regularny z milicji ludowej. Zabieraliśmy broń i amunicję kuomintangowcom, ale i oni zrazu mieli samą starzyznę. Na szczęście Amerykanie zaczęli pomagać Czang Kai-szekowi, zaczęli mu posyłać coraz więcej najnowszych karabinów, moździerzy i wszystkiego. Wtedyśmy odetchnęli: niedługo cała nasza jednostka została uzbrojona i wyekwipowana w najlepszy sprzęt amerykański.

W ciągu wojny domowej brałem udział w około dwustu pięćdziesięciu bitwach i potyczkach. Tak się jakoś składało, że kiedyśmy ruszyli na połud-

nie, nasza kompania zawsze szła na czele.

Po bitwie nad rzeką Hoang Ho kuomintangowcy zaczęli wiać na Jang Tsekiang. Ruszyliśmy za nimi, ale nie zdołaliśmy ich dopędzić. Trzeba przyznać, że cofać się umieli błyskawicznie. Zresztą, nad Jang Tse zgromadził Czang wszystko, co mu jeszcze zostało. Żeby mieć czas na lepsze umocnienie rzeki, zaczął nam oczy mydlić rzekomymi rokowaniami o pokój.

Słowem, Jang Tse stała się ostatnią wielką linią jego sporu. Widzieliście Jang Tse? Nie? Duża rzeka, największa w naszym kraju. Niesposób jej wyminąć: płynie od gór na Zachodzie, ale takich, wiecie, po pięć tysięcy metrów wysokości, aż do Oceanu Spokojnego, na którym panoszy się amerykańska flota.

Co robić, trzeba przez tę Jang Tse. Czytaliśmy w gazetach, jak wyglądało forsowanie rzeki w armii radzieckiej. Dajmy na to Dniepr, albo Wisłę. To przecież w Polsce, u was? No, właśnie. Oczywiście inne warunki. Nasza Jang Tse szersza, no i artylerii mamy mniej niż czerwonoarmiści. Trzeba przyznać, że i kuomintangowcy są od Niemców gorzej uzbrojeni, mimo pomocy amerykańskiej.

Uderzaliśmy trzema kolumnami. W środku szła Trzecia Armia, którą wtedy dowodził generał Liu Po-czen. Słyszeliście o nim? Bardzo bojowy generał. Nie mój krewniak, chociaż tego samego nazwiska. Moja kompania była w samym środku trzeciej armii, naprzeciw Nańczanu.

Jang Tse, na szczęście, nie była tu szeroka, zaledwie dwa i pół kilometra wody. Tylko, że brzeg błotnisty. Forsowaliśmy ją w nocy.

Padał gęsty deszcz. Ciemno choć oko wykol. Właziliśmy do małych łódek grupkami po pięciu — sześciu. Z południowego brzegu kuomintangowcy strzelali z dział, starając się trafić w koncentracje barek, dostrzeżone w dzień przez lotników. Ale nie byliśmy głupi: o zmierzchu barki zmieniły miejsce. Strzelali także z karabinów. No, to już tylko, żeby sobie dodać otuchy, bo przecież nie mogli z karabinu, a choćby i z cekaemu, trafić z odległości 2 i pół kilometra.

Jakeśmy ruszyli, ogień wzmógł się. Deszcz padał i kule pluskały dokoła. Prąd tam był szybki, znosiło nas w lewo, żołnierze karabiny zacisnęli między kolanami, a sami cały czas na wiosłach. Nie wiem, czy bardziej przemokli, czy się spocili.

Dowodziłem kompanią, moja łódź musiała być na czele. Bałem się bardzo. Inne łódki z mojej kompanii w tej ciemności, w deszczu, pod ogniem i znoszone prądem mogły się przecież pogubić. A znowu krzyczeć, czy dawać sygnały— to znaczy ułatwiać Czangowi celowanie.

Byliśmy o sto metrów przed brzegiem, gdy nas namacano na dobre. Zaczęliśmy też strzelać, raczej na oślep żeby tamtych nastraszyć. Wyleźliśmy na brzeg, trawa, błoto, nie wiadomo gdzie atakować.

Ale kuomintangowcy strzelali i my na ten ogień...

— No i co? — pytam. — Jak było dalej?

Liu Czi-lin macha swoją pulchną rączką, prawie ziewa:

— No, dalej... To już nieciekawe. Czang zaczął uciekać. Zniszczyliśmy trzy dywizje...

— No dobrze, ale jak, w jaki sposób? Opowiedzcie jakieś szczegóły!

— Tyle było tych potyczek... Na Jang Tse było całkiem zwyczajnie.

— W takim razie gdzie było niezwyczajnie?

Liu Czi-lin ożywia się nagle: przypomniał sobie.

— Było to po tym, jakeśmy ścigali niedobitków Czangowych, aż do grani

Vietnamu. Jak zawsze, szliśmy na ele naszej dywizji. Długą drogę zrobi-my. Kuomintang zrazu próbował tu ówdzie stawiać opór, aleśmy tym ra-m szli tak szybko, że po prostu nie ógł nadążyć, żeby się choćby okopać. Zrobiliśmy w nieustannych marszach potyczkach ponad tysiąc kilometrów. od koniec opór nieprzyjaciela zupeł-e osłabł. Szliśmy i szliśmy, przez ry-wiska, gaiki bambusów, i tyleśmy ieli z nim do czynienia, że mostki na anałach trzeba było robić, bo tylko dążył je palić. Ale to też niewielka bota, parę drągów bambusowych — kompania na tamtym brzegu. Więcej łopotu mieliśmy z powodu upału niż zanga.

No i wyszło tak, sami rozumiecie, roszkeśmy rozluźnili czujność. Bo gra-ica Vietnamu tuż-tuż, myśleliśmy, że zang tam nawiał, do swoich francu-kich opiekunów. Więc moja kompa-ia, na czele dywizji, coraz szybciej, że-y pierwsza dotrzeć do granicy czy też morza. Nie oglądaliśmy się za siebie, ie czekali na resztę sił. Przez bambu-owe kładki piechur przejdzie, ale dla ział trzeba coś solidniejszego.

Nasz generał Liu Po-czen tak wy-ombinował marsze, żeby niedobitków Czangowych do Vietnamu nie dopuścić Przez ostatnie tygodnie zamiast wprost a południe — tośmy ich spychali na ołudnio-wschód, w kierunku morza.

I tak się stało, że któregoś dnia, gdy yliśmy od morza w odległości jakichś ziesięciu kilometrów, gdyśmy już przy-otowali się świętować koniec kampa-nii — chłopi w wiosce, gdzie chcieliś-my nocować — mówią nam: uważaj-ie, tu zaraz mnóstwo kuomintangow-ów. Ja, prawdę powiedziawszy — w miech: tyleśmy uszli ostatnio i ani je-dnego nie napotkaliśmy, a tu zaraz mo-że, koniec. Młody człowieku — powia-dają mi — jak się sieć na rybę zarzu-ca — to zrazu nic w niej nie ma, dopie-ro jak koniec wyciągasz, matnię — to jej tam pełno.

Jak się okazało, mieli rację, a ja, choć dwieście pięćdziesiąt potyczek i bitew przeszedłem, jeszcze nie wszystko zro-zumiałem z zawodu wojennego. Wysła-łem swoich ludzi naprzód, do wsi naj-bliższych. Po godzinie wracają: dywizja kuomintangowska w pełnym składzie, albo i więcej, z dziesięć tysięcy żołnie-rza: tyle ryżu na jeden posiłek zrabo-wali u chłopów. A zatrzymali się z bar-dzo prostego powodu: zaraz za nimi mo-rze i choćby najmniejszej łódeczki ani na lekarstwo, bo brzeg urwisty, skały i dalej toń.

Ot i proszę bardzo. Nasza dywizja o dwa — trzy dni marszu z tyłu. A ja z kompanią sam jeden. Stu ludzi, grana-tów ręcznych parę tuzinów, jeden lekki karabin maszynowy.

Usiadłem zmartwiony i zacząłem my-śleć. Uczyli nas na kursach polityc-nych, żeby każdą trudną sprawę, zanim się do niej zabierzemy — spokojnie przemyśleć i na początek podzielić ją na części proste. Dajmy na to: nieprzy-jaciel. Nie wiemy, co chce robić. Trze-ba więc pomyśleć wszystko, co mógłby zrobić. A potem na każdą jego możli-wość znaleźć odpowiedź. I, oczywiście, możliwość dla nas najgorszą wziąć pod uwagę przede wszystkim.

Mądrze nas uczono, wnet się o tym przekonałem. Jak tylko zacząłem my-śleć — widzę od razu, że nieprzyjaciel może mieć tylko trzy zamiary. Dwa do-bre dla nas, jeden niedobry. Albo będą się bić, albo będą się poddawać, albo będą drobnymi grupkami rozpełzać się po okolicy, jak pluskwy między szpary.

Jak bić się — doskonale, dawnośmy o tym marzyli. Jak poddawać się — też do-brze. Mamy swoją politykę wobec jeń-ców. Ale jakby przez te dwa — trzy dni, zanim nasi nadejdą, chcieli się rozpeł-znąć i pochować — ile jeszcze zło-

dziejstw i szkody chłopom tutejszym i naszej władzy przysporzą!

Widzę więc, że to trzecie jest najgorsze. Co na to mogę poradzić? Przypuśćmy, że obsadzę wszystkie drogi, prowadzące z miasteczka, w którym siedzą kuomintangowcy. Po dziesięciu ludzi na każdą drogę. Będą próbowali się wymykać — zaczniemy strzelać. Tak, ale, po pierwsze, szczur, jak się go do muru przyprze, gotów ci do gardła skoczyć. Dziesięciu ludzi nie utrzyma dziesięciu tysięcy choćby i tchórzy, ale doprowadzonych do ostateczności. A po drugie: drogi, przypuśćmy, obsadzimy. No, to tamci przez pola, drobnymi grupkami, krzaczkami, kanałami...

Nie, do niczego. Trzeba wymyśleć coś innego. A przecież czekać na swoich, ręce założywszy, tego nas na kursach nie uczono.

Trudno, wymyśliłem co innego. Czasu nie ma, powiedziałem sobie, trzeba działać od razu.

Był wieczór. Wziąłem dwunastu ludzi, najlepszych, jakich miałem. A reszcie wydałem ścisłe rozkazy, co i gdzie mają robić, a zwłaszcza — kiedy.

Poszliśmy drogą wprost na miasteczko. Chłopi nas ostrzegli, gdzie są posterunki tamtych. Podeszliśmy znienacka do pierwszego wartownika, obezwładniliśmy go. Zaskoczony — nie krzyczał, nie bronił się, tylko błagał, żeby go zabić od razu, nie torturować. Uśmieliśmy się, że tak tumani Czang swoich żołnierzy. O złą sprawę musi walczyć ten, co kłamstwem karmi swoje wojsko.

Kuomintangowiec podał nam ich hasło. Dalej poszliśmy drogą, bynajmniej się nie kryjąc. Napotykanym patrolom podawaliśmy hasło i mówiliśmy, że wracamy ze zwiadu. Wszystko szło gładko, noc była ciemna.

Ale w miasteczku poszło trudniej. Hasło znaliśmy, ale wypytywać kuomintangowców? Miasteczko było maleńkie, każdy z nich wiedział, co i gdzie stoi, każdy rozpytujący musiałby wywołać podejrzenie.

Ale ja znów rozłożyłem trudną sprawę na elementy proste — i znalazłem wyjście.

Chodziło nam o kwaterę dowódcy dywizji. Przeszliśmy raz i drugi przez miasteczko. Gdzie taki kuomintangowski przywódca się ulokuje? Jasne, w najlepszym domu. Patrzę, jest taki jeden, z pięterkiem. Umyślnie jeszcze raz obszedłem środek mieściny. Nie, drugiego tak bogatego nie ma. W dodatku posterunek przy wejściu.

Nie ma rady, podchodzę do wartownika: Dowódca dywizji w domu? — pytam, a moi ludzie karabiny w pogotowiu, jakby się okazało, że nie trafiłem.

— Jego wysokość śpi! — odpowiada wartownik. — Ciszej, łobuzy, nie hałasować!

No, jak ciszej, to już dobrze! Po cichutku na tego wartownika skoczyliśmy, jeden mu knebluje usta, drugi wyrywa karabin.

Tu żartów nie ma, wartownikowi lufę rewolweru wparłem w żebra: kto jest w domu? I nie hałasować, łobuzie, jego wysokość śpi!

Okazuje się, wszystko jak najlepiej. Dowódca, naczelnik oddziału operacyjnego i trochę służby. Kucharz, dwóch tragarzy, żeby jego wysokość nosić, jeszcze jeden wartownik. Dowiedzieliśmy się, gdzie kto nocuje i bez trudu rozbroiliśmy wszystkich.

Wtedy poszliśmy do sypialni jego wysokości, na piętro. Śpi sobie pod siatką z muślinu, żeby muszki mu nie przeszkadzały.

Budzę go jedną ręką, a drugą rewolwer pod nos.

Ale się jego wysokość przestraszył! Zbladł, pół wiadra potu z niego od razu wypłynęło, jakbym cytrynę wycisnął.

Widzę, że może być nieszczęście. Pan dowódca dywizji brzuch ma jak cielna ślica i z silnego wzruszenia szlag go może trafić. No, a wtedy cała kombinacja na nic.

Więc rewolweru dla pewności nie puszczając, rzeczowo mu oświadczam:

— Ani zmora senna jestem, ani bandyta, co się na waszą kabzę złakomił. Jestem przedstawicielem Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Przysłano mnie tutaj dla prowadzenia rozmów w sprawie poddania się waszej dywizji.

W sensie ogólniejszym, trzeba przyznać, odpowiadało to prawdzie.

Jego wysokość natychmiast się uspokoił, poprosił tylko gorącej herbaty. Daliśmy mu, z jego własnego termosu.

Cicho w miasteczku, gdzieś tylko człapią patrole, albo zaryczy bawół. Tylko bawoły jeszcze się bały Czanga, bo ten i ich mięsem nie gardził. I nikt nie wie, żeśmy w sztabie kuomintangowskiej dywizji.

Jego wysokość żłopie herbatę, oczkami strzyże, jakby tu coś wykombinować. Ja mu przedstawiam nasze żądania. Ale on ciągle przy tej herbacie się upiera — takeśmy go nastraszyli — powiada — że myśli wszystkie mu się rozpierzchły i dwóch słów nie potrafi sklecić.

A ja też przez okno zerkam i teraz na mnie poty zaczynają uderzać. Bo wprawdzie wydałem ścisłe instrukcje— co moja kompania ma zrobić, gdzie i kiedy, ale, jak widać, nie wykonała ściśle mego polecenia. Zerkam na zegarek i widzę, że nie jej wina. Bośmy szybciej naszą robotę zrobili, niż zaplanowałem i ona ma jeszcze czasu dobrą godzinę.

Oj, niedobrze! Dowódca dywizji cały termos wypił i ciągle myśli mu się jakoś nie składają. Nie wykonuje tego, co mu podpowiadam. Zaczynam na niego pokrzykiwać, a sam ciągle zezuję przez okno.

I nagle — jest! Na wzgórzach za miasteczkiem jeden ogień błyska, drugi, trzeci. Kompania przecież nie nawaliła. Ja do jego wysokości na nowo:

— Mówiłem, że jesteście otoczeni. Nasze wojska, w sile dwóch dywizji, szły za wami i oto dopędziły. Proszę bardzo, popatrzcie przez okno.

Było na co popatrzeć, istotnie. Jak na święcie lampionów, wszystkie pagórki iluminowane — tyle narozkładali ognisk moi ludzie.

Dowódca widzi, że przegrał, ale jeszcze próbuje wsadzić mi szpilkę — że niby złe wojsko jesteśmy, my, Armia Ludowo-Wyzwoleńcza! — bo ostrożności nie dochowujemy, nie maskujemy się i tak dalej.

Tu go zjadłem całkiem — bo niby przed kim ukrywać się mamy, przed tą kupą niedobitków? Dosyć tego gadania — mówię ostro, bo mnie zirytował. — Herbaty napiliście się, jazda telefonować!

Załamał się jego wysokość. I po kolei wzywa do siebie dowódców wszystkich trzech pułków, dowódcę artylerii, dowódców służb dywizyjnych. Wiecie, jak jest u Czanga. Służby takiej czy innej może całkiem nie być, ale dowódca jest zawsze. Żeby pieniądze dostawać. Potem — według starszeństwa — zaproszono dowódców batalionów..

Zebrało się ich razem ze trzydziestu. Wchodzących kolejno na schody rozbrajaliśmy. W sypialni jego wysokości ścisk. Ledwo odsunąłem ich do kąta, żeby o lufy karabinów mojej warty nie zawadzali.

No i zrobiłem im wykład polityczny, jak nas na kursach uczono. Zreferowałem im naszą politykę wobec jeńców. Nie można powiedzieć, wywołałem pewne wrażenie. Zwłaszcza, że ogniska na wzgórzach paliły się w najlepsze, a moi wartownicy karabiny trzymali jak należy.

Skończyłem. Było cicho. Żaden nie odważył się zabrać głosu. W końcu przemówił jego wysokość. Herbata wreszcie mu pomogła. Powiedział, że bardzo dobrze, że należy się poddać.

Po nim przemówili inni. Ci już i bez herbaty doszli do słusznych wniosków. Przeszliśmy do szczegółów praktycznych. Tu mnie znowu o mało nie złapali. Uparli się mianowicie, żebym dwie kompanie zaraz przysłał do kontrolowania składania broni. Zdziwiłem się, po co aż tyle. Upierali się — zgodnie z regulaminem powinny być co najmniej dwie kompanie. Dobrzy sobie, mam przecież tylko jedną!

— To u was, u Czanga, regulaminy przewidują kapitulację? — wrzasnąłem, nadrabiając krzykiem własne zakłopotanie. — A wy od teraz już u niego nie jesteście. Stajecie się jeńcami Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i macie do jej regulaminu się stosować. Jesteśmy wielkoduszni, wierzymy wam na słowo. Broń składać na dwukółki. Wydzielić oficera do kierowania transportem. Daję wam dwóch ludzi jako przewodników.

Zastrzeliłem ich tą wspaniałomyślnością. Pobudzili w nocy wojsko, poskładali grzecznie broń w wyznaczonym miejscu, ładowali na wózki, dźwigali w lektykach, na osłach, na mułach. Wiecie, to nie byle co, broń całej dywizji. A tu jeszcze bezdroża, błoto i tak dalej.

Całą noc ładowali i całą noc moi chłopcy musieli palić na tych wzgórzach ogniska. To też nie było łatwe. Wiecie, że lasów u nas nie ma. Bambus pali się trudno, słoma wypala się za szybko, drzew herbacianych ruszyć nie można, bo mamy swoją politykę wobec ludności cywilnej. Całą noc łazili z górki na górkę szukając, co by tu jeszcze mogło się palić.

A potem był znowu kłopot. Broń zmagazynowałem na wzgórzach, ale kuomintangowców musiałem trzymać w miasteczku, żeby nie zobaczyli, jak nas mało. A oni chcieli jak najszybciej iść do obozów jenieckich. Gońca za gońcem wysyłałem, aby nasi prędzej nadeszli.

W końcu przyszła nasza dywizja. Trochę mnie skrzyczano, że ryzykanctwo, ale dostałem order. Piąty.

Żebyście nie myśleli, że to bajeczka, mogę podać dokładnie miejscowość. Było to na początku lata 1949 r. Miasteczko nazywa się Na-Fu-Sin, prowincja Kwantung. Ta sama, w której jest duże miasto Kanton.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Jerzy Putrament

Pierwsi w odbudowie

Właściciele, Francuzi, mieszkali w ryżu, biura mieli w Polsce, w Sos-wcu. Kopalnie: Mortimer, Klimon-w, Niwka, Modrzejów i Milowice ajdowały się na terenie Zagłębia. ęgiel leżał głęboko, wydobywał go lski robotnik — górnik zagłębiow-i.

Właściciele, posiadacze akcji, nigdy swoim życiu nie oglądali eksploato-anych terenów, nie spojrzeli w oczy lskiemu robotnikowi. Akcjonariusze ancuscy mieli swoją polską nazwę: snowieckie Towarzystwo Kopalń Wę-a i Zakładów Hutniczych. Do Fran-zów należała jeszcze huta cynkowa, uta Paulina, położona tuż obok kopalni ortimer. Huty tej dawno już nie ma, mknięto ją w 1929 roku, ponieważ ny cynku na rynkach światowych iały tendencję zniżkową. Najłatwiej-y, najtańszy sposób regulowania do-nodowości kapitalistycznego przed-ębiorstwa. Będzie mniej cynku, więc odrożeje, a im więcej będzie taniej ły roboczej, tym większa będzie do-nodowość pozostałych przedsiębiorstw snowieckiego Towarzystwa Kopalń Węgla i Zakładów Hutniczych.

Zamknięcie Huty Paulina nie było jawiskiem oderwanym. Kryzys bił całą strukturę gospodarki kapitali-tycznej, a więc nie tylko bezpośrednio hutników, ale również w górników. amknięcie huty — to nie tylko mniej ynku, to mniejsze zużycie węgla, węgiel jak wiadomo dobywają lu-zie, a więc? — wyrzucić ludzi. Wę-iel nie przepadnie, doczeka spokojnie epszych czasów. A ludzie się zawsze najdą. Trochę pogłodują, dzieci ich ędą rachityczne, nędzne, gmina kap-nie jakiś zasiłek, zresztą na rozgoryczenie znajdą się sposoby i sposobiki, jakieś związki chadeckie mało znaczące i bardzo wiele znaczące związki zawodowe kierowane przez prawicowych PPS-owców, inspektorat pracy, który to tu, to tam, stworzy pozory zatrudnienia, polecając bezrobotnym uprzątać ulice. Nocą syreny kopalń nie wzywają nocnej zmiany, za dnia nie przetacza się pociągów załadowanych węglem i dlatego w tej ciszy głośniej słychać pomruk niezadowolenia i krzyk protestu. Zmniejszone zużycie węgla pociągnęło za sobą zamknięcie jednej z kopalń. Los pada na kopalnię Mortimer. Na tę właśnie, która w 1951 roku pierwsza wykonała swój roczny plan.

Od 1924 roku trwały na tej kopalni redukcje i do chwili całkowitego jej unieruchomienia, co nastąpiło w 1933 roku, było ich aż siedem. Wszystko odbywało się planowo.

Redukowani nie mogli znaleźć pracy w Polsce. Wówczas szlachetni kapitaliści uruchomili w pobliskich Mysłowicach punkt skupu „żywca"; tym „żywcem" byli zredukowani polscy górnicy. Żywy towar szedł do kopalń we Francji i Belgii. A tam zdany na łaskę i niełaskę, górnik polski za tanie franki dostawał miejsce najgorsze, najtrudniejsze. Takie jest prawo właściciela półkolonii: wywozić za grosze robotników obcokrajowców, aby za najniższą cenę wykonywali najcięższą robotę.

Mówiono o „siostrzycy Francji" i o wdzięczności za to zapewne, że przyjmuje ludzi. Rządzący naszym krajem chętnie mówili o tradycji, o miłości i przyjaźni, bo pozbywali się bezro-

botnych, których liczba wzrastała właśnie z powodu polityki karteli obcych i własnych.

Ale „żywiec" myślał. Górnicy mieli za sobą doświadczenie, mieli za sobą strajki i walki, mieli za sobą rok 1905 i doświadczenie Rad Delegatów Robotniczych z roku 1918, bitwy z 1923 roku, z 1927, 1928 roku, byli bogaci w świadomość klasową i patriotyzm, i dlatego, kiedy późnym latem 1933 roku wymówiono pracę ostatnim siedmiuset ludziom, zatrudnionym na Mortimerze, wybuchł strajk. Teraz już można było zatrzasnąć bramę. Tak myśleli właściciele kopalni. Ale nawet wówczas, po uprzednim systematycznym usuwaniu ludzi, brama nie dała się zatrzasnąć. Na Mortimerze wybuchł strajk, górnicy okupowali kopalnię.

Kapitaliści postanowili zatopić kopalnię, robotnicy postanowili do tego nie dopuścić. Przez dziesięć dni i dziesięć nocy załoga nie chciała ustąpić z terenu kopalni. Trzeba było użyć podstępu i zdrady, przekupstwa i kłamstwa. Wyciągnięto przywódców związku zawodowego, starych wyjadaczy pepesowskich, cwane wygi wyszkolone w szkole zdrady piłsudczykowskiej, zuchów od rozbijania jedności robotniczej i ci ruszyli w teren. Zaczęły się interwencje, rozmówki, konferencje, dotarli aż do wojewody w Kielcach. Sam pan wojewoda Paciorkowski zajechał na teren kopalni. Zapewnił, że wszystko załatwi i radził pojechać do Ministerstwa Przemysłu i Handlu, do Ministerstwa Opieki Społecznej.

I szczwane lisy pojechały w imieniu robotników Mortimeru. Pojechali i wrócili. Przyrzeczono im, że robotnicy Mortimeru otrzymają odprawę i, co najważniejsze, pracę na pobliskich kopalniach Sosnowieckiego Towarzystwa. Pobliskie kopalnie! Najbliższa z nich znajdowała się w Milowicach, czyli w odległości 10 kilometrów od Zagł rza! Tylko dzisiejszej młodzieży, któ nie pamięta owych zagłębiowskic czasów, autobus łączący Zagórze z bli szymi i dalszymi miejscowościami wy daje się czymś nieodrodnym od id potrzeb, ale wówczas? Z Zagórza d Milowic trzeba było iść piechotą dziesięć kilometrów w jedną i 10 kilo metrów w drugą stronę. Ot, łaskawoś kapitalistów! Ale nawet w tych wa runkach Milowice mogły zatrudnić tyl ko niewielką część górników Mortimeru

Kopalnię zamknięto i pozbawiono kontroli żywioł rozpoczął swoją cierp liwą, niszczycielską robotę. Woda za częła wdzierać się do wnętrza; przy bierała powoli, zdradziecko, zalewał chodniki, niweczyła dzieło ludzkich rąk, zwyciężała węgiel. Górnicy wie dzieli, że woda zabiera im kopalnię Byli głodni i mówili o kopalni, bunto wali się i mówili o kopalni. Zanim je dnak kopalnię zalała woda, rozegra się jeszcze jeden akt dramatu.

Po zamknięciu kopalni pompy pra cowały jeszcze jakiś czas, bowiem wo da, gromadząca się we wnętrzu Morti meru zagrażała położonej w pobliż kopalni Reden, należącej do Franko Włoskiego Towarzystwa. Towarzystw postanowiło zlikwidować produkcję ko palni Reden. Po co więc nieprodukt tywnie wydawać pieniądze? Tu pracu ją pompy nieistniejącej kopalni, tam siedzą górnicy kopalni, która ma prze stać istnieć i to zgodnie z planem z przewidywaniem, z obliczeniem do kładnym, ścisłym, niezawodnym. B nic się nie dzieje bez planu. Nic. An zatopienie, ani zamknięcie zakład pracy. System ma swoje prawa, pra tych strzeże państwo.

I wtedy na Redenie, którego pla wydobycia miał wykonać Renard - wybucha pożar. Dwa żywioły szalej Na Mortimerze woda, na Redenie - ogień. Z Mortimeru podstępem wy

wadzono załogę, na Redenie spło-
to żywcem 38 robotników. Teraz
anko-Włoskie Towarzystwo mogło
mknąć Reden, a Sosnowieckie Towa-
ystwo mogło nareszcie wyciągnąć
mpy i motory i zwolnić ostatnich kil-
ludzi, którzy pracowali przy maszy-
ch!

Ludzie z Zagórza zostali bez pracy. ewielka ich część dostała pracę, zeważnie dorywczą, w pobliskich kładach, w cegielniach, przy robo-ch miejskich, bo przecież za darmo agistrat nie da zasiłku. Część wyemi-rowała, przeszła przez punkt wysył-owy w Mysłowicach, poddała się ględzinom agentów, gburowatych le-arzy, będących na żołdzie kapitalistów i ludzie pojechali. Wtedy wyjechał Zagórza Wincenty Pstrowski. Ujrzał rancję, w której miało swoją centralną edzibę Sosnowieckie Towarzystwo, an życia i śmierci polskich robotników dysponent wojażów zagranicznych olskich górników. Ci, którzy nie wyje-hali, poszli na bieda-szyby.

Bieda-szyby w Zagłębiu — to ob-zerny rozdział w życiu proletariatu olskiego. Bezsens kapitalizmu nigdzie odaj w Polsce nie był tak oczywisty ak tutaj. Wyciągaliśmy swego czasu ako ilustrację zbrodniczości tego ustro-u fakt palenia kawy, topienia zboża. Tu w Zagłębiu, którego olbrzymie bo-gactwo tworzył i tworzy węgiel, gór-nicy chodzili całymi latami bez pracy, ponieważ na rynkach Europy było za dużo węgla, stał się więc tani i kapita-istom nie opłacało się go wydobywać. Tu, gdzie węgiel stanowi podstawę istnienia robotnika, izba robotnicza nie była opalana, tu gdzie górnicy chwalili się: „jestem górnik z górni-ka" — i słusznie chwalili się tym za-wodem, który wymaga męskiej odwa-gi, roztropności, hartu, olbrzymiego wysiłku mięśni i myśli — tu bogactwo to stało się przekleństwem. A przecież trzeba było oderwać kilkanaście me-trów ziemi, zstąpić 20, 30 metrów w głąb, aby pracować, żyć, utrzymać siebie i rodzinę. I to był właśnie bieda--szyb. Skarb zawładnięty przez włas-ność prywatną leżał gotowy do eksplo-atacji, zaś tuż obok ludzie umierali z głodu.

Jeszcze dziś po 20 blisko latach zie-mia Zagłębia nie zdołała ukryć śladów bieda-szybów. W pobliżu kopalń, od-krywek, hałd — widoczne są płytkie leje, wgłębienia upstrzone brunatną gliną, na której trawa nie wyrosła, ślad po bieda-szybie. Wychodziły tu całe rodziny, początkowo w dzień, później, gdy władze broniły dostępu do węgla, a więc do chleba — nocą. Całe ekipy gołymi rękami, łopatą i kilofem, wżerały się w glebę, by dostać się do żyły, gdzie czerniał węgiel. Lichy to był węgiel. Właśnie dlatego, że leżał niemal na powierzchni; ale samą łopa-tą, kołowrotem i sznurem głębiej nie sięgniesz. Nie umocnisz szybu, bo nie-sposób tego uczynić, skoro otwór mo-że pomieścić najwyżej dwóch robotni-ków zjeżdżających w cebrze, zastępu-jącym windę. Otwór nie był na tyle głęboki, by pozwalał dotrzeć do dobre-go węgla, ale był dostatecznie długi, by w nim znaleźć śmierć. Ludzie za-sypani żywcem konali długo.

Kiedy dziś cyniczni szalbierze z róż-nych „Głosów" i „Madrytów" prze-mawiają do Polaków, gdy bzdurną propagandą usiłują podważyć nasze dzieło, udają, iż nie wiedzą, że w na-szym rozrachunku z ustrojem rozboju i wyzysku, nędzy i głodu, wśród wielu popełnionych przez nich zbrodni, znaj-dują się zbrodnie popełnione na gór-nikach, których wysyłali jak bydło do Francji, Belgii, znajdują się trupy spalonych w kopalniach, zwłoki zasy-panych w bieda-szybach. Pamięć o tym jest żywa w Zagórzu i to pomogło gór-nikom Mortimeru zwyciężyć.

W chwili zatopienia kopalni w 1933 roku Zagórze miało 16,159 mieszkańców. W roku 1939, w chwili wybuchu wojny, w Zagórzu mieszkało 14,900 osób, znaczy to, że 1,259 ludzi opuściło tę ziemię, wyjechało, by się tułać na obczyźnie, bowiem w tych latach w Polsce nigdzie nie mogli znaleźć pracy. W chwili ukończenia wojny Zagórze miało 12.000 mieszkańców; wojna zebrała swój plon. Faszyzm niemiecki wymordował dalsze 2,900 osób. W chwili obecnej Zagórze liczy 15,406 mieszkańców, czyli o 3,406 ludzi więcej aniżeli w 1945 roku. W szczęśliwych więc latach sanacyjnych rządów osada ta w ciągu 6 lat, bo od 1933 do 1939 roku straciła 1,259 osób, w latach naszej niepodległości, w ciągu takichże 6 lat, ilość ludności w Zagórzu zwiększyła się o 3,406 osób. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że to tylko wzrost przyrostu naturalnego. To „żywiec", artykuł eksportu, to górnicy, którzy przetrwali wojnę we Francji i Belgii i wrócili po wojnie na swoje, na Mortimer. Nie wszyscy wrócili. Część zmarła na obczyźnie, część zginęła biorąc udział we francuskim Ruchu Oporu, reszta wróciła przeszedłszy poniewierkę na obczyźnie i trud żołnierski w partyzantce francuskiej. Walczyli wraz z robotnikami Francji, aby Francja była wolna. Ale akcjonariusze francuscy, którzy kiedyś handlowali polskim robotnikiem, a później oddali Francję Hitlerowi, po to paktowali z Eisenhowerem i Achesonem, aby do Francji mógł powrócić Adenauer i Speidel.

Pierwszego dnia po wyzwoleniu załoga przystąpiła do odwadniania kopalni. Wiadomo, że tam, gdzie nie ma wydobycia, nie ma zarobków. Mimo to górnicy Mortimeru nie ustępowali. Nie ustępowali, bo wiedzieli, że w gospodarce socjalistycznej nie woda, nie ogień, nie zaniedbanie będzie dyktowało prawa życia. Wola, wspólne dobro narodu są cenniejsze niż kal kulacja akcjonariuszy i giełdziarzy. Oni planowali, jak się pozbywać lu dzi, my planujemy, jak ich zdoby szybko, natychmiast, wyszkolonych zapalonych do dzieła socjalizmu. B mimo odwadniania, prac remontowych produkcja wzrosła od 1945 roku 10-krot nie. W ciągu najbliższych lat, bo w 1957 roku, produkcja w stosunku do 1945 roku wzrośnie 100-krotnie! Jeden do stu!

Kopalnia Mortimer dźwigała się powoli dzięki ciężkiej i twardej pracy upartych górników. Wydobycie było początkowo marne i mniej uparci szli do pracy gdzie indziej. Nie było wydobycia, więc nie było planu. Nie było planu, więc nie było „mincówki", ale ci co pozostali w najtrudniejszych warunkach, przy niewielkich zarobkach, bez „mincówki" — postawili na swoim! A gdy na dole, na przodkach wszyscy bez wyjątku górnicy przystąpili do współzawodnictwa, od października 1950 roku zaczęto realizować plan. Gdy jeszcze przerzucono trzecią zmianę z wydobywczej na reparacyjną od razu wzmocnił się front, zyskano część ludzi z przewozu i od tej chwili krzywa produkcji zaczęła piąć się w górę. Powiększyły się zarobki, pokazała się „mincówka" i wtedy... wtedy zjawili się ci, co kiedyś w czasach nienajlepszych opuścili kopalnię. Towarzysz Pogoda, dyrektor kopalni, powiada z uśmiechem: „Takich my teraz nie przyjmujemy. Nie mieliście wytrwałości, to zostańcie tam, gdzie pracujecie. Najwartościowsi ludzie to ci co przetrwali dobre i złe".

Sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej, Majcherczyk, powiedział na zebraniu partyjnym: „my są górniki dziada pradziada, a jak my stąd odejdziemy, to nasza młodzież to obejmie", bo tu widać przeszłość kopalni jej rozwój, jej życie i jej przyszłość

której młodzież się sposobi. I tu
varzysz Majcherczyk powie: „my nie
ść hartujemy naszą młodzież. Niech
ie przeczyta J a k h a r t o w a ł a
ę s t a l, aby zrozumieć nasz trud".

Bo tutaj młodzież przeszłość zna tyl-
z opowiadań i rozumiem ją, kiedy
niedowierzaniem słucha opowieści o
n, że w Zagłębiu górnicy kiedyś nie
eli pracy, że zatapiano tu kopalnie,
ludzi, którymi się szczyci nasza
czyzna, wysyłano stąd jak bydło
granicę, że tu nie budowano nowych
mów, nie remontowano mieszkań,
e było dróg, autobusów, że wresz-
e pracując wydajniej przyśpieszało
ę chwilę utraty pracy. Bo jakże to
ozumieć: więcej wydobyć — to zna-
y prędzej stracić pracę! Dziś w ga-
tce ściennej, umieszczonej w gablotce
a placu kopalni, widnieją nazwiska
ch, co robią lepiej, prędzej, wydaj-
ej. Janiec Stanisław — przodownik
a przewozie, kierownik grupy partyj-
ej, Kowalski Konstanty — rębacz
rzodowy, Mol Franciszek — zasłużo-
y przodownik z dozoru, Kołczyk
Vojciech — rębacz przodowy, a potem
Borda August, Duraj Stefan, Wójcik
dam, Król Bolesław, Krężel Bole-
aw, Ferdek Władysław, Kępa Julian,
rzybyłek Feliks, Wójcik Czesław,
owalski, Bałdysowie, Płonka, Caro-
ie... a przy każdym nazwisku pro-
ent przekroczonej normy 120%, 154%,
61%, 189%...

A na następnej tablicy G ó r n i k,
rgan działu górniczego kopalni Morti-
ner przytacza cyfry wydobycia, cyfry,
tóre mówią o wszystkim: Styczeń —
,5% planu, luty — 17,2% planu, ma-
rzec 26,6%, kwiecień — 36,4%, maj
45,7%, czerwiec — 55,1%, lipiec —
64,6%, sierpień — 74,2%, wrzesień —
83,5%, październik — 94,4%, listopad!
listopad! listopad! W dziesięć dni po
34 rocznicy Wielkiego Października, 16 listopada o godzinie 10-ej — 100% planu rocznego!

Kto nie dostrzeże związku między rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej a wykonaniem planu przez załogę Mortimeru, ten nie zrozumie, jak cyfry planu powiększały się i mnożyły dzięki wzrostowi świadomości politycznej załogi kopalni wydartej żywiołowi i przywróconej do życia, do kwitnącego życia, przez górnika mortimerowskiego.

Ale Mortimer ma również swoich pisarzy, skromnych, podpisujących inicjałami swoje artykuły, najprawdziwszych pisarzy. Z gazetki ściennej przepisałem dosłownie następujący artykuł pt. Z w y c i ę s t w o.

„W roku 1933 górnik mortimerowski został wyrzucony ze swego zakładu na bruk przez kapitał obcy i rząd Polski przedwrześniowej. Klika sanacyjna w porozumieniu z rekinami kapitalistycznymi zatopiła kopalnię Mortimer i unieruchomiła inne zakłady pracy, aby z bezrobotnych dostarczyć mięsa armatniego przy załatwieniu swoich egoistycznych interesów w chęci zysków.

Związek Radziecki w II wojnie światowej pokrzyżował plany nędznych rekinów i górnik mortimerowski powrócił znów na swoje podwórko w roku 1945 i buduje ojczyznę, ojczyznę socjalistyczną, a dowodem świadomej budowy jest dążenie do wykonywania planów produkcyjnych, co nam ilustruje niniejsza gazetka ścienna".

I skromne inicjały: J. J.

Myślę, że ów nieznany mi korespondent ściennej gazetki, twardy, surowy górnik Mortimeru najpiękniej, najcieplej, najbardziej po ludzku określił swój uczuciowy stosunek do odzyskanej kopalni, nazywając ją „swoim podwórkiem".

Stanisław Wygodzki

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

JAN HUSZCZA: *Wiersze*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 62.

Jana Huszczę — liryka, autora dwóch wydanych tomików poezji przesłania ciągle Huszcza — satyryk, autor humorystycznych opowiadań i satyrycznej powieści. Nowa książka poetycka Huszczy przypomina nam jego poezję z dwóch poprzednich książek B a l l a d a o p o d r ó ż n y c h i P a m i ę t n i k l i r y c z n y, przynosząc wiele nowych wierszy pisanych w latach 1945—51. Wybór z tomików poprzednich jest sensowny — pokazuje bowiem linię rozwojową tej poezji. Do ostatniej, nowej części można mieć pretensję o jej zbytnią szczupłość w stosunku do dwóch poprzednich.

Pierwszorzędną rolę, po prostu rolę materii poetyckiej, odgrywa tu pejzaż, element ściśle opisowy. To pejzażowanie zaprawione elementami dziwności, snu, nie prowadzi ideologicznie do widzenia rzeczywistego bytu wsi, jest to mówiąc po prostu poezja folwarku. Polega ona na tym, że poeta opisuje „wieś spokojną, wesołą" nie widząc istotnej społecznej sytuacji wsi, nie widząc jej konfliktów i walki.

Wpięta w zmurszałe płoty, między
wieńce jarzębin — śpisz.
W zbożu, czerwonym od rdzy,
muzyka, świerszczów i bąków
ciszę pachnącą lipca na cienkie nuty
strzępi,
oczy przygasłe płyną pod krzyż
w bezradnym czekaniu na znak
pociechy: siedmiobarwną tęczę...

W prawdzie pointa tego wiersza (L i s t d o w s i) przynosi jakby akcent rewolucyjny, ale jest on bardzo ogólnikowy i niejasny:

Wsi moja, kiedyż wreszcie się zbudzisz
twardym marszem,
aby świt w ciemność groźną wśpie
wa
żarem spękanych rąk?

Zjawiające się tu i ówdzie akcent społeczne są tak mgliste, że np. Ś w i t y Konopnickiej w zestawieniu z tym mgławicowymi przeczuciami wydają się świadomą postawą rewolucyjną.

Wiersze młodzieńcze Huszczy potrącają czasem o refleksję filozoficzną. W wierszu O j c z y z n a poeta z pejzażu, wrażeń, niejasnych akcentów buntu — buduje pojęcie ojczyzny zamykając go a właściwie rozbrajając taką liryczną pointą: „a stare altany pachną macierzanką i kminkiem".

Młodzieńcza poezja Huszczy jest nie bogata pod względem myślowym. Stawia sobie za cel chwytanie istotnych wrażeniowych obrazków. Zawiera motywy patriotyczno-społeczne, ale w postaci większej, ogólnikowej, przypominającej epigonów romantyzmu.

Drugi rozdział tomiku — nie przynosząc zasadniczych zmian w poetyce Huszczy — pogłębia problematykę jego wierszy.

Wojna, którą spędza poeta w Związku Radzieckim, oddalenie od ojczyzny — nadaje głębszy sens pejzażom Huszczy od pejzażu trudno się poecie uwolnić. Atmosfera wojennej liryki Huszczy, jego „pamiętnika lirycznego" — to najpierw „wspominanie" obrazów kraju ojczystego. Wraca w gorętszym, bardziej bezpośrednim ujęciu poezja patriotyczna, zjawia się poezja walki, poezja żołnierska. Jest siła liryczna w M o d l i t w i e o powrót:

Dom ów i pokój, okno — daleko...
Być może, wszystko wróg tam
spopiel
i wiatry pędzą popiół na rzekę,
na obszar niemy, zniszczoną ziele

Natomiast we W s p o m n i e a c h razi znów pewien indyferenm ideologiczny:

Odmieniał się celnie przez pory roku
krajobraz znajomy, przychylny
wszystkim
radościom i smutkom, ruchom
i krokom
pod niebem wysokim lub w chmurach
niskim.

Huszcza zastanawiając się w P a i ę t n i k u l i r y c z n y m nad rawą wojny nie precyzuje swego eologicznego stanowiska. Wraz z młom bohaterem wiersza R o c z n i k 2 3 poeta dziwi się:

że mądrość książek nie wszystkich
jednoczy,
że obok zbrodnię hoduje ciemność,
że komuś krew cudza potrzebna
i zgliszcza...

Wynosząc z wojny doświadczenie sknoty za ojczyzną, walki o nią z brom w ręku — poeta zdobywa się na umanistyczne współczucie dla porzywdzonych przez wojnę, ale nie dowiada do końca wniosków ze swoich świadczeń.

W formie zachowuje Huszcza wdzięk voich obrazków, które w realistyczny, onkretny sposób zapisują rzeczywisść zewnętrzną, zachowuje i pogłębia ryczną atmosferę swojej poezji wynijącej z rzeczywistego wzruszenia poyckiego, z ułamkowej może ale przytej głęboko i własnej wiedzy o życiu. wrotka Huszczy prosta i na ogół celna jak tekst dobrej pieśni potrafi nieść wielkie ale proste sprawy walki, ołnierskiego trudu dla ojczyzny. To, o w pierwszym rozdziale poezji Huszzy jest jednak do pewnego stopnia mairą i konwencją poetycką, w tym ozdziale — wojennym, nabiera rumieńca. Konwencjonalne przecież „stare altany" ustępują miejsca realiom o wiele prawdziwszym i w sensie życiowym i artystycznym:

Dzień rozpoczęły samoloty,
a niżej dudni kanonada.
Niebo z błękitu i warkotu,
na piasku upał nadojada.

W ubogich laskach pod sośniną
stanęły czołgi, tu po bojach
obetrzeć można pot z łysiny,
licząc na dwa, trzy dni postoju.

Czołgiści rany leczą maszyn,
nim znów na pierwszą ruszą linię.
Z polowej kuchni dymi kasza
i ktoś się zwierza mandolinie.

Wydaje mi się, że na niektóre liryki wojenne Huszczy duży wpływ wywarła wojenna poezja radziecka, w której także miesza się patos i prostota, delikatny liryzm z humorem.

Wytknięte Huszczy ideologiczne niedookreślenie dotyczy przede wszystkim tych jego wierszy, które w jakiś sposób operują retoryką, próbują filozofii i moralizatorstwa.

Huszcza przedstawiający rzeczywistość przy pomocy realistycznych obrazków poetyckich rzadziej nas zawodzi niż komentator własnych poetyckich przeżyć i wizji.

Rozdział trzeci tomiku Huszczy przynosi wiersze pisane po wojnie. Tzw. „przestawianie się" poetów na nową tematykę — to trudny proces, który niejednemu poecie kazał zerwać całkowicie z uprawianą przed wojną praktyką poetycką. Huszcza w trzecim rozdziale swej książki kontynuuje swój rodzaj poetycki, jest poetą, który raczej samodzielnie, a nawet samotniczo dochodzi do swoich osiągnięć, poetą, którego nie pociąga zbyt łatwa deklaratywność. Ton optymistyczny nowych

wierszy Huszczy również nie wynika z łatwego samozadowolenia, lecz jest wewnętrznym osiągnięciem poety. Pozostając sobą, Huszcza tworzy po wojnie pewien nowy ton poezji nie mający u nas wyraźnych przedstawicieli.

Podając czytelnikowi nowy krajobraz rodzinnego kraju, Huszcza operuje elementem humoru. Związki Huszczy ze wsią są mało bezpośrednie, może dlatego jego obrazki są ogólnikowe, choć i tu musimy zanotować pozytywny wpływ wyjazdów w teren. Niewątpliwie wiele konkretu, a więc i prawdy artystycznej, jest w wierszach: O d j a z d i O d w i e d z i n y w POM-ie, który operuje dowcipem i jakby ludową nutą przyśpiewek.

Poranek niedzielny: przed
Samopomocą
stoi ciężarówka, już motor dygoce.

Realia nowej wsi, nowa sytuacja społeczna — odjazd młodzieży chłopskiej do zawodowych szkół przemysłowych — to trafnie uchwycony współczesny obrazek, obrazek pokazujący pewien bardzo ważny fragment naszego rozwoju społecznego, ale z dowcipem, z humorem i wzruszeniem stroniącym od frazeologii. Ten kierunek poezji Huszczy — do konkretu sytuacji społecznej — obserwujemy w kilku wierszach tego rozdziału a także w wierszach drukowanych już poza tomem w czasopismach. Wydaje mi się, że to jest słuszna droga dla poezji Huszczy — odpowiadająca jego zdolnościom i upodobaniom. W tym rodzaju poezji, w którym specjalizuje się Huszcza, tym bardziej wyłania się pieśniowy charakter jego zwrotek. Huszcza może i powinien sięgnąć do pieśni jako rodzaju poetyckiego, bardzo u nas potrzebnego a zaniedbanego literacko.

Anna Kamieńska

JAN MARIA GISGES: *Pierwsza miłość* Czytelnik, Warszawa 1951; str. 52.

Jan Maria Gisges jest autorem dwóch wydanych poprzednio tomików poetyckich: W i ę z i e ń i c h ł o p (Kielce, 1946 r.) i O p o w i e ś c i k r a j o b r a z u (Kielce, 1948 r.) Tomik pierwszy — to zbiór wierszy pochodzących przeważnie z okresu wojny, wierszy obozowych, następnie pisanych tuż po wyzwoleniu, gdzie widoczne jest już zainteresowanie autora wsią i jej przemianami. Tomik ten nosi na sobie uciążliwe piętno dziwaczności stylu, jakichś piętrowych, rozbudowanych metafor, co razi tym bardziej, że poeta pisze o sprawach ludzkich, wzruszających, o sprawach życia i śmierci w reżimie faszystowskim. Druga książka Gisgesa — to dość obszerny, złożony z 25 części poemat partyzancki. Wątek epicki — to dzieje jednego z oddziałów partyzanckich, który wypowiedział posłuszeństwo rozkazowi z Londynu „broń wierną zakopał i na nikłym promieniu słońca podpisał swą śmierć". Śmiało można nazwać poemat Gisgesa batalistycznym, bo głównym jego wątkiem jest opis partyzanckiej batalii. Poemat pisany jest szeroką frazą nieregularnie rymowaną. Mimo znaczne jeszcze obciążenia manierą obserwowaną w pierwszych wierszach Gisgesa, poemat posiada fragmenty ciekawe, sytuacje zarysowane dramatycznie, poprawny rozwikłujący się wątek liryczny. Brak w poemacie wyraźniejszego rysunku postaci, chociaż niektóre z nich są nazwane po imieniu. Poemat Gisgesa niesłusznie omijany jest w dyskusjach na temat poezji, zwłaszcza powojennej epiki. Obecnie występuje Gisges z trzecią książką poetycką.

Treść tej książki jest dość jednolita uprawniająca do zamknięcia w jednym zbiorku, mimo że nie uzasadnia bezpośrednio tytułu. P i e r w s z a m

ś ć — nareszcie coś o miłości — wiedział ktoś biorąc książkę Gisgesa ręki. Ogólnie biorąc tematem urzeącym Gisgesa jako poetę jest sprawa wolucji kulturalnej w Polsce, zwłaszw połączeniu ze sprawą przeobraia się społecznego wsi. Kierując się entacyjnie tytułami znajdujemy w niku Gisgesa wiersze o „gminnej bitece", o „analfabetach", o „wystae obrazów w miasteczku", o twórh sztuki ludowej: „garncarzu", „krołch" itd. Zaś dwa większe utwory etyckie zamieszczone w tomiku: M i ś ć ś c i e ż e k n i e u t a r c h i A n t e k próbują ujmować rzej, bardziej epicko sprawy walki sowej na wsi, elektryfikacji, awanspołecznego młodzieży chłopskiej, anizowania spółdzielczości produknej.

Najważniejszym z nasuwających się krytyki pytań jest: jak autor widzi jmuje te kulturalno-społeczne przeany, którymi się w rzeczywistości zawyca, j a k je poetycko przedstaa?

Z tematycznych założeń Gisgesa wykałaby przede wszystkim jakaś szerość, jeżeli nie powszechność prze i wzruszeń, na które autor, myśląc swoich czytelnikach, powołuje się. sges, niestety, popełnia dużą niekonwencję pisząc o sprawach bardzo dzkich i dostępnych powszechnemu czuciu w sposób dość zawiły i trud. Wynika to z niedostatecznego jeszwyzbycia się balastu maniery rozwszechnionej w latach międzywonych.

Błędem byłoby oczywiście nie dozec w książce Gisgesa usiłowań roszczenia stylu poetyckiego, Mimo styl poetycki Gisgesa wciąż jeszcze ży do udziwniania, komplikowania uładniania" rzeczywistości. Widać w n jakby jakieś niepokonane jeszcze niemanie, że aby być poetą, trzeba mówić po pierwsze: „inaczej", po drugie: „piękniej". W rezultacie otrzymujemy liryczne obrazki wystylizowane i nieco wymuskane, przekładające subtelność barwy, dziwaczność zestawień nad prostotę i dosadność poetyckiej prawdy. Wrażenie to pogłębia fakt, że Gisges często odwołuje się w swoich obrazach poetyckich do malarstwa, do malarskich określeń barw, do technik malarskich, do malarskich konwencji tematycznych jak np. martwa natura w wierszu N a t a r g u. Nie ma w tym oczywiście nic złego. Są poeci, którzy zwracają się z predylekcją w stronę innej dziedziny sztuki — muzyki, przenosząc z niej nazwy form muzycznych, opisując muzykę słowem. W wypadku Gisgesa predylekcje do malarstwa oznaczają pewną obawę przed retoryką, przed samą mową poetycką, z drugiej zaś strony zapewne pokrywanie nadmiarem obrazów nie dość sprecyzowanego sensu wiersza.

Mimo zainteresowania wsią na drodze dalszego awansu, poezja Gisgesa w wierszach stanowiących większą część zbiorku nie wychodzi poza etap reformy rolnej. Opiewanie nowej rzeczywistości wsi łączy się z wprowadzaniem do poezji nowych realiów. Te nowe realia, nowe konkrety w wierszach Gisgesa nakładają się, używając ulubionej przez Gisgesa metafory malarskiej, na pokost dawnego, nieco zawiłego stylu. Jest w tym oczywiście także pewien element dramatyczności — tak nowa rzeczywistość zwalcza na gruncie poezji przeżyte schematy i konwencje. Nie zawsze jednak nowe realia w tym wypadku zwyciężają, nie zawsze zwycięża, mówiąc po prostu, realizm. Przeszkadza tu także Gisgesowi nieustanne prawie nawiązywanie rzeczywistości do spraw sztuki i wspomniana „malarskość" metafory, przeszkadza prowadząc za sobą wtórność myślową i zmniejszając czytelność utwo-

rów. Przykłady: oto skomplikowaną metaforą rozpoczynający się wiersz W i e c z ó r a u t o r s k i:

Poszedłem — na przełaj — bo mrok,
jako pastuch
pozbawiony poczucia przestrzeni,
wiązał już pęciny dnia w dolinach.
Na łąkach przy Nidzie
martwiały sceny wieczornych
sielanek,
pod okiem uniesionych jak sen.

Dalszy ciąg tego wiersza z metaforą „malarską":

By obraz nie zmatowiał zbyt silnie,
na górę świętej Anny chlapnął
światłem
i złotem zachód uniesiony przez
chmury.
Ludzie w dole
byli jak cienie.

Przykłady te zaczerpnięte z jednego tylko wiersza ukazują trudności Gisgesa na drodze uproszczenia, a zarazem ulogicznienia stylu poetyckiego.

Nie brak i tu jednak trafnych i prawdziwych w sensie artystycznym obrazów: „Czarne litery książki przed oczyma chłopa-czytelnika, gdy knot lampy filuje i kopci", „twarze dawnych chłopów przyklejone do szyb" nagłowickiego dworu, „palce jak skręcone, wyschłe łyko, odwracające zatłuszczone kartki" dzieła Mickiewicza, skromne płótno malarskie na wystawie obrazów, przy którym jednak „pomyślał robotnik: „Tutaj jestem". Oto przykłady trafnych poetyckich uogólnień, takich właśnie, jakich oczekuje czytelnik od poezji.

Na osobną uwagę zasługuje kilka sonetów dotyczących twórców sztuki ludowej. Jest to oryginalne, świeże, sięgające po temat malowniczy i zarazem kryjący w sobie ważne zagadnienia, których Gisges poetycko nie spłycił. Porając się z problematyką sztuki ludowej Gisges wybrał kunsztowną formę sonetu dla swych wizerunków ludowych twórców. Widać w tym głębsze poszukiwanie formy odpowiedniej dla tematu, widać poszukiwanie solidniejszych podstaw tradycji literackiej. I szczególne — właśnie w sonetach, w kształcie tak zdawałoby się zastygłym — Gisges używa mowy najprostszej a zarazem najdosadniejszej uwalniając się od dawnej stylistycznej maniery. Do tego cyklu wierszy o twórcach zaliczyłabym także wiersz S z t u k a t o r, znieruchomiały w opisie obraz robotnika kładącego swój podpis pod Apelem Sztokholmskim. W swoisty sposób w wierszach tych pojawia się człowiek nieco uproszczony, jak w kompozycji malarskiej, znieruchomiały w geście, opisany, jednak plastyczny. Wiersze te pochodzą z tego okresu kiedy przecież większa część naszych poetów wyznawała ogólnikowy, deklaratywny humanizm.

Dalsze dzieje rozwoju humanizmu Gisgesa — to dwa znajdujące się w tomie poematy.

M i ł o ś ć ś c i e ż e k n i e u t a r t y c h — to chyba owa tytułowa „pierwsza miłość". Niewielki ten poemat opowiada o czasach o wiele bliższych. Jesteśmy już w okresie socjalizacji wsi, powstają pierwsze spółdzielnie produkcyjne, zaostrza się i dochodzi do wrzenia walka klasowa na wsi. W pewnej wsi, „której nafta zbrzydła", przeprowadza się elektryfikację. Wróg klasowy działa. Dochodzi do dramatycznej sceny bójki z widłami przeciwko elektromonterom. „Wściekła ręka wroga nasłała swych posłów, aby słupów nie stawiać na ziemi prywatnej". Mimo to wykopano „słupy, grające drzewiny, które zna ucho każdego pastucha". W nocy nasłana przez kułaków kobieta potłukła fajki, „szklan

niazdka powiązań uczucia ze światem". ończy poemat burzliwe zebranie gro- adzkie w dawnym dworze. Akcja nie ostaje doprowadzona do końca, walka rwa, mimo że jesteśmy pewni jej zwy- ięskiego dla wsi końca.

A n t e k również stawia jako za- adniczy konflikt walkę klasową na rsi. Bohater poematu rysuje się tym azem wyraźniej. Jest nim jednoręki yn wiejskiej wyrobnicy-wdowy. Na- zkicowane jego dzieje — to służba u ułaka, marzenia o szkole i urzeczy- istnienie tych marzeń w uniwersyte- ie ludowym, wstąpienie do ZMP, udział akcji propagującej spółdzielczość rodukcyjną właśnie we wsi.

Poematy Gisgesa grzeszą nadmiarem awiłych obrazów i metafor. Oba poe- naty Gisgesa, ustawione „na pierwszej inii", zwłaszcza że na linii dotąd czę- ciej przez prozę niż przez poezję od- viedzanej — socjalizacji wsi, są pró- ami zasługującymi na uwagę krytyki, ymptomatycznymi, ale raczej mylny- ni w założeniu artystycznym. Co po- łębia ten zarzut, to fakt, że pierwszy oemat właściwie nie posiada osobo- vego bohatera, a Antek jest ledwie na- zkicowany jako bohater, niewykończo- y w rysunku, niewypełniony w dosta- ecznym stopniu ludzką treścią. Posta- vienie przez poezję narracyjną jakiejś rawdziwej kreacji człowieka na tle poki mogłoby z pewnością usprawie- dliwić ten rodzaj poezji, ale jak dotych- zas na terenie naszej poezji przykła- dów takich kreacji ludzkich nie widzi- ny.

Anna Kamieńska

JERZY HORDYŃSKI: *Powrót do światła*. Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 45.

Daty umieszczone nad niektórymi wierszami mówią, że wiersze Hordyń- skiego powstały w granicach od 1938 r. do chyba 1951 r. Piszę „chyba", bo dat nad większością utworów nie ma i tyl- ko tematyka tych wierszy pozwala nam mniej więcej na określenie czasu ich powstania. Tak więc, jest to wybór za- pewne bardzo szczupły, który w ra- mach tej książki i w układzie autora (układ nie jest chronologiczny) pozwa- la na sformułowania dalszych określeń tej poezji. Tytuł książki P o w r ó t d o ś w i a t ł a oraz niektóre wiersze zwłaszcza związane z okupacją hitle- rowską wskazują na to, że poeta prze- był drogę pełną trudności, z których jakoś stara się wydobyć.

Przegląd utworów zacznijmy od pierwszego wiersza T r y p t y k j e - s i e n i, albowiem właśnie nad nim zamieszczona jest data 1938. O czym mówi ten wiersz? O nastroju jesien- nym. Wiele obrazów poetyckich, kon- kretnie mówiąc krajobrazów, służy po to, ażeby wywołać w wyobraźni czytel- nika barwny a jednocześnie przyćmio- ny obraz jesieni. Wiersz kończy się po- intą, którą prawdopodobnie autor uwa- żał za efektowną: „Na pieśni oparłszy dłonie dzień powoli umiera". Nastrojo- wość neoromantyczna wywodząca się wprost z Młodej Polski zbyt była w swoim czasie rozpowszechniona, żeby z tego powodu można było obecnie po- stawić zasadniczy zarzut młodemu wówczas autorowi. Gorzej dzieje się wówczas, gdy utwory pochodzące ze znacznie późniejszego okresu, bo z roku 1943 i 1945 powracają do tego samego źródła. Jesień wywołuje w poecie na- strój nie tylko smutku ale też bezna- dziejności.

To wszystko bez imienia
[i niepotrzebne nikomu,
jak grudka spalonych książek,
[umierasz samotnie sławo.

Z wiersza tego konsekwentnie wyni- ka konkluzja: „Milczę — zgaszona świe- ca ma zapach czerwonej róży". W na-

stępnym wierszu z r. 1945 poeta kreśli nastroje z krainy snu zadając retoryczne pytanie: „Pamiętasz kolor snu?“ Nastrój całkowitego przygnębienia, całkowitej samotności wyraża się w powiedzeniu: „Ile w nas jeszcze pieśni, tyle jesteśmy warci...“ lub „podaj znużoną dłoń ostygającej pieśni“ czy też w zakończeniu wiersza:

Zbudzony późno świt na piersi twej
[ukaże,
ileś marzenia wziął z opadłych liści
[dębu.

Smutek, opuszczenie i beznadzieja — oto w dużym skrócie to, co może w tym wierszu odczytać czytelnik.

Niepogrzebane groby Oświęcimia, spalone ciała w krematoriach wywołują wspomnienia najbliższych — ojca i matki — wywołują smutek i protest, chęć walki o pokój.

Dzieci zwiastują pogodę — tupot
[maleńkich nóżek
już przekroczył okrutny czas...
(Powrót do światła)

W wierszu O delegatach z światowego pokoju w Oświęcimiu poeta pisze:

Nad oświęcimskim kurhanem
błękitna wstęga,
jak bandaż na straszną ranę
i jak przysięga.

Do tegoż tematu powraca w Elegii oświęcimskiej z tą tylko różnicą, że zagadnienia głębsze, wnioski wynikające z tragedii oświęcimskiej rozumie w zasadzie tylko w kategoriach dobra i zła. Niestety, poeta zdobywa się tylko na okrzyk przeciwko wojnie, zatrzymując się na krawędzi wniosku.

Dużo stosunkowo w tej książce pisze Hordyński o Szopenie, o jego muzyce. I znowu neoromantyzm, późny symbolizm i nastrojowość stają się cechami dominującymi tych utworów. Chopin etiuda As-dur opus 25 jest bardzo charakterystyczną próbą przetransponowania muzyki na wiele obrazów poetyckich, co wynika w tym wypadku albo z chęci mitologizowania poezji, albo też oznacza — być może — nieuświadomioną chęć ucieczki w „poetyczną muzykę“ od zagadnień, które przynosi nasza „prozaiczna poezja“. Po wojnie zresztą mieliśmy podobne próby, ale autorzy ich, jak Wirpsza, dawno od tego odeszli. Przy tej metodzie pisarskiej można z łatwością odkonkretyzować rzeczywistość, zmieniając świat poznawalny w świat irracjonalny, gdzie krajobraz jest całkowicie odkonkretniony, przypominający powiędłe dekoracje teatralne, gdzie „światła niby zapachy nad zielenią lecą“, gdzie „wszystko jest milczeniem i zamiast drzewa szumi twój zagubiony czas“. W ten sposób Hordyński pojmuje nie tylko Szopena. W wierszu Słuchając koncertu Chaczaturiana pojmuje muzykę tego kompozytora jako sztukę, która istnieje ponadczasowo i ponad tłumem.

Również i w innych wierszach zawartych w tej książce pojawiają się podobne akcenty. Ten sam pseudoromantyczny gest, te same kontury i marmury, ten sam tragizm niewysłowienia i jakiś ironiczno-kpiący stosunek do „tłumu“, który spełnia w tym wypadku funkcję greckiego chóru lub też w najlepszym wypadku jest rekwizytem z neoromantycznego lamusa. Nastroje przygnębienia i pesymizmu dochodzą chyba do szczytu w wierszu Kwitnienie nowiu, gdzie sen, przeczuwanie, sens w mgławicach, pusty los i podobne określenia prowadzą do wniosku:

Niech czuwa inny czas, mój okręt
[w kraj nieznany
popłynął...

Kto wie, może wiersz Na powrót do kraju stanowi początek przełamania poprzednich stylizacji. Poeta powraca do kraju i pragnie pisać inne wiersze niż przed wojną, „nowe, radosne i uczciwe", ale na razie:

Chodzę po nowej ziemi bliższy
[ludziom niż gwiazdom,
droższy pogodnej fladze, co nade mną
[szumi,
I uczę się powoli własnego przyjazdu
w obcym, lecz moim tłumie.

Powrót do kraju stopniowo usuwa stylizowane dekoracje. Realia nowej rzeczywistości zaczynają się wdzierać do wierszy. Jeszcze wprawdzie nieraz spotykamy Parki i Muzy, i brzegi Itaki, i rozbite greckie wazy, ale już wołają „rude" lokomotywy, wyłaniają się kontury Katowic, Wrocławia, wyłaniają się, ale po wierszu Witając epokę, który jest jak gdyby gorzkim wyznaniem sobie ciężkiej drogi, jaką przebył poeta. Również i w tym wypadku wnioski ujęte są w kategoriach moralizatorskich, co prawda już inne niż poprzednio:

Jeżeli pychą grzeszyłem nazywając
[szczęściem
dom, ojczyznę i ciebie, która za mną
[stoisz,
niech zginą moje słowa, by
[w ostatnim sensie
mówiły tylko oczy, nieme oczy moje.
Niech ziemię wolną widzę, całując
[trzy razy:
na powrót, na kochanie i na życie
[nowe,
jak człowiek, który z klęski, niby
[grecką wazę,
wyniósł samo milczenie, ocalonych
[mowę.

Droga od stylizacji neoromantycznej do konkretu nie jest ani prosta, ani łatwa — można z łatwością z moralizatorstwa wpaść w biologizm, jak to widzimy we fragmentach wiersza Katowice.

Ale rozumiem dziewczynę, gdy pieści
[krągłością piersi
chleb, niosąc braciom obiad i pieśń...

Można rejestrować sprawy równorzędnie w jednym miejscu nie oddzielając spraw ważnych od drugorzędnych:

Ze świtu wrześniowego spadają
[jedynie kasztany,
śmiech ściga babie lato po
[Szklarskiej Porębie,
dziewczyna do spółdzielni poszła po
[mleka dzbanek
i znaczki pocztowe z gołębiem.
(Pocztówka z ZLP)

Jeszcze trafia się „dziwność" rzeczywistości, jeszcze się pisze o ludziach jakoś wstydliwie, rysując, względnie mówiąc pośrednio, ale przecież z Marcowej widokówki odzywa się nie pusty los, nie kolor snu, lecz budzi się radość i dojrzewa optymizm.

Na razie skromnym świadectwem przełamywania się wewnętrznego jest kilka zaledwie wierszy: cykl wierszy o Oświęcimiu i końcowy wiersz w zbiorku Do mojej lutni życzenie, który zawiera rodzaj własnego programu poetyckiego. Tylko jeśli to nie ma być retorycznym pytaniem zwróconym do siebie bez odpowiedzi, jeśli poeta pragnie, aby pieśń jego nie odłączała się od troski ludzkiej, jeśli już mówi o spółdzielczej pszenicy, o nowej szkole i Nowej Hucie — to musi zająć nową, rewolucyjną postawę z jej konsekwencjami artystycznymi. Wleczenie się w ogonie neoromantyzmu, zatapianie się w nastrojowych mgiełkach Młodej Polski — pod każdym względem

jest ślepą drogą bez wyjścia. Nie pomoże tu żadne opanowanie tzw. rzemiosła poetyckiego, ani najbardziej kunsztownie skonstruowana zwrotka.

Jan Śpiewak

JÓZEF KUŚMIEREK: *Uwaga! Człowiek.* Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 198.

Uczmy się Polski współczesnej na literaturze, sprobujmy na debiucie Józefa Kuśmierka. Właściwie na Biedzie Adachowej i na Sprawie jednego konia, trzecie bowiem i najdłuższe opowiadanie wchodzące w skład tomiku pt. Uwaga! Człowiek przypomina raczej brulion młodocianego zaniechanego utworu, znaleziony w papierach pośmiertnych zasłużonego pisarza. Myślę, że to już dużo powiedziane w sensie pochwały i nagany. Pochwała odnosi się do literatury pięknej w ogóle pojmowanej realistycznie, do umiejętności stawiania zagadnień przez Kuśmierka, nie zaś do obróbki materiału artystycznego i to nie tylko w trzecim ale i w dwóch pierwszych opowiadaniach. Powróćmy więc do Biedy i do Sprawy. Składają się one w pamięci na wytłumaczenie, jak się rzekło, najżywotniejszych spraw Polski współczesnej. To wytłumaczenie środkami artystycznymi jakże dystansuje wszelkie podręcznikowe metody, jakimi dysponuje nauka. Zawsze tak było. Na realistycznych powieściach czy np. na pamiętnikach tego starego reakcjonisty Kajetana Koźmiana uczyć się można lepiej i przyjemniej aniżeli na Historii gospodarczej Polski prof. Rutkowskiego czy na kursie dziejów Polski prof. Bobińskiej, uczyć się można np. pruskiej drogi do kapitalizmu, więc tego, że po trzecim rozbiorze ziemianie wchodząc w obce organizmy feudalne stali się ostoją państw zaborczych, że wielka własność wzrastała a chłopska rugowana kurczyła się.

Bez względu na to, czy Kuśmierek uważać będzie swe prace tylko za reportaże, są one czymś więcej niż sprawozdaniem, chociaż opisują zdarzenia, które rzeczywiście miały miejsce i bohater jednego z opowiadań, Karol Korona, siedzi dziś w więzieniu. Nie autentyczność czy fikcyjność anegdoty jest decydująca. Ale umiejętność dokonanego wyboru, pokazanie ludzi od ich wnętrza, pokazanie losów ludzkich, które są głównym bohaterem utworu, pokazanie wielkich zagadnień społecznych i politycznych tak jak one wyznaczają ludziom koleje życiowe, słowem kompozycja umysłowa, ale nie sprawozdanie, bez względu na to, czy nazwiemy ją skromniej tylko reportażem, czy w sposób wywołujący więcej powszechnego szacunku nowelą — decydują o zaliczeniu pracy Kuśmierka do prozy artystycznej.

Kuśmierek jadąc w teren, na gorąco, tego „co dziś" widział nie wystukuje na maszynie, ani nie wykrzykuje co tchu w telefon, ubierając wszystko w tzw. szatę literacką, której jednym z nieodzownych rekwizytów reportażowych stała się możliwie obrzydliwa ślina w ustach ludzi opisywanych nad ranem. Bez tego rodzaju ozdobników Kuśmierek daje nam konstrukcję losów ludzkich i tego, o co one się obijają. Tak umiejętnie dokonywa typowego wyboru, że otrzymujemy konstrukcję ustrojową Polski, raczej tę konstrukcję ustrojową gomułkowszczyzny, która została rozbita na III Plenum i przezwyciężona już na Ziemiach Odzyskanych. Nic dziwnego, że konstrukcja obu opowiadań Kuśmierka jest konstrukcją śledztwa i aktu oskarżenia, i sprawy, o których pisze Kuśmierek, są sprawami sądowymi, karnymi. Ale proces jest nie tylko karny. Jest społeczny i polityczny. Żyjemy w czasie wielkich procesów sądowych w Polsce i w kra-

ch demokracji ludowej. Procesy te czą dojrzewania politycznego. Nic też ziwnego, że proces sądowy stał się tematem i porządkuje twórczość nie tylko resztą Kuśmierka. Pisarz realistyczny ie będzie omijał tej formy, tak naturalnej dzisiejszym czasom.

A jednak schemat metod śledczych, ostępowania dowodowego, schemat sąowy w ogóle zastosowany przez Kuśnierka, który przyjął „przypadkową roę detektywa samotnie zbierającego maeriał do reportaży", podsuwa niebezieczeństwa. Uległ im Kuśmierek z cą prostotą. Nie można nazwać jej urozą, skoro autor sam jeden wyrasta na ozytywnego bohatera i sam o sobie móvi „nie byłem już reporterem", gdy rzyczy z oburzenia, krzyczy per „ty" lo kułaka. Wtedy czytamy czarno na iałym: „słowo „łobuzie" zgryzłem w zębach wraz z końcem szklanej fifki". Albo: „bezczelna świnia, nawet podpisu nie zmienił — pomyślałem." Albo: „z trudem powstrzymałem się, aby nie dać Kalinie w mordę." Możliwe, iż dopiero „trzy wojskowe samochody i czerwone otoki prokuratury wojskowej" zaprowadziły porządek. Możliwe, że sekretarz powiatowy stwierdzając, iż „w tej sprawie" nie było partii wystąpił przed autorem z obszerniejszą nawet samokrytyką. Jadąc Chevroletą z wicestarostą autor słusznie nie zamienił z nim słowa, słusznie z oburzeniem zatrzasnął drzwiczki, bo cóż można odpowiedzieć na: „cholera, że to też musiało się zdarzyć w moim powiecie... jutro zajmę się tą sprawą." Niemniej jednak gatunek literacki nie wykraczający ponad najprostsze samochwalstwo przestaje być nie tylko gatunkiem literackim, przestaje być w ogóle czytelny. Przecież nawet w opowiadaniu ustnym samochwalstwo nie nadaje się do słuchania. Zarzut więc brzmi: Nieumiejętność przetwarzania artystycznego a umiejętność wyboru tematu. Sprowadzanie bowiem wszystkiego do kategorii przestępczych zuboża diagnozę. Poszukuje się przestępców i pokrzywdzonych i szuka się świadków oskarżenia. Stwierdza się ich bezsilność wobec dokonanego przestępstwa, skoro przestępstwu nie zapobiegli, ale nie widzi się w owych świadkach oskarżenia tych, do których należy przyszłość w ustroju sprawiedliwości społecznej. Stąd „czerwone otoki" pojawiają się jak *deus ex machina*, stąd deklaratywne zakończenia o spółdzielniach produkcyjnych. Stąd nie da się problematyki tej miary, nawet wówczas gdy się ją porusza tak umiejętnie, zatrzymać w pół drogi i zdusić pod koniec reportażową techniką, która okazuje wprawdzie dojrzewanie ale tylko odgórne a naprawę stosunków „na dole". Z tym łączy się w ogóle zaniedbanie spraw warsztatowych aż do zaniedbań natury stylistycznej i językowej. A więc nieumiejętne stosowanie czasownika „posiadać" (str. 90), nieumiejętne używanie zaimków np. „jej" na stronie 95, „swej" na stronie 99, „tego" jako ostatni wyraz w zdaniu (str. 127). Wspomnę o wątpliwym określeniu sytuacji przez żarzenie się i przygasanie papierosa „w rękach" wicestarosty (str. 39). Są to drobiazgi, ale łączą się one z poważniejszymi zaniedbaniami, a przede wszystkim ze stustronicowym zaniedbaniem pod tytułem P o ż a r.

Kuśmierek ukazuje kułaka, ale ma tę przewagę nad innymi piszącymi, że umie dokonywać wyboru: gdzież na naszym kontynencie kułak znalazłby dogodniejsze warunki dla swych zastraszających możliwości — jak poznajemy to ze S p r a w y j e d n e g o k o n i a i z B i e d y A d a c h o w e j — niż na Ziemiach Odzyskanych w koniunkturze gomułkowszczyzny! Kułak w Polsce centralnej był przede wszystkim zrazu niewidoczny, bo go zasłaniał, odwracał od niego uwagę obszarnik, jako

bardziej okazały, reprezentatywny wyzyskiwacz. Reforma rolna dająca ziemię chłopom stawiała na wyraz „chłopi", operowała pojęciem krzywdy chłopskiej w ogóle, a sprawa rozwarstwienia wsi, sprawa biedoty wiejskiej — rzeczy, których znowu uczyć się można na Biedzie Adachowej — przyszła dopiero później. W całej jaskrawości beznadziejny wyzysk biedoty wiejskiej i niszczący szantaż kułaka zaobserwować można tylko tam, gdzie nie było odwracających uwagę, przyciągających wzrok obszarników, gdzie państwo było jeszcze niezorganizowane, gdzie ludność była importowana, gdzie ponadto ruszyli ławą szabrownicy i aferzyści, no i wrogie agentury polityczne — to znaczy na Ziemiach Odzyskanych.

Nieszczęsna Adachowa osiada na ziemiach staropolskich, dobrzy ludzie jej pomagają. Nie ma pieniędzy, dług musi zwrócić pracą. Kuśmierek z ołówkiem w ręku wylicza, ile dniówek będzie musiała odpracować. Komu? Kułakowi. Oto kułak zaprowadza pańszczyznę na ziemiach staropolskich. Ucisk pańszczyźniany zamienia się w szantaż. Kułak instaluje aparat do pędzenia bimbru w mieszkaniu Adachowej i Adachowa za kułaka odsiaduje więzienie. Kułak szabruje i wysyła szaber do Polski centralnej. Uzależnia jednych wyzyskiem, drugich korrupcją. Do tych drugich należą burmistrz, sędzia w Krzepicach i władze nie tylko lokalne i nie tylko funkcjonariusze na szlaku kolejowym, bo Korona sięga do różnych organów władzy państwowej nawet i w Warszawie. Ustrój demokratyczny i republikański jest w Krzepicach tylko na papierze. W istocie Korona panuje tam — określenie jest ścisłe — jako władca feudalny.

Czymże bowiem jest feudalizm?

Zajrzyjmy do encyklopedii. Przeczytamy, co napisał prof. T. Manteuffel: „W społeczeństwie zorganizowanym państwo zapewnia każdemu obywatelowi bezpieczeństwo życia i mienia, spełnia zatem rolę opiekuna i obrońcy każdego spośród swoich obywateli. Wyobraźmy sobie z kolei gromadę ludzką pozbawioną organizacji państwowej. Każda poszczególna jednostka będzie tam zdana na swoje własne siły. Jasne jest, że w tych warunkach jednostki silniejsze, które potrafią nie tylko zabezpieczyć swój stan posiadania, ale go nawet powiększyć kosztem słabszych, nabierają większego znaczenia. Jednostki słabsze, nie umiejące sobie same dać rady, zaczynają się grupować wokół nich. W zamian za pomoc i opiekę uznają nad sobą ich władzę i niejednokrotnie za cenę korzystania ze swego majątku zrzekają się nawet... swego prawa własności. Tak więc... w niezorganizowanej gromadzie ludzkiej powstają grupy jednostek słabszych skupionych wokół silniejszych i związanych z nimi węzłami osobistej zależności. Zupełnie podobny proces da się zaobserwować wówczas, kiedy istniejący organizm państwowy zaczyna źle funkcjonować tzn., kiedy państwo nie jest w stanie zabezpieczyć ani życia, ani majątku swych obywateli. I tutaj wokół jednostek silniejszych lub bardziej wpływowych zaczynają się skupiać ludzie słabsi lub bardziej niezaradni. Jednostki silniejsze udzielając pomocy słabszym przejmują pewne obowiązki państwa wobec obywateli. Ale, oczywiście, nie czynią tego bezinteresownie, bo sięgają w zamian po prawa przysługujące jedynie państwu. W ten sposób powstają państwa w państwie. Stan ten nazywamy feudalizmem."

Korona był więc władcą feudalnym. W istocie przysługiwał mu feudalny immunitet, który dawniej chronił feudała przed urzędnikami królewskimi wzbraniając im wstępu do wykonywania władzy policyjnej, fiskalnej i sądowniczej. Immunitet Karola Korony rozciągał się na Krzepice i okoliczne tereny wystawiając ludność na zdzierstwa i nadużyć-

. Brakowało tylko Koronie, faktyczmu zarządcy kraiku, tytułu comesa, atecznej legalizacji jego władzy.

Oto jak polityka prokułacka tworzyła arunki pańszczyźniane i feudalne na emiach Odzyskanych. Te nieuchronkonsekwencje wyraził Kuśmierek armentami sztuki. Kuśmierek pozostał obraz minionej epoki i przezwyciężnych niebezpieczeństw. Ukazał krzydę i zagadnienie, więc twórczość Kuśerka nie jest humanitarną jałmużną. lobył się na bezwzględność wobec łoów. Poruszył nasze lokalne, zdawałoię, sprawy, ale opowiadania jego leżą do tych polskich utworów, któczytelnik polski — czy w tym saym stopniu czytelnik obcy — zrozuie. Droga rozwoju społecznego całenaszego kontynentu jest bowiem ta ma.

Adam Mauersberger

ALINA RUDNICKA: *Uczniowie Sparkusa*. Nasza Księgarnia, Warszawa, 51; str. 294.

Tematem książki Haliny Rudnickiej st powstanie gladiatora rzymskiego partakusa, który w I wieku przed rystusem zorganizował próbę rewocyjnego buntu gladiatorów i niewolniów.

Mimo więc, że książka napisana jest a młodzieży, dorosłego czytelnika zateresuje również to mało znane zagadenie: jak „z bliska" wyglądały ruchy yzwoleńcze w starożytnym, opartym systemie niewolnictwa, państwie ymskim. Wiadomo, że zagadnienie miało w warunkach rzymich szczególny wygląd ze względu na olbrzymie zróżnicowanie społeeństwa. Między Rzymianinem zasiającym w senacie a niewolnikiem prającym na jego polach i winnicach istało wiele warstw pośrednich: zamoi kupcy, handlarze, wyzwoleńcy, żołnierze z Italii i z oddalonych przestrzenią i kulturą prowincji, liczna klasa drobnych rolników i bezrolnych, wszelkiego autoramentu plebs miejski i wreszcie sami niewolnicy, począwszy od uczonych filozofów greckich, a kończąc na najnędzniejszych istotach zakutych na zawsze w kajdany.

Obraz tego zróżnicowanego społeczeństwa jest w książce Rudnickiej bogaty i wielobarwny, naświetlający ze specjalną uwagą siły napędowe społeczeństwa.

Odpowiedź na pytanie, skąd brały się przedstawione w powieści rzesze niewolników, dają losy bohatera powieści, 13-letniego chłopca, Greka Kaliasa. Na jego wieś napadli korsarze utrzymywani i inspirowani przez kupca rzymskiego, który w ustroju niszczącym wszelkie odruchy moralne, poszukał sobie dodatkowego źródła dochodu. W tej postaci, którą korsarze znali pod imieniem Milona, a obywatele rzymscy jako Gaiusa Wibiusza, Rudnicka pokazała łupiestwo Rzymu, umiejącego omijać swe surowe i twarde prawa, gdy chodziło o powiększenie zysków z prowincji.

Nie inaczej wyglądał stosunek patrycjuszy do własnych rodaków, pracujących rolników, obywateli rzymskich. Na przykładzie rodziny, z którą styka się Kalias w czasie swej ucieczki, autorka daje czytelnikowi obraz polityki patrycjatu dążącego do zagarnięcia drogą gospodarczego nacisku drobnych działek rolników, utrata zaś roli łączyła się przy tym najczęściej z utratą i tak już problematycznej wolności rodziny rolniczej, patrycjusz zaś zyskiwał podwójnie — i ziemię i niewolników.

Rudnicka dużo miejsca poświęciła przedstawieniu różnych losów niewolniczych, ukazując, jak skłonności do buntu i dążenia wyzwoleńcze zwiększają się w miarę coraz niższych kategorii niewolników. Autorka nie uzależnia

przy tem mechanicznie postawy ideowej od usytuowania społecznego. Etyka ustroju niejednokrotnie deprawowała dusze niewolników (Herman spodziewający się wyzwolenia za cenę zdrady), z drugiej strony autorka stworzyła typ stylizowanego na Katona Furiusa, sprawiedliwego i odważnego wodza rzymskiego, który szuka formuły prawnej dla podparcia swego udziału w wojsku Spartakusa.

W szerokim obrazie społeczeństwa rzymskiego szczególnie ciekawy jest rozdział N a t a r g u n i e w o l n i k ó w, celny skrót charakteru państwa. Wyzysk niewolnika, nieskrywana eksploatacja nie tylko jego sił fizycznych, ale i jego kultury przedstawiona została w tym rozdziale z większą niż gdzie indziej zwartością i precyzją kompozycyjną.

Osobnym zagadnieniem jest w książce Rudnickiej kwestia żywiołu greckiego w Rzymie. Łączy się to zagadnienie ze sprawą wyboru bohaterów powieściowych. Bohaterów jest bowiem w powieści dwóch: pierwszy — bohater dramatu historycznego — to sam Spartakus, drugi — nazwijmy go bohaterem fabularnym — to chłopiec Kalias.

Dlaczego właśnie ludziom związanym z kulturą grecką przypisuje autorka czołowe role w walce wyzwoleńczej?

W wielu scenach Rudnicka wiąże dążenia wyzwoleńcze z tradycjami kultury narodowej.

Tradycje niepodległej kultury greckiej usymbolizowane w ojcu Kaliasa, rzeźbiarzu, którego chłopiec pamięta jako twórcę pomnika Heraklesa, każą mu w chwili decydującej zrezygnować z możliwości ucieczki i walczyć na straconym posterunku, mimo że klęska powstania stała się oczywista.

Powieść nadaje w ten sposób walce sens humanistyczny. Te same humanistyczne tradycje odnajdujemy w postępowaniu Spartakusa. Wódz troszczy się nieustannie o wychowanie nie tylko dobrego żołnierza, ale i kulturalnego człowieka, wznawia np. tradycje Olimpiady greckiej. Spartakus w interpretacji Rudnickiej — to nie tylko dobry wódz i organizator — to także przewodnik ideowy, który zdaje sobie sprawę z odrębności idei, jaką reprezentuje.

Wyraźną trudność ma autorka w przedstawieniu ideologii społecznej Spartakusa. Jak wyglądały jego plany na przyszłość? W rozmowach z Sotionem wódz kilkakrotnie mówi o pragnieniu zbudowania jakiegoś *civitas solis* „państwa słońca, państwa równości braterstwa, wolności i sprawiedliwości bez bata i przemocy..." W pewnym miejscu w dyskusji z wodzem Gallów Germanów wypowiada nawet słowa „wolna praca dla siebie i swoich jest szczęściem..." Z drugiej strony nic nie słychać o tym, aby w samorzutnej akcji agitacyjnej, jaka ogarnęła całą Italię po kilku zwycięstwach Spartakusa, była mowa o jakiejś ideologii „wolnej pracy". Również w okresie pracy wychowawczej Spartakusa w szkole gladiatorów, nic o tym autorka nie wspomina. Sprawa jest trudna, nie wyświetlona przez historyków i dlatego zapewne autorce powieści zabrakło wyraźniejszego drogowskazu.

Wiąże się z tym sprawa bardzo ważna: do jakich grup społecznych trafiała agitacja za powstaniem? Niewątpliwie w pierwszym rzędzie do ciężko pracujących niewolników i tę tezę dokumentuje autorka bardzo konsekwentnie. A bogaty i zróżnicowany obraz społeczeństwa rzymskiego, jaki poznaliśmy w pierwszej części powieści, staje się w momentu wybuchu powstania schematyczny. Powstanie niewolników na pewno nie podzieliło społeczeństwa tak mechanicznie, jak to pisarka przedst

a w pierwszej części rozdziału S p o t n i e z m a t k ą.

Mało przekonywająco wygląda rów- scena, kiedy tłum Thuryiczyków si Spartakusa o nieoddawanie mia- Rzymianom. Co to właściwie za lu- e? Mówią, że pracowali dawniej na ach patrycjuszy, a teraz na „włas- h". Czyżby Spartakus dzielił laty- dia? Czytelnik nie zadawałby tego zaju pytań, gdyby autorka wyjaśniła oś dosyć skomplikowaną sytuację p pośrednich.

) wiele sugestywniej pokazana zosta- sprawa przyjęcia agitacji (zaznaczam norzutnej) za Spartakusem w środo- ku niewolników. Zasadniczym mo- vem była chęć zrzucenia jarzma nie- lnictwa. Ale byli i tacy, głównie bar- rzyńcy z Galii i Germanii, którzy kali w szeregach armii Spartakusa ycięstw i łupów. Na wymówki wodza en z dowódców barbarzyńców odpo- ada: „Gdy ja tu mogę żyć bez pra- i używać w najpiękniejszym zakątku iata, ty radzisz mi ruszyć do północ- ch, mglistych i chłodnych krajów na dy i niewygody". Tyle tylko pojął powstania.

Poświęciłem wiele uwagi analizie ładu społeczeństwa w książce Rud- kiej, gdyż sprawa ta jest niewątpli- e silnym atutem powieści. Zajmijmy teraz bliżej jej bohaterami.

Najwięcej troski o prawdę i bogactwo ychologiczne poświęciła autorka po- ci wodza powstania. W myśl przeka- w historycznych jest to postać tragicz- : jest to bowiem jednostka, która dą- do zmiany istniejących stosunków ołecznych, zanim jeszcze powstały dla kiej zmiany obiektywne warunki.

Jak tragizm ten wyraziła autorka? artakus w jej interpretacji — to czło- ek, który świadomością ideową wy- sta zdecydowanie ponad swych do- ódców. Jego plany sięgają o wiele dalej, są przemyślane i rozumne. Tymczasem sytuacja wojenna zmusza go bez przerwy do ulegania żądaniom barbarzyńskich dowódców, którzy zapatrzeni w bitność swoich żołnierzy, raz po raz odmawiają poparcia planom Spartakusa. Wódz postawiony jest wiele razy w sytuacji bez wyjścia, bo zdaje sobie sprawę, że zgoda na żądanie Kriksosa i innych — to zaprzepaszczenie projektów *civitas solis* w kwestii opuszczenia Italii czy marszu na Rzym, utrzymanie się zaś przy swoich planach grozi rozbiciem sił powstańczych i zamianą armii powstańczej w łupieżcze bandy. Niedojrzałość obiektywnych warunków dla zrealizowania projektów powstania zostaje więc przeniesiona na teren świadomości społecznej i ukazana jako niedojrzałość ideowa dowódców powstania. Sceny, w których Spartakus niestrudzenie usiłuje przekonać podwładnych, kiedy szarpie go rozpaczliwa rozterka, kiedy wreszcie decyduje się ustąpić dla utrzymania całości ruchu, należą do najlepszych w powieści. Blado natomiast wypada Spartakus jako niezawodnie wybitnie zdolny wódz, blado wypadają jego umiejętności organizatorskie, wojenne, zjednywania sobie ludzi. Przecież była to jednostka miary wyjątkowej! Mało jest w jego postępowaniu tego, co mogłoby młodego czytelnika zachwycić (pamiętajmy o młodzieżowym adresie książki) poza jedną sceną szlachetnego pojedynku z Turiusem, ale i wtedy Spartakus nie wiadomo dlaczego występuje anonimowo.

Zbyt anonimowo pokazuje także autorka kilka śmiałych działań zaczepnych armii powstańczej. Przedstawione one są od strony obozu Rzymian i dlatego giną w tych scenach zasługi dowódców i zalety żołnierzy. Spartakusa w walce widzimy tylko raz jeden, ale wtedy męstwo jego — to determinacja w obliczu przegranej.

Sylwetka wodza, której Rudnicka nadała ciepłe cechy objawiające się np. w troskliwości dla Kaliasa, powinna mieć w powieści walory, które przecież musiał posiadać człowiek postawiony w jego sytuacji *).

Bohaterem fabuły powieściowej jest chłopiec Kalias. Autorka w pragnieniu nadania losom chłopca daleko idącej typowości i reprezentatywności nasyca jego życie zbyt wielką obfitością wydarzeń. W ciągu dwóch lat, w czasie których toczy się akcja powieściowa, Kalias zostaje kolejno: porwany ze spokojnej Grecji przez korsarzy, sprzedany Waryniuszowi, u którego autorka przeprowadza chłopca przez wszystkie szczeble niewolniczego losu. Ucieka, poznaje życie różnych grup uciemiężonej ludności, dostaje się do szkoły gladiatorów, a potem, kiedy wybucha powstanie, jest uczestnikiem wszystkich wypraw powstańczych, zwycięzcą Olimpiady i wreszcie nawet delegatem na rokowania z korsarzami.

Taka metoda przepuszczania wszystkich wydarzeń powieściowych przez przeżycia jednej osoby, „wszędobylstwo bohatera", wzbudza zastrzeżenia, bo upraszcza zagadnienie powstania, pokazuje go w sposób zwężony, w odbiciu życia ciągle tej samej postaci. Kalias wskutek tej mnogości przeżyć jest jakiś chaotyczny, brak mu ostrzejszych rysów psychicznych, rozproszonych w ciągłym kalejdoskopie wydarzeń.

Piękną postać natomiast stworzyła Rudnicka w osobie Sotiona, starca z Sycylii, weterana dwu powstań niewolników, który w otoczeniu Spartakusa reprezentuje tradycję walki wyzwoleńczej. Jest on równocześnie twórcą pieśni śpiewanych przez wojska powstańcze.

I nie przypadkiem każe autorka wła nie jemu i Kaliasowi ocaleć z pogrom Sotion — to pozostawiony przez ru powstańczy budziciel sumień, pieśniar wielkości powstania i agitator nowe ruchu. Kalias — to przyszły uczestni tego ruchu. Powstanie zostaje przy p mocy konstrukcji tych dwu losów rzu towane w przyszłość, staje się wyra zem stałej tendencji, nie tylko jednora zowych dążeń.

Książka Rudnickiej jest zdecydowa nie udanym wypadem w dzieje ruchó wyzwoleńczych. Ma wszelkie dane, ab stać się trwałą pozycją w lekturze mło dzieży.

Włodzimierz Maciąg

WILLI BREDEL: *Krewni i znajom* tom pierwszy: *Ojcowie;* str. 448, to drugi: *Synowie;* str. 438, przekła autoryzowany Anny Linke, Państwow Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950 1951.

Analiza krytyczna poszczególnych cz ści kilkutomowego cyklu powieściowe bez znajomości całego cyklu jest zaw sze rzeczą nieco ryzykowną. Zmusza d szczególnej powściągliwości w ocenac uniemożliwia wyciągnięcie ostateczny wniosków, nakazuje umiar pod każdy względem — zwłaszcza gdy mamy c czynienia z dziełem w samym swoi zamierzeniu na wskroś nowatorski Z trylogii Bredla K r e w n i i z n a j m i tom pierwszy O j c o w i e ukaz się w polskim przekładzie przeszło r temu, tom drugi S y n o w i e zjawił s ostatnio na półkach księgarskich. To trzeci natomiast „jest na warsztacie jak komunikuje notatka na odwroc strony tytułowej S y n ó w. Wydaje s jednak, iż nie jest on na warsztacie w dawnictwa, lecz na warsztacie auto Jak bowiem wiadomo, Bredel nie z kończył jeszcze pracy nad tomem z mykającym ten cykl.

---

* Por. sądy o Spartakusie Marksa i Lenina, cytowane w H i s t o r i i S t a r o ż y t n e g o R z y m u Maszkina.

ytelnik polski zna Bredla przede
stkim jako pisarza, który potrafił
ezwykłą sugestywnością i siłą wy-
odtworzyć w powieściach, opowia-
ach i reportażach zasadnicze mo-
ty dziejów narodu niemieckiego na
strzeni ostatnich kilkunastu lat. O-
a hitlerowskiego barbarzyństwa i o-
n spustoszenia dokonanego przez fa-
m w duszach ludzkich (M i l c z ą -
w i e ś), niezłomna walka niemiec-
komunistów w Trzeciej Rzeszy
v ó j n i e z n a n y b r a t), bohater-
walka Brygady Międzynarodowej w
panii (S p o t k a n i e n a d E b r o),
ia hitlerowska pod Stalingradem
z h a u s e n) i wreszcie budowa na
zach hitleryzmu nowych, wolnych
miec (50 d n i) — oto tematyka ksią-
, którymi Bredel zdobył ogromną po-
arność nie tylko w swojej ojczyźnie,
także w Związku Radzieckim,
którym rewolucyjny pisarz znalazł
ronienie w czasie wojny. Książkami
ni, wszystkie ukazały się już w pol-
m przekładzie, Bredel zdobył sobie
ebojem także naszego czytelnika.

Bredel jest obecnie obok Anny Se-
rs najbardziej poczytnym u nas
półczesnym pisarzem niemieckim.
iadczą o tym wymownie imponujące
ry nakładów jego dzieł: jak dotąd
sko 500 000 egzemplarzy.

W K r e w n y c h i z n a j o m y c h
edel podjął ambitne zadanie: tema-
dzieła nie jest jak w innych jego
vorach określony odcinek z niedaw-
ch dziejów narodu niemieckiego, te-
tem jest historia niemiecka ostatnich
kudziesięciu lat, ściślej mówiąc hi-
ria niemieckiego ruchu robotniczego
chwili jego powstania. Zamierzenie
iałe i z gruntu nowatorskie i chociaż
zne będą różne nasze zastrzeżenia w
awie pierwszych dwóch tomów tego
klu, to jednak stale będziemy musieli
eć na uwadze okoliczność niezmiernie
otną: to Bredel pierwszy, jeszcze prze-
bywając na emigracji, podjął się trudu
odzwierciedlenia w ramach cyklu po-
wieściowego tragicznych dziejów nie-
mieckiej klasy robotniczej, to Bredel
pierwszy w najmroczniejszych latach
hitlerowskiej nocy dążył do powieścio-
wego ukazania źródeł i przyczyn klęsk
niemieckiego ruchu robotniczego w błę-
dach i grzechach jego długoletniej hi-
storii.

Bredel obrał dla swej powieści formę
kroniki rodzinnej, formę B u d d e n -
b r o o k ó w, tylokrotnie naśladowanych
od chwili ich ukazania się w 1901 r.

Schemat powieści Manna służy Bred-
lowi do ukazania drogi niemieckiej kla-
sy robotniczej jako procesu historyczno-
społecznego, w pełni uwarunkowanego
prawami rozwoju społeczeństwa późno-
kapitalistycznego.

Fabuła O j c ó w — historia robotnika
stoczni hamburskiej, socjaldemokraty
Hardekopfa i jego pięciorga dzieci —
zaczyna się w 1901 r., a kończy ją
śmierć Hardekopfa w 1915 r. S y n o -
w i e obejmują okres od 1916 do 1922 r.
Oczywiście, niesposób ukazać drogi nie-
mieckiego ruchu robotniczego, rozpoczy-
nając jego historię dopiero w pierw-
szych latach XX-go wieku. Toteż Bre-
del, opowiadając dzieje życia Harde-
kopfa, cofa się aż do roku 1870-go.
Niemiecka partia socjaldemokratyczna
została utworzona na zjeździe w Eise-
nach w 1869 r., a połączenie z lassalczy-
kami zostało dokonane na zjeździe w
Gocie w 1875 r. — tym samym trylo-
gia Bredla obejmuje historię niemiec-
kiego ruchu robotniczego od chwili jego
powstania.

Lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku
charakteryzuje w Niemczech bardzo
szybki wzrost kapitalizmu. Ogromny
rozwój wielkiego przemysłu był uwa-
runkowany szeregiem przyczyn, z któ-
rych bodajże najistotniejsze, to utwo-
rzenie jednolitego państwa niemieckiego
i — co za tym idzie — stworzenie jed-

nego wewnętrznego rynku, to wykorzystanie licznych przypadających na ten okres osiągnięć w zakresie techniki i nauki. Rozwój przemysłu spowodował znaczny napływ ludności wiejskiej do wielkich miast, spowodował wzrost klasy robotniczej. Wzrostowi przemysłu, wzmożonej eksploatacji robotników towarzyszył rozwój niemieckiej socjaldemokracji. Jednym z tych, którzy znaleźli wówczas drogę do ruchu robotniczego był tokarz Johann Hardekopf, bohater tomu pierwszego K r e w n y c h i z n a j o m y c h.

Bredel nie upraszcza sobie zadania. Losy osobiste Johanna Hardekopfa zostały ukształtowane przez autora jako ścisła funkcja wydarzeń historycznych, jakie przeżyła generacja urodzona w połowie XIX-go wieku. Dążenie Bredla do uwarunkowania dróg życiowych swoich bohaterów procesami historyczno-społecznymi epoki zostało najszczęśliwiej, najpełniej zrealizdwane w rysunku Hardekopfa, jednej z najcelniejszych postaci w całym dotychczasowym dorobku wybitnego pisarza.

Pierwszym wielkim przeżyciem Johanna Hardekopfa, syna hutnika z Zagłębia Ruhry, jest wojna prusko-francuska z 1870/71 r., jest Komuna Paryska. Prostolinijny, dobroduszny i małomówny kapral ma na tyle zdrowego instynktu, by nie ulec nacjonalistycznemu szałowi rozpętanemu w armii pruskiej. Słowa jednego z kolegów sieją zwątpienie w jego świadomości: „Najpierw zwalczaliśmy cesarza, teraz mamy cesarza, a zwalczamy republikę... nasi więcej boją się republiki niż cesarstwa". Gdy Hardekopf ma odprowadzić czterech wziętych do niewoli komunardów i przekazać ich oficerom francuskim, zwalczającym wspólnie z Prusakami Komunę Paryską — rozkaz ten wprawdzie karnie wykona, ale gdy robotnicy ci zostają rozstrzelani, znajdzie się w głębokiej rozterce. Pojmuje, że nieświadomie przyczynił się do zamordowania nie winnych ludzi. Po skończonej wojni wraca do pracy „cichy i bardziej ni dawniej zamyślony", a na pytania „ja to tam było", lakoniczna odpowiedź bę dzie wymownym podsumowaniem jeg przeżycia: „My ludzie jesteśmy wszyscy nędznym bydłem".

Wyjście z tej nihilistycznej postawy znajdzie Hardekopf przez zetknięcie si z ruchem robotniczym. Dalsze tezy Har dekopfa, to tezy niemieckiej socjalde mokracji.

Dzieje Johanna Hardekopfa w ostat nich dziesięcioleciach ubiegłego wieku stanowią właściwie wstęp do trylogi K r e w n i i z n a j o m i, mimo iż roz dział poświęcony tym dziejom zosta przez autora wmontowany do częś drugiej O j c ó w. Są one przykładem syntezy elementów historyczno-społecz nych epoki z elementami osobistej drog życiowej bohaterów Bredla, którzy sw jednolitością podkreślają wysoki artyzm pisarza.

Okres od 1901 r. Bredel odtwarza dużą wnikliwością i drobiazgowością, u kazuje perspektywy historyczno-poli tyczne i szeroko odmalowuje tło społecz ne, świadomie ograniczając obraz d proletariatu i drobnomieszczaństwa.

Przyrost wyborców stwarza wród so cjaldemokratów nastrój bezstroski, na strój pewności bliskiego zwycięstwa „Dojdziemy do władzy drogą pokojo wą!" — woła w najlepszej wierze Har dekopf, który późno dopiero zrozumie jak wielkie błędy popełniła jego parti jak wielkie błędy popełnił on sam: „F listrzy związkowi, piwosze, bractwo kre głowe — drobnomieszczanie — oto, czy staliśmy się! Przyjemność dla nas waż niejsza niż cały socjalizm". Wybuc wojny w 1914 r. — oto ostateczna klę ka linii politycznej starego Hardekopf uczciwego socjaldemokraty, klęska po głębiona przez tragedię osobistą: naj młodszy syn Fritz zgłasza się jako ocho

k na front, by „bronić" Niemiec Wil-ma II-go. Hardekopf zawiódł, jak wiodła jego generacja, jego partia. W tragedii Hardekopfa dał Bredel mi-zowski wizerunek niemieckiej klasy botniczej sprzed pierwszej wojny iatowej, dał wizerunek uczciwych cjaldemokratów, oszukanych przez radzieckich przywódców, wspólników emieckiego imperializmu, ukazał bez-ad polityczny, ukrywający się za po-rną potęgą partii.

Historia małżeństwa Hardekopfów i żdego z ich dzieci jest przez autora etelnie podbudowana bogatym zaso-em realiów. Bredel wykorzystuje ma-riał zaczerpnięty z opowiadań swoich dziców i dziadków jak i oczywiście spomnienia z własnego dzieciństwa. ogata galeria żywo i plastycznie zary-wanych typów daje pełny i wielo-ronny obraz odtworzonego środowiska. pojrzenie na opisywanych ludzi i opi-rwane zdarzenia jest nacechowane naczną dozą sentymentu. Nadaje to jcom swoisty urok, spotęgowany iezwykle prostym, bezpośrednim sty-em Bredla. Co ważniejsza: uczucio-y stosunek do odtworzonych spraw i udzi nie stępia ostrza krytycznego spoj-zenia Bredla, zawsze wychodzącego ze tanowiska ideowo słusznej oceny epoki. le już w Ojcach zarysowuje się iebezpieczeństwo, któremu w Sy-ach autor ulegnie w dość znacznym topniu: utrata właściwych proporcji w oborze materiału wspomnieniowego i zeczowego.

Synowie — to obraz walki nie-mieckiej klasy robotniczej w nowych warunkach: w czasie pierwszej wojny wiatowej i w pierwszych latach powo-ennych. Stary Hardekopf zmarł, ode-zła generacja, która wierzyła w doj-cie do władzy „drogą pokojową". Kto przejmie tradycje rodzinne, wywodzące ię jeszcze z okresu Komuny Paryskiej? Żaden z czterech synów Hardekopfa nie jest do tego zdolny: najstarszego Emila, żebraka i alfonsa własnej żony, dawno się już stary wyrzekł, cichy i skromny Ludwik pod wpływem żony oddalił się od partii, Otto woli tańczyć niż zajmować się polityką, a Fritz poszedł na front. Bojowe tradycje starego Hardekopfa przejmuje zatem jego wnuk, syn Karola i Frydy Brentenów — Walter.

Nie trzeba zbytniej spostrzegawczości, by dojść do wniosku, że Walter Brenten — to w znacznym stopniu autoportret Willi Bredla. Byłoby jednak pochopne, gdybyśmy chcieli te dwie postacie całkowicie zidentyfikować. Niewątpliwie zaopatrzył Bredel wiele osób występujących w jego trylogii w rysy autobiograficzne. Bezpośrednie przeżycia swego własnego pokolenia, dojrzewającego w czasie pierwszej wojny światowej, Bredel wcielił w postać Waltera Brentena.

Drogę rozwojową Waltera rysuje Bredel z dużą konsekwencją.

Walter, uosobienie młodzieńczego buntu i oporu („Trzeba gwizdać na to, czego chcą ojcowie!") uczy się i walczy. Słowa komunisty Timma, dowódcy grupy, w której walczy w 20 r. Walter — „kto chce być czeladnikiem i majstrem, musi terminować. Terminujemy, Walterze, i każde doświadczenie jest cenne... Do zwycięstwa brak nam było najważniejszego: partii. I stwarzamy ją sobie teraz, nową partię, w każdym calu rewolucyjną" — stają się wytyczną jego postępowania. W pracy nad stworzeniem nowej partii, partii typu leninowskiego Walter zostaje przez władze republiki weimarskiej zaaresztowany.

Synowie — trzeba to powiedzieć wyraźnie — niestety nie spełniają tych nadziei, jakie po przeczytaniu Ojców wiązał szeroki krąg polskich czytelników i wielbicieli wielkiego talentu Willi Bredla. Synowie nie dają tak plastycznej, tak żywej wizji epoki, jak Ojcowie. Być może, iż przyczyną

tego jest częściowo zmiana układu kompozycyjnego utworu. O ile bowiem Bredel w tomie pierwszym rozwinął bogatą i różnorodną akcję, splecioną z kilku wątków, z których każdy odtwarzał dzieje jednego z członków licznej rodziny Hardekopfów — o tyle w tomie drugim Bredel świadomie zwęża akcję do dziejów Karola Brentena i jego syna Waltera. Zwężenie to byłoby w pełni uzasadnione, gdyby posłużyło ono autorowi do pogłębienia postaci ojca i syna Brentena. Zwężenie to nie stanowiłoby zubożenia książki, gdyby autor mógł w dwóch czołowych postaciach Synów odzwierciedlić problemy epoki, gdyby mógł ukazać fazy rozwojowe niemieckiego ruchu robotniczego w okresie powstania KPD. Tego jednak autor niestety nie uczynił.

W Ojcach wszystkie istotne wydarzenia historyczne znajdują w mniejszym czy większym stopniu swoje odbicie, co więcej: są organiczną częścią życia rodziny Hardekopfów. Ale i w Ojcach autor niekiedy ulega pokusie zbyt szerokiego ukazania tła, nie wnosząc w gruncie rzeczy wiele nowego. Tak na przykład w szczegółowym opisie wycieczek dokonywanych przez Karola Brentena i jego przyjaciela Papkego w poszukiwaniu podmiejskiego lokalu, odpowiedniego dla zabawy jesiennej towarzystwa „Kwiat Majowy". Ale opis ten jest tak soczysty, tak pełen prawdziwego humoru i pokazuje tak bogate możliwości realistycznego pisarstwa Bredla — że chętnie wybaczamy autorowi znaczną dygresję.

W Synach natomiast, odzwierciedlających okres historyczny o maksymalnym napięciu dramatycznym, daremnie będziemy szukać pełnego odbicia najistotniejszych wydarzeń historycznych. Wpływ działalności Lenina na rozwój młodzieży hamburskiej jest ledwo ukazany, ogromny wpływ Rewolucji Październikowej jest dość sumarycznie odtworzony dopiero w rozmowie Waltera z Timmem w jednym z końcowych rozdziałów, o utworzeniu Spartakusa nie ma mowy w ogóle, a zabójstwu Karola Liebknechta i Róży Luksemburg w styczniu 1919 r. poświęca Bredel zaledwie kilka wierszy. Rozwój intelektualny samouka Waltera jest dość przekonywający, nie widzimy natomiast czynników kształtujących świadomość rewolucyjną Waltera. Jest to — jak się wydaje — logiczną konsekwencją tego, że autor nie uwzględnia istotnych wydarzeń historycznych, jakie miały miejsce w okresie dojrzewania Waltera, jest wynikiem pominięcia przez autora organizacyjnej walki lewego skrzydła socjaldemokracji niemieckiej w czasie pierwszej wojny, skrzydła, z którego powstał Spartakus.

A w fabule obydwóch tomów znajdziemy postacie jakby stworzone właśnie dla ukazania tej walki. Szczególne zainteresowanie czytelnika wzbudza w Ojcach postać robotnika Mengersa, konsekwentnego opozycjonisty, stale ostrzegającego starego Hardekopfa przed zgubną polityką kierownictwa socjaldemokracji. Ale Mengers, reprezentujący ten odłam socjaldemokracji, z którego powstał Spartakus, zostaje na początku wojny zaaresztowany i przez cały drugi tom powieści postać ta nie zjawia się więcej na widowni. Inny przykład: najmłodszy syn Hardekopfa, Fritz, który przechodzi w 18 roku na stronę Spartakusowców i walczy w Berlinie i w Brunświku, Fritz, który podsumowuje kardynalny błąd rewolucji w lapidarnych słowach „Zdzieraliśmy tym psom epolety! Trzeba było je zostawić a pozrywać im głowy" — pozostaje niestety w Synach postacią epizodyczną, całkowicie marginesową.

Niedostatki te stają się szczególnie widoczne na tle tych bogato rozbudowanych części powieści, w których autor z dużą pieczołowitością odtwarza szcze-

ły życia rodzinnego, w których ana-uje różne przeżycia osobiste Waltera. ysproporcję w doborze materiału spomnieniowego o znaczeniu drugo-ędnym i materiału historycznego i eczowego o znaczeniu pierwszorzęd-ym — ujawnia także postać inspektora ery i dzierżawcy pissoirów, Pawła apkiego. Papke, załgany drobnomiesz-anin, złośliwy kabotyn, plugawy in-ygant i niedościgniony frazesowicz — postać niewątpliwie typowa, to re-ezentant owego wyhodowanego przez ajzerowskie Niemcy drobnomieszczań-wa, które zaśmiecało niemiecką socjal-emokrację. Kapitalny portret Papkego, oskonale narysowany aż do najdrob-iejszych szczegółów — to świetne osią-nięcia Bredla. Ale o ile szerokie roz-inięcie tej postaci w Ojcach ma ełne uzasadnienie, to w Synach iększe nasze zainteresowanie wzbudza-już ludzie nowego pokolenia, na przy-ład komunista Timm, którego autor prowadza dopiero pod koniec tomu i la którego znajduje niewiele miejsca, odczas gdy Papkemu poświęca wciąż eszcze znaczne partie książki.

W podobny sposób przedstawia się prawa Karola Brentena, ojca Waltera. akże w tej postaci dał Bredel wizeru-ek niemieckiego drobnomieszczanina, chórzliwego i wciąż pechowego kombi-atora i karierowicza partyjnego. W rugiej części trylogii Bredel ukazuje — a tle przeżyć Karola w wojsku — bez-myślność pruskiego drylu, obrzydliwość iemieckiego militaryzmu. Karol jest ednak najmniej przekonywającą posta-ią obydwóch tomów, sprzeczności w je-o charakterystyce są zbyt wielkie, brak onsekwencji w rysunku psychologicz-ym — zbyt jaskrawy. Szerokie roz-inięcie tej postaci w Synach nie rzyczyniło się do usunięcia wątpliwości, akie ona już w Ojcach nasuwa, a płynęło niekorzystnie na całość dru-iego tomu.

Słusznie natomiast rozwinął Bredel w Synach postać Louis Schönhusena, naszkicowaną w tomie pierwszym jedynie w ogólnych zarysach. Schönhusen, działacz ruchu zawodowego, funkcjonariusz hamburskiej socjaldemokracji i później senator — to uosobienie prawicowych przywódców socjaldemokracji, uosobienie zdrajców klasy robotniczej. Trafnie pokazując postawę Schönhusena w różnych sytuacjach historycznych, Bredel z drapieżną siłą uwypuklił i ukazał agenturalny charakter, podłość i zakłamanie kierownictwa niemieckiej socjaldemokracji w decydujących latach pierwszej wojny światowej.

Wreszcie ostatni zarzut: Bredel, jak niewielu współczesnych autorów, potrafi książkom swoim nadać żar ideowej namiętności, potrafi rozpalić w nich najczystszy płomień rewolucyjnego romantyzmu. Na każdym czytelniku Nieznanego brata wstrząsające wrażenie wywiera ostatnia, porywająca część tej powieści, w której autor odzwierciedlił przeżycia Arnolda Clasena w więzieniu hamburskim. Porównanie to nasuwa się nieodparcie, gdyż także Synowie kończą się pobytem bohatera w więzieniu hamburskim. Tym razem autor nie osiągnął tej niezwykłej sugestywności, tej siły artystycznego wyrazu, jaka promieniuje z powieści napisanej przed kilkunastu laty.

*

Ojcowie i Synowie są pierwszą, pionierską w literaturze niemieckiej, próbą stworzenia wielkiego historycznego malowidła, ukazującego walkę niemieckiego proletariatu pod koniec ubiegłego wieku i w pierwszym ćwierćwieczu naszego stulecia. Czy Willi Bredel stanął na wysokości tak ogromnego zadania? Na to pytanie będziemy mogli odpowiedzieć dopiero po zapoznaniu się z trzecim, ostatnim tomem cyklu. Tomu tego oczekujemy z największą niecierpliwością.

Marceli Ranicki

KRAKOWSKI PRZEGLĄD TEATRALNY

Repertuar Państwowych Teatrów Dramatycznych w drugiej połowie 1951 r. to przeważnie uznane pozycje klasyki światowej — na ogół zachodnio-europejskiej — które pod tym względem wyrównują brak, jaki od dość dawna odczuwała publiczność krakowska. Jako zarzuty można wymienić natomiast zupełne pomijanie polskiej narodowej klasyki, datujące się zresztą już od bardzo dawna (boć przecież za reprezentacyjną pozycję tej klasyki nie można uważać Ciotuni Fredry), czy też nie zawsze przekonywający dobór klasyki obcej.

Spośród tej ostatniej najwybitniejszą pozycją był niewątpliwie Alkad z Zalamei Calderona, wystawiony w teatrze im. J. Słowackiego. Wprowadzenie tej prawie niegranej w Polsce — a w każdym razie zupełnie zapomnianej — sztuki wielkiego hiszpańskiego pisarza, jest poważną zasługą krakowskiego teatru. Calderon — znany dotychczas u nas przede wszystkim (i to właściwie tylko za znakomitą protekcją Juliusza Słowackiego) jako pisarz mistyczny — z czym zresztą potrafił doskonale godzić w życiu bardzo konkretną służbę ziemskim potęgom króla i kościoła Hiszpanii XVII wieku — tutaj, jedyny raz w swojej twórczości, ujawnia się w postaci pisarza prawdziwego realizmu. Alkad z Zalamei rysuje z ogromną siłą społecznej i artystycznej motywacji klasowy obraz swego czasu, w zwartej konstrukcji dramatycznej ukazuje walkę ludu hiszpańskiego przeciw możnowładztwu w okresie załamującego się feudalizmu, ukazuje krzepnącą już świadomość społeczną chłopa. W Krakowie widowisko nie utraciło realistycznej treści społecznej ani barwnej scenicznej plastyki. Świeżość Calderonowskiego języka dramatycznego zyskała wiele dzięki nowemu przekładowi poetyckiemu L. H. Morstina, zaś reżyseria Władysława Krzemińskiego (przy współpracy dramaturgicznej Zygmunta Leśnodorskiego) potrafiła — mimo pewnych uproszczeń i dowolności, zwłaszcza dotyczących oprawy scenograficznej Tadeusza Kantora — utrwalić właściwe realistyczne proporcje sztuki i rozplanować należycie historyczny konflikt pomiędzy ludem — szlachtą — królem.

Więcej wątpliwości budzić mogła następna z kolei pozycja klasyczna Nie trzeba się zarzekać Alfreda Musset na małej sali Starego Teatru. Jeżeli już kierownictwo Państwowych Teatrów Dramatycznych zdecydowało się realizować jedną z bardziej błahych komedii Mussetowskich, powinno było spojrzeć na nią w pełni nowymi, współczesnymi oczyma, odczytać z niej do końca mały rozdziałek dziejów mieszczańskiej Francji i francuskiego romantyzmu lat trzydziestych XIX wieku. Historia ukartowanego z góry przez przedstawicieli młodego kapitału i starej arystokracji mariażu dwojga kochanków, z których jedno stanowczo „się zarzeka" — nie została przez reżysera Jerzego Kaliszewskiego wyinterpretowana w całej ostrości konturów. Przedstawienie było niezupełnie czyste stylowo, obok elementów realistycznej komedii obyczajowej znajdowały się elementy groteski, za mało widać było śladów ironii, która stanowiłaby dostateczną przeciwwagę dla nie zawsze już dziś przekonywającego liryzmu tego „teatru miłości". Ozdobą przedstawienia były dekoracje Andrzeja Stopki, które — mimo niektórych partii „przeintelektualizowanych" w pomyśle — w całości

wytały właściwy nastrój „musse-
zmu".

Podobnie ocenić wypada ostatnią te-
roczną premierę Państwowych Tea-
ów Dramatycznych na tejże małej sali
Mirandolinę Carlo Goldoniego.
Mirandolina — wcześniejsza od
omedii Musseta o blisko wiek czasu i
jeden ustrój społeczny — ma jeszcze
sobie trochę marionetkowego charak-
eru *commedii dell'arte*, z której ciasnych
gorów wyzwalać zaczął tradycyjną
omedię włoską dopiero Goldoni. Ale
czy tym nie brak jej swoistego, choć
iniaturowego, realizmu obrazka oby-
ajowego, lekko naszkicowanego rysun-
u konfliktów społecznych. Reżyser Ire-
a Babel (przy współpracy dramatur-
cznej Zbigniewa Krawczykowskiego)
ie dowierzając jakby tej zawartości
połecznej usiłowała ją jeszcze „pogłę-
ić" dodając nieistniejącą w tekście po-
ać włóczęgi śpiewającego rzewne i sta-
e piosenki włoskie. Natomiast zawar-
ość istniejącą i istotną przyprawiła le-
utkim pieprzykiem pikanterii, odbie-
ając jej przez to właściwy smak. Tak-
e i tutaj dużym osiągnięciem było o-
racowanie scenograficzne Andrzeja
topki, który dobrze rozwiązał trudno-
ci spowodowane warunkami prze-
rzennymi małej sceny.

Jeszcze wcześniej — jesienią — Sta-
y Teatr wystawił na dużej sali sztukę,
órą zaliczyć należy również do pozycji
lasycznych. Klasyczna bowiem jest
literaturze Eugenia Grandet,
zorowa i przykładowa powieść Balza-
owska, jedno z owych klasycznych stu-
ów rodzącego się kapitalizmu, nieo-
al podręcznik historii pierwszej poło-
y XIX wieku, historii, w której rolę
anującego obejmuje handlarz wina,
polem bitwy staje się giełda. Ten to
wór przerobił na scenę polską An-
zej Wermer wywiązując się z posta-
ionego sobie zadania (mimo wielkich
udności, jakie nastręcza pomysł prze-
niesienia na scenę epickiej materii bal-
zakowskiego realizmu) zadowalająco.
Zręcznie skonstruowana całość pokazu-
je — w zasadniczych liniach trafnie —
typowe przebiegi procesów społecznych
i psychologicznych, a krakowska reali-
zacja sceniczna — którą reżysersko
opracował Jerzy Kaliszewski, drama-
turgicznie Zygmunt Leśnodorski, a sce-
nograficznie Tadeusz Kantor — pod-
parła ową całość w sposób wystarcza-
jący dla uwypuklenia zasadniczych jej
konturów.

W tym barwnym wachlarzu klasyki
europejskiej różnych krajów i czasów
klasykę rosyjską reprezentowała kome-
dia Aleksandra Ostrowskiego Talen-
ty i wielbiciele. Nie należy ona
niewątpliwie do najwybitniejszych
i najbardziej reprezentacyjnych osiąg-
nięć Ostrowskiego, ale posiada dość ele-
mentów (od tematu zaczerpniętego z ży-
cia rosyjskiego teatru i aktorów aż po
szeroki obraz rosyjskiego mieszczań-
stwa i szlachty) charakterystycznych dla
twórczości tego znakomitego przedsta-
wiciela realizmu krytycznego w rosyj-
skim dramacie XIX w. Wystawienie jej
w teatrze im. J. Słowackiego było pra-
premierą po raz pierwszy współcześnie
dokonanego polskiego przekładu Jerze-
go Jędrzejewicza i jest dowodem chwa-
lebnej inicjatywy kierownictwa Pań-
stwowych Teatrów Dramatycznych, na-
reszcie próbującego nowych, ambitnych,
pomysłów repertuarowych. Samo przed-
stawienie jednak nie całkowicie zado-
walało. Mimo pięknych szczegółów oraz
starannego i subtelnego opracowania
poszczególnych obrazów dramatycznych
— reżyseria dyr. Henryka Szletyńskie-
go nie zdołała dostatecznie wydobyć
właściwej atmosfery i nadać całości or-
ganiczność jednolitej wizji artystycz-
nej. Przyczyną było nie zawsze trafne
odczytanie i wypunktowanie tekstu,
a brak jednolitej wizji odbił się szcze-
gólnie na scenografii Bolesława Kamy-
kowskiego, której poszczególne partie

nie wiązały się z sobą, nie miały plastycznej ani realistycznej logiki (drewniana budka mająca stanowić budynek teatralny), były naiwne w rozwiązaniu (pociąg na scenie).

Ten trzon „klasyczny" Państwowych Teatrów Dramatycznych w omawianym okresie sezonu 1951 r. uzupełniły dwie sztuki współczesnych polskich autorów (Kościuszko z Berville Janusza Tadeusza Dyboskiego i w ramach Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych Odbudowa Błędomierza Jarosława Iwaszkiewicza), jedna współczesna obca (Pieją koguty Józefa Bałtuszisa) i jedna radziecka wystawiona w ramach Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (Niespokojna starość Leonida Rachmanowa).

Wystawienie Kościuszki z Berville w teatrze im. J. Słowackiego (reżyseria Wacława Nowakowskiego, dekoracje i kostiumy Karola Frycza) tłumaczy się jedynie wyjątkowością wydarzenia w polskim życiu kulturalnym: jubileuszem fenomenu teatru światowego — Ludwika Solskiego, który święcił 75-lecie swojej pracy scenicznej nową rolą Kościuszki. Sama bowiem sztuka nie przedstawia większej wartości, świetny temat dramatycznego przeciwstawienia Kościuszki i Napoleona nie został w niej ani artystycznie przetworzony ani oświetlony nowoczesną, naukową interpretacją ideologiczną. Reżyseria i wykonanie sztuki były również jubileuszowe tzn. uroczyste i konwencjonalne.

Odbudowa Błędomierza na małej sali Starego Teatru przeniosła nas w rok 1945 nie tylko jeżeli chodzi o czas akcji ale także — o literacką atmosferę i strukturę utworu. Okazało się, że ów rok 1945 — chociaż powojenny — należy już do prehistorii naszej współczesności. Sztuka Iwaszkiewicza doskonale napisana, znakomicie cieniująca nastroje i kontrapunkty psychologiczne i dramatyczne, należy w swym klimacie do epoki „ibsenizmu", nie tylko dlatego, że sam temat wzięty jest z Ibsena. Należy do epoki, w której wierzono, że istnieją problemy moralne „jako takie", że można rozstrzygać zagadnienia „czystej moralności" w oderwaniu od sił politycznych i społecznych, od sytuacji historycznej i klasowej. Stąd ukostiumowani „na współcześnie" mieszkańcy Błędomierza, mimo scenicznej i teatralnej plastyki, którą zawdzięczają technicznemu mistrzostwu pisarskiemu autora, przypominają po trochu cienie wywołane jeszcze bodaj z okresu Przybyszewskiego. Zadanie realizatora sztuki tego typu polegać powinno na jak najbardziej realistycznej kondensacji materiału dramatycznego, na zastrzyknięciu postaciom gorącej krwi scenicznej. Reżyserowi Irenie Babel (współpraca dramaturgiczna Zygmunta Leśnodorskiego) udało się to zadanie tylko częściowo. Np. główne postacie sztuki — nosiciele „konfliktu moralnego", bracia Siwiccy — nie zostały wystarczająco realistycznie określone. Ale rysunek środowiska i wydarzenie dramatyczne zatraciły w reżyserskim ujęciu niebezpieczną mglistość, otrzymały w miarę możności, jasny i wyrazisty kontur, tak że słusznie krakowskie przedstawienie uzyskało jedną z festiwalowych nagród mimo że dekoracje Bolesława Kamykowskiego stanowiły typowy przykład jednego z „grzechów głównych" współczesnej polskiej scenografii: naturalistycznej drobiazgowości szczegółów nużących oko widza i przeszkadzających po prostu aktorom w poruszeniach.

Z zainteresowaniem przyjął Kraków wprowadzenie, na dużej sali Starego Teatru, pozycji z nieznanego mu dotąd współczesnego dramatu litewskiego. Pieją koguty pokazują obraz życia i obyczajów wsi litewskiej okresu międzywojennego, przypominający podobne obrazy naszego Orkana czy Kasprowi

a zarówno typowością konfliktów kla-
wych jak i jaskrawością szczegółów
rzechodzących niekiedy w próby sym-
olizowania. Reżyseria dyr. Henryka
zletyńskiego (przy współpracy drama-
rgicznej Zbigniewa Krawczykowskie-
o) te ślady symbolizmu nieco przeak-
entowała, dając widowisko bardzo je-
nolite w koncepcji artystycznej, ogrom-
ie sugestywne w wyrazie i doskonale
pracowane, ale w swojej przesadnej
astrojowości i uroczystej miejscami
tylizacji zatracające tu i ówdzie reali-
tyczny wymiar, a z nim właściwą linię
połeczną i ideologiczną. Całość — dzie-
o dużej, choć nie zawsze kierunkowo
tusznej, inwencji twórczej — zamknię-
a była mocno osadzoną w rzeczywisto-
ci historycznej i artystycznie przeko-
ywającą oprawę plastyczną Andrzeja
ronaszki.

Natomiast prawdziwą pełnię ideolo-
iczną zaprezentowała N i e s p o k o j n a
t a r o ś ć na tejże samej sali. Prawda,
e sztuka Rachmanowa jest o wiele bar-
dziej przejrzysta, obraz gorącego okre-
u 1916—1918, przełomowych lat Wiel-
kiej Rewolucji Październikowej i na
tym tle rysunek wspaniałej, ludzkiej
postaci profesora i uczonego — nakre-
slony jest prostą i czystą kreską. Ale
reżyseria Władysława Krzemińskiego
(współpraca dramaturgiczna Zygmunta
Leśnodorskiego) potrafiła tę czystość
zachować bez odchyleń, potrafiła —
przy wytrawnej pomocy scenografa Ka-
rola Frycza — wydobyć dyskretny i in-
tymny ton, tak charakterystyczny dla
zasadniczej intencji sztuki, pokazującej
przełamywanie się wielkich procesów
historycznych w czterech ścianach ma-
łego prywanego mieszkania.

* * *

Sygnalizowane uprzednio słabe strony
działalności Państwowego Teatru Mło-
dego Widza: brak właściwego i odpo-
wiedniego repertuaru, słaby na ogół
i nierówny poziom zespołu aktorskiego,
brak własnego stylu i oblicza artystycz-
nego (równoważone zresztą, przynajm-
niej częściowo, dużą ideowością teatru,
zapałem i ambicjami kierownictwa,
ofiarną pracą objazdową) uległy w oma-
wianym okresie pewnemu polepszeniu.
Cementuje się i dokształca zwolna zes-
pół, zaznacza się wyraźniejsza troska
o jakość realizacji scenicznych. Wciąż
jednak jeszcze razi chaos programu re-
pertuarowego — pozbawionego istotnych
pozycji młodzieżowych, w szczególności
dziecięcych, wciąż jeszcze i zbyt często
koncepcje artystyczne zatrącają pewnym
dyletanctwem i improwizacją.

Dobrą ideą było podjęcie się prze-
róbki i inscenizacji pięknej powieści
młodzieżowej znakomitego radzieckiego
pisarza W. Katajewa S a m o t n y b i a -
ł y ż a g i e l — owej opowieści, która
tak subtelnie i ciepło maluje historię
dwojga młodych chłopców uwikłanych
niespodziewanie w burzę rewolucji 1905
roku. Przeróbki dokonał Władysław
Bodnicki i chociaż trudno mu było w
całości przetransponować na scenę ów
uroczy liryzm powieściowy, to jednak
główny nurt narracyjny otrzymał swo-
je dramatyczne łożysko. Reżyseria i in-
scenizacja Marii Billiżanki nie uniknęła
łatwych i tanich efektów (np. tańce
i śpiewy nie zawsze potrzebne i na
właściwym miejscu), ale zręcznie opero-
wała zmiennymi sytuacjami na tle po-
mysłowych dekoracji Adama Marczyń-
skiego, wywołując zadowolenie młodzie-
żowej widowni, która w ten sposób
otrzymała nową pożyteczną i wycho-
wawczą pozycję teatralną.

Ciekawym tematem odznaczała się
również N a w o j k a Hanny Januszew-
skiej, sztuka osnuta na tle autentycz-
nego wydarzenia z dziejów średnio-
wiecznego Krakowa, opowiadająca
o młodej dziewczynie z ludu, która w
przebraniu chłopięcym studiuje na kra-
kowskiej Akademii, aby w końcu zapła-
cić za to zamknięciem w klasztorze,
zgodnie z prawami feudalnymi odbie-
rającymi kobiecie możność nauki. Sztu-

ka literacka dość prymitywna, nie nabrała w reżyserii i inscenizacji (Maria Billiżanka) dodatkowych rumieńców, jej dłużyzny nie ze wszystkim zostały usunięte. Ale wystawiona dodatkowo w ramach Dni Krakowa w cudownej naturalnej architekturze i dekoracji Barbakanu (wykorzystanych przez scenografa Eugeniusza Wanieka) uzyskała nowe niespodziewane bogactwo treści, gdzie sceneria stała się istotnym współczynnikiem rozwijającej się średniowiecznej legendy o złych ale przezwyciężonych czasach.

Na jubileusz 75-lecia Fredry Teatr Młodego Widza wystąpił z trzema mało grywanymi jednoaktówkami naszego wielkiego komediopisarza: Pierwsza lepsza, Nikt mnie nie zna i Koncert w reżyserii Józefa Maślińskiego i oprawie scenograficznej Eugeniusza Wanieka. Jednoaktówki te dobrane nader interesująco pod względem różnorodności charakteru i gatunku (od groteskowości Nikt mnie nie zna do stylowej, operowej komediowości Koncertu) — mogły stać się swego rodzaju wydarzeniem teatralnym Krakowa — naturalnie, Krakowa „dorosłego", gdyż, przy najlepszej nawet woli, trudno byłoby je nazwać najwłaściwszym repertuarem „dla młodzieży". Niestety, nie zostały one należycie przygotowane i opracowane, aktorzy nie trzymani w karbach reżyserskiej dyscypliny na własną — słabą — rękę próbowali własnych — słabych — koncepcji i jubileuszowa prezentacja Fredry w Krakowie nie odbyła się najpomyślniej.

Miesiąc Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej uczcił teatr z kolei szczęśliwym pomysłem repertuarowym. Było nim wprowadzenie na scenę polską sztuki Jerzego Germana Doktor Kaluzny, którą to sztukę jej tłumacz Józef Maśliński drobną korektą (przesunięcie granicy wieku jednej z postaci) uczynił wybornym młodzieżowym tematem teatralnym. Sztuka posiada wspólną wszystkim znanym nam utworom radzieckim szlachetną humanistyczną i ideową atmosferę. W pewnym sensie nawiązuje ona do tak bliskiego polskiemu czytelnikowi i polskiej literaturze motywu Żeromskiego Ludzi bezdomnych czy Siłaczki — pokazując lekarza służącego społeczeństwu (i służącego mu dobrze) na tzw. „głuchej" prowincji — ale w sposób charakterystyczny dla nowej epoki i nowej literatury przekształca ten motyw oczyszczając i hartując linię ideowego działania postaci. Jeśli do tego dodamy, że sztuka w sposób dramatyczny zaznajamia nas z najnowszymi osiągnięciami medycyny radzieckiej (metoda prof. Filatowa) musimy przyznać, że — mimo braków warsztatowych, nienajlepszej konstrukcji i nadmiernych niekiedy skrótów w charakterystykach postaci — spełnia ona tę wychowawczą i ideową rolę, jaką spełniać powinna sztuka we współczesnym teatrze, szczególnie młodzieżowym. Szkoda tylko, że krakowska jej realizacja nie starała się w wykonaniu usunąć możliwych do usunięcia braków. Kierujący zbiorową reżyserią Józef Maśliński okazał zbyt wielki pietyzm dla przełożonego przez siebie tekstu, a zbyt małą kontrolę nad szczegółami przedstawienia i nad słabo technicznie zaawansowanym zespołem, tak że całość przedstawiała raczej sumę nieskoordynowanych elementów.

Na odmianę znowu (tak jakby kierownictwo Teatru stosowało w swych poczynaniach zasadę wahadła: „raz dla młodzieży — raz dla dorosłych") koniec sezonu 1951 r. przyniósł premierę Wodewilu Warszawskiego Gozdawy i Stępnia, na którym dobrze się bawi całe dojrzałe społeczeństwo Krakowa, a młodzież, owszem, także może się docisnąć. Wodewil Warszawski cieszy się już od dawna zasłużonym uznaniem na terenie całego kraju i zbędna byłaby na tym miejscu głębsza analiza składających się na to przyczyn.

ypadałoby tylko donieść, że w Krako-
e przyczyny sukcesu były jeszcze do-
tkowe. Tekst bowiem Gozdawy i Stęp-
a zaadaptowali dowcipnie „na Kra-
w" bracia Rojek (także „raz na lewo
raz na prawo": z jednej strony dwóch
urarzy z Nowej Huty, z drugiej Au-
ist Bęcwalski i jego bratanek), mu-
kę tychże autorów zręcznie uzupełnił
lfred Müller, prostą ale pełną dyskret-
ego wdzięku oprawę scenograficzną
worzyli Marian Eile, Janina Ipohor-
ka i Eugeniusz Bożyk, zaś całość w
uglach reżyserskich dzierżył Kazi-
ierz Szubert.

* * *

Innego typu kłopoty i trudności na-
ręcza sprawozdawcy ocena działal-
ości Państwowego Teatru Lalki i Ak-
ora „Groteska" i Państwowego Teatru
apsodycznego za okres sprawozdaw-
zy. Mówić o „działalności" byłoby tu
resztą może pewnego rodzaju przesadą.
W omawianym bowiem okresie „Gro-
eska" zdołała zrealizować tylko Baśń
pięciu braciach zaś Teatr
apsodyczny Aktorów w Elzyno-
ze. Postawione więc już w poprzednim
prawozdaniu zarzuty pewnej ociężałości
paratu kierowniczego, braku większej
uchliwości i żywotności sprawdzałyby
ię raz jeszcze — z tym, że i okoliczno-
ci łagodzące pozostają bez zmiany, a w
vypadku Teatru Rapsodycznego ilość
ch nawet się zwiększyła: zapowiadana
uż od dłuższego czasu premiera szek-
pirowska odwlekała się z miesiąca na
miesiąc wskutek — niezależnego od kie-
ownictwa teatru — przedłużania bu-
dowy nowego pięknego i obszernego po-
mieszczenia teatralnego, które wresz-
cie w dniu 5 grudnia 1951 zostało uro-
czyście otwarte. Tak czy inaczej mate-
riał dla wiążącej i zasadniczej oceny
obecnego ideowego i artystycznego obli-
cza obu tych teatrów jest w danym mo-
mencie wciąż jeszcze nader skąpy. Nie-
mniej, trzeba jej w końcu — choćby w
najogólniejszych zarysach — dokonać.

„Groteska" jest w tej chwili w Krakowie teatrem niewątpliwie najambitniejszym artystycznie, niezwykle starannym w dbałości o czystość — w swoim zakresie — środków wyrazu, która to dbałość nieraz już docierała do pogranicza artystostwa. Tej granicy „Groteska" jednak nigdy nie przekroczyła, pamiętając zawsze o głównym celu swojego — jak i każdego — teatru: poprzez grę uczyć i wychowywać, nie tylko dzieci ale i dorosłych. Ustępując niektórym innym tego rodzaju teatrom krajowym (np. widzianemu ostatnio w Krakowie warszawskiemu „Gulliwerowi") aktorstwem i wirtuozerią techniki lalkowej — przewyższa je umiejętnością zharmonizowania wszystkich elementów, zwartością kompozycyjnej całości, przy czym zwłaszcza strona plastyczna poszczególnych kompozycji (opracowywana przez Kazimierza Mikulskiego i Jerzego Skarżyńskiego) charakteryzuje się bogactwem inwencji i świeżością wyobraźni. Warto podkreślić, że „Groteska" jest teatrem znajdującym się stale w poszukiwaniu nowych form artystycznych odświeżających stare treści lalkowe, każde jej przedstawienie jest kolejnym eksperymentem, w twórczym tego słowa znaczeniu.

Baśń o pięciu braciach napisana dla teatru lalek przez S. Obrazcowa i S. Preobrażeńskiego, a przełożona przez Wł. Jaremę — daje sposobność do takiego nowego rozwiązywania problemów lalkowego widowiska. Baśń pokazująca przysłowiowego Iwana (symbolizującego proletariat rosyjski) oślepionego i schwytanego w niewolę przez czterech złych braci (car, pop, generał, kupiec), w końcu jednak przezierającego i strząsającego z siebie jarzmo pasożytniczych karłów — jest bardzo przejrzysta w swej alegorycznej metaforyce i wskutek tego literacko dość uproszczona. Ale sam pomysł pozwala na uzyskanie pełnych dramatycznej dynamiki efektów, osiągniętych dzięki

współgraniu żywego aktora (odtwarzającego rolę Iwana) z pozostałą lalkową rzeczywistością. Inscenizacja i reżyseria Wł. Jaremy efekty te wydobyła należycie idąc drogą jak najintensywniejszego podkreślenia realizmu bajkowej fikcji. W ten sposób widowisko nie tracąc elementów pięknej poetyckiej umowności — zachowało całe ostrze bojowej rewolucyjnej dydaktyki.

Ambicją znalezienia własnego oryginalnego wyrazu artystycznego, prawdziwie twórczym niepokojem dorównuje „Grotesce" tak skąd inąd od niej odmienny Teatr Rapsodyczny, teatr poezji, teatr słowa i gestu. Ta ekskluzywność założeń — szlachetna i dumna w swoim odrzucaniu wszelkich pozostałych składników teatru i teatralności — była już często powodem wielu klęsk. Na samym początku działalności teatru zapędziła go w ciasny zaułek swoistego mistycyzmu, gdzie pielęgnacja nieskazitelnie czystego słowa poetyckiego prowadziła nieomal ku idealistycznej wierze w „czystą poezję", do jakiegoś kapłaństwa Absolutnego Piękna i Prawdy (koniecznie dużymi literami!). Stopniowo jednak trujące opary wietrzały. Eugeniusz Oniegin, Pan Tadeusz, Beniowski — to pozycje, które — mimo rozmaitych błędów i potknięć — otwierały sztuce słowa krakowskich rapsodyków drogę do wielkich realistycznych osiągnięć. Rozkaz 269 Majakowskiego i Kirsanowa mógł być już nawet uważany za swego rodzaju manifest ideowy teatru, który swą sztukę oddawał w całości na usługi poezji rewolucyjnej.

Niestety, Aktorzy w Elsynorze zdają się jakby oznaczać znowu cofnięcie się na tej drodze. Widowisko jest montażem fragmentów kilku arcydzieł szekspirowskich (Wesołe kumoszki z Windsoru, Romeo i Julia, Makbet), których obramowanie stanowią fragmenty z Hamleta. Zręcznie połączony poetyckim słowem wiążącym L. H. Morstina (który dokonał również nowego przekładu owych wybranych fragmentów) montaż ten w dramaturgicznym inscenizacyjnym i reżyserskim opracowaniu dyr. Mieczysława Kotlarczyka nie jest tylko prezencją najczystszych klejnotów szekspirowskich podanych w najszlachetniejszej oprawie rapsodycznego słowa. Jest także próbą realizowania pewnej koncepcji filozoficznej, jest czymś w rodzaju próby ukazania Szekspira i Hamleta odczytanego na nowo przez naszą współczesność. I tutaj zaczynają się nieporozumienia i błędy. Program teatralny odczytuje — najsłuszniej — Szekspira i Hamleta walczącego, który na widok — przedstawianej mu przez aktorów w Elzynorze — zbrodni postanawia walczyć o sprawiedliwość. Tę interpretację znajdujemy jednak tylko w programie. Widowisko ukazując „cały świat, który gra komedię", ukazując na jednej płaszczyźnie śmiech Falstafowski, miłość Romeo i Julii, zbrodnię Makbeta i lady Makbet, połączone melancholijnym hamletycznym „taki jest sens istnienia" — sprawia wrażenie raczej sceptyczno-egzystencjalistyczne.

Łatwość, z jaką wyrwanym i posczepianym z sobą fragmentom Szekspira można przypisać taką lub inną treść, dowodzi przede wszystkim tego, że takie wyrywanie i sczepianie jest trudem mijającym się z celem i nie wartym ogromnego wysiłku włożonego weń przez teatr. Cenić należy ambicję artystyczną zespołu i jego ideowego przewodnika dyr. Kotlarczyka, szanować ciągłe i uparte poszukiwanie nowych osiągnięć twórczych (nie ma upadków bez takich poszukiwań, nie upadają tylko ci, którzy nie usiłują się wznieść)— ale ostrzec trzeba przed ponownym zagubieniem sensu teatru i poezji w mglistych pseudofilozoficznych rozważaniach, które nie mają nic wspólnego z twórczą filozofią naszej współczesności.

Henryk Vogler

NA SCENACH POZNAŃSKICH

Nie ulega wątpliwości, że poznański atr zrobił w pierwszej połowie ubiegego roku zdecydowany krok naprzód a drodze do realizmu socjalistyczneo, szczególnie dzięki ciekawym i warościowym przedstawieniom L u b o w a r o w a j a i festiwalowego w y c i ę s t w a, reżyserowanym rzez Tadeusza Muskata. W nowy seon po przerwie letniej poznański kombinat" teatralny (Teatr Polski, eatr Nowy i Komedia Muzyczna) kroczył pod kierownictwem dyr. Władysława Woźnika, który zajął miejsce Vilama Horzycy. Od tego czasu dano o końca roku 5 premier, a mianowicie: M i z a n t r o p a, G ł u p i e o J a k u b a, N i e s p o k o j ą s t a r o ś ć, A w a n s i w a t y g o d n i e w r a j u, co wobec osłabienia zespołu aktorskieo i reżyserskiego było połączone z duym wysiłkiem. Jaki ten wysiłek dał fekt, czy teatr poznański poczynił w mawianym okresie dalsze postępy w ierunku wytyczonym przez przełomove bezsprzecznie inscenizacje sztuk reniewa i Warmińskiego?

Jeżeli chodzi o jedynie właściwą, tzn. dkrywczą i nową interpretację dzieł lasyków, dorobek teatrów poznańskich ył dotychczas bardzo skromny, przeważnie nie wykraczał poza pewne razej nieudałe próby (np. Z e m s t a początku ub. r.). Z tym większym aciekawieniem szedłem więc na M i antropa, wzmocniony na duchu rzepiącą świadomością, że Molierowkie dzieło inscenizuje, reżyseruje i rolę „zalotnika Celimeny" gra — katowicki Alcest (Władysław Woźnik), wiadomo zaś, że spektakl w teatrze śląskim trafnie, mimo pomniejszych wad, wydobył historyczną i społeczną, a więc prawdziwie humanistyczną treść sztuki. W każdym razie po przedstawieniu katowickim i ponownym a dokładnym przeczytaniu M i z a n t r o p a nie może dla nikogo ulegać wątpliwości — dla nikogo, kto nie jest zaślepiony teoriami burżuazyjnych krytyków o „czystej komediowości" czy ponadczasowej „komedii charakterów" — że mamy tu przede wszystkim do czynienia ze świadomym wyśmianiem typowych przedstawicieli „wielkiego" światka dworskiego za Ludwika XIV, ze śmiałą krytyką zakłamania, snobizmu, intryganctwa i zepsucia arystokratycznych kawalerów i dam, z napiętnowaniem skorumpowanego wymiaru feudalnej sprawiedliwości. Stąd komizm M i z a n t r o p a, sztuki, która — jak pisał Boy — nie jest „ani dramatem ani komedią", posiada specyficzny, buntowniczo - krytyczny, mimo pozornej beztroski, charakter. Bezpośrednim rzecznikiem tego buntu tragicznego — bo samotniczego i dlatego skazanego na klęskę — buntu człowieka, związanego przez pochodzenie, pozycję społeczną i swą miłość z klasą, przeciw której występuje, jest w sztuce Alcest, *porte-parole* autora. A pośrednio protest Moliera znajduje wyraz w bardzo zróżnicowanym ośmieszeniu wszystkich innych postaci, od dwóch markizów do swoistego filozofa oportunizmu Filinta i lekkomyślnej kolekcjonerki zalotników Celimeny.

Przedstawienie w poznańskim Teatrze Polskim słusznie uwypukliło całą odmienność Alcesta, starało się — nie zawsze z powodzeniem — jak najbardziej pogłębić moralną przepaść, dzielącą uczciwego, bezkompromisowego miłośnika i wyznawcę prawdy od błyszczącej nędzy salonowego otoczenia. Szlachetny patos i pasja żarliwego moralisty strzegły Alcesta przed komiczną gderliwością małostkowego moralizatora, a siła miłosnego uczucia przełamywała śmieszność zazdrosnego, wodzonego za nos „kochanka", który

miał w sobie tyle tylko komizmu, ile tego wymagał sam tekst. Doskonale wycieniowała też wszystkie subtelności swej roli Celimena (Zofia Rysiówna) utrzymując się na wąskiej krawędzi między wyrafinowaniem świadomie igrającej z miłością i miłostkami kokietki a szelmowskim rozigraniem niezupełnie jeszcze rozbudzonej młodej kobiety, nieświadomej ofiary deprawującego wpływu środowiska. Natomiast cyniczny, najbardziej ujemny typ sztuki, typ inteligentnego dworaka widzącego dokładnie nicość arystokratycznego świata, a jednak pogodzonego z nim z „rozsądku", rzekomy przyjaciel Alcesta, Filint, wypadł w Poznaniu bezbarwnie, raczej skłaniał się ku tradycyjnej i fałszywej koncepcji pozytywnego mędrca życiowego, co naruszyło ideologiczną równowagę i prawdę spektaklu. Inni wykonawcy, na których spadł wobec tego cały ciężar ukazania dworskiej przewrotności, w sumie dobrze wywiązali się ze swego zadania, z wyjątkiem Oronta nie przekroczyli granic umiarkowanej, dopuszczalnej w realistycznym widowisku groteski. Przeważnie jednak — i to był drugi istotny mankament przedstawienia — nie umieli dostatecznie wydobyć lekkości, elegancji i dowcipu świetnych przecież z pozoru arystokratycznych salonów francuskich. Udało się to naprawdę jednej tylko Celimenie. Ona też jako jedyna z wdziękiem „upłynniła" sztywne aleksandryny, które tylko w ustach Alcesta powinny brzmieć chwilami bardziej poważnie i surowo, czego Woźnik swoją drogą nadużył. Wreszcie i dekoracja (Zbigniewa Bednarowicza) zbyt powściągliwa i prosta w swej użytkowej celowości, nie sugerowała ani lekkości, ani świetnych pozorów, nie dawała stylowej oprawy kłamanym uczuciom i gładkim słowom, nie więziła Alcesta, jak dusząca go złota klatka.

Podobne zjawisko jak w M i z a n t r o p i e — niedostateczna dbałość o konsekwentne przeprowadzenie i wypracowanie w szczegółach słusznej w zasadzie koncepcji widowiska—dało się też zauważyć i to w dużo większym stopniu, w G ł u p i m J a k u b i e, wystawionym przez Teatr Nowy.

Wiadomo, że sprawa realistycznej inscenizacji często grywanych dzieł mistrzów polskiego dramatu naturalistycznego w wielu naszych teatrach nadal mocno kuleje (od chwili, gdy podczas konferencji wawelskiej w grudniu 1950 r. zwrócił na to uwagę Leon Schiller nie nastąpiła jeszcze pod tym względem zasadnicza poprawa). Dotyczy to zarówno błędnego stawiania poszczególnych ról, nieporozumień co do odczytania i interpretacji ich klasowego sensu i funkcji w sztuce, jak też częstego braku właściwej, historyczno-geograficznej i społeczno-obyczajowej lokalizacji środowisk, przedstawionych w danych dziełach, co przejawia się między innymi w nieodpowiednich ujęciach scenograficznych. Jeżeli chodzi o G ł u p i e g o J a k u b a, to trzeba pamiętać, że jego akcja toczy się „około roku 1910" w zacofanym c. k. galicyjskim partykularzu, gdzie z dala od postępowych prądów arystokracja, mimo coraz jawniejszego uwiądu starczego i skostnienia, odgrywała jeszcze olbrzymią rolę i cieszyła się na poły feudalnym prestiżem wśród mniej uświadomionej części wiejskiego ludu. Odbiciem tej sytuacji jest w Rittnerowskiej komedii stosunek Jakuba i Hani do szambelana oraz jego „upiornych krewnych" i odwrotnie. Przy tym nie ulega oczywiście wątpliwości, że nie tylko deprawowana przez „pańskie" wychowanie i otoczenie Hania, sprzedająca się z premedytacją za pieniądze i swoisty „awans" społeczny, ale i poszukiwacz swej osobistej prawdy, prosty i uczciwy Jakub nie mogą dla nas

hodzić za pozytywnych bohaterów, a
dynie za postacie o pewnych mniej
b więcej dodatnich — na tle szla-
eckiego otoczenia — rysach. Ziem-
ński dał szkolny wprost przykład
anego „uczłowieczenia" negatywne-
bohatera, wzmagając przez to wła-
ie jego ujemną pod względem kla-
wym i ludzkim wymowę. Niestе-
jednak Ziembiński jako reżyser i
scenizator nie potrafił utrzymać wi-
wiska w jednolitym realistycznym
ylu. Obok dobrze postawionego i
prostotą zagranego Jakuba (Antoni
ikowski), wystrzegającego się akcen-
w buntu i obok prezesa (Zygmunt
oskowski), który jako jedyny poza
ambelanem przypomniał widzom, że
nętna komedia o klęsce uczciwości w
pitalistycznych warunkach i fatal-
j władzy pieniądza, dzieje się w prze-
vietnej Galicji jego apostolskiej mo-
i Franciszka Józefa, raziła nienatu-
lna, chwilami melodramatyczna Ha-
a, gubiąca rodowód i negatywny sens
vej postaci, raziła sztucznie afekto-
ana, nieprzekonywająca w klasowej
enawiści do Hani Marta i farsowymi
erkami szarżująca Katarzyna, raził
rodiujący byłego c. k. porucznika
eofil i kukiełkowy Jerzy. Natomiast
alistyczna, dobrze w stylu utrzyma-
a dekoracja (Tadeusza Kalinowskie-
) udatnie wydobywała atmosferę
ambelańskiego dworu, a dobre reży-
rskie wypunktowanie niektórych
en, szczególnie początkowej i końco-
ej gry w domino, podkreślało nie-
vykle sugestywnie beznadziejną pust-
ę i jałowość skazanego na zagładę
viata, nie rezygnującego jeszcze ze
vych stanowych przywilejów i urosz-
eń.

Mizantropa i Głupiego
akuba inscenizowali dwaj nowi
a tutejszym gruncie reżyserzy, od-
osząc wprawdzie tylko mniej lub
ięcej połowiczne, lecz dobrze o przy-
szłości wróżące sukcesy (przeprowadze-
nie najsłuszniejszej koncepcji z nowym
dla reżysera zespołem nie jest rzeczą
łatwą i nie da się od razu zrealizo-
wać); wystawienie Niespokojnej
starości, sztuki Leonida Rachma-
nowa przypadło w udziale młodemu,
debiutującemu w roli reżysera, aktoro-
wi Adamowi Hanuszkiewiczowi.

Wśród sztuk radzieckich o tematyce
zaczerpniętej z okresu Wielkiej Rewo-
lucji Październikowej Niespokojna
starość wyróżnia się oryginal-
nością koncepcji dramaturgicznej i
subtelnością rysunku. Autor nie wpro-
wadza na scenę owianych patosem
walk, nie operuje wielką ilością posta-
ci, nie ukazuje wprost przebiegu dzie-
jowych wydarzeń jak Treniew w Lu-
bow Jarowaja lub Iwanow w
Pociągu pancernym. Mimo to
jednak rzeczywistość z lat 1916—1918
wkracza co chwila poprzez relacje
świadków i uczestników historycznych
wypadków do zacisznego mieszkania
75-letniego uczonego-botanika, gdzie
toczy się cała akcja, daje o sobie znać
dalekimi wystrzałami i żołnierskim
śpiewem, dochodzącym z ulicy. Przy
tym akompaniamencie współgrającego
rewolucyjnego tła, w ścisłej zależności
od niego, odbywa się w uniwersyteckim
środowisku, którego profesorski salon
z przylegającym gabinetem jest niejako
realistycznym skrótem, nie mniej re-
wolucyjny proces oddzielania się inte-
ligencji naprawdę postępowej, młodej
duchem, pragnącej budować naukę w
oparciu o lud i dla ludu, od inteligen-
cji liberalnej, zapatrzonej w fałszywy
ideał „nauki dla nauki", odrywającej
się coraz bardziej od rodzącego się no-
wego życia, by w końcu stoczyć się na
pozycje jawnej reakcji. Pierwszą re-
prezentuje w sztuce sędziwy profesor
Poleżajew oraz jego ukochany uczeń,
młody Misza, który chwilowo zamienił
laboratoryjny kitel na mundur żołnie-

rza rewolucji, a drugą trzydziestokilkuletni asystent profesora, Worobiew, wraz z grupą mieńszewickich studentów. Ostateczne starcie się i rozejście Polażajewa z Worobiewem, po ujawnieniu reakcyjności i nicości moralnej tego ostatniego, stanowi zasadniczy konflikt Niespokojnej starości. Jednak jej zasadniczy problem polega na czymś innym. Mianowicie na pokazaniu „czarodziejskiego" wpływu rewolucji na uczciwych inteligentów i naukowców, wpływu wydobywającego z sędziwego i chorowitego uczonego nowy, młodzieńczy zapał i siły do pracy. Rewolucja przez to, że otwiera przed profesorem wspaniałe perspektywy i możliwości owocnej naukowej działalności, o których dawniej mógł najwyżej marzyć, przez to, że otacza go troskliwą opieką i darzy najwyższym uznaniem, każe mu też pragnąć „niespokojnej" tzn. twórczej starości, jedynie godnej człowieka.

W przedstawieniu w Teatrze Polskim Hanuszkiewicz (odtwarzający ponadto z prostotą sympatyczną, lecz nieco blado przez autora naszkicowaną rolę Miszy) dobrze podmalował akcję na scenie zakulisowym tłem, przekonywająco zasugerował rozgrywanie się tam wielkich dramatycznych wypadków, lecz intymnego nastroju profesorskiego mieszkania, nastroju wytężonej pracy, którą żyje sędziwy uczony i domowej atmosfery wzajemnej, tkliwej serdeczności, którą tchnie stosunek starych małżonków, nie udało mu się zupełnie wydobyć. W ogóle największą wadą przedstawienia było pewne zubożenie, sprymitywizowanie tekstu i podtekstu, szczególnie ze strony bardzo nierówno grającego profesora, w którym też doskonale zinterpretowany Worobiew (Zdzisław Salaburski) nie miał równorzędnego partnera, co niesłusznie skupiło większą uwagę widzów na negatywnym asystencie. Natomiast za istotne osiągnięcie spektaklu należy uważać prawie cały akt czwarty, który dał przedstawieniu piękne i ideologicznie słuszne zakończenie.

Niewątpliwie najmniej doświadczenia mają sceny poznańskie, jeżeli chodzi o polskie sztuki współczesne o współczesnej, polskiej tematyce. Dotychczas z tego repertuaru grano jedynie Wczoraj i przedwczoraj oraz Zwycięstwo. Do tego skromnego dorobku doszedł ostatnio Awans w Teatrze Nowym, inscenizowany i reżyserowany przez Włodzisława Ziembińskiego (asystent reżysera Stanisław Mroczkowski), Awans w poprawionej, skróconej do 3 aktów wersji, co wyszło mu bardzo na dobre. W pierwszym i teraz jeszcze powoli wlokącym się akcie (powstałym z dwóch dawniejszych) pozostały wprawdzie jeszcze rzeczy niepotrzebne lub w dalszym przebiegu akcji przez autorkę „zagubione". Rola partii w fabryce jest nadal niezupełnie właściwie postawiona, a szczególnie sekretarz razi schematycznością rysunku, przedstawiciele CZPM są rzecznikami, a nie żywymi postaciami, Śliwa pojawia się dopiero w ostatnim akcie, robotnicy nadal grzeszą rażącym brakiem uświadomienia (nagłe zebranie się na improwizowany wiec), rozszyfrowany zaś od pierwszego słowa Wiśniewski wciąż jeszcze snuje dosyć naiwnie swoją intrygę i nie wiadomo, co sądzić o motywach jego działania. Niemniej jednak dzięki skróceniu ekspozycji sztuka Żółkiewskiej znacznie zyskała na zwartości i choćby przez to samo zasadniczy konflikt (Matusiak) i zasadniczy problem — awans ideologiczny głównych bohaterów i całej załogi — występują teraz jeszcze wyraziściej, z dużą, chwilami naprawdę porywającą siłą.

Tę dramatyczną siłę zasadniczego konfliktu i problemu sztuki udało się Ziembińskiemu w dużym stopniu wydo-

yć zarówno dzięki dobremu ujęciu zerania egzekutywy i prawie bezbłędej, niezwykle dynamicznej i realitycznie przeprowadzonej scenie zbioowej w akcie III (którą psuł tylko tetralny Śliwa, przemawiający niczym prorok amerykańskiej sekty). Postacie Matusiaka i Kolasowej najplastyczniejze z całego A w a n s u, wniosły tyle robotniczej prawdy, że zasłoniły sobą łabiej zagrane fragmenty i role spektalu — i w sumie zadecydowały o jego niewątpliwym sukcesie i mobilizującej wymowie. Do innych osiągnięć A w a n s u w Teatrze Nowym należało bardzo ważne „ożywienie" sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i odpowiednie uwypuklenie roli starej, uczciwej inteligencji technicznej przez trafne i sympatyczne oddanie postaci inż. Bielunia. Jeżeli chodzi wreszcie o najistotniejsze niedociągnięcia poznańskiego przedstawienia, to polegały one na interpretacji Brzozy, który nie bardzo przypominał socjalistycznego dyrektora; wykazywał zbyt mało robociarskiego uporu, zapału, przejęcia sprawą, a zbyt dużo rubasznej jowialności, dalej na sztampowatym operowaniu młodzieżą zetempowską, wpadającą na scenę jak sfora zadyszanych wyżłów i na braku wszelkiego wysiłku, by coś zrobić z przedstawicieli Centralnego Zarządu. No a dekoracje (Władysława Królikiewicza) niczym specjalnie nie raziły, ale też niczym się nie odznaczały, chyba tym, że „stara hala fabryczna" nie była ani stara, ani fabryczna i przywodziła raczej na myśl wnętrze nowej, murowanej szopy, co nie stanowiło najlepszej oprawy dla dramatycznego zebrania robotników.

Reasumując wypada z dużym zadowoleniem stwierdzić, że właśnie w dziedzinie realizacji współczesnego repertuaru polskiego, związanego z najbardziej aktualnymi zagadnieniami naszego kraju, teatr poznański w omawianym okresie nie tylko utrzymał, ale i umocnił mimo tych czy innych błędów, zdobytą dzięki Z w y c i ę s t w u pozycję. Wprawdzie od czołówki polskich teatrów dzieli go jeszcze dosyć znaczny dystans, ale przestrzeń ta ostatnimi czasy niewątpliwie się zmniejsza. Niestety nie można tego samego powiedzieć o poznańskiej Komedii Muzycznej. Świadczył o tym W o d e w i l w a r s z a w s k i, ostatnio zaś umocniła to przekonanie komedia Skrowrońskiego i Słotwińskiego pt. D w a t y g o d n i e w r a j u w reżyserii Jerzego Żegalskiego. Sztuka ta w intencji pożyteczna, z bezpretensjonalnym wdziękiem i z dużym optymizmem poruszająca i rozwiązująca kilka bolączek naszego życia, jest gatunkowo utworem dosyć niezdecydowanym, czymś pośrednim między komedią obyczajową, farsą, wodewilem i rewią. Tu teatr musi się sam zdecydować na najbardziej mu odpowiadający kierunek interpretacyjny, tak jak to zrobiła warszawska S y r e n a. W Poznaniu dano wszystkiego po trochu, a że „łatany" zespół Komedii Muzycznej jest bardzo nierówny i jego członkowie ciążą ku różnym gatunkom sztuki scenicznej, więc też całość bardzo nierówno wypadła, wznosząc się na dobry poziom tylko w chwilach popisowych dla Świeradka (Kazimierz Brusikiewicz) czy Planickiego (Zygmunt Zintel), a spadając poniżej średniego poziomu w wstawkach rewiowo-wokalnych, do których przygrywa nienajlepszy fortepian.

Egon Naganowski

NA WIDNOKRĘGU

PRZYGOTOWANIA DO „NOWEJ KOREI"

Minęło już pół roku od chwili rozpoczęcia rokowań rozejmowych na Korei. Stanowisko delegacji amerykańskiej nie pozwala na optymistyczny pogląd, jeśli chodzi o szanse szybkiego sfinalizowania tych rozmów. Delegacja amerykańska zmuszona pod naciskiem opinii światowej i jasnych propozycji strony ludowej do wycofywania się z kolejno zajmowanych i utrudniających rokowania stanowisk nie rezygnuje jednak wcale z dalszego hamowania rozmów. Ostatnie jej wyczyny pod tym względem to żądanie, aby w sprawie wymiany jeńców wojennych strona ludowa stosowała się do konwencji genewskiej, podczas gdy strona amerykańska gotowa jest tylko przyjąć „nieco zmodyfikowane" zasady tejże konwencji. Strona ludowa mianowicie miałaby zwolnić wszystkich jeńców, a Amerykanie chcieliby część zatrzymać w charakterze zakładników (!). Równolegle Amerykanie trwają uporczywie przy żądaniu zakazu budowy lotnisk na terenie Korei Północnej, jakkolwiek sami nie podejmują żadnych analogicznych zobowiązań w tym zakresie. Operują oni wprawdzie sloganem „równości praw", ale niezwykle chętnie zapominają, że główne lotnicze bazy amerykańskie znajdują się na terenie Japonii, że właśnie startując z tych baz samoloty amerykańskie przeprowadziły w ciągu minionego roku 2 tys. barbarzyńskich nalotów na Phenian i że amerykańska propozycja „zakazu budowy lotnisk" bynajmniej Japonii nie dotyczy.

Trzeba przyznać, że delegacja amerykańska w Pan Mun Dżon, której zadaniem jest udawać, iż chce zawieszenia broni i jednocześnie nie dopuszczać do tego zawieszenia, nie ma łatwego życia. Opinia światowa jest zbyt dobrze poinformowana i zbyt dobrze zorientowana, aby dość nieudolne manewry wiceadmirała Joya w Pan Mun Dżon i jego dyplomatycznych kolegów z delegacji USA w Paryżu mogły wprowadzić ją w błąd. Nawet tak reakcyjny dziennik jak angielski *Manchester Guardian* przyznaje zniechęcony, iż jeśli rokowania w Pan Mun Dżon nie dają pożądanych wyników, to jest to w dużym stopniu winą „pewnej niezręczności ze strony delegacji kwatery ONZ".

Można by się zapytać, dlaczego agresorom amerykańskim zależy na kontynuowaniu wojny koreańskiej, jeśli—jak to np. przyznaje komentator wojskowy *N. Y. Times*, Baldwin — „nie ma szans pokonania komunistów na Korei" przy użyciu będących aktualnie w dyspozycji sił i jeśli w „bilansie koreańskim" sporządzonym w grudniu przez wielkokapitalistyczny tygodnik *US News and World Report* figurują tylko „straty, straty, straty" (między innymi 10 miliardów dolarów „wyrzuconych w błoto", 100 tys. straconych żołnierzy amerykańskich, 300 tys. żołnierzy zaangażowanych itd). Odpowiedź na to pytanie w świetle dzisiejszej fazy polityki amerykańskiej jest podwójna: agresja przeciw Korei Północnej jest w intencji imperialistycznych kół USA niejako wstępem do agresji przeciw Chinom Ludowym, a jednocześnie jest ona „niezbędnie potrzebna", aby tę wymarzoną wielką agresję można było urzeczywistnić. Owa „niezbędność" agresji na Korei wynika zarówno z wewnętrznej sytuacji w USA jak i z całokształtu stosunków w łonie bloku amerykańskiego, a w szczególności ze stosunków USA i Wielkiej Brytanii na terenie Dalekiego

schodu. Należy pamiętać, że „zarzyk", jakim była agresja na Korei ozwolił rządowi Trumana na rozpętae wzmożonej fali histerii wojennej USA i na przeforsowanie w konsewencji wielkiego programu zbrojenioego. Amerykańskie wydatki zbrojeowe w skali bieżącej wzrosły od moentu wybuchu wojny koreańskiej do awili obecnej 3,5 raza. Siły zbrojne SA zwiększono od czasu wybuchu ojny koreańskiej o półtora miliona luzi. Zamówienia dla przemysłu zbroeniowego doszły do sumy 4 miliardów olarów miesięcznie. Ilekroć zdawało ę, że rokowania rozejmowe są na dorej drodze, tylekroć główny organ fiansjery amerykańskiej *Journal of ommerce* i cała plejada jego młodych braci występowały z alarmującymi artykułami na temat niebezpieczeńiwa „objawów kryzysowych" w przeyśle amerykańskim.

Z drugiej strony agresja amerykańka na Korei pozwoliła dyplomacji USA vzmóc presję na amerykańskich saelitów. Na fali tej agresji przeforsoano w ONZ nielegalną uchwałę o uznaniu Chin Ludowych za agresora". Na fali tejże agresji uruchomiono tzw. lan Achesona, którego zadaniem jest ewizja Karty ONZ w kierunku usunięia zasady jednomyślności wielkich moarstw, tzn. w kierunku definitywnego przekształcenia tej organizacji w przudówkę Departamentu Stanu; na fali gresji koreańskiej przeforsowano tzw. raktat pokojowy z Japonią w San rancisco, przyspieszono remilitaryzację aponii, przystąpiono do organizacji paktu Pacyfiku" i tak dalej — nie bez rutalnego zlekceważenia interesów sojuszników amerykańskich, w pierwszym rzędzie samej Wielkiej Brytanii; na fali agresji koreańskiej wreszcie próbowano zbudować „właściwe warunki psychologiczne" dla narzucenia wyścigu zbrojeń wszystkim państwom bloku atlantyckiego.

W okresie ostatnich miesięcy jednak „planiści" w Departamencie Stanu nie potrzebowali wcale powiększających szkieł, aby dojrzeć, że „koreański zastrzyk" przestaje działać. Ostatnia ankieta przeprowadzona przez instytut Gallupa w Stanach Zjednoczonych wykazała, iż 70% Amerykanów nie rozumie, po co prowadzona jest wojna na Korei i żąda zawieszenia broni. Wołania o rozejm na Korei nie od dziś pojawiają się na łamach prasy zachodnio-europejskiej. Zarazem sprzeczności między imperialistami, które usiłowano podporządkować temu, co nazywano wspólnym interesem Zachodu w obliczu komunistycznej agresji na Korei, uległy zaostrzeniu i ponownie wypłynęły na powierzchnię i to jeszcze gwałtowniej. Najdobitniej ujawniło się to, jeśli chodzi o sytuację na Dalekim Wschodzie, w wypadku Japonii. Amerykanie zaplanowali całą swą politykę wobec Japonii i w konsekwencji tzw. traktat pokojowy tak, by uczynić z tego kraju główną bazę agresji na Dalekim Wschodzie. Jednocześnie, aby zrealizować ten cel, czynili oni maksimum dla oderwania gospodarki japońskiej od jej naturalnych rynków zaopatrzenia i zbytu na kontynencie azjatyckim, przede wszystkim w Chinach. W konsekwencji ekspansja japońska poszła w kierunku rynków uznanych za własną domenę przez Brytyjczyków, Francuzów i Holendrów. Londyński *Daily Mail* w serii reportaży stwierdził w styczniu, że konkurencja japońska grozi ruiną brytyjskiemu eksportowi tekstylnemu. Pismo to jako ilustrację podało tak rażący przykład jak import tekstylny brytyjskiej kolonii Afryki Zachodniej, gdzie udział eksporterów brytyjskich spadł z prawie 100 w 1946 do niespełna 10% w roku 1951. Gros tego rynku zagarnęli Japończycy. Sytuacja tego rodzaju ist-

nieje zresztą w mniejszym lub większym stopniu w całym basenie Oceanu Indyjskiego. Toteż *N. Y. Times* nie bez powodu podejrzewa, że Anglicy patrzyliby przychylnie na wznowienie szerokich stosunków handlowych pomiędzy Japonią a Chinami, aby zmniejszyć nacisk eksportu japońskiego na własne rynki. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że przemysł japoński wywojowuje swe sukcesy w konkurencji z Anglią niemałym kosztem. Za sukcesy te płaci cała gospodarka japońska zmuszana do dumpingu, a przede wszystkim robotnik japoński, któremu dla zmniejszenia kosztów produkcji obcina się rabunkowo płace, niższe już w 1950 o 30% od przeciętnego poziomu przedwojennego. Według tegoż *N. Y. Times* wszyscy Japończycy bez różnicy poglądów politycznych „marzą" o wznowieniu szerokich stosunków gospodarczych z Chinami. Toteż nic dziwnego, że twórca amerykańskiej polityki w Japonii, Foster Dulles, w czasie swej grudniowej wizyty w tym kraju, mającej na celu zmuszenie rządu japońskiego do uznania marionetkowego reżimu Czang Kai-szeka i zawarcia z nim „traktatu pokojowego", napotkał na silny opór nawet w najbardziej reakcyjnych kołach japońskich i co więcej, na całą burzę protestów w prasie brytyjskiej. Protesty te znalazły swój konkretny wyraz w niemożności uzgodnienia wspólnej polityki wobec Japonii na waszyngtońskiej konferencji Trumana i Churchilla oraz w odmowie brytyjskiej cofnięcia uznania rządu Chin Ludowych, czego stanowczo domagali się Amerykanie.

Rzecz jasna, że powyższe uwagi naświetlają tylko fragment anglo-amerykańskich sprzeczności na Dalekim Wschodzie. Sprzeczności te obejmują niezwykle szeroki zakres zagadnień i politycznych, i wojskowych, i gospodarczych. Krótko mówiąc, wiążą się one z istnieniem bądź też definitywnym rozkładem brytyjskiego Imperium. Jeszcze w listopadzie proamerykańscy ekonomiści australijscy oświadczyli, że Australia powinna wycofać się ze strefy szterlingowej. W styczniu Amerykanie przystąpili do „udzielania pomocy" Indiom — w pierwszej transzy 56 milionów dolarów. Prasa brytyjska, rzecz interesująca, pokryła tę wiadomość, bądź co bądź interesującą, niemal całkowitym milczeniem. Zbliżony do Departamentu Stanu *Washington Post* występuje z żądaniem, aby brytyjskie bazy wojskowe w Singapore, na Cejlonie i tak dalej „zostały wreszcie potraktowane jako bazy wspólnej obrony wolnego świata". W sumie można stwierdzić, że agresywna polityka amerykańska na Dalekim Wschodzie obliczona jest w poważnym stopniu na podporządkowanie interesów brytyjskich interesom ekspansji Stanów.

Polityka amerykańska wykorzystuje przy tym w całej pełni fakt, że brytyjscy — jak również francuscy — sojusznicy mają na Dalekim Wschodzie poważne kłopoty. Ostatnia wizyta brytyjskiego ministra kolonii, Lytteltona, na Malajach, przeprowadzona w wozie pancernym brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego, przyniosła, jak stwierdził sam minister, wniosek, że w chwili obecnej nie ma wielkich szans na zdławienie malajskiego ruchu wyzwoleńczego. W bardziej jeszcze dobitny sposób przekonał się o analogicznym fakcie rząd francuski w Indochinach. Wojna w Indochinach prowadzona dziś kosztem (oficjalnie) 380 miliardów franków rocznie nie daje żadnych perspektyw zwycięstwa. Wyraz temu przekonaniu dali wszyscy reakcyjni deputowani francuscy w trakcie grudniowej debaty nad budżetem wojny indochińskiej na rok 1952. Skrajnie prawicowy dziennik *Aurore* podsumowując odnośne wypowiedzi, stwierdza, że „Francja sama w Indochinach sobie rady nie da". Reakcja francuska woła więc o pomoc amerykańską.

W krajach Dalekiego Wschodu ruch yzwoleńczy mas ludowych zagraża in-eresom wszystkich imperializmów łącz-ie i każdemu z osobna, samemu sy-temowi imperialistycznemu. Słabsi wy-yskiwacze czują się w konsekwencji muszeni szukać pomocy u silniejszych— lniejsi próbują wykorzystać ten stan zeczy we własnym interesie. Plany gresji amerykańskiej na Dalekim Vschodzie nie są planami „regionalny-i". Stanowią one fragment ogólnej oncepcji rozpętania pożogi trzeciej woj-y światowej. W obliczu tak „daleko-ężnych" celów agresorzy amerykańscy nętnie widzieliby sytuację, w której łówne ryzyko i główne straty ponosi-by ich słabsi sojusznicy, a tak doraźne ak i spodziewane zyski przypadłyby pa-om z Wall Street. Należy stwierdzić, że wypadku Korei ów „ideał" nie został realizowany. Główne straty ponoszą sa-ni Amerykanie, zysków nie widać, „so-usznicy" bronią się rękami i nogami rzed przysłaniem dodatkowych kontyn-entów żołnierzy, a wreszcie i pośred-nie korzyści wynikające z koreańskiej gresji przestają, jak widzieliśmy, dzia-ać. Wojna na Korei z pewnością nie aleźy do najbardziej udanych imprez merykańskiego imperializmu. Co wię-ej, wojna na Korei znalazła się z ame-ykańskiego punktu widzenia w „mar-wym punkcie". „Dla podjęcia decydu-ącej ofensywy na Korei — komentuje ekcyjny brytyjski *Scotsman*—dowódz-wo ONZ potrzebowałoby wzmożonego oparcia ze strony opinii publicznej USA oraz dodatkowych kontyngen-ów wojskowych od państw alianckich". oparcia brak, a dodatkowych kontyn-entów nikt dać nie chce. Z drugiej trony zakończyć wojnę na Korei, zna-zyłoby „ustabilizować sytuację na Da-ekim Wschodzie,. czego konsekwencją yłoby między innymi usamodzielnie-ie się polityki brytyjskiej wobec Ja-onii, normalizacja stosunków gospodar-czych między Japonią i Chinami oraz inne zjawiska zaliczane w Waszyngto-nie do kategorii nieszczęść, których unikać należy za wszelką cenę" (*N. Y. Daily Compass*).

Stratedzy z Departamentu Stanu po-stanowili znaleźć „wyjście z sytuacji": w ich opinii wojnę koreańską należy rozszerzyć tak, aby zmusić „sojuszni-ków" do wniesienia „odpowiedniego wkładu" i aby zarazem powtórzyć „za-strzyk", jakim był konflikt koreański w roku 1950. Rozszerzyć konflikt ko-reański, to znaczy rozszerzyć rozmiary agresji przeciw Chinom. W ostatnim okresie napływają wiadomości świad-czące o „przygotowaniach do nowej Korei". Określenie to pochodzi od gu-bernatora Nowego Jorku, Deweya, we-dług którego „nie należy czekać, aż po-twór chiński przygotuje się do nowej agresji". Terminologia zapewne nie wy-magająca wyjaśnień.

Dewey nie jest odkrywcą. Stany Zjed-noczone nie od dziś zajmują się na Da-lekim Wschodzie hodowlą zbiorowiska najemników, których zadaniem ma być udział w agresji przeciw Chinom. 25 czerwca 1951 senator Sparkman oświad-czył, że „nie należy zbyt wiele mówić na temat pomocy USA dla partyzantów Kuomintangu, ale sprawa ta nie jest zaniedbywana". 27 lipca depesze praso-we ze stolicy Burmy, Rangunu, doniosły, że najemnicy kuomintangowscy pod do-wództwem gen. Li Mi dokonali najaz-du na pograniczną prowincję chińską Junnan. Agencja AP przyznała wówczas, że rząd burmeński stwierdził, iż wojska gen. Li Mi wyposażone zostały w broń na terytorium Siamu przy pomocy USA. *N. Y. Times* 8 sierpnia mógł za-komunikować o fiasku imprezy, żołdacy Li Mi uciekali na łeb na szyję z powro-tem do Burmy. Tenże dziennik w depe-szy z Saigonu potwierdził, że „Francuzi są zdania, iż za pośrednictwem wywia-du wojskowego USA odegrały ważną

rolę w operacjach gen. Li Mi prowadzonych z terytorium Burmy przeciw terytorium Chin". 21 października szef sztabu armii USA, gen Collins, przeprowadził w Bangkoku rozmowy z faszystowskim premierem Siamu, Songkramem, na temat „szkolenia armii siamskiej", a w parę dni potem udał się na Formozę na konferencję z szefem tamtejszej misji amerykańskiej, gen. Chase, i przedstawicielami Czang Kai-szeka z Formozy i Bangkoku. 13 listopada szef amerykańskiej misji wojskowej w Siamie, gen. Cole, odbył na Formozie kilka tajnych konferencji z gen. Chase i najwyższymi wojskowymi ze sztabu Czang Kai-szeka. Gen. Chase oświadczył wkrótce potem, iż jego zdaniem wojska Czang Kai-szeka przy pomocy amerykańskiej „mogłyby być użyte do walki poza Formozą", co skłoniło *Manchester Guardian* do stwierdzenia, iż „tego rodzaju nieodpowiedzialne uwagi są raczej nierozsądne". 28 listopada prasa siamska doniosła, że grupa techników amerykańskich dokonała przeglądu strategicznych dróg w północnym Siamie mających połączenia z siedzibą gen. Li Mi w Burmie. W dwa dni potem rząd siamski przeznaczył kredyty na rozbudowę tych dróg. Jeszcze w parę tygodni potem, ze względu na narastanie oporu przeciw polityce amerykańskiej w Siamie, Amerykanie polecili Songkramowi dokonać „zmiany konstytucji" w kierunku likwidacji resztek swobód obywatelskich, co też przeprowadzono drogą wojskowego zamachu stanu. Rząd burmeński — mający i bez „amerykańskiej pomocy" dość kłopotów z ruchem lewicowym na terenie kraju — uznał, że cała gra wygląda dla Burmy zbyt niebezpiecznie i 1 grudnia ogłosił deklarację, według której 50 tys. żołnierzy Kuomintangu prowadzi operacje wojskowe na granicy Burmy i Chin. Władze burmeńskie protestują u rządu USA z powodu pomocy udzielanej tym wojskom i deklarują zamiar ich rozbrojenia.

W obliczu takiego „buntu" sprawy nie dało się już ukryć. 26 grudnia radio Pekin ogłosiło oficjalny komunikat o amerykańsko - kuomintangowskich przygotowaniach do agresji na południowo-zachodniej granicy Chin. W parę dni potem minister Wyszyński na forum ONZ podkreślił groźbę dla pokoju, jaką stanowią te amerykańskie przygotowania. Departament Stanu pospieszył z „dementi", które wyglądało tak przekonywająco, że nawet pełen dobrej woli *Manchester Guardian* „nie mógł uznać go za dostatecznie wyczerpujące" i wyraził ubolewanie, że „Departament Stanu nie potrafi wyrażać się jaśniej na temat swych dobrych usług" — Departament Stanu twierdzi mianowicie, że cały jego kontakt z gen. Li Mi polega na „dobrych usługach" przy... repatriacji gen. Li Mi z całym bagażem na Formozę!

Czujność światowej opinii publicznej została obudzona. Departament Stanu natychmiast uciekł się do mającej odwrócić uwagę prowokacji. Z Formozy i Saigonu zaczęły napływać masowe depesze, jak to rzekomo na granicy Indochin gromadzą się wojska chińskie „gotowe do agresji". Liczba ich rosła w przerażającym tempie — „źródła informacyjne" na Formozie nie żałowały setek tysięcy. Reakcyjna prasa francuska uznała tę kampanię, w której maczał palce również dowódca francuskiego korpusu ekspedycyjnego w Indochinach, za dowód, że Amerykanie przygotowują się do „zwiększenia pomocy" dla Indochin. Wzięła w niej też udział z całego serca. Wkrótce jednak okazało się, że Amerykanom chodzi nie tyle o „zwiększenie pomocy", ile o zorganizowanie „nowej Korei", tym razem już sprytniej — nie przy użyciu amerykańskiej, ale francuskiej, brytyjskiej, siamskiej i kuomintangowskiej armii lądowej.

N. Y. *Herald Tribune* komentując oświadczenie ministra Wyszyńskiego o amerykańsko-kuomintangowskich przygotowaniach w Siamie, stwierdził przecież dosłownie: „Oskarżenie to nosi wszelkie cechy typowo komunistycznego wymysłu, ale w gruncie rzeczy jest to całkiem dobra myśl... Rejony Azji południowo-wschodniej mogą się świetnie nadawać do wykorzystania armii formozańskiej w charakterze bardzo potrzebnych posiłków. Oczywiście panu Wyszyńskiemu nie wolno pozwolić na zakładanie veta przeciw takim posunięciom. W tej chwili potrzeba układu pomiędzy chińskimi nacjonalistami a władzami we wspomnianych rejonach, w których wojska kuomintangowskie miałyby być użyte. Dotychczas brakło konstruktywnego i zdecydowanego podejścia do tego problemu. Miejmy nadzieję, że obecnie, gdy zwrócono nań uwagę, można oczekiwać wyraźniejszej polityki w tej sprawie".

Sytuacja, według *N. Y. Daily Compass*, „poczęła budzić coraz większe zaniepokojenie Anglików i Francuzów". Do Waszyngtonu przybył w międzyczasie Churchill i — jak stwierdza oficjalny komunikat o jego rozmowach z Trumanem — postanowiono zwołać konferencję szefów sztabów USA, Wielkiej Brytanii i Francji, aby „rozważyć szczegółowe posunięcia dla wzmocnienia bezpieczeństwa Azji południowo-wschodniej". Dla wprawionej w używanie amerykańskiego leksykonu *France Soir* przetłumaczenie tego sformułowania nie było trudne. Chodzi o utworzenie południowo-zachodnich granic Chin brytyjsko - francusko - kuomintangowskiej armii z przynajmniej 12 dywizji, korzystającej ze wsparcia amerykańskiego lotnictwa — pisała gazeta. Konferencja sztabowców rozpoczęła się 11 stycznia. Przygotowania do „nowej Korei" weszły w następną fazę.

11.I.1952. **Krzysztof Wolicki**

DYSKUSJA O PRZEKŁADZIE LITERACKIM W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Zagadnienie przekładów literatury pięknej nie przestaje zajmować pisarzy i tłumaczy, redaktorów i krytyków radzieckich. Jest to zrozumiałe w kraju przeszło 60 narodów socjalistycznych, w kraju stu kilkudziesięciu wolnych i równoprawnych języków. Rozmach literatury przekładowej w Związku Radzieckim ilustrują następujące przykłady:

Nakładem wydawnictw radzieckich utwory Puszkina ukazały się w 80 językach, Lermontowa — w 56, L. Tołstoja — w 71, Gorkiego — w 71. Klasycy innych literatur narodów ZSRR oraz pisarze współcześni wydawani byli też w wielu językach: klasyk ukraiński T. Szewczenko tłumaczony był na 35 języków; klasyk uzbecki A. Nawoi — na 17 języków, klasyk gruziński Sz. Rustaweli — na 15 języków. Utwory Majakowskiego wyszły w 49 językach, Fadiejewa — w 55, Tichonowa — w 40, Dżambuł-Dżabajewa—w 21, S. Stalskiego — w 12. Oczywiście nie wymieniam tu wielomilionowych nakładów tych przekładów osiągających taką wysokość: Gorki — 61 milionów egzemplarzy, Puszkin — 60 mil., L. Tołstoj — 44 mil., Majakowski — przeszło 17 mil.

Ten potężny ruch wydawniczy w dziedzinie literatury przekładowej stawia przed radzieckimi literatami bardzo poważne zadania; wykonanie ich zależy jednak w znacznym stopniu od opracowania teorii przekładu literackiego. Prace teoretyczne K. Czukowskiego czy A. Fiedorowa sprzed kilkunastu laty — nie obejmują pełnego, przeszło 30-letniego dorobku radzieckiej literatury przekładowej, nie uwzględniają tego przełomu, jaki wywołała w teorii przekładu literackie-

go genialna praca J. Stalina: Marksizm a zagadnienia językoznawstwa.

Dyskusja w sprawie podniesienia poziomu przekładu literackiego rozpoczęta wiosną ub. r. szczególnie ożywiła się i pogłębiła po znanym artykule Prawdy — (z 2.VII. ub. r.) Przeciw ideologicznym wypaczeniom w literaturze — i wypowiedzianych tam uwagach krytycznych o przekładach wiersza Sosiury Kochaj Ukrainę (Szczegóły podaliśmy w nrze 8 Twórczości z r. ub.).

Dyskusja weszła na nowe, szersze tory, gdy Związek Pisarzy Radzieckich zorganizował w poszczególnych republikach kilka konferencji, poświęconych sprawom literatury przekładowej. W listopadzie ub. r. odbyła się konferencja pisarzy ukraińskich, na której referaty wygłosili M. Rylski (o przekładach poetyckich) i A. Iszczuk (o przekładach prozy).

Podobne konferencje odbyły się w Tadżykistanie, Azerbejdżanie, Mołdawii. Podsumowaniem tych narad była I Wszechzwiązkowa Konferencja w sprawach przekładów z języków narodów ZSRR — zorganizowana przez Zarząd Związku Pisarzy Radzieckich w grudniu ub. r. Konferencję poprzedziła 2-dniowa narada teoretyczna zorganizowana przez sekcję tłumaczy literatur narodów ZSRR Związku Pisarzy na temat Zagadnienia teorii przekładu literackiego w świetle prac J. Stalina o językoznawstwie — z udziałem tłumaczy, krytyków literackich, językoznawców i redaktorów wydawnictw moskiewskich.

Referaty zasadnicze wygłosili: J. Bragiński i W. Lejtes, podkreślając, że teoria przekładu literackiego powinna przede wszystkim w pełni uwzględnić postawione w pracach Stalina zadanie nasycania nauki o języku — marksizmem.

W wywodach swoich*) I. Bragiński wysunął tezę, że wysoki kunszt przekładowy wymaga oparcia go na trwałych podstawach naukowych, przede wszystkim na dorobku przekładów politycznych i teoretycznych wypowiedziach klasyków marksizmu-leninizmu. To ma stanowić wstępną fazę opracowania zasad przekładu literackiego. Bragiński cytuje wypowiedzi klasyków marksizmu-leninizmu o zasadach obowiązujących tłumaczy. Engels w artykule Jak nie należy tłumaczyć Marksa pisał, że do tłumaczenia dzieł niemieckich potrzebna jest doskonała znajomość nie tylko niemieckiego języka — lecz także niemieckiego życia.

Wielką wagę do pracy tłumacza przykładał Lenin — jako autor znakomitego tłumaczenia kilku ustępów Manifestu Komunistycznego zamieszczonych w artykule Karol Marks. Dbając o maksymalną ścisłość znaczeniową i tekstową w tłumaczeniu — Lenin był jednak przeciwnikiem dosłowności: w omawianym tłumaczeniu odstępował od litery oryginału, ilekroć wymagał tego duch języka rosyjskiego, a to dla tym większej jasności i dokładności w oddaniu treści oryginału.

W dalszym ciągu artykułu Bragiński wywodził, że te właśnie zasady, którymi kierował się Lenin przy tłumaczeniu, powinni uogólnić teoretycy przekładu literackiego. W pracach Stalina znajdujemy lakoniczne sformułowanie trzech nierozerwalnie ze sobą związanych właściwości języka traktowanego jako oręż myślenia, środek porozumienia, narzędzie społecznego

*) Wywody te Bragiński opublikował na łamach Litieraturnej Gaziety (Nr 143 z 4.XII. ub. r., pt. Wielka szkoła, skąd czerpię cytaty.

organizowania pracy i rozwoju. Ta potrójna właściwość języka stawia szczególne wymagania pisarzom i tłumaczom. Język ich utworów — wywodzi Bragiński — powinien być ścisły i dokładny — by w pełni i głęboko wyrażać myśl, ideę; powinien być prosty i jasny; wreszcie powinien być nasycony uczuciami i obrazami, by stał się sugestywnym środkiem oddziaływania, ostrym narzędziem rozwoju i walki.

Te społeczne funkcje języka nakładają na tłumaczy trzy wymagania: ideowości, rzetelności i prawdziwości przekładu literackiego. Ideowość przekładu — formułuje Bragiński — polega na umiejętności przekazania czytelnikowi ideowej i znaczeniowej treści oryginału w całym jej bogactwie odcieni myślowych. Rzetelność i prawdziwość przekładu literackiego — wymagają od tłumacza, by starał się oddać oryginał w jego prawdziwej postaci, a nie snuł wariacji na jego temat. W swojej pracy tłumacz lawiruje między Scyllą dosłowności a Charybdą dowolności. Dosłowność wypływa właściwie z wulgaryzatorskiej nauki Marra, który zaprzeczał istnieniu wewnętrzno - językowych specyficznych praw rozwojowych.

„Marksistowska teoria poznania i znakomite osiągnięcia przekładu radzieckiego — konkluduje Bragiński — całkowicie obaliły twierdzenia burżuazyjnej „nauki" o niemożności ścisłego przekładania utworów z jednego języka na inny. Głęboka znajomość życia narodów i wnikliwe zrozumienie specyfiki języków w pełnej ich różnorodności i bogactwie — umożliwiają prawdziwy i ścisły przekład z jednego języka na inny".

O kunszcie przekładowym mówił na konferencji teoretycznej A. Lejtes. Kunsztu tego nie można osiągnąć bez głębokiego przestudiowania ideologicznej strony oryginału, co zależy od umiejętności odczytania utworu, od sztuki przeniknięcia w jego świat ideowy, w jego sferę uczuciową, od zrozumienia odtworzonej w nim realnej rzeczywistości. Te czynniki twórcze decydują o artystycznej ścisłości przekładu.

Ożywiona dyskusja na omawianej konferencji teoretycznej była przygrywką do wielkiej dyskusji, jaka toczyła się w ciągu 4 dni na I Wszechzwiązkowej Konferencji Tłumaczy, po zasadniczych referatach: J. Libiedińskiego o przekładach prozy artystycznej, L. Pieńkowskiego o przekładach poetyckich, po koreferatach przedstawicieli literatur narodów ZSRR. W swoim referacie J. Libiediński szczegółowo przeanalizował prace najwybitniejszych tłumaczy prozy narodów Związku Radzieckiego.

L. Pieńkowski omówił tradycje klasyków rosyjskich w dziedzinie przekładu literackiego, oparte na szacunku dla właściwości narodowych oryginału, na dążeniu do zachowania ścisłości, na doborze realistycznych środków artystycznych. Dzięki temu przekłady klasyczne przekazując ściśle walory oryginału stanowiły zarazem arcydzieła poezji rosyjskiej. Na przykładach radzieckich przekładów poetyckich Pieńkowski udowodnił tezę, że współczynniki formalne przekładu poetyckiego (język, styl, słownictwo, gramatyka i składnia) są tak ściśle powiązane z treścią, iż w pracy przekładowej żadnego z nich nie wolno lekceważyć.

W dyskusji A. Glebow poruszył sprawę przekładu utworów dramatycznych, który od tłumacza wymaga znajomości sztuki scenicznej. Glebow przytoczył kilka przykładów zagubienia przez niektórych tłumaczy sceniczności dialogów z braku znajomości potrzeb sceny, jak się to stało w przekładach sztuk wybitnego dramaturga estońskiego A. Jakobsona — dokonanych przez zna-

ną tłumaczkę L. Toom. Glebow potępił też objawy takich zmian w tekście, że tłumacz staje się niejako współautorem przełożonej sztuki.

Wielu dyskutantów na Konferencji w związku z tym poruszyło sprawę odpowiedzialności tłumaczy. Między innymi wystąpił autor jednego z przekładów wiersza W. Sosiury Kochaj Ukrainę, N. Uszakow. Uznając swoje stanowisko wobec ideowo wadliwego utworu Sosiury za błędne, Uszakow oświadczył, że krytyka zawarta w artykule Prawdy (j. w.) uświadomiła—jemu i innym tłumaczom— niedopuszczalność samowolnych zmian w tekście oryginału. Z innych spraw poruszonych na Konferencji pragnę wymienić: postulat dokładnego studiowania przez tłumaczy i redaktorów — języka, historii, kultury i bytu narodu, którego literaturę przekłada się dla milionów czytelników radzieckich; żądanie skrupulatnego doboru utworów do przekładu i samych przekładów, z których należy publikować tylko najlepsze.

W dniach Konferencji na łamach Litieraturnoj Gaziety ukazało się wiele artykułów poświęconych zagadnieniom teorii przekładu literackiego. W artykule pt. Uwagi tłumacza (Litieraturnaja Gazieta nr 143) A. Mieżirow uskarża się na brak prac i artykułów z dziedziny teorii przekładu. Mało teoretycznego, uogólniającego materiału znajduje się nawet we wspomnianej wyżej książce K. Czukowskiego poświęconej kunsztowi przekładu literackiego (Wielka sztuka). Czukowski jest autorem sformułowania: „Prawie każdy tłumacz świadomie lub nieświadomie odzwierciedla w swoim przekładzie własne nastroje artystyczne i społeczne".

Wychodząc z tego założenia, Mieżirow dowodzi w omawianym artykule, że właściwości twórcze poety-tłumacza muszą harmonizować z twórczym charakterem autora oryginału. „Było by niesłuszne i nierealne — wywodzi Mieżirow — żądać od poetów, by ich indywidualność poetycka nie była wyczuwalna w teście przekładu. Lecz czasami swoistość poety-tłumacza wpływa ujemnie na jakość przekładu". Dzieje się to właśnie wówczas, gdy intonacja i konstrukcja obrazów poetyckich oryginału nie odpowiadają poecie-tłumaczowi, są mu obce.

Mieżirow przytoczył dla przykładu twórczość przekładową znakomitego poety M. Tichonowa. Tichonow wspaniale przekłada gruzińskiego poetę G. Leonidze, natomiast — zdaniem Mieżirowa — przekład wiersza tadżyckiego poety M. Tursun-Zade Dwie chustki odznacza się właściwościami poetyckimi obcymi autorowi oryginału. Dokonało się tu pewnego rodzaju zatarcie indywidualnej sylwetki poetyckiej znakomitego poety tadżyckiego — przez indywidualność poetycką Tichonowa.

Wniosek? Poeci powinni przekładać autorów o niejako pokrewnych indywidualnościach twórczych. Oczywiście trudno o sobowtóry poetyckie, z czego jednak bynajmniej nie wynika, że mogą istnieć utwory „nieprzetłumaczalne".

Mieżirow podkreśla także z naciskiem, że przy doborze środków poetyckich tłumaczom nigdy nie wolno zapominać o specyfice rodzimej wersyfikacji, o swoistej rytmiczności wiersza rosyjskiego.

W ciekawym artykule I. Kaszkina O języku przekładu (Litieraturnaja Gazieta, nr 142) poruszono zagadnienie wpływu języka na poziom przekładu literackiego. Wbrew — kursującemu jeszcze do niedawna wśród tłumaczy — przeciwstawianiu pojęć: przekład twórczy i przekład ścisły — Kaszkin wywodzi, że przekład powinien

yć jednocześnie ścisły i twórczy. rzekład literacki właśnie dlatego naywa się artystyczny, że pod względem wórczym zgodny jest z oryginałem. Podobnie nie można pojęciu czystość ęzyka, przeciwstawiać pojęcia: wzbogacenie języka, albowiem prawdziwa zystość języka już sama przez się est bogactwem. Puryzm języka przekładu — wywodzi Kaszkin — jego jaowość, suchość nie potrafią go uchronić przed zanieczyszczeniem cudzoziemszczyzną, prowincjonalizmami. Naomiast język wzbogacony słownictwem ze źródeł ludowych, przyswaja je bez rudu, zachowując tym samym swoją zystość.

Niestety, zły język przekładu oczywiście może istnieć i istnieje i odznacza się albo nieuctwem i niezdarnością, albo wymuskaniem względnie napuszonym zmanierowaniem.

Niezdarność i nieuctwo odziedziczyła literatura przekładowa po tłumaczach — eklektykach i empirykach lat 90-ch, wymuskanie — po dekadentach, dogmatyczną napuszoność — po formalistach. Tłumacze-empirycy rezygnowali z wszelkiej analizy tekstu oryginału i tłumaczyli dosłownie językiem bezbarwnym, językiem sztywnym, „dłubanym". Te właściwości tłumaczy-empirykow — niestety także obecnie spotykanych — wynikają z nieuctwa, z nieumiejętności posługiwania się językiem jako środkiem oddziaływania artystycznego.

Formaliści analizowali tekst oryginału drobiazgowo, lecz powierzchownie. Epigonami formalistów są zwolennicy dosłowności „literalizmu" (u Kaszkina: „bukwalizm"), trzymający się ślepo litery oryginału. Jedni i drudzy — zdaniem Kaszkina — zaśmiecają język rosyjski w swoich licznych przekładach. Nie może bowiem być pełnowartościowy i dokładny tekst przekładu, w którym myśli i uczucia autora oryginału, a więc sens ideowo-artystyczny i społeczny utworu — ulegają wypaczeniu w krzywym zwierciadle złego języka przekładu. Tłumacze-formaliści zamiast wnikliwego ujęcia narodowej i artystycznej swoistości oryginału celem przekazania go czytelnikowi, zadowalali się mechanicznym kopiowaniem, zewnętrznym blichtrem i kostiumerią słowną, co miało zastąpić koloryt oryginału. Tłumacze-formaliści — pisze Kaszkin — „chełpiąc się naturalistycznym przekazywaniem szczegółów oryginału, ukrywali w nich niechęć, a bodajże i nieumiejętność analizowania utworu oryginalnego w jego jedności ideowo-artystycznej".

Wieloletni dorobek najlepszych tłumaczy radzieckich wykazał możliwość pełnowartościowego przekazywania bogatego, czystego i wyrazistego języka klasyków literatury realistycznej — przy umiejętnym i taktownym wykorzystaniu całego bogactwa współczesnego rosyjskiego języka literackiego. Właśnie na odcinku przekładów klasyków literatur obcych odbijają się niestety schyłkowe wpływy formalizmu i literalizmu w pracy przekładowej. Zwycięska walka o podniesienie poziomu literatury przekładowej trwa. Dowodem wypierania omówionych przez Kaszkina wpływów jest fakt, że stare wydania klasyków: Dickensa, Balzaka, Maupassanta i innych — oczyszcza się z naleciałości językowych, cudzoziemszczyzny i bezdusznej dosłowności.

W nrze 145 Litieraturnej Gaziety (z 8.XII. r. ub.) znajdujemy artykuł wstępny pt. Przyczynek do wyników Wszechzwiązkowej Konferencji Tłumaczy — pióra A. Surkowa, który na Konferencji dokonał podsumowania dyskusji. Omawiając w Przyczynku sprawę właściwego doboru utworów do przekładu — Surkow dowcipnie podzielił tłumaczy na trzy kategorie. Jedni

wybierają do przekładu utwory odpowiadające ich charakterowi twórczemu. Inni tłumacze — przeważnie bywa tak z wybitnymi, pełnymi temperamentu poetami o indywidualnym obliczu twórczym — podejmują się jednak przekładu utworów nawet nie w ich „guście". „W rozpoczynających się „zapasach" tłumacze ci często pokonują i tłumią indywidualność twórczą autora" — pisze Surkow. Trzecia kategoria tłumaczy — to rzemieślnicy podejmujący się przekładania dowolnego poety.

„Skoro wysunęliśmy państwowo ważną sprawę organizacji pracy przekładowej na rozległe forum społeczne — konkluduje Surkow — trzeba wytworzyć taką sytuację, by przekład literacki w żadnym wypadku nie mógł być przedmiotem chłodnego uprawiania rzemiosła, ani też obiektem literackich „zapasów" z autorem, względnie warsztatem formalistycznych ćwiczeń".

Józef Spinc

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Z dziejów FBI

Początek XX wieku cechuje wzrost nastrojów rewolucyjnych w wielu krajach. Na Półkuli Zachodniej doszło do otwartej rewolucji w Meksyku w 1910 r. W USA brzask stulecia oglądał rządy „męża twardej ręki" Teodora Roosevelta. Jego „ministrem sprawiedliwości", noszącym tytuł urzędowy *Attorney General* (prokurator generalny) był Charles J. Bonaparte, awanturniczy potomek rodu cesarskiego, któremu roiła się kariera nie tyle stryjecznego dziadka-Napoleona, co jego osławionego ministra policji — Józefa Fouché. Ów Bonaparte stał się założycielem wydziału tajnej policji pod nazwą Biura Dochodzeń — *Bureau of Investigation* (później dodano „Federal").

W początkowym okresie istnienia FBI zajmowało się wykradaniem listów i gromadzeniem innych materiałów kompromitujących przeciwników politycznych partii rządzącej. Pierwszym wielkim zleceniem kryminalnym była walka z handlem żywym towarem w oparciu o ustawę uchwaloną w 1910 r., tzw. *Mann Act.* Ale i wówczas detektywi poświęcali swój czas niemal wyłącznie rejestrowaniu przygód miłosnych niewygodnych kongresmenów i innych działaczy politycznych, podczas gdy właściwi przestępcy, właściciele całych sieci domów publicznych, wykręcali się sianem, a ściślej mówiąc — opłacaniem odpowiednio wysokiego haraczu.

Prawdziwe pole do popisu znalazło FBI w czasie I-szej wojny światowej, a zwłaszcza w okresie następnym — zbrojnej interwencji amerykańskiej przeciwko Rewolucji Październikowej. Rozpoczął się zakrojony na wielką skalę atak na wszystko, co reprezentowało postęp i demokrację. W latach 1917—18 piętnowano i osadzano w więzieniach działaczy robotniczych i przedstawicieli myśli postępowej pod fałszywym zarzutem germanofilstwa. Dawało to korzyść podwójną: pozwalało na hamowanie rozwoju uświadomienia wśród klasy robotniczej, równocześnie zaś odwracało uwagę opinii od działalności rzeczywistych agentów i szpiegów niemieckich, którzy mogli bezkarnie uprawiać sabotaż i dywersję. Natomiast zaraz po zakończeniu wojny ludzi posądzanych o sprzyjanie Wilhelmowi i militarystom pruskim oskarżono o „bolszewizm".

Niezmiernie charakterystyczna była debata w Kongresie w styczniu 1918 r. Ekspert Departamentu Sprawiedliwości, niejaki Mr. Archibald E. Stevenson, oświadczył dosłownie: „Niebezpieczeństwo radykalizmu tak długo będzie zagrażać Stanom Zjednoczonym, jak długo przywódcom rewolucji pozwoli się rzą-

zić Rosją. Już teraz rozlegają się u nas rotesty przeciwko użyciu wojsk ame-kańskich przeciw Sowietom. Jest to dnak konieczne. Przypomnę podobną ielce sytuację, kiedy to Ameryce za-rażali w końcu XVIII wieku rządzący rancją jakobini. Także i wówczas pa-szyły się u nas różne stowarzyszenia olności obywatelskich, będące odbi-em klubów jakobińskich we Francji. h agitacja doprowadziła do buntów. koro jednak Robespierre'a zgilotyno-ano, a kluby jakobińskie straciły pływy, natychmiast doszło w Stanach jednoczonych do rozwiązania owych emokratycznych stowarzyszeń..."

Nie obeszło się oczywiście bez ataku uniwersytety. Mr. Stevenson doma-ł się usunięcia „wielkiej liczby profe-rów, w pierwszym rzędzie profesorów cjologii, ekonomii i historii. Są to ajgorsi spośród naszych rodzimych ra-ykałów, przeciwstawiają się milita-zmowi, głoszą materializm i tak zwa-e idee liberalne i demokratyczne... Są śród nich przedstawiciele najlepszych dzin..."

Ofensywę przeciw znienawidzonym eom i stowarzyszeniom demokratycz-ym rozpoczęto od licznych prowokacji. iosną 1918 r. przeprowadzono w ca-ch Stanach wielkie obławy w „poszu-waniu uchylających się od służby ojskowej". Aresztowano tysiące ludzi odejrzanych o poglądy radykalne, awytano z ulicy, przede wszystkim lu-i nędznie ubranych. Nie pomagało po-ływanie się na to, że zatrzymany do-łnił obowiązku rejestracji, że ma kar-powołania w domu, a do wojska je-cze nie został wcielony. Imputowano ówczas „zamiar" uchylenia się i to ystarczało. Ponieważ z paru wyjąt-mi nikomu z wielu tysięcy aresżto-anych niczego nie udowodniono, do-ło wreszcie do skandalu. W Senacie lbyła się debata, której kwintesencja reszczała się najdobitniej w wypo-wiedzi senatora Brandegee: „Jeśli nasz znakomity rząd ma być logiczny i konsekwentny w ściganiu przestępców — nie może w żadnym wypadku sam brać na siebie roli przestępcy na wielką skalę". Inaczej nieco wyraził się senator C. S. Thomas z Colorado: „U nas na Zachodzie takie metody określamy inaczej, co prawda stosujemy je tylko przeciw zwierzętom, nigdy zaś przeciw ludziom. Nazywamy to obławą, ale i wtedy nie uciekamy się do okrucieństw".

We wrześniu 1918 r. w gmachu rządowym w Chicago wybuchła bomba, zabijając czterech ludzi. W kwietniu i czerwcu 1919 wiele osób otrzymało kilkadziesiąt bomb doręczonych przez pocztę lub posłańców. FBI obwieściło natychmiast, że zamachy bombowe są dziełem „radykałów" planujących obalenie przemocą rządu i ustroju USA. Zarówno wszystkie okoliczności towarzyszące rozesłaniu bomb i wybuchom, jak i okoliczności oraz przebieg dochodzeń wskazują wyraźnie, że była to prowokacja zorganizowana na wielką skalę. W każdym razie zamachy, których tajemnica nigdy nie została wyświetlona, następowały zawsze w momentach dla FBI najdogodniejszych.

Zaraz po ostatnim wybuchu utworzono w ramach Biura specjalny wydział nazwany początkowo Wydziałem Antyradykalnym, później zaś Wydziałem Wywiadu Ogólnego *General Intelligence Division*. Na czele wydziału stanął dzisiejszy szef FBI, osławiony J. Edgar Hoover. Od Kongresu zażądano olbrzymich kredytów, Hoover zaś przystąpił do masowych aresztowań. Wybuchy już się nie powtórzyły, co miało usprawiedliwić wobec opinii zarówno rozbudowę biura jak i same aresztowania, całkowicie nielegalne. FBI bowiem nie było podówczas uprawnione ani do zatrzymywania kogokolwiek, ani do przeprowadzania rewizji.

Latem 1920 r. w Senacie roztrząsano sprawę tzw. obław Palmera. Senacka komisja badawcza zajęła się w związku z tym i „bombami radykałów". Jaskrawe światło na metody FBI rzucają stenogramy posiedzeń komisji oraz liczne sprawozdania złożone przez „Wydział Antyradykalny". Najciekawszą może i nader typową była „sprawa Salsedo". Tajni agenci zatrzymali drukarza Andrea Salsedo i „skłonili go do udania się do biura FBI przy 15 Park Row w New Yorku w celu udzielenia informacji mogących naprowadzić na ślad sprawców zamachów bombowych". Ale drukarz „uchylał się od odpowiedzi" — jak głosi sprawozdanie — FBI zaś, jak wiemy, nie miała prawa nikogo aresztować. „Wobec tego ułożyliśmy się z p. Salsedo, że pozostanie w naszym lokalu biurowym na wypadek, gdyby namyślił się i postanowił udzielić wyjaśnień... Miał wszelkie wygody... Jednak po ośmiu tygodniach p. Salsedo zerwał nagle układ wyskakując z czternastego piętra gmachu na Park Row i popełniając samobójstwo..."

Rzecz była spreparowana tak prymitywnie, że FBI zaczęło gorączkowo szukać sposobów odwrócenia uwagi zaalarmowanej wypadkiem opinii publicznej. W tym celu z miesiąca na miesiąc zapowiadano zbliżającą się „próbę obalenia rządu i objęcia władzy w całym kraju przez rozszalałych radykałów".

W rok później Jackson H. Ralston, wybitny prawnik uważany za autorytet w tych sprawach, oświadczył przed komisją Senatu: „Rozrastające się Biuro Dochodzeń musiało usprawiedliwić swe istnienie.. urabiano opinię przygotowując ją na zamachy czerwonych. Było to robione świadomie. Zamachów oczywiście nie było i nie były planowane... Zapowiadało je Biuro Dochodzeń, ilekroć chciało uzyskać dodatkowe kredyty... Opinia w tym czasie była nerwowa i podatna... Policja carska stale uciekała się do takich metod. To samo dzieje się pod auspicjami instytucji, którą spodobało się nam nazywać Departamentem Sprawiedliwości".

Departament Sprawiedliwości nie replikował. FBI również milczało...

Zbrodnia czterdziestu godzin

„Postawili sobie za cel czterdziestogodzinny tydzień pracy i 50% podwyżkę płac" — tak brzmiał jedyny dosłownie zarzut wysunięty przez FBI w stosunku do wielu aresztowanych spośród działaczy związków zawodowych. Jedno z pism murzyńskich, krytykując szermowanie na wszystkie strony oskarżeniem o „wywrotowość" użyło w artykule zwrotu: „Jeśli dochodzenie swoich praw jest bolszewizmem — jesteśmy bolszewikami!" Wystarczyło to do uznania za „bolszewików" większości działaczy murzyńskich.

Na miesiąc przed zakończeniem I-ej wojny światowej Kongres uchwalił ustawę pozwalającą na deportację cudzoziemców, których poglądy polityczne mogły budzić zastrzeżenia. Orzekać miały sądy na podstawie wniosków Departamentu Pracy (odpowiednik Ministerstwa Pracy). Szef wydziału „Antyradykalnego" FBI, Hoover, za aprobatą Prokuratora Generalnego A. Mitchell Palmera, uzyskał z Departamentu Pracy parę tysięcy nakazów aresztowania in blanco. Po starannych przygotowaniach dnia 7 listopada 1919 r. zorganizowano ogólnokrajową obławę aresztując ponad 10.000 osób. Druga fala nastąpiła w nocy z 1 na 2 stycznia 1920 r. Były to owe głośne, na długo pamiętne „łapanki Palmerowskie", *the Palmer raids*. Aresztowanych trzymano tygodniami w warunkach żywo przypominających te, w jakich trzymali ofiary swych łapanek hitlerowcy. Aresztowani rekrutowali się głównie spośród robotników i rzemieślników, byli wśród nich

alowcy, szewcy, kelnerzy, wyrobnicy
ówkowi itd. (dane sprawozdania
iązku Kościołów Protestanckich).
enci FBI mieli przygotowane listy
nków „organizacji radykalnych".
dzi zatrzymywano na zebraniach
a ulicy „na podstawie wyglądu", lub
rując się tym, że mówią obcym je-
iem, a potem sortowano ich stop-
wo (ze stenogramu zeznań urzędni-
v policji złożonych przed komisją
ngresu).

BI — jak stwierdza jeden z repor-
ów Hoovera — układało swoje listy
odejrzanych" i materiały w kartote-
ch prawie wyłącznie na podstawie
niesień konfidentów oraz wiadomości
chodzących od sąsiadów lub osobi-
ch wrogów osób posądzonych o „ra-
kalizm"; dużą rolę odgrywały rów-
ż anonimy; instrukcje wyraźnie na-
zywały agentom „niepogardzanie ża-
ą zasłyszaną plotką". W celu zbiera-
materiału starano się umieścić w
dzonej organizacji jak najwięcej in-
rmatorów. Senator Wheeler obliczył,
na zebraniach niektórych organizacji
% stanowili informatorzy. Jednym
ważkich ich zadań była prowokacja.
podstawie tego rodzaju danych FBI
ładało swą słynną „kartotekę wywro-
wców". Wobec tego rodzaju materia-
v i źródeł nie ma się co dziwić, że
ż wkrótce po uruchomieniu kartoteki
BI mogło się poszczycić wpisaniem
0.000 nazwisk; w parę miesięcy póź-
ej ogłoszono, że lista nazwisk obej-
uje ich 200.000, po roku — 450.000,
ś w 1926 r. — 1,5 miliona. Obecnie
uszą to być cyfry astronomiczne, sko-
Hoover oświadczył niedawno, że jego
idencja wykazuje samych „szpiegów"
iałających na terenie USA — 800.000.
ynika stąd niezbicie, że na każdych
u dorosłych Amerykanów musi być
najmniej jeden szpieg, liczba zaś
dykałów wśród niemowląt i starców
ie w miliony. Wynika stąd dalej, że
obce mocarstwa wydają na samo u-
trzymanie szpiegów w USA — żaden
szpieg nie pracuje za darmo — okrągło
10 miliardów dolarów rocznie, czyli
więcej niż cały budżet Stanów Zjedno-
czonych w latach 1939 i 1940, więcej niż
cały budżet armii amerykańskiej wraz
z lotnictwem w roku 1947... Cały bez-
sens wywodów Hoovera nie wymaga
rzecz jasna komentarzy. Jest to jeden
z owych rekordów — rekord absurdu —
od których roi się w USA.

Według zapewnień Mr. Hoovera kar-
toteka prowadzona jest przez „wybit-
nych specjalistów". Muszą to być istot-
nie ludzie fantastycznie utalentowani,
albowiem, jak wynika z raportów FBI
dla Kongresu, w ciągu pierwszych $3^1/_2$
miesięcy swej pracy sporządzili „do-
kładne biografie ponad 60.000 radykal-
nie nastrojonych osobników".

Pod koniec zimy 1920 r. prasę ame-
rykańską obiegać zaczęły coraz bardziej
niepokojące wiadomości o samobój-
stwach wśród aresztowanych, o wypad-
kach obłędu itd. Ówczesny kierownik
Departamentu Pracy, Louis F. Post, ka-
zał sobie przedstawić szczegółowe dane
i już po wstępnym ich zbadaniu anulo-
wał 90% nakazów aresztowania wyda-
nych in blanco przez jego podwładnych
oraz zarządził natychmiastowe zwolnie-
nie olbrzymiej większości przetrzymy-
wanych jeszcze „podejrzanych obcokra-
jowców". Ze strony FBI wszczęto na-
tychmiast energiczną kontrakcję dopro-
wadzając do oskarżenia Posta przed
Senatem o „podważanie bezpieczeństwa
państwa". Intryga zakończyła się zu-
pełnym fiaskiem. Były wprawdzie na
terenie Senatu próby obrony FBI, prze-
ważyła jednak opinia, którą najbardziej
lapidarnie i celnie ujął senator Walsh,
określając działalność agentów FBI
i sposób przeprowadzania łapanek jako
„bezprawne akty motłochu" *(the lawless acts of a mob)*. W tym samym czasie
w Bostonie, na tle dokonanej tam

obławy, toczył się przed sędzią federalnym Andersonem głośny proces zakończony znamiennym orzeczeniem. Ferując wyrok sędzia Anderson włączył do jego sentencji słowa następujące: „nie wdając się w szczegółowe omawianie rozmiarów bezprawia, jakim były poczynania funkcjonariuszy rzekomo stojących na straży ustaw... trzeba jednak podkreślić, że tłuszcza jest tłuszczą bez względu na to, czy składa się z funkcjonariuszy rządowych, działających w myśl instrukcji Departamentu Sprawiedliwości, czy też z przestępców, włóczęgów i innych wyrzutków społeczeństwa".

Pochwała rewolucji

W USA obowiązują tzw. ustawy antytrustowe, wymierzone przeciw monopolistycznym zmowom wielkiego kapitału. Jednakże p. Hoover używa podwładnego sobie aparatu wyłącznie dla zwalczania zrzeszeń robotniczych, wbrew wyraźnemu brzmieniu i duchowi ustaw podciągając działalność związków zawodowych pod pojęcie „zmowy". Przemysłowcy amerykańscy jeszcze w zaraniu ruchu robotniczego zorganizowali w swych fabrykach własne, prywatne oddziały policji, prowadzące wywiad wśród robotników, używane do łamania strajków itp. Do najbardziej osławionych należy prywatna policja Forda, inne jednak zakłady skutecznie współzawodniczą z głośnym czcicielem Hitlera. FBI żywo współdziała z prywatną policją kapitalistów i we wszelkiej akcji antystrajkowej bierze zawsze nader czynny i zdecydowany udział. Roczniki pism amerykańskich roją się od wiadomości na ten temat, przytacza je obficie każda historia ruchu robotniczego w USA. Tu sięgniemy dla ilustracji do wypadku, który przeszedł do historii, a wnioski, jakie nasunął, zostały utrwalone w protokółach Senatu i rocznikach sądowych. Kopalnie miedzi w Butte w Stanie Montana w r. 1920 zatrudniały 11.000 robotników. Warunki pracy były straszliwe, ale dyrekcja odmawiała zaspokojenia jakichkolwiek, najskromniejszych nawet żądań. Robotnicy zaczęli zastanawiać się nad strajkiem. Wezwane przez właścicieli FBI przystąpiło do masowych aresztowań... Senator Walsh, referując wyniki badań, oświadczył: „Jest rzeczą pożałowania godną, że wobec setek aresztowań... robotnicy, zabiegający o skrócenie godzin pracy i lepsze stawki płac, musieli nieuchronnie dojść do wniosku, iż rząd bierze zdecydowanie stronę pracodawców, posuwając się aż do aresztowań w celu złamania strajku". Sprawa znalazła się przed sądem federalnym. Oto są wnioski zawarte w orzeczeniu sędziego George M. Bourquina: „Robotnicy, niezadowoleni z warunków pracy w przemyśle górniczym, rozważali środki prowadzące do poprawy, nie wyłączając — w razie konieczności — strajku. W rezultacie spokojne ich zebrania były wielokrotnie napadane przez agentów pracodawców, agentów federalnych i żołnierzy pod komendą oficerów, którzy wszyscy działali z ramienia władz federalnych, a bez wszelkich prawnych podstaw. Robotnicy nie stawiali oporu, ustnie tylko protestując, i nie było zakłóceń spokoju — jedynie ze strony napastników. Ci ostatni z bronią w ręku wdzierali się przemocą, rujnując i niszcząc cudzą własność, przetrząsając rzeczy i papiery, zabierając papiery i dokumenty, klnąc, znieważając bijąc i rozpraszając uczestników zebrań przy pomocy bagnetów... w ogóle — w ludnym mieście, gdzie panował ład i porządek — dopuścili się całej orgii terroru, gwałtów i zbrodni przeciw obywatelom uczestniczącym w publicznych zebraniach, a których jedynym przestępstwem było spokojne naleganie na możność wykonywania jasno i bezspor

przysługujących im praw... Głoszeniepożądanych nauk jest bez ponania mniej niebezpieczne dla nago kraju niż poczynania czynników, łających z pogwałceniem prawa i ządku publicznego, ludzkości i sprawliwości... Czynniki te są wcieleniem ha nietolerancji i najgroźniejszym viskiem dzisiejszej Ameryki... Lurozważni, prawdziwie kochający j kraj i jego instytucje, największe ezpieczeństwo widzą w tych czynach, w ich praktykach i praktykach du w rozpętywanej histerii..."

rofesor Zechariah Chafee, wybitny rytet w dziedzinie prawa konstytuego, formułował swą opinię przed isją Senatu. Wypowiadając się stanczo przeciw wszelkiemu ustawowstwu kneblującemu wolność myśli owa, prof. Chafee zakończył: „Nie łacie zredagować ustawy w taki spoby nie była zarazem potępieniem eł Jeffersona, dzieł Adamsa i moinauguracyjnej *) Lincolna — ystkie zawierały pochwałę rewoi".

Wielki Łowczy, czyli Wolność deportowana

iał hitleryzm swego Wielkiego Łowgo, mają go również Stany Zjednone. Nie jest nim Goering amerykań— ta rola została podzielona między a osób. Wielki Łowczy USA to erykański Himmler — Mr. J. Edgar ver, od lat trzydziestu czterech ędnik FBI i od dwudziestu siedmiu tej instytucji. Otoczony najwyższą mniczością, niedostępny dla obcych wnie niemal niedostępny dla poddnych, z wyjątkiem kilku najbliższych współpracowników, Edgar Hoover dzi swym Biurem wszechwładnie i autokratycznie, mianując i usuwając swych agentów według własnego uznania. Mimo niedostępnosci Mr. Hoover rozkochany jest w reklamowaniu swej policji, przede wszystkim zaś w autoreklamie, na którą wydaje olbrzymie kwoty z pieniędzy skarbowych, zarabiając równocześnie wielkie pieniądze na lichych, masowo produkowanych przez siebie, samochwalczych artykułach i książkach. Mr. Hoover lubuje się w dramatycznych nagłówkach, w pozowaniu na super-szerloka, w teatralnym sztafażu akcji policyjnych, w hałaśliwym liczmanie pseudo-patriotycznej demagogii, w operowaniu liczbami astronomicznymi i... kłamstwie.

W toku długiej kariery Edgara Hoovera przygwożdżono bardzo wiele jego oszustw. Jednym z głośniejszych takich wypadków, ze względu na oddźwięk w prasie, była polemika w roku 1940 z wybitnym historykiem, panią Mary R. Beard. Hoover wypierał się kategorycznie jakiegokolwiek związku z „obławami Palmera", twierdząc, że nie przyłożył do nich ręki, a nawet ostro je w swoim czasie potępił. P. Beard wykazała na podstawie niezbitych dokumentów, że właśnie Hoover był instygatorem obław, ich organizatorem i kierownikiem, że w myśl specjalnej instrukcji wszystkie raporty terenowe nadchodziły na jego imię, że bronił obław w Senacie i długi czas przechwalał się ich autorstwem.

Prasa amerykańska skrzętnie zamieszcza wszelkie oświadczenia Hoovera, gdyż zawsze mają posmak sensacyjny. Ale szef FBI znany jest z tego, że jego wypowiedzi są nieodpowiedzialne i nie można na nich polegać. Poważny naukowy instytut badawczy, *The Brookings Institution*, zanalizował na zlecenie Senatu dane statystyczne oficjalnie ogłaszane przez Hoovera: „W marcu 1936 Dyrektor FBI mówił o „armii przestępców amerykańskich liczącej z górą 3

*) Mowa wygłoszona przy objęciu urzędu prenta.

miliony"; w czerwcu określił jej liczebność na 500.000, w grudniu na 3.500.000, ilość zaś ogólną wszelkich przestępstw popełnionych w ciągu roku — na 1.500.000. W kilka miesięcy później twierdził, że liczba przestępców w roku 1936 wynosiła 4.300.000, a samych tylko ciężkich zbrodni popełniono 1.333.526... W kwietniu 1936 Hoover utrzymywał, że w Ameryce znajduje się na wolności 150.000 morderców; natomiast z ogłaszanej przez FBI statystyki wynika, iż popełniono w tym okresie 3.582 zabójstwa, przy czym aresztowano 2.936 sprawców..."

W 1950 r. Hoover chwalił się posiadaniem odcisków palców 112 milionów Amerykanów. Ale na krótko przed tym musiał wyznać w Senacie, że FBI nie wie nawet, ile spraw przesyła prokuratorom dla sporządzenia aktu oskarżenia. Jeden z przesłuchujących go, senator Norris, zwrócił uwagę na utrzymywanie przez FBI specjalnych biur reklamy prasowej i dodał: „detektyw, który przy każdej sposobności reklamuje swoje wyczyny, który wydaje pieniądze publiczne na zamieszczanie opisów swych osiągnięć na pierwszych stronach gazet i pod płomiennymi nagłówkami, nie potrafi w końcu wykryć zbrodni i zaprowadzić sprawcy przed oblicze sprawiedliwości... Jeśli nie uczynimy czegoś, by położyć kres tej furii samozachwytu, tym przechwałkom z własnej wszechmocy, dojdziemy do tego, że FBI zamiast chronić ludność przed złoczyńcami stanie się siłą tyrańską kierującą naszym rządem... Nadejdzie wkrótce chwila, kiedy będziemy mieli szpiega czającego się za każdym drzewem i detektywa ukrytego w każdej szafie".

Czas ten już nadszedł. Tragicznym prologiem do deportowania Wolności z kraju, który mienił się jej siedzibą, było zatwierdzenie przez Sąd Najwyższy USA wyroku skazującego jedenastu przywódców komunistycznych za z a m i a r głoszenia idei postępowych. Sześciu członków tego sądu, uzurpując sobie prawo przysługujące tylko ludowi, przekreśliło Konstytucję Stanów Zjednoczonych intronizując na jej miejsce samowolę tajniaków i denuncjantów. Decyzja ta była kamieniem probierczym — zaraz potem Hoover ogłosił, że na jego listach proskrypcyjnych figuruje 292.000 nazwisk. FBI zapowiedziało już z góry — w oświadczeniu w sprawie kredytów na rok 1951-2 — potrojenie liczby więźniów politycznych, domagając się wobec tego odpowiedniej rozbudowy więzień. W kapitalistycznej dżungli Ameryki kotłują się sfory detektywów, szpiclów i informatorów, a przy akompaniamencie radosnych okrzyków McCarthych i McCarranów szaleje Wielki Łowczy.

Julian Stawiński

GON JERZEGO BOREJSZY

Komunikat KC PZPR

Komitet Centralny PZPR z głębokim żalem zawiadamia, że dnia 19 stycz-a br. po długiej chorobie zmarł w Warszawie długoletni działacz KPP PPR, zastępca członka KC PZPR, wybitny publicysta i działacz kulturalny towarzysz Jerzy Borejsza.

Jerzy Borejsza urodził się 14 lipca 1906 r. w Warszawie. Do walki w szere-ch ruchu robotniczego przystąpił w r. 1927, a w roku 1929 został członkiem omunistycznej Partii Polski. Jako aktywista partyjny pracował w Wydzia- Propagandy i Agitacji Komitetu Warszawskiego KPP oraz pełnił szereg lpowiedzialnych funkcji w komitetach dzielnicowych Partii na Woli, Mo-towie i w Warszawie-Podmiejskiej. Pracował również w redakcji central-ej KPP i w Centralnym Wydziale Zawodowym.

Jerzy Borejsza, obdarzony wybitnym talentem publicystycznym, rozwijał owym czasie żywą działalność prasową i pisarską. W latach 1936 — 1939 ystępował wielokrotnie na łamach prasy w obronie Republiki Hiszpańskiej. rał aktywny udział w walce o utworzenie ludowego frontu obrony praw as pracujących i niepodległości Polski zagrożonej przez hitlerowski im-erializm. Za swą rewolucyjną działalność był prześladowany przez władze nacyjne.

Po wybuchu wojny Jerzy Borejsza znalazł się na emigracji w ZSRR. Od 1942 walczył przeciw najeźdźcom hitlerowskim w szeregach Armii Ra-ieckiej na froncie kalinińskim. Za zasługi swe został odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy". Od chwili powstania Związku Patriotów Polskich, następnie od chwili utworzenia I Dywizji Wojska Polskiego, Jerzy Borejsza ldawał wszystkie swe siły sprawie walki o Polskę Ludową. Był oficerem Dywizji Wojska Polskiego. Pracował w redakcjach organu ZPP „Wolna olska" i „Nowych Widnokręgów".

Po wyzwoleniu kraju Jerzy Borejsza stał się jednym z najczynniejszych rganizatorów życia kulturalnego Polski Ludowej. Był założycielem i prezem Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" oraz pełnomocnikiem ądowym dla zorganizowania „Ossolineum". Wraz z grupą najwybitniej-ych intelektualistów polskich i zagranicznych organizował w r. 1948 I Kon-es Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, który odegrał po-ażną rolę w rozwoju światowego ruchu pokoju.

Kongres Zjednoczeniowy w grudniu 1948 r. wybrał Jerzego Borejszę na za-ępcę członka Komitetu Centralnego PZPR. Wyrazem uznania jego zasług a Polski Ludowej było odznaczenie go Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Ko-andorskim Orderu „Polski Odrodzonej".

Zdrowie Jerzego Borejszy w ciągu ostatnich lat zostało podkopane przez ężką chorobę raka żołądka i przewodu pokarmowego.

Mimo choroby nie przerywał jednak pracy publicystycznej i pisarskiej. Do tatnich chwil pracował nad szeregiem własnych utworów i nad przekła-m na język polski wielkiego poematu Pablo Nerudy.

Jerzy Borejsza był ofiarnym bojownikiem, oddanym sprawie socjalizmu pokoju.

Cześć Jego pamięci!

SPIS TREŚCI

Mieczysław Jastrun: Scena z ołtarza Wita Stwosza; Nauka; Okwiat jabłoni; Narodziny . . . . . St

Stanisław Piętak: Przodownica Anna . . . . .

Igor Newerly: Pamiętnik z Celulozy . . . . .

Adam Tarn: Ortega 6

Jerzy Putrament: Notatnik chiński 10

NA BUDOWIE PLANU 6-LETNIEGO: Stanisław Wygodzki: Pierwsi w odbudowie 13

WŚRÓD KSIĄŻEK: Anna Kamieńska — Jan Huszcza „Wiersze"; Jan Maria Gisges „Pierwsza miłość"; Jan Śpiewak — Jerzy Hordyński „Powrót do światła"; Adam Mauersberger — Józef Kuśmierek „Uwaga! Człowiek"; Włodzimierz Maciąg — Halina Rudnicka „Uczniowie Spartakusa"; Marceli Ranicki — Willi Bredel „Krewni i znajomi" t. I. „Ojcowie" t. II „Synowie" 14

TEATR: Henryk Vogler: Krakowski przegląd teatralny; Egon Naganowski: Na scenach poznańskich 16

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki; Józef Spinc; Julian Stawiński 17

Zgon Jerzego Borejszy 1

KSIĄŻKI NADESŁANE 1

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.